

**ROSA
MONTERO
ŁZY**

W DESZCZU



Komputer posłusznie zareagował i ekran zaczął wypełniać się kolejnymi obrazami jednookiej replikantki, jej ciała, biednego, nagiego, rozcinanego w poszczególnych fazach sekcji. Na koniec laserowy nóż przecinał czaszkę, jakby kroił na pół pomarańczę, a automatyczne szczypce delikatnie sondowały mocno zaróżowione szare komórki. Najczerwieńszy mózg, jaki Bruna kiedykolwiek widziała, a widziała ich parę.

(fragment książki)

ROSA MONTERO

ŁZY w DESZCZU

przełożyła Weronika Ignas-Madej

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Tytuł oryginału: Lágrimas en la lluvia

A stylized, handwritten-style logo consisting of the letters 'MKS' in a bold, cursive font. The 'M' and 'K' are connected, and the 'S' has a long, sweeping tail that loops back under the 'K'.

Non ignoravi me mortalem genuisse. Zawsze wiedziałem, że jestem śmiertelny.

Marek Tulliusz Cynceron, filozof rzymski

Agg'ie nagne 'eggins anyg g nein'yie.

To, co czynię, pokazuje mi to, czego szukam.

Sulagnes,

artysta plastik z planety Gneio

Wszystko ma swój czas, i jest wyznaczona godzina

na wszystkie sprawy pod niebem:

Jest czas rodzenia i czas umierania,

czas sadzenia i czas wrywania tego, co zasadzono,

czas zabijania i czas leczenia,

czas burzenia i czas budowania,

czas płaczu i czas śmiechu,

czas zawodzenia i czas płasów,

czas rzucania kamieni i czas ich zbierania,

czas pieszczot cielesnych i czas wstrzymywania się od nich,

czas szukania i czas tracenia,

czas zachowania i czas wyrzucania,

czas roździerania i czas zszywania,

czas milczenia i czas mówienia,

czas miłowania i czas nienawiści,

czas wojny i czas pokoju.

Księga Koheleta

Bruna zbudziła się nagle i uświadomiła sobie, że umrze.

Nie teraz.

Ból przesuwał skronie. Mieszkanie tonęło w półmroku, za oknem zapadał zmierzch. Spojrzała tępo na znajomy miejski pejzaż, wieże, tarasy i setki okien, po których wolno przesuwały się cienie, poczuła w głowie kolejne uderzenie bólu. Po chwili dotarło do niej, że coś łomocze nie tylko w jej głowie. Ktoś dobijał się do drzwi. Zegar wskazywał 19.21. Westchnęła ciężko i podniosła się z jękiem. Siedząc na brzegu łóżka, w pomiętym ubraniu, z bosymi stopami na podłodze, odczekała parę sekund, aż płynna masa, w którą zamienił się mózg, przestanie chlupotać i ułoży się w pionie. Cztery lata, trzy miesiące i dwadzieścia dziewięć dni, szybko obliczyła w myślach - nawet kac nie przeszkodził jej w odprawieniu maniakałnego rytuału. Jeśli istniało coś, co przygnębiało ją bardziej niż upijanie się, to było upijanie się za dnia. Nocą alkohol wydawał się mniej szkodliwy, mniej upadlający. Picie od południa było zdecydowanie żalosne.

Nierytmiczne, gniewne stukanie nie cichło. Wywoływało irytację, bardziej niż niezapowiedzianą wizytę przypominało napad. „Domku, pokaż drzwi” - wymruczała i na głównym ekranie pokazała się twarz intruza. Intruzki. Parę sekund zajęło Brunie rozpoznanie twarzy wykrzywionej jakimś koszmarnym grymasem, choć tych okropnych jaskrawopomarańczowych włosów nie sposób było pomylić. Należały do jej sąsiadki, replikantki, która mieszkała we wschodnim skrzydle budynku. Ledwie parę razy powiedziały sobie dzień dobry, Brunna nie знаła nawet jej imienia - niezbyt lubiła spoufalać się z innymi repami. Choć prawdę mówiąc, nie spoufalała się też zbyt z ludźmi. „Przestań, do cholery” - jęknęła w duchu, ogłuszona hukiem. Ten nieznośny łoskot zmusił ją w końcu, by wstać i otworzyć drzwi.

- Stało się coś? - wymamrotała.

Sąsiadka z pięścią wzniesioną do kolejnego uderzenia wstrzymała oddech, zaskoczona nagłym pojawieniem się Brany. Stała bokiem, jakby gotowa do ucieczki, zmierzyła Branę zawistnym spojrzeniem lewego oka. Żółtawego i mętnego, przeciętego charakterystyczną dla replikantów pionową żrenicą.

- Ty jesteś Brana Husky...

Nie brzmiało to jak pytanie, niemniej odpowiedziała:

- Tak.
- Muszę z tobą porozmawiać w pewnej ważnej sprawie...

Brana obrzuciła ją wzrokiem. Skośnionymi włosy, brudne policzki, ubranie poplamione i wymięte, jakby w nim spała. Czyli dokładnie tak samo jak w przypadku Brany.

- Jakaś sprawa zawodowa?

Przez moment kobieta wyglądała na zakłopotaną, ale już po chwili skinęła głową i uśmiechnęła się. Półuśmiechem z profilu.

- No właśnie. Zawodowa.

W tej sponiewieranej i trzęsącej się replikantce kryło się coś niepokojącego, coś z nią było nie tak. Brana rozważała przez moment, czy nie powiedzieć, żeby wrócić jutro, ale uznała - mając na uwadze swego potężnego kaca - że pozbycie się kogoś tak wyraźnie przerażonego w tym przypadku może okazać się trudniejsze niż wysłuchanie go. Cofnęła się i zaprosiła gościa:

- Wejdz.

Replikantka wykonała polecenie. Nerwowo podskakiwała, jakby podłoga ją parzyła. Brana zamknęła drzwi i skierowała się do części kuchennej. Była kompletnie odwodniona i musiała się czegoś napić.

- Mam wodę oczyszczoną. Czy się...?

Nie dokończyła zdania, bo przeczuła, co się zaraz stanie. Chciała się obrócić, ale nie zdążyła: wokół jej szyi zadzierzgnął się kabel, Brana zaczęła się dusić. Uniesionymi dłońmi chwyciła go tam, gdzie wrzynał się w skórę, i próbowała się uwolnić, ale tamta ciągnęła za kabel z niespodziewaną siłą. Agre-sorka i ofiara, przyklejone do siebie, krążyły po pokoju we wściekłym tańcu przemocy, uderzając o ściany i przewracając krzesła, tymczasem pętla się zaciskała, a powietrze kończyło. W końcu jednym z rozpaczliwych wymachów Branie udało się trafić łokciem w jakiś czuły punkt napastniczki, która na moment zwolniła uścisk. Sekundę później kobieta leżała na podłodze, a Brana przygniatała ją swoim ciężarem, próbując unieruchomić. Przyszło jej to z trudem, mimo że była replikantem bojowym, a zatem wyższym i mocniej zbudowanym niż większość repów. Sąsiadka zdawała się posiadać nadludzką energię, desperacką siłę drapieżcy.

- Nie ruszaj się! - krzyknęła rozwścieczona Brana.

Ku jej zaskoczeniu kobieta posłuchała, znieruchomiała, jakby czekając na kolejne rozkazy.

Przez parę sekund mierzyły się wzrokiem, ciężko dysząc.

- Dlaczego mi to zrobiłaś? - zapytała Brana.

- Dlaczego mi to zrobiłaś? - wybełkotała replikantka.

Z jej kocich oczu było gorączkowe szaleństwo.

- Co wzięłaś? Jakie świństwo?

- To wy mi je daliście... to wy mnie otruliście... - jęknęła kobieta.

I wybuchła rozpaczliwym szlochem.

- My? Co to znaczy my?

- Wy... androidy... repy... Porwaliście mnie... Zaraziliście... Wszczepiliście mi wasze obrzydlistwa, żebym stała się jedną z was. Dlaczego mi to zrobiliście? Co ja wam złego zrobiłam?

Jej głos stawał się coraz bardziej przenikliwy, na koniec wrzeszczała jak opętana.

Sąsiedzi znów pewnie będą się skarżyć, pomyślała z niechęcią Bruna. Zmarszczyła czoło.

- Co znaczą te wszystkie bzdury? Zwariowałaś czy udajesz wariatkę? Ty też jesteś replikantką... Spójrz w lustro... Popatrz w swoje oczy! Jesteś takim samym androidem jak ja. I właśnie o mało mnie nie udusiłaś.

Kobieta zaczęła się straszliwie trząść, jak w ataku paniki.

- Nie rób mi krzywdy! Proszę, nie rób mi krzywdy! Ratunku! Proszę!

Jej przerażenie było nie do zniesienia. Bruna zwolniła uścisk.

- Spokojnie... Nic ci nie zrobię... Widzisz? Już cię puszczam... Jeśli będziesz się zachowywać spokojnie, puszczę cię.

Powoli uwalniała przytrzymaną kobietę, tak ostrożnie, jakby uwalniała węża, po czym odskoczyła do tyłu, stając poza zasięgiem jej ramion. Skomląc żałośnie, androidka przeczołgała się pół metra, by oprzeć się plecami o ścianę. I choć wyglądała już na trochę uspokojoną, Bruna pożałowała, że nie ma przy sobie małego plazmowego pistoletu.

Leżał schowany za piekarnikiem, więc żeby go stamtąd wyciągnąć, musiałaby na moment spuścić ofiarę z oka. To kompletna głupota trzymać broń tak dobrze ukrytą, że w nagłym przypadku nie można jej użyć. Spojrzała na intruzkę, która wciśnięta w kąt z

trudem łapała powietrze.

- Co wzięłaś? Wyglądasz jak zdechłak.
- Jestem człowiekiem... Jestem człowiekiem i mam syna!
- Akurat. Zadzwoń na policję, żeby cię zabrali. Próbowalaś mnie zabić.
- Jestem człowiekiem!
- Jesteś cholernie niebezpieczna, ot co.

Replikantka spojrzała na Brunę z szaleństwem w oczach. Dzikim, wyzywającym wzrokiem.

- Nie uda wam się mnie zmylić. Nie oszukacie mnie. Wszystko odkryłam. Popatrz, co robię z waszymi obrzydliwymi implantami.

Co powiedziawszy, lekko odwróciła głowę, szybko i gwałtownie wbiła palce w oczodół i wyrwała sobie oko. Rozległ się łagodny, miękki mlask, potem zduszony jęk, popłynęły strużki krwi. Nastąpiła chwila zbolątego, skamieniałego szaleństwa. A potem Bruna odzyskała władzę w ciele i rzuciła się na kobietę wstrząsaną drgawkami.

- Na wielkiego Morlaya! Co ty, idiotko, zrobiłaś? Niech to szlag! Pogotowie! Domku, wezwij pogotowie!

Była tak wzburzona, że domowy komputer nie rozpoznał jej głosu. Odetchnęła głęboko i z wysiłkiem spróbowała raz jeszcze:

- Domku, wezwij pogotowie! Dzwon, do cholery!

To było szybkie połączenie, w trybie bez podglądu. Odezwał się męski głos:

- Pogotowie, słucham.
- Kobieta właśnie wydarła... Kobieta właśnie straciła oko.
- Numer ubezpieczenia, bardzo proszę.

Bruna podwinęła rękawy sąsiadki i zobaczyła dwa kościste i nagie nadgarstki: kobieta nie miała kompfona. Przetrzęsła jej kieszenie, szukając dokumentu tożsamości, a nawet zerknęła na szyję, czy przypadkiem nie nosi chipa na łańcuszku, jak robiło to wielu innych. Nic nie znalazła.

- Nie znam, a nie możemy o tym pogadać później? Oko leży na podłodze, wyjęła je...

- Przykro mi, ale jeśli nie jest ubezpieczona albo zalega z płatnością, nie możemy jej pomóc.

Mężczyzna przerwał połączenie. Bruna poczuła, jak w jej wnętrzu eksploduje gniew, spazm wściekłości, który doskonale знаła, a który działał z precyzją zaprogramowanego automatu; w jakimś zakątku mózgu puszczały śluzy nienawiści i żyły wypełniały się gęstą trucizną. „Jest w tobie tyle gniewu, że stajesz się zimna jak lód”, powiedział jej kiedyś stary Yiannis. I rzeczywiście: im większa ogarniała ją wściekłość, tym bardziej zdawała się opanowana, spokojna i obojętna, nie czując nic poza suchą, czystą nienawiścią, która ciążyła jej w piersiach niczym czarny głaz.

- Domku, dzwoń po Samarytan - rozkazała.

- Samarytanie, słucham - odezwał się po chwili zwyczajowo melodyjny, mechaniczny głos. - Proszę wybaczyć wydłużony czas oczekiwania, ale jesteśmy jedyną organizacją społeczną, która udziela pomocy osobom bez ubezpieczenia. Jeśli chcesz wesprzeć nasz projekt, powiedz „datki”. Jeśli potrzebujesz pomocy lekarskiej, poczekaj.

W ramionach Bruny kobieta jęczała cicho, a jej oko leżało na ziemi, okrągłe i o wiele większe, niż można by przypuszczać, skrwawiona kula z ogonem białych włókien, jak martwa meduza czy morski polip oderwany od skały i wyrzucony przez fale na piasek.

- Samarytanie, słucham. Proszę wybaczyć wydłużony czas oczekiwania, ale jesteśmy...

Bruna widziała już gorsze rzeczy w trakcie służby wojskowej. Dużo gorsze. Jednak ten niespodziewany i przerażający czyn sąsiadki wprowadził ją w osłupienie. Ból i chaos wtargnęły dziś do jej domu.

- ...powiedz „datki”. Jeśli potrzebujesz pomocy lekarskiej, poczekaj.

Czekało się zazwyczaj dość długo, bo Samarytanie nie byli w stanie zaspokoić potrzeb wszystkich nieubezpieczonych, więc często tworzyły się zatory. Możliwe, że kobieta miała ubezpieczenie, ale wciąż była nieprzytomna czy raczej mocno otępiła, w każdym razie nie reagowała na potrząsanie i wołanie Bruny, co w pewnym sensie było nawet lepsze, ponieważ omdlenie chroniło ją od przerażenia popełnionym czynem. Może właśnie dlatego nie odzyskiwała świadomości - Bruna wielokrotnie widziała w wojsku takie litościwe omdlenia pozbawiające czucia. Zapadła noc i mieszkanie tonęło w mroku, rozświetlanym tylko luną znad miasta i reflektorami przemykających powietrznych tramwajów.

- Domku, światło.

Lampy zapaliły się posłusznie, wymazując miejski pejzaż za oknem i przydając lepkiego, krwistego blasku gałce ocznej przyklejonej do podłogi. Bruna uciekła wzrokiem od krwawego strzępu, a jej spojrzenie padło na twarz kobiety i pusty oczodół. Mroczną dziurę. Więc żeby móc patrzeć na cokolwiek, utkwiała wzrok w głównym ekranie. Dźwięk był wyłączony, ale szedł właśnie serwis informacyjny i pokazywano Myriam Chi, liderkę RRR. Z właściwą sobie gwałtownością przemawiała na wiecu. Bruna nie przepadała za Myriam ani za jej Radykalnym Ruchem Replikantów, nie ufała żadnym partiom politycznym, a już szczególną odrazę budziło w niej samozadowolenie ofiary, histeryczna mitologizacja tożsamości replikanckiej. Jeśli chodzi o Myriam, doskonale znała istoty takie jak ona, zagrzebane w swoich emocjach niczym żuki w łąjnie, ćpuni o jątrzącej i kłamliwej uczuciowości.

- Samarytanie, słucham.

Nareszcie.

- Zdarzył się wypadek, w piątej dzielnicy, przy alei Darda-nele, numer mieszkania 2334. Kobieta straciła oko. To znaczy całkowicie je straciła, wyłupiła je sobie, gałka oczna leży na podłodze.

- Wiek poszkodowanej?

- Trzydzieści lat.

Wszystkie repy miały około trzydziestki. Dokładnie rzecz biorąc, między dwadzieścia pięć a trzydzieści pięć.

- Człowiek czy android?

Kolejna fala gniewu, kolejne uderzenie wściekłości.

- To pytanie jest wbrew konstytucji i ty jesteś tego świadom.

Po drugiej stronie zapadła krótka cisza. No cóż, pomyślała rozgoryczona Bruna, moją odpowiedzią już się zdradziłam.

- Zjawimy się najszybciej jak to możliwe - powiedział mężczyzna. - Dziękujemy za zwrócenie się do Samarytan.

Wszyscy wiedzieli, że dawali pierwszeństwo ludziom, to oczywiste. Nie było to zgodne z prawem, ale praktykowane. A co gorsza, pomyślała Bruna, miało swój sens. Kiedy służby medyczne były przeciążone, rozsądek nakazywał ratować w pierwszej kolejności tych, którzy mogli żyć o wiele dłużej. Tych, którzy nie byli skazani na

przedwczesną śmierć, jak repy. Więcej korzyści przynosiło ratowanie kobiety, która mogła przeżyć jeszcze pięćdziesiąt lat, aniżeli ratowanie androida, któremu i tak zostało parę miesięcy życia. Lodowata gorycz podeszła jej do gardła. Spojrzała na groteskowo zdekompletowaną twarz sąsiadki i rozżaliła się. Ty idiotko, dlaczego to zrobiłaś? I dlaczego zrobiłaś to w moim domu? Bruna nie знаła motywu kobiety, powodu jej dziwnego zachowania. Może jest naćpana, a może chora. Ale niewątpliwie ta biedna wariatka nienawidzi siebie, to oczywiste, a nienawiść jest uczuciem, które Bruna potrafiła zrozumieć. Nie ma nic lepszego niż zimna nienawiść, by chłodzić oparzeliny smutku.

Centralne Archiwum Stanów Zjednoczonych Ziemi Wersja do modyfikacji
DOSTĘP ŚCIŚLE OGRANICZONY TYLKO UPRAWNIENI WYDAWCY
Madryt, 14 stycznia 2109, 9.43 Witaj, Yiannis

JEŚLI NIE NAZYWASZ SIĘ YIANNIS LIBEROPOULOS I NIE JESTEŚ
ARCHIWISTĄ CENTRALNYM FT711, NATYCHMIAST OPUŚĆ TE STRONY
DOSTĘP ŚCIŚLE OGRANICZONY TYLKO UPRAWNIENI WYDAWCY
WEJŚCIE BEZ UPRAWNIENI JEST PRZESTĘPSTWEM, ZA KTÓRE GROZI
KARA DO DWUDZIESTU LAT WIĘZIENIA.

Androidy

Słowa kluczowe: historia, konflikty społeczne, wojna replikantów, Pakt Księżycowy, dyskryminacja, biotechnologia, ruchy obywatelskie, supremacjonizm.

Artykuł edytowany

W połowie XXI wieku plany eksploatacji geologicznej Marsa oraz dwóch z księżyców Saturna - Tytana i Enceladusa wymusiły konieczność zbudowania androida, który przeżyłby ciężkie warunki atmosferyczne kopalnianych kolonii. W 2053 roku brazylijska firma bioinżynieryjna Vitae na bazie komórek macierzystych wyhodowała organizm poddany przyśpieszonemu rozwojowi i niemal identyczny z organizmem ludzkim. Wszedł na rynek pod nazwą Homolab, ale wkrótce zwano go już „replikantem”, tak jak podobne do niego postaci ze starego filmu science fiction, popularnego w XX wieku.

Replikanci szybko stali się popularni. Używano ich nie tylko do pracy w kopalniach

pozaziemskich, ale również na Ziemi oraz na morskich farmach głębinowych. Stworzono wyspecjalizowane wersje homolaba i już w roku 2057 istniały cztery różne typy androidów: górnicze, kalkulacyjne, bojowe, rozrywkowe (ten ostatni typ został zakazany parę lat później). W tamtym czasie nie wyobrażano sobie, by homolaby mogły w jakikolwiek sposób kontrolować własne życie - w rzeczywistości stanowiły niewolniczą siłę roboczą, pozbawioną jakichkolwiek praw. Ta urągająca zasadom sprawiedliwości sytuacja z każdym dniem rokowała coraz gorzej i osiągnęła apogeum w 2060 roku, kiedy na Enceladusa wysłano oddział replikantów bojowych w celu zduszenia powstania górników, również replikantów. Żołnierze przyłączyli się do rebeliantów i wymordowali wszystkich ludzi na terenie kopalni. Powstanie szybko się rozprzestrzeniło, dając początek tak zwanej wojnie replikantów.

Choć wojska androidów były w liczebnej mniejszości, to upór, siła i inteligencja replikantów przewyższały ludzką średnią. W trakcie szesnastu miesięcy wojny odnotowano poważne straty zarówno po stronie ludzi, jak i technoludzi. Szczęśliwym zrządzeniem losu, w© wrześniu w październiku 2061 roku na czele rebelii stanął Gabriel Morlay, wielki filozof i społeczny reformator, android, który zaproponował rozejm i podjęcie rozmów pokojowych z państwami produkującymi replikantów. Trudne negocjacje wielokrotnie omal nie zostały zerwane; po stronie ludzi uaktywniła się radykalna frakcja, która odrzucała wszelkie próby ustępstw i optowała za prowadzeniem wojny aż do śmierci wszystkich replikantów, w tamtym czasie żyjących zaledwie około pięciu lat. Choć byli i tacy wśród ludzi, którzy potępiali niewolnicze praktyki i oddawali sprawiedliwość żądaniom powstańców. Przez przeciwników pogardliwie określani mianem „lilorepów”, sprzymierzeńcy androidów stali się bardzo aktywni w kampaniach na rzecz negocjacji. Co, w połączeniu z faktem, że rebelianci przejęli kontrolę nad liniami produkcyjnymi i wytwarzali wciąż nowych androidów, znalazło swój finał w podpisaniu Paktu Księżycowego w lutym 2062 roku, ustanawiającego pokój w zamian za przyznanie szeregu praw rebeliantom. Należy nadmienić, że lider androidów Gabriel Morlay nie mógł podpisać traktatu, którego był twórcą, ponieważ parę dni wcześniej dobiegł kresu jego życiowy cykl i Morlay zmarł, kończąc tym samym ulotną egzystencję ludzkiego motyla.

Od tamtego czasu replikanci stopniowo zdobywali prawa obywatelskie. Nie obyło się

przy tym bez problemów, pierwsze lata po Unifikacji obfitowały w konflikty i doszło do zamieszek w wielu miastach na Ziemi (Dublin, Chicago, Nairobi), w tym gwałtownych starć między antysegregacjonistycznym ruchem pro-rep i ludźmi z grup supremacjonistów. Wreszcie Konstytucja z 2098 roku, pierwsza Carta Magna Stanów Zjednoczonych Ziemi (SZZ), wciąż obowiązująca, przyznała technoludziom te same prawa, którymi cieszą się ludzie.

To również w tej Konstytucji po raz pierwszy użyto terminu „tech-noczlówek”, ponieważ „replikant” niesie obraźliwe i upokarzające konotacje. Dziś „technoczlówek” (lub wymiennie „android”) jest jedynym oficjalnie przyjętym terminem, choć w tym artykule pojawia się też słowo „replikant”, użyte w celu historycznej przejrzystości wywodu. Poza tym istnieją grupy działaczy technoludzi, jak choćby RRR (Radykalny Ruch Replikantów), które używają dawnej nazwy jako sztandarowej dla swej tożsamości: „Być repem to powód do dumy, wolę być repem niż człowiekiem, czy technoczlówkiem” (Myriam Chi, liderka RRR).

Istnienie i integracja technoludzi wywołały ożywiony dyskurs etyczny i społeczny, którego końca na razie nie widać. Są tacy, którzy utrzymują, że skoro stworzenie replikantów jako niewolniczej siły roboczej już z założenia stanowiło czyn niewłaściwy i niemoralny, po prostu należy zaprzestać ich produkcji. Tę opcję zdecydowanie odrzucają technoludzie, twierdząc, że nosi znamiona ludobójstwa. „Coś, co raz zaistniało, nie może wrócić do otchłani nieistnienia. Coś, co zostało wymyślone, nie może zostać odmyślone. Coś, czego nauczyliśmy się, nie może zostać zignorowane. Jesteśmy nowym gatunkiem i jak wszystkie żywe istoty pragniemy żyć dalej” (Gabriel Morlay). Obecnie linie produkcyjne androidów (zwane dziś „platformami poczęcia”) zarządzane są w połowie przez technoludzi i w połowie przez ludzi. Android potrzebuje czternastu miesięcy, by przyjść na świat, a w momencie narodzin fizycznie i psychicznie ma lat dwadzieścia pięć. Pomimo postępu technologicznego żyje najwyżej dziesięć: mniej więcej w wieku trzydziestu pięciu lat podział komórek w jego tkankach dramatycznie przyspiesza i dochodzi do swoistego zmasowanego procesu rakowego (znanego jako WGT, Wieloorganowy Guz Technoludzki), który jest nieuleczalny i powoduje zgon w ciągu paru tygodni.

Równie problematyczne okazały się prawne regulacje życia technoludzi, zwłaszcza te

dotyczące pamięci i okresu przymusowej pracy. Parytetowy komitet złożony z ludzi i technoludzi ustala co roku, ile androidów zostanie stworzonych i jakiego typu: kalkulacyjnych, bojowych, eksploracyjnych, górniczych, zarządzających i budujących. Ponieważ proces wytwarzania tych istot jest bardzo kosztowny, ustalono, że każdy technoczułowiek będzie pracował na rzecz firmy, która go sfinansowała, co najmniej dwa lata na stanowisku zgodnym ze swoją specjalizacją. Po tym czasie zostanie zwolniony, otrzymując skromną sumę pieniędzy (odprawa osiedleńcza), która pomoże mu zacząć życie na własny rachunek. Każdemu androidowi wszczepia się kompletny zestaw pamięci uzupełniony materialnymi dokumentami (zdjęcia, hologramy, nagrania z wyobrażonej przeszłości, stare zabawki z rzekomego dzieciństwa, itd.), ponieważ badania naukowe dowiodły, że integracja społeczna oraz współżycie ludzi i technoludzi zyskują na jakości, jeśli ci ostatni mają swoją przeszłość, a androidy czują się pewniej, kiedy dysponują wspomnieniami. Obowiązująca obecnie Ustawa o Sztucznej Pamięci z 2101 roku reguluje szczegółowo tę delikatną kwestię. Każda z pamięci jest jedyna w swoim rodzaju, ale wszystkie zawierają mniej lub bardziej podobną wersję słynnej Sceny Ujawnienia, popularnie zwanej „tańcem widm” - chodzi tu o wspomnienie wydarzenia, które dana osoba przeżywa mniej więcej w wieku czternastu lat, kiedy to rodzice oznajmiają jej, że jest technoczułowiekiem, a oni sami nie istnieją w rzeczywistości i są tylko cieniami, pustymi obrazami, zwarciem neuronów. Po zainstalowaniu pamięci u androida nie można jej w żaden sposób modyfikować. Zabronione i ściągane prawem są wszelkie późniejsze przeróbki oraz handel pamięciami, choć taki nielegalny proceder istnieje i stanowi bardzo dochodową gałąź czarnego rynku. Obowiązujące regulacje prawne dotyczące technożycia zostały wielokrotnie oprotestowane przez różne ugrupowania i zarówno RRR, jak i stowarzyszenia supremacjonistyczne sformułowały wiele zarzutów przeciwko Ustawie. W ostatnim dziesięcioleciu powstało sporo kierunków uniwersyteckich badających życie technoludzi (np. na Uniwersytecie Complutense w Madrycie), które próbują rozstrzygnąć wątpliwości etyczne i społeczne związane z powstaniem tego nowego gatunku.

Przez wiele lat stosunki seksualne między ludźmi i repami były prawnie zabronione. Dziś były po prostu źle widziane, z wyjątkiem starej jak świat i szanowanej prostytutki,

rzecz jasna. Pablo Nopal uśmiechnął się kwaśno i spojrzał na nagie plecy dziewczyny wojowniczkki. Sprężyste ciało, idealnie zaokrąglone wąskie biodra. Siedząc na skraju łóżka, Nopal widział też jedną z dwóch drobnych piersi. Unosiła się i opadała w rytm spokojnego oddechu. Mimo że kobieta wyglądała na pogrążoną w głębokim śnie, i na pewno tak było, gdyby tylko lekko dotknął jej palcem, obudziłaby się natychmiast, a niewykluczone, że poczęstowałaby go mocnym ciosem. Nopal przespał się już z tyloma replikantkami bojowymi, że zdążył poznać ich obyczaje i groźne odruchy obronne. Lepiej było nie całować takiej śpiącej kobiety w szyję, zwłaszcza w środku nocy.

Najlepsze, co można było zrobić w środku nocy po stosunku z taką dziewczyną, to sobie pójść.

Mężczyzna zsunął się z łóżka, zebrał porozrzucone ubrania i zaczął je wkładać.

Był w ponurym nastroju.

Zawsze przynębiała go ta chwila o świcie, gdy noc dogorywa, a nowy dzień nie może się zacząć. Ta naga chwila obnażała cały bezsens świata.

Pablo Nopal był bogaty i nieszczęśliwy. Nieszczęście stanowiło część jego podstawowej struktury, tak jak chrząstka stanowi część szkieletu. Nieszczęście stanowiło chrząstkę jego umysłu. Nie mógł się go pozbyć.

Jak mówił pewien podziwiany przez Pabla stary pisarz, szczęście zawsze jest do siebie podobne, ale nieszczęście objawia się inaczej u każdego z ludzi. Nieszczęście Nopala przejawiało się w oczywistej niezdolności do życia. Życie budziło w nim odrazę. Dlatego, między innymi, lubił androidy: wszystkie tak bardzo pożyły życia, tak bardzo pragnęły żyć. W pewnym sensie im zazdrościł.

To poszukiwanie było jedyną siłą, która, tłąc się słabym ogniem w jego sercu, przez ostatnie lata trzymała Nopala przy życiu. Włączył kompfona, wyświetlił na ekranie listę androidów i skreślił wojowniczkę o gęstych, kręconych włosach, z którą dopiero co się kochał. Oczywiście nie była technoczwolikiem, którego szukał. Spojrzał na jej perkaty profil niemal z czułością. Z trudem udało mu się zdobyć jej zaufanie, ale teraz miał nadzieję, że jej już nigdy więcej nie zobaczy. W zgodzie z jego naturą znów zatriumfowała mizantropia.

Zaletą przestawiania z martwymi repami, pomyślała Bruna, wchodząc do Instytutu Medycyny Sądowej, jest to, że nie musisz znosić łkających krewnych: rodziców

zdruzgotanych bólem, dzieci pograżonych w smutku niespodziewanego sieroctwa, współmałżonków, rodzeństwa i całej reszty żałośnie skomlącej rodzinnej bandy. Androidy były samotnikami, wyspami zamieszkanymi przez jednego tylko rozbitka pośród pstrokatego morza ludzi. A przynajmniej większość z nich tak miała, choć zdarzało się, że niektóre repy uparcie wierzyły w swoje pełne człowieczeństwo i utrzymywały długie związki uczuciowe mimo czyhającej szybkiej, nieubłaganej śmierci, czasem udawało się im nawet zaadoptować dziecko, zazwyczaj jakąś chorowitą istotkę, często obarczoną wieloma wadami, bo krótki okres życia uniemożliwiał replikantom zebranie liczby punktów kwalifikującej do normalnej adopcji. Do mojej własnej historii, pomyślała Bruna, wkraść się błąd. Ani Merlin, ani ona nie pragnęli stworzyć pary, ale znaleźli się w pułapce uczuć. I w końcu nadeszła nieunikniona rozpacz. Cztery lata, trzy miesiące i dwadzieścia siedem dni.

O trzeciej nad ranem opustoszały budynek tonął w niesamowitym niebieskawym półmroku. Przyszła specjalnie tak późno, by spotkać się z Gandarą, doświadczonym lekarzem sądowym, który pracował na nocnej zmianie i był jej starym znajomym, a na dodatek miał u niej dług wdzięczności. Ale kiedy weszła do gabinetu przylegającego do sali sekcyjnej nr 1, zobaczyła młodego mężczyznę, który nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w pornograficzny hologram. Kiedy ją dostrzegł, szybko go wyłączył i odwrócił się do dziewczyny.

- Co... tu robisz?

Bruna zauważyła, że się zająknął, wzdrygnął, spojrzął ze strachem. Przyzwyczaiła się do tego, że swoim pojawieniem robi wrażenie, nie tylko dlatego, że była wysokim, umięśnionym androidem, ale przede wszystkim dlatego, że miała wygoloną głowę i tatuaż - czarna, cienka linia przecinała całe jej ciało, schodząc przez czoło, lewą brew, powiekę, policzek, biegła przez szyję, pierś, brzuch i podbrzusze, lewą nogę, duży palec, podeszwę stopy i wychodziła po drugiej stronie tej samej nogi, wspinała się przez łydkę, udo, pośladek, talię, plecy i kark, przecinając gładką krągłość czaszki, łącząc się z początkiem i zamykając krąg. Oczywiście, gdy była ubrana, nie dało się dostrzec tej ciągłości kreski, ale Bruna miała okazję sprawdzić, że odcinająca część twarzy i znikająca pod ubraniem linia silnie działa na ludzi. Poza tym zdradzała jej tożsamość replikantki bojowej: w wojsku wszyscy się mocno tatuowali.

- Gandara dziś nie pracuje?
- Jest na urlopie.

Mężczyzna uspokoił się nieco informacją, że Bruna to znajoma szefa instytutu. Był niski i wiotki, miał banalne rysy - efekt taniej operacji plastycznej, model wybrany z katalogu, popularny prezent z okazji ukończenia studiów dla syna czy córki w przypadku niezamożnych rodziców. Operacje twarzy stały się nagle modne i parę wzorów powtarzało się do znudzenia pośród tysięcy ludzi.

- No dobra. W takim razie pogadam z tobą. Interesują mnie jedne zwłoki. Cata Cain. Android bez jednego oka. Zmarła wczoraj.

- A, tak Zrobiłem jej sekcję parę godzin temu. To twoja krewna?

Bruna zmierzyła go wzrokiem. Replikantka krewną innej replikantki. Co za głupek z tego faceta.

- Nie - odparła po chwili.

- W takim razie, skoro nie jesteś krewną i nie masz nakazu sądowego, nie możesz jej zobaczyć.

- Nie muszę. Chcę, żebyś mi tylko powiedział, jaki jest wynik autopsji.

Na plastikowej twarzy mężczyzny odmalowało się mocno przesadzone zgorzenie.

- Tego tym bardziej nie możesz się dowiedzieć. To jest tajna informacja. A zresztą, skoro nie jesteś jej krewną, jak udało ci się tu wejść?

Bruna westchnęła głęboko i postarała się przybrać przyjazną i łagodną minę, najbardziej przyjazną i najłagodniejszą, biorąc pod uwagę ogoloną głowę, kocie źrenice i tatuaż przecinający twarz. Uznała za nieostrożne dzielenie się informacją, że otrzymała od starego Gandary stałe pozwolenie na wejście do instytutu, więc wyciągnęła swoją licencję prywatnego detektywa i pokazała ją facetowi.

- Posłuchaj, ta kobieta była moją sąsiadką... I moją klientką. .. Wynajęła mnie do ochrony, bo podejrzewała, że ktoś chce ją zabić... - wymyśliła na poczekaniu. - Więcej nie mogę ci powiedzieć, rozumiesz, to poufna sprawa. To ja wezwałam Samarytan, to przy mnie wydłubała sobie oko. Jeśli masz tu raport policyjny, znajdziesz moje nazwisko, Husky... Cain postradała rozum, obawiam się, że się czymś zatrula... To znaczy obawiam się, że ją otruto. Muszę to jak najszybciej sprawdzić... Widzisz, nie powinnam ci nic mówić, ale być może jest więcej zatrutych... I być może zdążymy ich

jeszcze uratować. Nie proszę o jakieś szczegółowe dane... Podaj mi tylko ostateczny wynik sekcji i nic więcej. Albo pokaż mi raport z sekcji, tylko na chwilę. Nikt się o tym nie dowie.

Lekarz powoli i dostojnie pokręcił głową. Widać było, że z radością korzystał ze swej niewielkiej władzy, żeby wkurzać innych.

- Nie mogę tego zrobić. Przynieś nakaz sądowy.
- To trwa zbyt długo. Zaryzykujesz i weźmiesz odpowiedzialność za kolejne możliwe ofiary?

- Nie mogę tego zrobić.

Bruna zamyśliła się. Potem przeszukała plecak i wyciągnęła dwa banknoty po sto gaj każdy.

- Oczywiście chętnie wynagrodzę twą uprzejmość...
- Za kogo ty mnie masz? Nie potrzebuję twoich pieniędzy.
- Weź je. Przydadzą ci się na operację złamanego nosa.

Mężczyzna instynktownie go dotknął. Czule pogłaskał silikonowe chrapki, musnął idealny profil z plastikowej chrząstki. Przez twarz przemknęły kolejne uczucia, niczym chmury przelatujące po niebie: najpierw ulga, że syntetyczny nos nie poniósł żadnego uszczerbku, potem z wolna rodzące się zrozumienie sensu jej słów. Zaniepokojony szerzej rozwarł oczy.

- To jest... groźba?

Bruna pochyliła się, oparła ręce na stole, zbliżyła twarz do jego twarzy, nieomal dotykając jego czoła, i uśmiechnęła się.

- Oczywiście, że nie.

Lekarz przełknął ślinę i zastanowił się przez chwilę. Odwrócił się w stronę ekranu i wymamrotał:

- Otwórz raporty z sekcji, otwórz Cain...

Komputer posłusznie zareagował i ekran zaczął wypełniać się kolejnymi obrazami jednookiej replikantki, jej ciała, biednego, nagiego, rozcinanego w poszczególnych fazach sekcji. Na koniec laserowy nóż przecinał czaszkę, jakby kroił na pół pomarańczę, a automatyczne szczytce delikatnie sondowały mocno zaróżowione szare komórki.

Najczerwieńszy mózg, jaki Brunna kiedykolwiek widziała, a widziała ich parę. Szczytce

wynurzyły się z tłustej masy neuronów z pochwyconą ofiarą: malutkim, niebieskim dyskiem. Sztuczna pamięć, wzdrygnęła się Bruna, i na pewno nie jest to oryginalny implant. Z ekranu płynęły słowa lekarza sądowego, podającego wyniki sekcji:

„Zważywszy, że technocząłowiek miał 3/28 lat i perspektywa WGT była jeszcze dość odległa, możemy odrzucić naturalną przyczynę zgonu. Znaleziony implant pamięci nie ma numeru rejestracyjnego i zapewne pochodzi z czarnego rynku. Na razie zakładamy, że sfałszowany implant spowodował obrzęk i krwawienie w mózgu, stając się przyczyną zespołu niestabilności emocjonalnej, majaczeń, drgawek, utraty świadomości, paraliżu, a na koniec śmierci przez zanik funkcji neuronów. Implant został wysłany do laboratorium bioinżynieryjnego Policji Sądowej w celu poddania go szczegółowemu badaniu”.

Biedna Cain. Bruna znów zobaczyła sąsiadkę wyłupującą sobie oko, rozległ się charakterystyczny, okropny odgłos jakby rozdieranego materiału. Usłyszała raz jeszcze bełkotliwe słowa i poczuła tamten lęk. Kiedy dotarli Samarytanie, Cain była już całkiem sztywna, więc Bruna nie zdziwiła się, gdy cztery godziny później powiadomiono ją o śmierci sąsiadki. W tym czasie udała się na portiernię budynku i w towarzystwie jednego z portierów weszła do mieszkania zmarłej. W ten sposób poznała jej imię i nazwisko i dowiedziała się, że Cata Cain pracowała w administracji, że to było jej pierwsze mieszkanie po otrzymaniu odprawy osiedleńczej, że miała zaledwie trzy lata w rzeczywistości, czyli dwadzieścia osiem rzekomych, i była zbyt młoda, by umierać. Według umowy najmu, żyła tu od jedenastu miesięcy, ale pomieszczenie było tak puste i bezosobowe, jakby nikt w nim nie mieszkał. Nie widać było żadnej z drobnych, fałszywych pamiątek, często spotykanych u repów, słynnego zdjęcia z rodzicami, hologramu z dzieciństwa, brudnej świeczki z urodzinowego tortu, elektronicznego plakatu z podpisami przyjaciół z uniwersytetu, obrączki, jaką nastolatki zwykły sobie ofiarować po utracie dziewictwa. Każdy rep trzymał podobną kolekcję śmieci - mimo że sztuczne, drobiazgi te podtrzymywały rodzaj magicznej wiary, służyły za pociechę i towarzystwo. Tak jak paralitycy wyobrażali sobie, że chodzą, w wirtualnych okularach na nosie, tak replikanci wyobrażali sobie rodzinę, kontemplując podręczny zestaw sztucznych pamiątek. I jedni, i drudzy, choć znali prawdę, byli szczęśliwi. Czy trochę mniej nieszczęśliwi. Nawet Bruna, tak niechętna wylewnym uczuciom, nie potrafiła pozbyć się wszystkich swoich sfabrykowanych wspomnień. Owszem, zniszczyła

rodzinne zdjęcia i hologram z przyjęcia urodzinowego babci (kończyła właśnie sto jeden lat, zmarła krótko potem, to znaczy rzekomo zmarła), ale nie wyrzuciła obroży psa, przyjaciela z dzieciństwa, z wygrawerowanym imieniem „Błękit”, ani fotografii, na której miała około pięciu lat, bez trudu dało się ją rozpoznać, choćby po oczach, już zmęczonych i smutnych, zupełnie takich jak teraz.

Tymczasem Cain nie miała w mieszkaniu ani jednej osobistej rzeczy. W jak głębokiej rozpacz i desperacji musiała być pogrążona! Bruna wyobraziła sobie, jak Cata nocą błąka się po ulicach, gnana lękiem, węszy w najmroczniejszych zakątkach miasta, szukając wytchnienia, pamięci, w którą mogłaby uwierzyć, wspomnień, które pozwoliłyby jej odpocząć choćby przez krótki czas. Pomyślała, że potrafiłaby ją zrozumieć, bo sama czuła się tak wiele razy, wychodziła z domu, a właściwie z niego uciekała, biegła w noc w poszukiwaniu czegoś, czego nie da się znaleźć. I nieraz o świcie czuła pokusę zaserwowania sobie strzału pamięci, wciągnięcia działki sztucznego życia. Nie zrobiła tego, co ją cieszyło. Cata Cain rozpieprzyła sobie mózg dawką fałszywych wspomnień. Może w mieście pojawiła się kolejna partia podrobionych implantów - co już zdarzało się wcześniej, choć nigdy dotąd ich użycie nie powodowało śmierci. Jeśli tak się stało, w najbliższych dniach umrze więcej repów. Ale to nie był jej problem. Ona chciała tylko wiedzieć, co przytrafiło się jej sąsiadce, a ta sprawa się już wyjaśniła.

Odwróciła się, by spojrzeć na młodego lekarza. Spocony, z trudem łapał powietrze, zapewne z powodu przeżywanego konfliktu emocjonalnego: oto wykonał czyjeś polecenie wbrew sobie, ze strachu, co skutkowało, zwłaszcza u młodych mężczyzn, krótkim spięciem hamowanego gniewu i upokorzenia, hormonalnym koktajlem testosteronu i adrenaliny. Nienawidził samego siebie za swoje tchórzostwo i dlatego na pewno na nią nie doniesie. Zresztą o co miałyby ją oskarżyć? Przecież nic mu nie zrobiła. Bruna przesunęła dwa banknoty na stole i uśmiechnęła się.

- Bardzo dziękuję za przysługę. To wszystko, co chciałam wiedzieć. Pozdrów ode mnie Gandarę.

Na pocerwieniałej twarzy lekarza odcinały się białe jak śnieg silikonowe implanty. Bruna odrobinę mu współczuła, ale szybko zdusiła w sobie załazek słabości. W życiu nie złamałaby mu nosa, nawet palcem by go nie tknęła, ale ów biedaczek wcale o tym nie wiedział. To była jedna z niewielu zalet bycia inną - budziła pogardę, ale i strach.

Trzy dni później w podobnych okolicznościach zmarł kolejny replikant, co gorsza, przed śmiercią zdążył zamordować dwóch innych. Atak miał miejsce w tramwaju powietrznym, zdarzenie zostało zarejestrowane przez kamery firmy transportowej. Bruna widziała to nagranie w serwisie informacyjnym: android, model eksploracyjny, niewysoki, szczupły, bez trudu poradził sobie z dwoma masywniejszymi osobnikami. Napastnik, siedzący na tylnym siedzeniu, nagle podniósł się, szybkim krokiem ruszył w kierunku przednich foteli, chwycił za włosy pierwszego replikanta, odchylił mu głowę i sprawnie podciął gardło. Ponieważ użyta broń miała bardzo cienkie, wąskie, prawie niedostrzegalne ostrze, efekt okazał się zaskakujący i wywołał raczej konsternację niż przerażenie: nagle buchnął strumień krwi i widz nie bardzo wiedział dlaczego. Ciało ofiary wciąż tkwiło wyprostowane na siedzeniu, a pasażerowie obok nie zdążyli otworzyć ust i krzyknąć z przerażenia, gdy morderca chwycił w ten sam sposób kobietę siedzącą po drugiej stronie przejścia i też poderżnął jej gardło. Następnie niewysoki android wbił sobie nóż czy raczej szpikulec w oko i osunął się na ziemię. Cała scena trwała krócej niż minutę, była to zaskakująco szybka zbrodnia, spektakularna rzeź z ogromną ilością krwi. Bruna wiedziała, że bardzo trudno jest podciąć gardło tak szybko i precyzyjnie: skóra niespodziewanie okazuje się dość twarda, mięśnie tężeją, ciało kurczy się w obronnym odruchu, tchawica stawia opór. A tymczasem szyje zostały niemal rozcięte do połowy, głowy groteskowo odchylały się do tyłu, ukazując nieprzyzwoity uśmiech - ślad po cięciu, którego nie da się łatwo dokonać nawet lancetem, może łatwiej byłoby nożem laserowym, ale to ostrze wyglądało akurat na zwykły nóż. Pomyślała też, że jej nie dałoby się chwycić za włosy. To dlatego wielu replikantów bojowych goliło głowy: by nie dać przewagi wrogowi. Różnica polegała na tym, że w przeciwieństwie do reszty, ona wciąż goliła włosy, już po wyjściu z wojska. W końcu wykonywała ryzykowny zawód.

Co gorsza, zawód nieprzynoszący zysków. Dwa tygodnie temu Bruna skończyła ostatnie zlecenie i nie miała oszczędności, z których mogłaby skorzystać. SZZ od czasów Unifikacji cierpiały na ustawiczny kryzys ekonomiczny, ostatnio odnosiło się wrażenie, że kryzys jeszcze się pogłębił, a we wszelkiego rodzaju interesach nastąpił zastój. Pilnie potrzebowała klienta, zatem zdecydowała się wyjść z domu i odbyć „rundkę informacyjną” - pokręcić się tu i tam, pogadać ze stałymi kontaktami, powęszyć w

okolicy i znaleźć kogoś, komu mogłaby zaoferować swoje usługi. Spojrzała na zegarek: 23.10. Mogłaby pójść do baru Oli Oliar i coś przekąsić. Ani obejrzana rzeź, ani poderżnięte gardła nie pozbawiły jej apetytu, była głodna jak wilk. A może była głodna jak wilk właśnie dlatego. Nic nie zaostrzało apetytu równie skutecznie jak spektakularna śmierć innych. Cztery lata, trzy miesiące i dwadzieścia cztery dni.

Był styczeń, najchłodniejszy z całej krótkiej i łagodnej zimy, a ta noc wydawała się idealna na przechadzkę. Korzystając czasem z ruchomych chodników, po dwudziestu minutach Bruna dotarła do baru Oli. To był mały, prostokątny lokal, który prawie w całości zajmowała wielka lada, a za nią królowało olbrzymie cielsko Oli. Ujmująco gościnna Oli nie wybrzydzała, traktowała wszystkich na równi: ludzi, androidy, stwory i syndmutantów. Dlatego też jej klientela była bardzo zróżnicowana.

- Cześć, Husky! Co cię tu sprowadza?
- Głód, Oli. Daj mi jedno piwo i tę pyszną kanapkę z algami i orzeszkami piniowymi.

Kobieta przyjęła komplement, uśmiechając się z gracją wieloryba, i zabrała się do realizacji zamówienia. Poruszała się zadziwiająco powoli, choć w jakiś niewytłumaczalny sposób skutecznie radziła sobie zupełnie sama z obsługą całego lokalu. Nie był on duży - dziesięć stołków przy barze i osiem przy wąskiej ladzie przyklejonej do przeciwległej ściany - ale cieszył się sporym powodzeniem i w lodowate wieczory tłoczyło się w nim nawet do trzydziestu gości. Choć teraz było raczej pustawo. Bruna rozejrzała się i dostrzegła tylko jedną osobę, którą widywała tu już wcześniej: siedzącą na drugim końcu baru kobietę-reklamę Texaco-Repsol. Ubrana w obrzydliwy kombinezon w kolorach koncernu, na głowie nosiła śmieszoną czapkę, a ekrany na piersi i na plecach emitowały niekończący się łańcuch firmowych spotów. Zazwyczaj zabraniano wchodzić żywym reklamom do barów, bo były dość hałaśliwe, ale Oliar miała serce równie wielkie jak imponujący biust i pozwalała im siadać w głębi, pod warunkiem że ściszały emitowane reklamy. Ekranów nie dało się całkiem wygłuszyć, niestety, nie można ich też było wyłączyć. Tylko prawdziwy biedak i na dodatek pechowiec łądował w tej pracy: ludzie-reklamy mogli zdejmować swój uniform tylko na dziewięć godzin dziennie, przez resztę doby musieli przebywać w miejscach publicznych, a zważywszy na to, że nie wpuszczano ich do żadnych lokali, spędzali

długie godziny, blakając się po ulicach niczym potępieńcy, z hasłami reklamowymi dudniącymi im bez przerwy w uszach. Za te męczarnie dostawali ledwie parę setek gai, choć w tym przypadku, pracując dla Texaco-Repsol, kobieta miała na pewno darmowe powietrze. To było dość istotne, bo z każdym dniem coraz mniej ludzi mogło sobie pozwolić na płacenie za powietrze i musiało przenosić się na zanieczyszczone obszary Ziemi. No cóż, pewnie wielu oddałoby wszystko, byleby zdobyć tę gównianą robotę. Bruna przypomniała sobie świecący pustkami rachunek bankowy i zwróciła się do właścicielki baru.

- Coś nowego?
- Nic. Poza umierającymi repami.

Gruba Oli potrafiła być bezpośrednia i nie owijała w bawełnę, a to również podobało się Branie. Oli o repach zawsze mówiła repy, ale odnosiła się do nich z większą sympatią i szacunkiem aniżeli ci, którzy używali terminu „technoludzie”.

- A co się o tym mówi, Oli? O tamtym typie z tramwaju, wiesz. Dlaczego to zrobił?
- Podobno coś wziął. Jakiś narkotyk. Może dalaminę. A może sztuczną pamięć.
- W zeszłym tygodniu zdarzyło się coś podobnego, pamiętasz? Replikantka wyłupiła sobie oko. I wiem, że miała implant z pamięcią.

Kobieta położyła przed Braną kanapkę, nachyliła się, wykładając na ladę swój obfity biust, i ściszone głosem wyjaśniła:

- Ludzie się boją. Słyszałam, że może być dużo takich śmierci.
- To znaczy, że na rynek weszła nowa partia sfalszowanych memerek?
- Nie wiem. Ale podobno to dopiero początek.

Branę przeszedł dreszcz. To był dość nieprzyjemny temat, sprawa, która szczególnie ją niepokoiła. Nie tylko z powodu wciąż żywego wspomnienia sąsiadki samobójczyni, ale przede wszystkim dlatego, że sprawy związane z pamięciami zawsze napawały ją odrazą. Dla repa rozmowy o pamięci to jak rozprawianie o czymś ciemnym, brudnym, zagmatwanym, to prawie jak rozmowy o pornografii.

- Wiesz może, kto rozprowadza wadliwy towar? - zapytała, nie mogąc pohamować ciekawości.

- Nie mam pojęcia, Husky... Interesuje cię to? Może mogłabym popytać tu i tam...

Bruna zastanowiła się przez moment. Nie miała przecież klienta, któremu mogłaby

wystawić rachunek, a nie chciała tracić czasu na węszenie przy niedochodowej sprawie.

- Nie, właściwie wcale mnie to nie interesuje.
- Więc zjadaj kanapkę. Stygnie.

To prawda. Smażone algi, chrupiące i zupełnie nietłuste, smakowały wybornie.

Merlin przepadał za kanapkami z algami i piniowymi orzeszkami. Przypomniała sobie twarz replikanta, twarz zmienioną chorobą, i poczuła bolesny skurcz żołądka. Odetchnęła głęboko, próbując rozluźnić ściśnięte wnętrzności i zepchnąć obraz Merlina w otchłań niepamięci. Szkoda, że nie potrafiła go wspominać z czasów, kiedy był zdrowy i szczęśliwy, i wciąż widziała tylko jego ciało udręczone bólem. Z wściekłością wgrzyzła się w sandwicza i wróciła do swoich problemów. Postanowiła zagrać w otwarte karty.

- Oli, nie mam pracy - wymamrotała z pełnymi ustami. - Słyszałaś o jakiejś robocie, która mogłaby mi pasować?
- Na przykład?
- No wiesz, ktoś czegoś szuka... albo kogoś. Albo na odwrót, ktoś nie chce, żeby go znaleźli... Albo ktoś czegoś chce się dowiedzieć... albo chciałby, żeby kogoś śledzić. Albo ktoś potrzebuje zebrać dowody przeciwko komuś... albo chciałby wiedzieć, czy nie ma dowodów przeciwko niemu...

Gruba Oli przestała majestatycznie poruszać się za barem i z niewzruszonym czarnym obliczem uważnie wpatrywała się w Brunę.

- Jeśli na tym polega twoja praca, to nieźle wdepnąłeś.

Bruna uśmiechnęła się półgębkiem. Nie uśmiechała się za często, ale gruba Oh ją rozbawiła.

- Tak czy inaczej, jeśli znajdziesz mi klienta, dostaniesz prowizję.
- Ho, ho, Bruno, a ja mam dla ciebie zlecenie. I nie musisz mi nic płacić.

Replikantka odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z nowo przybyłym. To był Yiannis. Bruną targały sprzeczne uczucia, tak jak zazwyczaj, kiedy się z nim spotykała. Yiannis był jej jedynym przyjacielem i czasami emocjonalny ciężar tej relacji trochę ją przytłaczał.

- Cześć, Yiannisie, co u ciebie?
- Jestem stary i zmęczony.

Mówił, co czuł, i rzeczywiście tak wyglądał. Stary jak dawniej, stary jak zawsze,

stary jak autoportrety starego Rembrandta, które Yiannis pokazywał jej na cudownych hologramach w Muzeum Sztuki. Niewielu ludzi obywatło się, jak Yiannis, bez żadnych z oferowanych na rynku licznych kuracji usuwających oznaki starości, zaczynając od chirurgii plastycznej czy bionicznej, a na promieniach gamma czy terapii komórkowej kończąc. Niektórzy nie poddawali się tym procesom z czystej niechęci, byli po prostu zacofanymi uparciuchami, tęskniącymi za świetlaną - nigdy nieistniejącą - przeszłością, ale większości, która nie korzystała z tych terapii, po prostu nie było na nie stać.

Zważywszy na to, że ludzie woleli poddać się odmładzaniu, rezygnując nawet z czystego powietrza, posiadanie zmarszczek stało się oznaką najgłębszego ubóstwa. Ale przypadek Yiannisa nieco się różnił. On nie był ani biedny, ani zacofany, choć na pewno był nieco staromodny, niczym rycerz z zamierzchłej przeszłości XXI wieku. Jeśli nie stosował terapii odmładzającej, to postępował tak przede wszystkim z powodów estetycznych; nie podobały mu się spustoszenia starości, ale o wiele brzydsze wydawały mu się sztuczne poprawki, a Bruna doskonale go rozumiała. Oddałaby wszystko, by móc się zestarzeć.

- Powiedziałeś, że masz coś dla mnie?
- Być może, ale nie wiem, czy sobie na to zasłużyłaś.

Bruna spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Nie rozumiem.
- Nie masz mi nic do opowiedzenia?

Replikantka poczuła, jak w jej wnętrzu rozkręcają się maleńkie kółka złego nastroju, zębaty mechanizm irytacji. Yiannis zawsze postępował z nią w ten sam sposób, wypytywał ją i drażnił, chciał o niej wszystko wiedzieć. Przypominał jej ojca. Tego nieistniejącego ojca, którego nieistniejący zabójca uśmiercił, kiedy ona miała dziewięć lat. Dziewięć równie nieistniejących lat. Przyjrzała się swojemu przyjacielowi: łagodna twarz o niewyrazistych rysach. W młodości był dość przystojny, Bruna widziała jego zdjęcia, choć bez przesady, miał małe oczy, mały nos i małe usta. Pod wpływem czasu jego twarz jakby się roztopiła, a białe włosy, blada cera i szare oczy zlewały się w wypłowiałą monochromię. Biedny staruszek, pomyślała Bruna, czując, jak uchodzi z niej irytacja. Ale nie zamierzała mu się zwierzać.

- Nic specjalnego, jak mi się zdaje.
- No cóż. Zapomniałaś o Cacie Cain?

Bruna zmartwiała.

- Skąd o tym wiesz? Nikomu o niej nie wspominałam.

A mówiąc to, pomyślała: ale podałam moje nazwisko Samarytanom, rozmawiałam z policją i z portierem w budynku, musiałam podać moje dane w Instytucie Medycyny Sądowej, a żyjemy w tym cholernym superdoinformowanym społeczeństwie z centralnie sterowanym natychmiastowym przekazem. Aż się spociła.

- Tylko mi nie mów, że pokazali mnie w wiadomościach albo na publicznych telebimach...

Yiannis skrzywił usta. To był jego uśmiech.

- Nie, nie... Wiem to od kogoś, kto szukał u mnie pomocy. Kogoś, kto prosił, żebym z tobą porozmawiał. Ma dla ciebie zlecenie. Dam ci wizytówkę klienta.

Yiannis dotknął kompfona na swoim nadgarstku i kompfon Bruny zadzwieczał, odbierając wiadomość. Replikantka spojrzała na wyświetlacz: Myriam Chi, liderka RRR, oczekiwała jej jutro o 10.00 u siebie w biurze.

Odwaga jest przyzwyczajeniem duszy, mawiał Cyceron. Yiannis uchwycił się tej maksymy swego ulubionego autora jak ktoś, kto chwyta się suchej gałęzi, wisząc nad przepaścią. Od lat starał się pielęgnować ten nawyk i wyuczona odwaga krzepła w jego wnętrzu, tworząc rodzaj alternatywnego szkieletu, który utrzymywał go w pionie.

Upłynęło już czterdzieści dziewięć lat. Prawie pół wieku od śmierci małego Edu, a on wciąż nosił blizny. Czas, rzecz jasna, łagodził czy raczej stępiał nieznosną intensywność bólu. To było naturalne, nie dałoby się żyć wciąż skulonym w paroksyzmie cierpienia, Yiannis to rozumiał i wybaczał sobie. Wybaczał, że wciąż oddycha, znajduje przyjemność w jedzeniu, w słuchaniu muzyki, w lekturze dobrej książki, choć w tym samym czasie jego synek, leżąc w ziemi, obraca się w proch. Czuł jednak, że jakaś jego część wciąż pozostaje pogrążona w żałobie. Tak jakby zniknięcie Edu odłamało mu kawałek serca i od tamtej pory mógł żyć tylko w połowie. Nie potrafił skoncentrować się na otaczającej go rzeczywistości, bo gdzieś w głębi duszy nadal tlił się żal, niczym doprowadzające do szału dzwonięcie, które słyszą niektórzy głusi. Coś już na zawsze się w nim załamało i to akurat Yiannis przyjmował jako oczywiste. Jako słuszne i potrzebne, ponieważ nie zniósłby świadomości, że jego życie płynie tak samo po śmierci syna.

Tymczasem, z biegiem lat, nastąpiła rzecz straszna, coś, czego Yiannis nie był w

stanie sobie wyobrazić czy przewidzieć. Po pierwsze, twarz dziecka zaczęła zacierać się w jego pamięci: przywoływał ją tak często, że wspomnienie się zużyło. Teraz mógł zobaczyć Edu tylko dzięki zdjęciom i filmom, wszystkie pozostałe obrazy zostały wymazane z jego pamięci, tak jakby ktoś stał szkolną tablicę. Najgorsze było jednak to, że w którymś momencie w ciągu tych pięćdziesięciu lat zerwała się w jego duszy nić łącząca go z ojcem, którym kiedyś był. I kiedy stary Yiannis wspominał roześmianego dwudziestoletniego Yiannisa bawiącego się ze swoim synkiem, to było tak, jakby przypominał sobie znajomego z lat młodości, przyjaciela być może i bliskiego, ale jakże od niego różnego, z którym od dawna się już nie spotykał. Widział to wszystko jakby z zewnątrz: radość ojcostwa i potworność niepotrzebnej śmierci, powolną agonię dwuletniego dziecka, banalną chorobę, której nie można było wyleczyć z powodu braków w zaopatrzeniu podczas wojny replikantów. To bardzo smutna historia, smutna, a nawet tragiczna,' i gdy ją wspominał, oczy mu wilgotniały, ale to już nie była jego własna historia, tylko dramat, którego być może kiedyś był świadkiem, a może opowieść, którą kiedyś od kogoś usłyszał.

I to poczucie oddalenia miało prawdziwie niszczycielską siłę, najbardziej bolało.

To poczucie oddalenia oznaczało drugą i ostateczną śmierć jego synka. Skoro on nie potrafił zachować żywych wspomnień o maleńkim Edu, czy mógł to zrobić ktokolwiek inny?

Jakże słaba, kłamliwa i niewierna jest ludzka pamięć. Yiannis wiedział, że w ciągu minionych czterdziestu dziewięciu lat wszystkie komórki jego ciała zostały zastąpione nowymi. Nie przetrwała najmniejsza żywa cząstka Yiannisa z tamtego czasu, nic poza międzykomórkowym i ponadczasowym tchnieniem, jego pamięcią, bezcielesną przędzą, z której tkął swą tożsamość.

Ale jeśli i ta nić się rwała, jeśli nie był w stanie zachować wszystkich wspomnień, czym jego przeszłość różniła się od marzeń? Obywanie się bez wspomnień niszczyło świat.

I właśnie dlatego, ponieważ od zawsze panicznie nie ufał pamięci, postanowił zostać zawodowym archiwistą. I dlatego od czasu do czasu próbował w głębi duszy przywołać wspomnienie Edu. Zamykał oczy i z ogromnym wysiłkiem starał się zrekonstruować scenę z odległej przeszłości. Przywołać obraz starej sypialni, zarys mebli, idealną gęstość

półmroku. Poczuć ciepło popołudnia, spokój powietrza oblekającego skórę. Usłyszeć ciszę, zakłócaną spokojnym cichym oddechem. Wciągnąć w nozdrza delikatny zapach ciała, duszną woń małego zwierzątka. I właśnie wtedy, dokładnie wtedy, zobaczyć dziecko śpiące w kołysce, nawet nie całe dziecko, ale dostrzec choćby w pełni jej doskonałości grubą rączkę, jeszcze miękką, trochę niemowlęcą, małą dłoń z zaciśniętymi paluszkami, samotnie odpoczywającą i nieświadomą swej całkowitej bezbronności. Jeśli Yiannis miał szczęście, gdy dochodził do tego momentu, wspomnienie przybywało z przeszłości niczym błyskawica i przesywało go ostrzem bólu, zmuszając do łez. Do łez cierpienia, ale i wdzięczności, bo oto udawało mu się, przynajmniej na chwilę, nie tylko przypomnieć sobie Edu, ale poczuć, że i on sam kiedyś żył.

Centralne Archiwum Stanów Zjednoczonych Ziemi Wersja do modyfikacji
DOSTĘP ŚCIŚLE OGRANICZONY TYLKO UPRAWNIENI WYDAWCY
Madryt, 19 stycznia 2109, 13.10 Witaj, Yiannis

JEŚLI NIE NAZYWASZ SIĘ YIANNIS LIBEROPOULOS I NIE JESTEŚ
ARCHIWISTĄ CENTRALNYM FT711, NATYCHMIAST OPUŚĆ TE STRONY
DOSTĘP ŚCIŚLE OGRANICZONY TYLKO UPRAWNIENI WYDAWCY
WEJŚCIE BEZ UPRAWNIEŃ JEST PRZESTĘPSTWEM, ZA KTÓRE GROZI
KARA DO DWUDZIESTU LAT WIĘZIENIA.

Teleportacja

Słowa kluczowe: historia nauki, syndrom nieładu TP, Gorączka Kosmosu, Wojny Robotów, Dzień Pierwszy, obcy, Pokojowy Traktat Ludzkości, Traktaty Międzyplanetarne z Kasjopei, istoty czujące.

Artykuł edytowany

Teleportacja albo teletransport (TP) to jedno z najstarszych marzeń ludzkości. Chociaż próby z teleportacją kwantową prowadzono już od XX wieku, pierwszy znaczący eksperyment miał miejsce w 2006 roku, kiedy profesor Eugene Polzik z Instytutu Nielsa Bohra w Kopenhadze dokonał teleportacji obiektu makroskopowego, na odległość pół metra, wykorzystując światło jako przekaźnik informacji o obiekcie. Dopiero w roku 2067, po odkryciu zaskakujących właściwości potencjacji świetlnej

asłatu, pierwiastka bardzo rzadko występującego na Ziemi, ale stosunkowo obficie pod powierzchnią Tytana, nastąpił gigantyczny rozwój teleportacji. W 2073 roku, wykorzystując tak zwane światło gęste, zdolne przenieść sto tysięcy razy więcej informacji i w sposób sto tysięcy razy bardziej stabilny aniżeli laser, profesor Darling Oumou Koite, została teleportowana, albo tepeowana, by użyć współczesnej terminologii, z Bamako (Mali) na Enceladusa, satelitę Saturna. To była pierwsza teleportacja człowieka w przestrzeń pozaziemską.

Od tego momentu państwa na Ziemi ogarnął prawdziwy szal badania i zdobywania Kosmosu. Ponieważ teleportacja zlikwidowała problem odległości - z równą łatwością można było pokonać kilometr jak milion kilometrów - ziemskie mocarstwa rozpoczęły morderczą rywalizację w kolonizowaniu dalekich planet i eksploataowaniu ich złóż. Zyskała ona miano Gorączki Kosmosu i stała się jedną z głównych przyczyn wybuchu Wojen Robotów, które pustoszyły Ziemię w latach 2079-2090. Teletransport zawsze był dość kosztowny, zazwyczaj więc tepeowano dwu- lub trzyosobowe zespoły badawcze. Ponieważ dysponowano wiarygodnymi informacjami o zaledwie paru setkach planet, które nadawały się do skolonizowania, nie powinno nas dziwić, że wysłannicy z różnych krajów często trafiali w jedno miejsce - przypadkiem bądź dzięki działaniom wywiadu - i zazwyczaj takie spotkania kończyły się w sposób dość gwałtowny. Wielu podróżników zginęło w bezpośrednich walkach albo zostało skrycie zamordowanych, a powtarzające się zatargi dyplomatyczne powodowały wzrost napięcia na świecie. W miarę jak najbardziej znane z nowo eksploatowanych planet, zagarniane kolejno przez różne państwa, stawały się obiektem żartowanych sporów, ziemskie mocarstwa podejmowały coraz większe ryzyko, wysyłając swoich badaczy w coraz odleglejsze i nieznanne obszary, co znacząco podnosiło i tak już dość wysoką śmiertelność teleportowanych. W 2080, ostatnim roku Gorączki Kosmosu, śmierć poniosło 98% ziemskich badaczy (około 8200 osób, przeważnie technoludzi), w większości zaginionych po wystrzeleniu w przestrzeń kosmiczną, częściowo ofiar dezintegracji z powodu błędu w czarnej przestrzeni międzygalaktycznej, częściowo ofiar wyparowania po tepeowaniu na zbyt gorącą planetę.

Dopiero wtedy do publicznej wiadomości przedostał się fakt znany uczonym i rządzącym już od początku stosowania tej technologii - teleportacja jest procesem

niedoskonałym w skali atomu i może powodować poważne skutki uboczne. Jest to efekt zasady nieoznaczoności Heisenberga, która mówi, że istnieją takie pary wielkości, których nie da się jednocześnie zmierzyć z dowolną dokładnością, a pomiar powoduje utratę części informacji o jednej z tych wielkości. Co oznacza, że każdy teleportowany organizm doświadcza jakiejś mikroskopijnej przemiany - obiekt, który odbudowuje się w miejscu przeznaczenia, nie jest dokładnie tym samym obiektem co w punkcie wyjścia. Ogólnie rzecz biorąc, te mutacje są minimalne, na poziomie atomu i właściwie nie do uchwycenia, choć w wielu przypadkach zmiany są poważniejsze i niebezpieczne: oko wędrujące na policzek, uszkodzone płuca, ręce bez palców, a nawet czaszki pozbawione mózgow. Ten destrukcyjny efekt teleportacji nosi miano syndromu nieładu TP, a osobniki cierpiące na widoczne deformacje potocznie określa się mianem syndmutantów. Dowiedziono ponadto, że wielokrotna teleportacja prowadzi do nieuchronnego uszkodzenia organów. Prawdopodobieństwo poważnego syndromu nieładu TP wzrasta gwałtownie przy kolejnych teleportacjach, przy czym sięga 100%, począwszy od jedenastej. Obecnie obowiązują nas Traktaty Międzyplanetarne z Kasjopei (2096 r.), które zabraniają, by jakakolwiek żywa istota (ludzie, androidy, obcy i zwierzęta) została teleportowana więcej niż sześć razy w życiu.

Ryzyko towarzyszące teleportacjom, śmierć i zaginięcia wysyłanych badaczy, wysoki koszt wypraw i początek Wojen Robotów przyczyniły się do końca Gorączki Kosmosu i zgasiły entuzjazm dla teleportacji. Począwszy od 2081 roku, ten sposób transportu używany jest tylko na wciąż eksploatowanej odległej planecie Potosi, jedynym ciele niebieskim znalezionym podczas Gorączki Kosmosu, którego złoża okazały się wystarczająco rentowne, by utrzymywać kopalnie poza Układem Słonecznym. Na początku Potosi zostało podzielone pomiędzy Unię Europejską, Chiny i Federację Amerykańską. Po Unifikacji należy do Stanów Zjednoczonych Ziemi, choć kopalnie o najwyższych wskaźnikach wydobywania zostały sprzedane Królestwu Labari i Demokratycznemu Państwu Kosmosu.

To na Potosi doszło do pierwszego potwierdzonego spotkania ludzi z obcymi (inaczej IPZ, czyli istotami pozaziemskimi). Trzeciego maja 2090 roku, nazwanego później Dniem Pierwszym, statek kosmiczny obcych wylądował na chińskim terytorium kopalnianej kolonii. To byli Gnejczycy, plemię z planety Gneio, znajdującej się

niedaleko Potosí - obie planety okrążają tę samą gwiazdę, Fomalhaut. Statek obcych, dość zaawansowany technologicznie, poruszał się ze znaczną szybkością, choć przemieszczał się w sposób konwencjonalny i z prędkością dużo mniejszą od prędkości światła. Obcy nie znali teletransportu, chociaż rozwinęli komunikację ponaddźwiękową z wykorzystaniem wiązek świetlnych, pokonujących w rekordowym czasie niewyobrażalne odległości. Dzięki tym przekazom, czyli telegnezji, Gnejczycy nawiązali kontakt z odległymi cywilizacjami pozaziemskimi: Omaajczykami i Balabijczykami. My, ludzie, przestaliśmy być sami we Wszechświecie.

To niezwykle odkrycie miało ogromne znaczenie. Trzy dni później podpisano Pokojowy Traktat Ludzkości, który zakończył Wojny Robotów. Pakt został zawarty zapewne pod wpływem strachu, jaki wzbudzili obcy wśród mieszkańców naszej planety (sama nazwa Pokojowy Traktat Ludzkości zdaje się podkreślać zjednoczenie naszego gatunku przeciw istotom pozaziemskim) i w krótkim czasie spowodował rozwój więzi wspólnotowych, co znalazło odzwierciedlenie w procesie Unifikacji i utworzeniu Stanów Zjednoczonych Ziemi w 2098 roku. Równocześnie nawiązano kontakt z trzema cywilizacjami IPZ i teleportacja okazała się tu kluczowym osiągnięciem, umożliwiając prawdziwą wymianę polityczną i kulturalną pomiędzy czterema światami: po raz pierwszy wszyscy mogli się spotkać osobiście. Rozpoczęto badania, przygotowywano raporty, prowadzono intensywne szkolenia tłumaczy, negocjacje, umowy wstępne, teleportowano emisariuszy, przez galaktyki mknęły miriady telegnezji, i Wszechświat ogarnęła gorączkowa działalność polityczna. Dość szybko okazało się, że te cztery gatunki nie rywalizują ze sobą w żaden sposób i nie stanowią dla siebie żadnego zagrożenia: odległości między planetami są zbyt wielkie, a teletransport wszystkim jednakowo szkodzi. Wielkość Wszechświata podbudowała wielkość człowieka i rozmowy toczyły się szybko i bez zgrzytów, zwieńczone w 2096 roku Traktatami Międzyplanetarnymi z Kasjopei, pierwszym w historii porozumieniem międzygwiazdowym. Traktaty regulują użytkowanie i copyright poszczególnych technologii (np, my kupujemy telegnezje, a sprzedajemy teleportacje, ale własność intelektualna oraz prawo do rozporządzania należą wyłącznie do cywilizacji, która wytworzyła daną technologię), wymianę handlową, środki płatnicze, użycie teletransportu, warunki migracji, itd. Ponieważ pojawiła się konieczność przyjęcia

terminu, który określałby nowych towarzyszy we Wszechświecie i utożsamiał ich z nami, wybrano wyrażenie istoty czujące, pochodzące z tradycji buddyjskiej. Czujący (g'naym w języku gnejskim, laluala w balabijskim, amoa w omaajskim) tworzą nowy stopień w systematyce istot żywych. Jeśli do tej pory człowiek należał do królestwa Animalia, do typu Chordata, do gromady Mammalia, do rzędu Primates, do rodziny Hominidae, do rodzaju Homo i gatunku Homo sapiens, od czasu Traktatów dodano nowy stopień, linię Czujące, pomiędzy gromadą a rzędem, ponieważ, co ciekawe, wszystkie istoty pozaziemskie wydają się ssakami i posiadają jakiś rodzaj owłosienia.

Choć teleportacja umożliwiła wymianę ambasadorów pomiędzy czterema cywilizacjami, na Ziemi niezbyt często można zobaczyć przedstawicieli pozaziemskich gatunków. Korpusy dyplomatyczne liczą po mniej więcej trzy tysiące członków i są rozmieszczone w najważniejszych miastach SZZ, do tego trzeba dodać jakieś dziesięć tysięcy Omaajczyków, którzy tepeowali się na Ziemię, uciekając przed rozpętaną na ich planecie wojną religijną. W sumie na Ziemi przebywa niecałe dwadzieścia tysięcy obcych, co stanowi znikomą liczbę w porównaniu z czterema miliardami Ziemian, choć dzięki serwisom informacyjnym ich wygląd jest powszechnie znany. Oficjalna nazwa istot pozaziemskich to obcy, a potocznie mówi się o nich stwory.

- Znalazłam to na biurku dwa dni temu - wyjaśniła Myriam Chi.

Pochyliła się i podała Brunie małą kulę holograficzną. Replikantka położyła ją na dłoni i włączyła. W ręce natychmiast uformował się trójwymiarowy obraz liderki RRR. Nie wyższa niż dziesięć centymetrów, podobna w każdym szczególe, stała przed nią malutka Myriam, która witała się z uśmiechem. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawiła się ręka uzbrojona w nóż, którego ostrzem, ogromnym w porównaniu z postacią, rozcięła brzuch replikantki i zręcznie wyciągnęła zwój wnętrzości, posługując się czubkiem noża niczym dźwignią. Wnętrzości rozlały się, a hologram zgasł. To było wszystko, i było tego aż nadto.

- Niezłe - wyszeptwała Bruna, nie mogąc się powstrzymać.

Na tę holograficzną scenkę zareagowała skurczem żołądka, ale sekundę później czuła się już normalnie. Uruchomiła kulę raz jeszcze i uważnie wszystkiemu się przyjrzała.

- Cały czas jesteś uśmiechnięta. To chyba jakieś fragmenty z serwisu info albo...

- To jest zakończenie mityngu z zeszłego roku. Mamy holograficzne nagranie i

sprzedajemy je w naszym sklepie z pamiątkami. Kupują to nasi sympatycy. Tak pozyskujemy fundusze.

- Czyli każdy może zdobyć ten materiał bez problemu...
- Mamy wielu sympatyków, a hologram doskonale się sprzedaje.

Bruna usłyszała delikatną nutę ironii w głosie Myriam, więc uniosła wzrok. Kobieta odpowiedziała nieprzeniknionym spojrzeniem. Długie, falujące kasztanowe włosy, obcisła sukienka, mocny makijaż. Jak na liderkę ruchu radykałów miała zastanawiająco zwyczajny wygląd. Brunna jeszcze raz uruchomiła hologram. Nałożona scena wypruwania flaków wyglądała na rzeczywistą, nie wirtualną. Prawdopodobnie było to jakieś zwierzę patroszone w rzeźni.

- Dość prymitywny montaż, Chi. Moim zdaniem jakaś domowa robota. Ale robi wrażenie, bo przy całym okrucieństwie tej jatki nie zwracasz uwagi na szczegóły. Mogę to zabrać?

- Oczywiście.
- Oddam, jak dokładnie się temu przyjrzę.
- Pewnie się domyślasz, że wcale mi nie jest potrzebne... Ale przypuszczam, że to dowód, który trzeba zachować.

Aha, pomyślała Brunna, mam cię. Myriam zakończyła zdanie cichym westchnieniem, a w jej stanowczej i nieco władczej postawie światowej liderki, która nie zwykła przejmować się takimi błahostkami, pojawiła się drobna rysa, przebłysk strachu. Bała się, i słusznie. W głowie Husky zamajaczyły obrazki z wcześniejszych incydentów, gwałtowne zamieszki podczas wieców, przypomniawszy sobie nawet o supremacjonistach, którzy próbowali strzelać do Myriam. Czy może planowali podłożyć bombę? Gdy wchodziła do siedziby RRR, została poddana paru kontrolom, łącznie z zeskanowaniem całego ciała.

- I z tego, co mówisz, wynika, że oprócz ciebie do gabinetu mogą wejść tylko dwie inne osoby.

- Tak. Mój asystent i szefowa ochrony. I żadne z nich nie otworzyło drzwi. Z zapisu wynika, że nie wszedł tu nikt od mojego wyjścia wieczorem do powrotu następnego ranka. A wtedy na biurku już leżała kula holograficzna.

- Co oznacza, że ktoś manipulował przy tym zapisie... Być może ktoś stąd.

Szefowa ochrony?

- Niemożliwe.
- Nie uwierzyłybyś, ile rzeczy jest możliwych.

Myriam chrząknęła.

- To moja dziewczyna. Jesteśmy razem od trzech lat. Znam ją. Kochamy się.

Bruna przez moment spróbowała dostrzec w Myriam obiekt miłości. Chłodna pewność siebie, gdzieś tam znaczone kropeczkami lęku. Głośne i odważne działania, a jednocześnie dość przeciętny wygląd. Nawet paznokcie pomalowane w staromodny sposób. Te sprzeczności podnosiły jej atrakcyjność. Przez chwilę Brunna pomyślała, że jest w stanie zrozumieć szefową ochrony. Odkrycie, że Myriam jest sexy, popsulo jej humor.

- A co powiesz o swoim asystencie? Też kochasz go tak mocno, że jesteś skłonna go uniewinnić? - zadała niepotrzebnie niegrzeczne pytanie.

Myriam Chi odparła spokojnie:

- On też znajduje się poza wszelkimi podejrzeniami. Pracujemy zbyt długo. Nie błądź, Husky. Nie trać czasu, szukając nie tam, gdzie powinnaś. Powtarzam, że to ma jakiś związek z nielegalnym handlem fałszywymi pamięciami, jestem przekonana. Tym powinnaś się zająć i dlatego wezwałam właśnie ciebie - widziałaś jedną z ofiar.

No tak, Chi wyjaśniła to na samym początku, tonem nieznoszącym sprzeciwu: przed Catą Cain w podobnych okolicznościach zginęło czterech innych replikantów. A kiedy Myriam zainteresowała się tą sprawą i porozmawiała z przyjaciółmi i znajomymi ofiar, zaczęła otrzymywać dziwne sygnały: nienamieralne anonimowe telefony, w których radzono jej o wszystkim zapomnieć, wiadomości - najpierw pogróżki, później groźby - przychodzące na komfon i wreszcie kulę holograficzną, bardziej przerażającą swoim zagadkowym pojawieniem się w gabinecie niż krwiożerczą zawartością. Brunna nie przywykła do tego, by klienci mówili jej, co ma robić, jeśli już - to raczej na odwrót. Ludzie zatrudniali prywatnego detektywa, gdy czuli strach. Gdy czuli się zagrożeni, ale nie potrafili rozpoznać niebezpieczeństwa, albo gdy dręczyło ich jakieś mroczne podejrzenie, tak mroczne, że z trudem potrafili je sformułować. Klienci prywatnego detektywa zawsze byli dość zagubieni, bo inaczej zwróciliby się przecież do policji lub sądu, a z doświadczenia Brunna wiedziała, że im bardziej zdezorientowany był

zleceniodawca, tym lepiej układała się współpraca, ponieważ taki nieszczęśnik zostawiał o wiele więcej swobody gończemu psu i z tym większą wdzięcznością przyjmował każdą, nawet małą zdobycz. Prawdziwe zadanie prywatnego detektywa polegało na dostarczaniu pewności.

- Dlaczego nie poszłaś na policję?

Chi uśmiechnęła się kpiąco.

- Masz na myśli policjantów ludzi? Mam ich zapytać, dlaczego ktoś morduje repów? Myślisz, że się tym zajmą?

- Są też policjanci androidzi...

- No jasne. Paru imbecyli, robiących za przykrywkę. Bruno, przecież wiesz doskonale, że jesteśmy dyskryminowani. Jesteśmy gatunkiem wykorzystywanym, obywatelami trzeciej klasy.

Tak, Bruna to wiedziała. Uważała jednak, że dyskryminacja repów wpisywała się w powszechną dyskryminację nędzarzy przez możnych tego świata. Biedaków takich jak ta kobieta z baru Oli, żywa reklama Texaco-Repsol. Świat był niesprawiedliwy. Może i replikanci mieli z zasady znosić gorsze warunki, ale z jakiegoś powodu Bruna czuła się źle ze świadomością, że przynależy do wspólnoty ofiar. Wołała myśleć, że niesprawiedliwość jest demokratyczna i rozdaje swoje kopniaki wszystkim po równo.

- Poza tym nie ufam policji, bo zapewne wróg ma tam swoje wtyczki... Jestem przekonana, że za tą sprawą z fałszywymi pamięciami kryje się coś o wiele większego. Jakaś polityczna rozgrywka...

Jasne, pomyślała rozdrażniona Bruna, zaraz mi tu powie, że chodzi o spisek. Da znać o sobie paranoja, typowa dla wszystkich radykalnych ugrupowań.

- Wszystko jest możliwe, nawet jakieś tajne porozumienie.

- Posłuchaj, Chi, pozwól, że podam to w wątpliwość. Raczej nie wierzę w teorie spiskowe. - Bruna nie potrafiła się opanować.

- Trudno, ale spiski istnieją. Spójrz na ostatnie rewelacje w sprawie zabójstwa prezydenta Johna Kennedy'ego. W końcu ustalono, co się stało.

- Tylko że dziś, sto pięćdziesiąt lat po zamachu, prawda nikogo nie interesuje. Nie twierdzę, że spiski nie istnieją, wiem tylko, że jest ich o wiele mniej, niż ludzie to sobie wyobrażają, i są to raczej partackie improwizacje, a nie misterne makiaweliczne

konstrukcje... Ludzie wierzą w spiski, ponieważ to jest jakiś sposób, by wierzyć, że zło ma ład i sens, nawet gdyby miał to być sens nikczemny. Nie znosimy chaosu, choć jak wiadomo, życie jest opowieścią idioty. Pełną wrzasku i wściekłości.

Myriam spojrzała zaskoczona.

- Szekspir... Taka erudycja i ktoś taki jak ty?
- Jak ja?
- No wiesz, detektyw... Replikantka bojowa... Kobieta z ogoloną głową i tatuażem

na twarzy.

- No cóż. Mnie też dziwi, że liderka ugrupowania politycznego rozpoznaje cytaty z Szekspira. Sądziłam, że takie działaczki poświęcają całe swoje życie na walkę o sprawę. A nie na czytanie i malowanie paznokci.

Myriam uśmiechnęła się półgębkiem i zamyśliła się przez moment, pochyliwszy głowę; kiedy ją znów uniosła, na twarzy malowała się tamta dziwna wrażliwość, której przebłąski Bruna dostrzegła już wcześniej.

- Dlaczego mnie nie lubisz, Husky?

Replikantka nerwowo poruszyła się na krześle. W głębi duszy pożałowała, że powiedziała za dużo. Sama nie wiedziała, dlaczego zachowała się w tak niecodzienny sposób. Po co rozmawiała z klientką o chaosie życia? Chyba upadła na głowę.

- To nie tak. Po prostu wkurza mnie, że robisz z siebie ofiarę.

Znów to zrobiłam!, zdziwiła się Bruna. Nie mogła się pohamować i wciąż dyskutowała z Chi.

- Uważasz, że robię z siebie ofiarę, kiedy ujawniam, że laboratoria nie prowadzą badań nad terapią guza??? Mam dane: zaledwie dwie dziesiąte budżetu przeznaczanego na badania w dziedzinie medycyny inwestuje się w poszukiwanie skutecznych leków na WGT, choć my, replikanci, stanowimy piętnaście procent ogółu ludności i wszyscy umieramy na to samo...

Cztery lata, trzy miesiące i dwadzieścia trzy dni, pomyślała Bruna, nie mogąc się opanować. Podobnie jak nie mogła opanować chęci do dalszej dyskusji.

- Uważam, że robisz z siebie ofiarę, kiedy myślisz, że cały Wszechświat został wymyślony przeciwko tobie. A stawianiu siebie w pozycji ofiary zwykle towarzyszy poczucie wyższości... Tak jakby było czyjąś osobistą zasługą, że ślepy los stworzył go

właśnie takim.

- Los i inżynieria genetyczna kontrolowana przez ludzi, jeśli chodzi o nas... - westchnęła Myriam.

Obie kobiety umilkły, kolejne sekundy płynęły irytująco wolno.

- Ja ciebie znam, Bruno - oznajmiła łagodnym głosem liderka RRR.

Tak łagodnym, że nagłe użycie imienia wydało się potrzebne i całkowicie uzasadnione.

- Znam ludzi takich jak ty. Jesteś tak wściekła i pełna żalu, że nie potrafisz wyrazić słowami tego, co czujesz. Przed zgodą na ból wstrzymuje cię strach, że staniesz się tylko ofiarą, a przed zgodą na gniew - strach, że zostaniesz katem. Prawda jest taka, że nienawidzisz tego, że jesteś replikantką, do czego nie chcesz się jednak przyznać.

- Przestań...

- Dlatego moja osoba tak cię drażni i intryguje... - ciągnęła niewzruszenie Myriam.
- Boja uosabiam wszystko to, czego ty się lękasz. Znienawidzoną przez ciebie naturę replikanta. Wyluzuj: wielu ma ten sam problem. Spójrz na tych z Trans Platformy, tych wszystkich, którzy chcą być kimś innym... kobiety, które chcą być mężczyznami, mężczyzn, którzy chcą być kobietami, ludzi, którzy chcą być replikantami, repów, którzy chcą być ludźmi, czarnych, którzy chcą być białymi, białych, którzy chcą być czarnymi... Na razie zdaje się, że nie ma jeszcze stworów, które chcą zostać Ziemianami, i na odwrót, ale wszystko przed nami, historia kontaktów z obcymi nie jest długa. Moim zdaniem zarówno ludzie, jak i repy to chore istoty, wciąż nam się wydaje, że rzeczywistość nie jest doskonała. Dlatego bierzemy narkotyki i instalujemy sobie fałszywe pamięci - próbujemy wydostać się z pułapki naszego życia. Ale zaufaj mi, jedyną metodą rozwiązania problemu jest zaakceptowanie siebie i znalezienie własnego miejsca we Wszechświecie. I to właśnie staramy się robić w RRR. Dlatego nasza działalność jest tak ważna, bo...

Bruna, niejako wbrew sobie, słuchała uważnie słów Chi. Kiedy jednak ta wspomniała o RRR, z ust Bruny popłynął niepohamowany, swobodny strumień sarkazmu.

- Co za elokwencja, Chi. Doskonałe przemówienie. Powinnaś zrobić z niego hologram i sprzedawać w waszym sklepiku z pamiątkami. Może byśmy jednak porozmawiały o moim zleceniu?

Myriam uśmiechnęła się chłodnym, wymuszonym grymasem.

- Oczywiście, Husky. Nie wiem, dlaczego się tak rozgadałam. Chyba zapomniałam, że cię zatrudniłam i płacę ci stawkę od godziny. Mój asystent dostarczy ci dokumentację na temat wcześniejszych wypadków, którą udało się nam zebrać, i omówi sprawę twojego honorarium. Możesz go poprosić, żeby dodał ci parę gai za czas poświęcony na wysłuchanie mojego przemówienia.

Bruna poczuła, jak delikatnie zapiekło ją to upokorzenie. Jakby wymierzono jej policzek, zresztą nie bez powodu.

- Przepraszam, jeśli nie byłam zbyt miła, Chi, ale...

Myriam zignorowała ją ze stoickim spokojem i mówiła dalej.

A raczej wydawała polecenia.

- Jeszcze jedno - chcę, żebyś spotkała się z Pablem Nopalem.

- Z kim?

- Z Nopalem. Pamięciarzem. Nie znasz go? A powinnaś. Na swoje nieszczęście jest dosyć znany.

To nazwisko, Pablo Nopal, rzeczywiście kiedyś obilo się Bninie o uszy. Czy to nie przypadkiem ktoś, kto został oskarżony o zabójstwo?

- Miał problemy z wymiarem sprawiedliwości, tak?

- Właśnie.

- Nie przypominam sobie, o co dokładnie chodziło. Nie lubię pamięciarzy.

- Tym gorzej dla ciebie, przy tej sprawie będziesz musiała pogadać z paroma. Jak najszybciej spotkaj się z Nopalem. Może on będzie wiedział, kto pisał fałszywe pamięci. Zobaczymy, co z niego wyciągniesz. To na początek, potem przyjdź i zdaj mi relację. Chcę, żebyś o wszystkim osobiście mnie informowała. Na razie to tyle, Bruno Husky. Mam nadzieję, że wkrótce się czegoś dowiem.

- Chwileczkę, nie porozmawialiśmy o twoim bezpieczeństwie... Wydaje mi się, że powinnaś zmienić zwyczaje i wdrożyć nadzwyczajne środki ostrożności, może powinnyśmy...

- Nie pierwszy raz grożą mi śmiercią i wiem doskonale, jak się bronić. Poza tym mam doskonałą szefową ochrony, już ci wspominałam. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko, mam dość zajęty ranek...

Bruna wstała i uściśniła dłoń kobiecie. Dłoń mocną i szorstką, mimo paznokci pomalowanych w pastelowym odcieniu niebieskiego. Na ścianie, za krzesłem Myriam, wisiał oprawiony portret nieodżałowanego Gabriela Morlaya, legendarnego reformatora repów. Wyglądał bardzo młodo. Zbyt młodo jak na sławę, którą się cieszył. Natomiast Chi miała delikatne zmarszczki w kącikach ust i raczej brakowało jej już świeżości. Pewnie niedługo zapadnie na WGT, choć wciąż była piękna. Brunna znów poczuła, jak - niczym podmuch wiatru - ogarniają fascynacja tą kobietą. Poczula się głupio, była z siebie niezadowolona. Chyba zachowała się jak idiotka. Wyrzuciła z głowy tę przykrą myśl i spróbowała skoncentrować się na swoim nowym zadaniu. Powinnam porozmawiać z cudowną szefową ochrony, pomyślała. Fakt, że jest dziewczyną Myriam Chi, nie tylko jej nie usprawiedliwia, wręcz odwrotnie, stawia w podejrzanym świetle. Statystyki dowodzą, że pieniądze i miłość to dwie główne przyczyny poważnych przestępstw.

Po rozmowie z Chi Brunna wróciła do domu tramwajem powietrznym, po drodze wstąpiła do pobliskiego supermarketu, zrobiła zakupy i zaopatrzyła się w nową kartę do wody oczyszczonej. W przerwach między kolejnymi zleceniami replikantka nie potrafiła znaleźć nawet chwili na domowe czynności, choć dysponowała wtedy nieograniczonym czasem. Spiżarka pustoszała, wszystko pokrywało się coraz grubszą warstwą kurzu, a pościel trwała niezmienniana w łóżku, póki nie nabyła specyficznej woni. Ale gdy Brunna dostawała nowe zlecenie, natychmiast odczuwała potrzebę uporządkowania otoczenia, bo to pomagało w porządkowaniu myśli. Jasny umysł stanowił nieodzowne narzędzie jej pracy, ponieważ dobry detektyw to nie ten, który najlepiej śledzi, lecz ten, który najlepiej myśli. W związku z powyższym, schowawszy zakupy w kuchni i wprowadziwszy kartę do licznika, Brunna poświęciła parę godzin na sprzątanie mieszkania, pranie brudnych ciuchów i wyrzucanie pustych butelek, które niczym kręgle stały w szeregu przy drzwiach.

Potem nalała sobie kieliszek białego wina, usiadła naprzeciw ekranu i przez kilka minut rozkoszowała się uroczym spokojem panującym w mieszkaniu. Zaczęła rozmyślać o nowym zleceniu, nicować je na wszystkie strony. Pierwsze kroki w śledztwie były

bardzo ważne - pomyłki skutkowały stratą czasu i jeszcze większym zagmatwaniem skomplikowanej materii. Wzięła tablet, bo pisanie pomagało uporządkować myśli, i zaczęła notować to, co przychodziło jej do głowy. Choć nie tworzyła listy priorytetów, buntownicza natura kazała odłożyć na później kwestię pamięciarza, jakby nie słyszała słów liderki RRR, która wyraźnie sugerowała, by od niego zacząć. Napisała: „Dlaczego Chi interesuje się Nopalem?“, pod spodem dopisała kolejno: „Hologram“, „Groźby wobec Chi“, „Zapis w drzwiach biura RRR“, „Czarny rynek“, „Cztery wcześniejsze przypadki“, „Ofiary - przypadkowe czy wybrane?“. Po chwili wahania dodała: „Pablo Nopal“. Pomyślała, że umieszczenie go na ósmej pozycji to wystarczająca manifestacja braku posłuszeństwa wobec Myriam.

Otworzyła kulę holograficzną i wyjęła chip. Włożyła go do komputera i zaczęła szczegółowo analizować obraz za pomocą specjalnego programu. Programu używanego przez policję, doskonałego narzędzia, dzięki któremu od razu rozpracowała początkowy fragment nagrania, ten z Myriam Chi, pochodził oczywiście z archiwum RRR. Co do wklejonego aktu mordy, system nie potrafił znaleźć źródłowego odnośnika w sieci i podał hipotetyczne źródło. To było patroszenie świni, być może nagranie pochodziło z legalnej rzeźni, ponieważ zwierzę wyglądało na zabite wcześniej metodą zgodną z prawem, a więc uśpione i poddane elektropunkcji. Wszelkie znaki uwierzytelniające zostały wymazane, podobnie jak ślad elektroniczny, a zatem miejsce było praktycznie nie do odnalezienia. Choć liczba ubojni znacznie się zmniejszyła - częściowo z powodu rosnącej wrażliwości na cierpienia zwierząt, częściowo dlatego, że chcąc zredukować emisję dwutlenku węgla, rząd wymagał bardzo kosztownego pozwolenia na spożywanie mięsa - to wciąż funkcjonowały ich setki na całej planecie, poza tym nagranie mogło powstać w dowolnym czasie w ciągu trzech ostatnich lat, bo tyle według programu mógł mieć maksymalnie ten materiał. Sam chip i kula holograficzna były zwykłe i powszechnie dostępne, dokładnie takie, jakie mógł kupić w byle sklepie każdy uczeń, żeby przygotować do szkoły prezentację holograficzną. Trudno będzie tu znaleźć jakąś użyteczną informację. A proces dogłębnej analizy sceny z rozpruwaniem wieprzem zapewne potrwa parę godzin.

Postanowiła zrobić przerwę i coś zjeść. Włożyła do ekspresowej kuchenki pojedynczą tacę kroketów z prasowanej ryby i po minucie potrawa była gotowa. Zdjęła

przykrywkę, nalala kolejną lampkę wina i zasiadła przed ekranem, by zjeść wszystko prosto z pudełka.

- Szukaj Pabla Nopala - powiedziała głośno.

Pojawiło się kilka możliwości i Bruna wybrała jedną, brudząc ekran tłustym palcem. Natychmiast ukazał się obraz mężczyzny, trójwymiarowa fotografia głowy rzeczywistych rozmiarów po prawej stronie ekranu oraz kilka nagrań po stronie lewej. Ciemnowłosy, szczupły, z długim, wąskim nosem, wąskimi ustami, wielkimi, czarnymi oczyma. Atrakcyjny facet. Miał trzydzieści pięć lat. Właściwy wiek na WGT, gdyby był repem. Ale nie był. Nopal - głosiła notka - dramaturg i powieściopisarz, prócz tego pamięciarz. I istotnie cieszył się pewną sławą, nie tyle z powodu swoich książek, choć cenionych, ile z powodu paru skandali, w które był zamieszany. Przed siedmiu laty został oskarżony o zamordowanie starego wuja, patrycjusza milionera, będąc przy tym jego jedynym spadkobiercą. Spędził nawet kilka miesięcy w areszcie, ale w wyniku zniszczenia materiału dowodowego, w dość niejasnych okolicznościach, Nopal wyszedł na wolność. Oczywiście ucierpiała na tym jego reputacja i wielu wciąż wierzyło, że jest winny. Ta sprawa wpłynęła na decyzję rządu, który przestał zamawiać u niego pisanie pamięci, i mężczyzna nie wrócił do swojej profesji. Przynajmniej oficjalnie, pomyślała Bruna, bo pamięci sprzedawane na czarnym rynku też ktoś musi pisać. Po trzech latach od wyjścia na wolność Nopal ponownie został wplątany w inną nagłą śmierć, tym razem chodziło o jego osobistego sekretarza. Był ostatnim, który widział go żywego, i przez jakiś czas znajdował się na celowniku policji, choć w końcu nie został o nic oskarżony. Wszystkie te głośne przypadki znacząco podniosły sprzedaż jego książek, co wydaje się zupełnie naturalne. Fatalna reputacja stanowi w dzisiejszym świecie najpewniejszą przepustkę do sławy.

Bruna przyjrzała się uważnie twarzy Nopala. Bez wątpienia atrakcyjna, choć niepokojąca. Uśmiech zbyt kpiący, zbyt twardy. Nieodgadnione spojrzenie. Wydał trzy powieści, pierwszą parę miesięcy po śmierci wuja. Nosila tytuł Silni, a jej ukazanie odbilo się szerokim echem w świecie kultury. Bruna wpisała haslo i numer karty kredytowej, zaplacila 5 gai za ksiazke i sciagnela tekst na tablet. Miala zamiar tylko ja przejrzedc, ale zaczelala czytac i nie mogla przerwac. Powiesc byla krotka i intrygujaca, opowiadala o chlopcu, ktory mieszkal w Strefie Zero, obszarze o mocno

zanieczyszczonym powietrzu. Podczas służby w wojsku Bruna przebywała w podobnym miejscu, potwornie brudnym i zaniedbanym, i musiała przyznać, że autor doskonale oddał atmosferę takiej przeklętej dziury, zatrutą i pełną rozpacz. Chłopiec został przyjacielem przybyłej tam dziewczynki, córki sędziny. Sędziów, podobnie jak lekarzy, policjantów i innych urzędników niezbędnych do funkcjonowania państwa, wysyłano do stref o najwyższych wskaźnikach zanieczyszczenia, płacąc im podwójną pensję i najwyżej na rok, by uniknęli uszczerbku na zdrowiu, ale i tak, o czym Bruna doskonale wiedziała, niewielu się na taki kontrakt zgadzało. Książka opowiadała historię znajomości dwojga młodych w czasie tych dwunastu miesięcy - na końcu, w noc poprzedzającą wyjazd sędziny z córką, chłopiec z dziewczyną zatłukli matkę na śmierć. Scena morderstwa była dość brutalna, ale powieść została napisana w tak przejmujący sposób, tak prawdziwy i bolesny, że Bruna poczuła silną więź z zabójcami i pragnęła, by wymknęli się sprawiedliwości. Co im się zresztą nie udało, historia miała przynębiające zakończenie.

Bruna wyłączyła tablet, cała zdrętwiała po paru godzinach siedzenia w tej samej pozycji, dziwnie przejęta. Miała wrażenie, że w tej cholerniej powieści coś zostało napisane specjalnie dla niej. Coś bardzo bliskiego, znajomego. Coś, co dotyczyło jej nieznośnej egzystencji. Cztery lata, trzy miesiące, dwadzieścia trzy dni.

Skoczyła na równe nogi i rozgorączkowana chodziła w tę i z powrotem. Mieszkanie składało się tylko z dwóch części, kuchni i sypialni, i żadne z dwóch pomieszczeń nie było zbyt duże, więc po kilku krokach Bruna natykała się na ścianę i musiała zawracać. Spojrzała przez okno: miasto błyszczało i szumiało w ciemności. Podeszła do wielkiej planszy z łamigłówką - układała te puzzle już od ponad dwóch miesięcy, a na środku wciąż ziała dziura brakującej setki kawałków. Układanka należała do najtrudniejszych, jakie kiedykolwiek miała: wielki obraz Wszechświata, dużo czerni i dla orientacji trochę ciał niebieskich. Przez chwilę wpatrywała się w ząbkowany brzeg pustego fragmentu i wybrała kilka spośród leżących przed nią kawałków, próbując je dopasować. Porządek ukryty w chaosie. Rozwiązywanie łamigłówek zazwyczaj ją uspokajało, wiodła przecież dość nerwowe życie, ale teraz nie potrafiła się skoncentrować i porzuciła puzzle, nie dołożywszy ani jednego nowego elementu. To wina Nopala, pomyślała, i tej jego okropnej powieści, która wydała się jej dziwnie bliska; wszyscy ci cholerni pamięciarze

byli perwersyjni i odrażający. Bruna - tak jak zawsze, kiedy dopadał ją wewnętrzny niepokój - postanowiła pobiegać, bo zmęczenie fizyczne stanowiło dla niej najlepszy środek uspokajający. Nałożyła stary dres i sportowe buty, po czym wyszła z mieszkania. Na ulicy znalazła się dokładnie o północy.

Pobiegła w stronę parku, tak szaleńczo i szybko, że po chwili zabrakło jej tchu. Zwolniła tempo i próbowała wyrównać rytm, regularnie oddychać, przyzwyczaić ciało do wysiłku. Powoli wchodziła w relaksujący, hipnotyczny trans, jej stopy, jak w stanie nieważkości, dotykały ziemi w rytm uderzeń serca. Nad głową publiczne telebimy wyświetlały głupekowate przekazy, młodzieżowe bzdury, teledyski, czyjeś prywatne zdjęcia z ostatnich wakacji albo najświeższe wiadomości z przejętymi dziennikarzami na pierwszym planie. Na jednym z ekranów zobaczyła, jak na Gran Via wybucha kolejny samotny, szczęśliwie nie zabijając nikogo poza samym sobą. Trzeba się cieszyć, że w dzisiejszych czasach samotni terroryści są na tyle tępi i nieudolni, że rzadko kiedy powodują większe szkody, pomyślała replikantka, ale gdyby ci antysystemowi szaleńcy umieli się zorganizować i nauczyli produkować skuteczne bomby domowym sposobem, zacząłby się prawdziwy koszmar - przynajmniej raz na tydzień w Madrycie jakiś samotny składał siebie w ofierze z niewiadomego powodu. Bruna weszła do parku narożną bramą i przecięła go po przekątnej. To nie był naturalny park roślinny, tylko park-płuca. Lubiła biegać między rzędami sztucznych drzew, bo łatwiej się jej oddychało - sztuczne drzewa" pochłaniały o wiele więcej dwutlenku węgla niż prawdziwe rośliny, wyższe stężenie tlenu powodowało, że był o wiele bardziej wyczuwalny. Yiannis opowiadał jej kiedyś, że dziesiątki lat temu konstruowano sztuczne drzewa tak, by przypominały mniej lub bardziej te prawdziwe, ale już od dawna zarzucono owe naśladowcze formy na rzecz tych bardziej wydajnych. Bruna знаła co najmniej kilka modeli drzew, te w owym parku--płucach, należącym do Texaco-Repsol, przypominały ogromne chorągwie z cieniutkiej, prawie przezroczystej metalowej siatki, szerokie na metr i długie na jakieś dziesięć; kołysały się na wietrze, brzęcząc przy tym niczym cykady. Spacerowicze mieli wrażenie, jakby przechadzali się między fiszbinami ogromnego wieloryba.

Po opuszczeniu parku Bruna, ku własnemu zaskoczeniu, zamiast skrócić w lewo, by wrócić do domu aleją Królowej Wiktorii, tak jak to miała w planie, skrzyła w prawo. Szła przez chwilę, sama nie wiedząc dokąd, aż zrozumiała, że podąża w stronę Nowych

Ministerstw, ponurej dzielnicy miasta, pełnej prostytutek i handlarzy narkotyków: może tam uda się jej trafić na handlarza pamięcią. Miejsce raczej nie nadawało się na samotne spacerowanie nocą i bez broni, ale wysportowana replikantka bojowa chyba nie stanowiła wymarzonej ofiary złośliwców.

Wbrew nazwie Nowe Ministerstwa były bardzo stare. Zbudowane dwieście lat temu jako oficjalne biurowce instytucji ministerialnych stały w betonowym szeregu i zapewne już od samego początku musiały działać odpychająco, tak były brzydkie i niegościnnie. W czasie Wojen Robotów w Nowych Ministerstwach lokowano osoby wypędzone z własnych domów, a potem już w żaden sposób nie dało się ich stamtąd wyciągnąć. Uciekinierzy nielegalnie wynajmowali pokoje kolejnym lokatorom i dzielnica szybko uległa degradacji. Powybijane szyby, spalone drzwi, stare ogrody zamienione w puste, błotniste place. Mieściły się tu hałaśliwe bary, plugawe palarnie dalaminy, nędzne kabarety. Był to świat nielegalnych przyjemności, rządzony przez miejscowe gangi, które płaciły za prawo do powietrza.

Bruna dotarła do zewnętrznego szeregu budynków i znalazła się naprzeciwko Komety, najstojniejszego lokalu w okolicy, granicznej spelunki, do której przybywali bogaci klienci, spragnieni rozkoszy ciemnej strony życia. Z wnętrza dochodziła głośna muzyka, przy wejściu kręciło się sporo osób. W większości to ciała do wynajęcia, oceniała. W tej samej chwili podszedł do niej jakiś młody chłopak i próbował dotrzymać jej kroku.

- Hej, przypakowana laseczko... Widzę, że lubisz sport... Masz ochotę na gimnastykę? Ze mną w środku? Potrafię wszystko...

Bruna przyjrzała mu się: w oczach błyszczały wąskie, kocie źrenice, ale chłopak był za młody na androida. Oczywiście mógł się poddać operacji plastycznej... Choć najprawdopodobniej nosił soczewki, żeby udawać repa. Wielu ludzi czuło niezdrowe zainteresowanie seksem z androidami i męskie prostytutki korzystały z nadarzających się okazji.

- Jesteś człowiekiem czy androidem?

W spojrzeniu chłopca dał się wyczytać namysł, która z odpowiedzi bardziej by ją zadowoliła.

- A kim wolisz, żebym był?

- Tak naprawdę, to mnie guzik obchodzi. Czysta ciekawość, nic więcej.
- Chodź, zabawimy się. Mam cukierki. Najlepszej jakości.

Cukierki. To znaczy głównie oksytocyna, narkotyk miłości.

Legalna substancja, którą pary pozostające w długotrwałych związkach kupowały w aptece, żeby poprawić i odświeżyć swoje relacje. Natomiast cukierki stanowiły wybuchowy koktajl dużej dawki oksytocyny i innych, syntetycznych neu-ropeptydów. Prawdziwa bomba, oczywiście zabroniona. Bruna zażyła to parokrotnie, efekt był piorunujący. Ale nie tu i nie teraz.

- Nie trać czasu. Mówię poważnie. Nie mam ochoty na nic z tego, co możesz mi zaproponować.

Chłopak delikatnie zmarszczył czoło, nieco zdegustowany, choć jako zawodowiec wiedział, że nie ma sensu czarować dalej. Zawsze sobie powtarzał, że dzisiejsze stanowcze „nie” jutro zamienić się może w „tak, wejdź we mnie”.

- Dobra, kreskowana twarzyczko... Może kiedy indziej. A na twoim miejscu, ślicznotko, to ja bym się tu nie kręcił... To niebezpieczne miejsce, nawet dla wysportowanych dziewczyn.

Dotarli do pierwszego budynku, tam gdzie zaczynały się prowadzące w głąb ciemne pasáže. Chłopak odwrócił się i ruszył w stronę dalekich świateł Komety. Brunie przyszedł do głowy pewien pomysł.

- Poczekaj!

Chłopak zawrócił, uśmiechnięty, z nadzieją w oczach.

- Nie, nie o to mi chodzi - pospieszyła z wyjaśnieniem replikantka. - Mam jedno pytanie: od kogo kupujesz cukierki?

- Chcesz jednego?

- Nie, to też nie to. Interesują mnie ci od narkotyków. Znasz jakichś okolicznych dilerów?

Uśmiech znikł z twarzy chłopaka.

- Słuchaj, nie pakuj mnie w kłopoty. Spadam stąd.

Bruna złapała go za ramię.

- Spokojnie. Nie jestem policjantką ani dilerem, nie bój się. Dam ci sto gai, jak mi odpowiesz na parę prostych pytań.

Męska prostytutka zastanowiła się.

- Najpierw pieniądze, potem odpowiem.
- Jasne. Nie mam przy sobie gotówki, włącz tryb przyjmowania.

Uruchomili kompfony, Bruna wystukała na swoim stołach i wysłała polecenie. Cichy brzęczyk potwierdził przelew.

- No dobra. Pytaj.
- Interesują mnie sztuczne pamięci. Znasz kogoś, kto nimi handluje w tej okolicy?
- Memorki? Nie wiem. Ja ich nie używam. Ale tam w głębi, po drugiej stronie tego zrujnowanego baraku, jest palarnia. I słyszałem, że za tą palarnią, między arkadami, stoją handlarze.

- Słyszałeś? Nie pieprz. Skąd bierzesz swoje cukierki?
- Ja jestem profesjonalistą. Mam własnego dostawcę, przynosi mi towar do domu, w porządku gość, nie ma nic wspólnego z tymi dilerami, sprzedaje tylko oksytocynę. Oni tu dilują twardymi, truskawą, memorkami, lodem... Ja nic o tym nie wiem, sam nie biorę. Tylko cukierki, ale to część mojej pracy. Przykro mi, ale nie mam nic więcej do powiedzenia. Podejdź do tamtej czerwonej latarni i rozejrzyj się pod arkadami, po lewej stronie.

Replikantka westchnęła ciężko.

- Te informacje nie są warte pieniędzy, które ci zapłaciłam.
- A czego się spodziewałaś? Jestem spokojnym chłopakiem! - odparł z czarującym uśmiechem.

I obróciwszy się na pięcie, pobiegł w stronę baru.

Bruna ruszyła ponurym pasażem. Połowa latarni była rozbita, cienie kładły się nieregularnie, tworząc jądra ciemności w panującym półmroku. Na szczęście dziewczyna w ciemnościach widziała dość dobrze, dzięki ulepszonym oczom, jak każdy android. Prawdopodobnie działo się tak za sprawą pionowych źrenic, choć Myriam Chi czy inni ekstremiści powiedzieliby pewnie, że kocie oczy to tylko sztuczka segregacjonistów, aby bez problemu odróżnić replikantów od ludzi. Tak czy inaczej, zdolność widzenia w ciemnościach pozwoliła Brunie dojrzeć dziesiątki osób, które w grupach albo samotnie krążyły w pobliżu. Trzy albo cztery weszły jej w drogę, ale szybko usunęły się na bok. Na ziemi leżeli jacyś śpiący albo nieprzytomni, może nawet martwi, może ćpuny z

mózgami wypalonymi przez narkotyki; niewyraźne kontury ciemnych postaci, z trudem odcinające się od stert gruzu czy zalegających wszędzie śmieci. Przed drzwiami palarni stało dwóch replikantów bojowych, zapewne zatrudnionych tam bramkarzy. Obrzucili ją gniewnym wzrokiem, jak stróżujące psy, wściekle, że nie mogą urwać się z łańcucha, żeby zagryźć intruza. Weszła pod arkady, zostawiając palarnię za plecami. Czerwone światło latarni nasączało półmrok nierealną, krwistą poświatą. Bruna powoli szła przez tonący w ciemnościach pasaż. Wydawało się jej, że parę kolumn dalej stoi jakaś postać, ale gdy starała się dojrzeć coś więcej, ktoś znienacka na nią wpadł. W obronnym odruchu chwyciła przeciwnika za ramiona i już miała roztrzaskać mu głowę o mur, kiedy zorientowała się, że to nie był napastnik, tylko jakiś nieszczęśnik, który wpadł na nią przez przypadek. Gorzej - to było dziecko. Prawdziwe dziecko. Patrzyło przerażonym wzrokiem. Bruna zdała sobie sprawę, że trzyma chłopca w powietrzu, i ostrożnie go puściła. O do diabła, wyglądał na niepełnoletniego.

- Ile masz lat?

- Czter... czternaście - wybełkotał chłopiec, rozmasowując sobie ramiona ze zboląłą miną.

Czternaście! Co u licha robił na ulicy, nie przestrzegając godziny policyjnej obowiązującej dzieci?

- Co tu robisz?

- U... umówiłem się z przyjacielem...

Replikantka obserwowała jego trzęsące się ręce, brudną twarz, szare zęby. To były skutki brania truskawy, czyli dalaminy, modnego syntetycznego narkotyku. Taki młody, a już całkiem zniszczony. Osoba, której sylwetkę Bruna dostrzegła wcześniej o parę kolumn do przodu, zbliżała się wolnym krokiem. Kiedy stanęła, uśmiechnęła się łagodnie. To była kobieta, koło pięćdziesiątki, z jednym uchem wyrastającym o wiele wyżej od drugiego - zapewne był to syndrom nieładu TP. Ucho, które nie znajdowało się na swoim miejscu, sterczało pośród rzadkich włosów prawie na czubku głowy, jak u psów.

- Cześć, czego tu szukasz, przyjaciółko replikantko? - synd-mutantka odezwała się niespodziewanie pięknym głosem, melodyjnym i delikatnym niczym dotyk jedwabiu.

- Daj mi truskawę... daj truskawę... - wtrącił się chłopiec, nękany nałogiem.

- Cicho, dzieciaku... Za kogo ty mnie masz?
- Sarabi, daj mi tabletkę, proszę - wyjęczał.

Syndmutantka obrzuciła wzrokiem Brunę, próbując ocenić, czy ta może jej w czymś zagrozić.

- Daj mu ten cholerny narkotyk. Nic mi do tego - Bruna wzruszyła ramionami.

I rzeczywiście, dzieciak tak czy inaczej był już uzależniony

I potrzebował dawki dla zaspokojenia głodu, co więcej, to nieszczęsne stworzenie o wyniszczonym ciele na pewno już nieraz dopuściło się kradzieży czy przemocy, może nawet kogoś zabiło, żeby zdobyć pieniądze na działkę. Bandy zdziczałych wyrostków terroryzowały miasto i nawet godzina policyjna nie była w stanie ich powstrzymać. Kiedy Bruna widziała tę zdegenerowaną młodzież, czuła mniejszy żal na myśl, że ona sama nie może mieć dzieci.

- Problem w tym, że ja cię nie znam - burknęła kobieta.
- Ja ciebie też nie - odparła Bruna.
- Mogę użyć wykrywacza kłamstw?
- Tej śmiesznej zabaweczki? Nie ma sprawy.

Kobieta wyciągnęła coś w rodzaju małej lupy i umieściła ją przed okiem detektyw.

- Czy masz zamiar mnie skrzywdzić? - zapytała poważnym tonem.
- Oczywiście, że nie - oznajmiła Bruna.

Zadowolona syndmutantka schowała lupę. Wykrywacze kłamstw wychwytywały ruchy tęczy, gdy badany mijał się z prawdą. Można je było kupić za dziesięć gai, ale nie były wiele warte.

- Proszę, Sarabi, daj mi truskawę...
- Spokojnie, mały. Może mam coś dla ciebie, ale ty też musisz mi coś dać w zamian...

- No jasne, bierz...

Chłopiec wyciągnął z kieszeni pomięte banknoty, syndmutantka rozprostowała je i przeliczyła. Potem zajrzała do brązowego plecaka z ekoskóry i wyjęła przezroczysty blister z małą pastylką w ciemnoróżowym kolorze. Chłopak porwał tabletkę i uciekł. Mutantka odwróciła się do Bruny.

- Ciągłe mi nie powiedziałaś, czego potrzebujesz...

Piękny, melodyjny głos stanowił jeszcze jedną anomalię w tej złowieszczej postaci.

- Potrzebuję memorki. Masz do sprzedania?

- Mhm, fałszywa pamięć... Więc na tym ci zależy. Po pierwsze, sporo kosztują...

- Bez znaczenia.

- Po drugie, ja nimi nie handluję.

- Świetnie. I gdzie znajdę kogoś, kto to robi?

Kobieta rozejrzała się dookoła, jakby kogoś szukała, a Bruna podążyła za jej wzrokiem. Na pierwszy rzut oka pod arkadami nikogo nie było, ale już parę metrów dalej pasaż pogrążony był w ciemnościach, nieprzeniknionych nawet dla ulepszonych oczu detektyw.

- Właściwie nie potrafię ci pomóc. Dawniej przychodziło tu paru handlarzy pamięciami, ale od kilku tygodni ich tu nie widzę. Coś niedobrego dzieje się na rynku memerek... No wiesz, z powodu tych zmarłych repów... Przepraszam, androidów.

- No właśnie, te dwie ostatnie ofiary... - Bruna próbowała wysondować swą rozmówczynię.

- No cóż, więcej niż dwie. Wcześniej też jakieś były.

- Skąd wiesz?

- Mam przecież uszy, jak sama widzisz - syndmutantka wybuchła śmiechem.

I zaraz spoważniała.

- Ile jesteś w stanie dać za memorkę? Najwyższej jakości, napisaną przez prawdziwego artystę pamięciarza.

- Ile by kosztowała?

- Trzy tysiące gai.

Brunę aż zatkało, ale próbowała zachować niewzruszoną minę. Miała nadzieję, że w RRR nie zakwestionują wysokości jej wydatków.

- Zgoda.

- No więc masz szczęście. Ja co prawda tym nie handluję, ale przypadkiem mam przy sobie doskonałą memorkę, bo jeden ze znajomych uregulował w ten sposób swoje długi. Masz trzy tysiące gai?

- Nie w gotówce. Ale zrobię ci przelew.

Kobieta poruszyła dłońmi, jakby przecierała zaparowane lustro.

- Nie używam kompfonów. Zostawiają ślady.
- Tylko tak mogę zapłacić. Tak albo wcale.

Syndmutantka zastanawiała się nie więcej niż pół minuty.

Wyjęła z plecaka długą, wąską metalową rurkę i pokazała ją Brunie. Równie dobrze mogłaby jej pokazać kurzy termometr, ponieważ replikantka nigdy dotąd nie widziała podobnego aplikatora pamięci. Kobieta ustawiła kompfona.

- No dobra. Jestem gotowa. Przelewaj.

Kiedy rozległ się brzęczyk, sprawdziła dane operacji i wręczyła Brunie rurkę. Miała pół centymetra średnicy i jakieś dwadzieścia długości i być może została zrobiona z tytanu, ponieważ prawie nic nie ważyła. Bruna parę razy obróciła ją w palcach.

- Memorka jest w środku. Tutaj. Spójrz. A to jest pistolet, którym ją sobie wstrzelisz. Wiesz, jak to działa?

- Chyba tak, choć aplikatory, które znam, wyglądały inaczej. Były większe i bardziej przypominały pistolet.

- To znaczy, że już dawno nie widziałeś memorki. Musisz sobie włożyć ten cieńszy koniec do nosa, tak głęboko, jak się da, i nacisnąć naraz te dwa przyciski... pistolet sam dokona pomiaru i odpowiednio umieści pamięć, tak żeby miała prawidłową trajektorię. Jak wszystko będzie gotowe, wyda ostrzegawczy pisk i wystrzeli. To trwa około minuty. Nie możesz się ruszać w trakcie operacji. Najlepiej oprzyj o coś głowę. I zwróć uwagę, który koniec rurki wkładasz do nosa, inaczej wstrzelisz sobie memorkę w dłoń... Baw się dobrze.

Udzieliła tych instrukcji swoim aksamitnym głosem, choć tonem z lekką kpiącym, jakby rozbawiona niewiedzą Bruny. A może, pomyślała replikantka, śledząc wzrokiem oddalającą kobietę, po prostu cieszyła się, że zarobiła więcej, niż się spodziewała. Śmiejąc się, pajacu, mściwie pomyślała Bruna: jeśli syndmutantka jest w jakikolwiek sposób zamieszana w niewyjaśnione śmierci, nie będzie miała powodów do radości. Replikantka odetchnęła głęboko, próbując pozbyć się ucisku w piersiach, i ruszyła w drogę powrotną. W połowie pasażu zaczęła biec i nie przestała, dopóki nie dotarła do domu. Kiedy wchodziła do mieszkania, tak mocno ścisnęła metalową rurkę, że paznokcie zostawiły

ślady na wnętrzu dłoni.

Pot łał się z niej ciurkiem i ścisnęło ją w żołądku. Spojrzała na memorkę i pomyślała: to tak, jakbym miała w ręku trupa. A nawet gorzej: to tak, jakbym miała kogoś żywcem zamkniętego w tej rurze. Całe jedno życie, które niecierpliwie czekało na oswobodzenie, niczym dżin z lampy Aladyna w Baśniach z tysiąca i jednej nocy. Przypomniała sobie dwójkę repów bojowych, którzy na jej oczach wstrzyknęli sobie pamięć, to było dobrych parę lat temu, służyła jeszcze w wojsku. Sprawa nie wyglądała zbyt miło, przynajmniej na początku: goście wymiotowali. Ale coś w tym musi być, skoro chętnych nie brakowało. Bruna włożyła sobie rurkę do nosa. Stała na środku pokoju, o nic nie mogła się oprzeć. Nie miała zamiaru strzelać, chciała tylko spróbować. Poczula chłód metalu i zaczęła się dusić. Czy to by ją bolało? Wystarczyło przycisnąć dwa guziki, żeby mieć inne życie, być inną osobą. Wezbrała w niej fala mdłości. Wyciągnęła rurkę i rzuciła ją na stół. Musiała znaleźć kogoś, kto przeanalizuje memorkę. Może to jeden z tych fałszywych implantów.

Pot łał się z niej ciurkiem i ścisnęło ją w żołądku. Spojrzała na memorkę i pomyślała: to tak, jakbym miała w ręku trupa. A nawet gorzej: to tak, jakbym miała kogoś żywcem zamkniętego w tej rurze. Całe jedno życie, które niecierpliwie czekało na oswobodzenie, niczym dżin z lampy Aladyna w Baśniach z tysiąca i jednej nocy. Przypomniała sobie dwójkę repów bojowych, którzy na jej oczach wstrzyknęli sobie pamięć, to było dobrych parę lat temu, służyła jeszcze w wojsku. Sprawa nie wyglądała zbyt miło, przynajmniej na początku: goście wymiotowali. Ale coś w tym musi być, skoro chętnych nie brakowało. Bruna włożyła sobie rurkę do nosa. Stała na środku pokoju, o nic nie mogła się oprzeć. Nie miała zamiaru strzelać, chciała tylko spróbować. Poczula chłód metalu i zaczęła się dusić. Czy to by ją bolało? Wystarczyło przycisnąć dwa guziki, żeby mieć inne życie, być inną osobą. Wezbrała w niej fala mdłości. Wyciągnęła rurkę i rzuciła ją na stół. Musiała znaleźć kogoś, kto przeanalizuje memorkę. Może to jeden z tych fałszywych implantów.

Metro i tramwaje nie jeździły z powodu strajku, ruchome chodniki były tak zatłoczone, że ciężar tłumu spowalniał ich ruch, a czasem wręcz je zatrzymywał. Znalezienie wolnej taksówki graniczyło z cudem, niektórzy desperaci próbowali więc podróżować autostopem, łapiąc prywatne pojazdy. Choć jak powszechnie wiadomo, te

nieliczne osoby, które miały zezwolenie na prywatny wóz, nie grzeszyły poczuciem solidarności.

Bruna wyszła z domu z zapasem czasu, przewidując chaos i długi marsz, jak zawsze podczas strajku, a i tak torowanie drogi pośród setek rowerów i pieszych trwało nadspodziewanie długo. Była dokładnie piąta dziesięć, co znaczyło, że Bruna jest spóźniona już dziesięć minut na spotkanie z Pablem Nopalem. Pamięciarz zaproponował Muzeum Sztuki Nowoczesnej, miejsce zupełnie nieodpowiednie na takie rozmowy. A Brunie nie wypadało zaproponować czegoś ze swojej strony, bo to ona poprosiła o spotkanie. Przeskakiwała po dwa stopnie, wspinając się po schodach spływających niczym betonowy wodospad wzdłuż świetlistego sześcianu, siedziby muzeum, przyłożyła kompfona do terminalu płatniczego przy wejściu, przemknęła przez hol, kierując się do sali wystaw czasowych. I tam, na progu, zobaczyła pamięciarza. W białej koszuli ze stójką, w czarnych obszernych spodniach, z prostą ciemną grzywką nad czołem. Doskonałe wcielenie niedbalej elegancji. Te lśniące włosy to efekt luksusowej terapii czy też dziedzictwo wielu pokoleń bogatych przodków? Pisarz stał oparty o ścianę, ale kiedy dostrzegł Brunę, uśmiechnął się półgębkiem i wyprostował. Wcześniej widzieli się tylko na ekranie, ale rozpoznanie replikantki nie nastęczało większych trudności.

- Spóźniłaś się, Husky.
- To z powodu strajku. Przepraszam.

Bruna rozejrzała się wokół. W głównym holu, przez który właśnie przeszła, stało kilka foteli. W głębi znajdowała się kawiarnia.

- Gdzie możemy porozmawiać? Siądziemy na tamtych fotelach? Czy wolisz się czegoś napić w kawiarni?
- Nie tak prędko. Spieszysz się? Może najpierw obejrzymy wystawę?

Replikantka rzuciła mu szybkie spojrzenie. Nie wiedziała, do czego zmierza Nopal, nie wiedziała, czy nie jest pionkiem w jego grze, i to ją niepokoiło. Mężczyzna był mniej więcej jej wzrostu i jego oczy znajdowały się dokładnie na poziomie oczu Bruny. Były zbyt blisko i patrzyły zbyt natarczywie. O wielki Morlayu, jak ona nie znosiła pamięciarzy! Odwróciła wzrok, nie próbując nawet ukryć swej dezaprobaty, i udała zainteresowanie plakatem reklamującym wystawę. Trzykrotnie przebiegła go wzrokiem, zanim zrozumiała jego treść.

- Historia Falsyfikatu: oszustwo rewolucją w sztuce - przeczytała na głos.
- Ciekawe, prawda? - stwierdził Nopal.

Bruna przyjrzała mu się. Do czego on dąży? Czy ma jakieś ukryte zamiary? A jego pytanie podwójne dno? Słyszała już o tej wystawie i sama z siebie nigdy by na nią nie przyszła. Wkurzał ją fenomen Falsyfikatów, okrzykniętych ostatnimi czasy najwybitniejszym dokonaniem w sztuce. Uczeń krytycy i obłąkani esteci uznali, że oszustwo jest najczystszy i najbardziej radykalnym przejawem nowoczesności, awangardą sztuki XXII wieku. Wszyscy najwyżej notowani współcześni artyści byli odnoszącymi sukcesy fałszerzami, których dzieła przez jakiś czas uchodziły za autentyki. Ponieważ, jak jej to kiedyś wytłumaczył wszechwiedzący Yiannis, aby stworzyć mistrzowski Falsyfikat, nie wystarczy dokonać perfekcyjnego fałszerstwa obrazu czy rzeźby uznanego artysty, ale trzeba sprawić, by ktoś się nabrał: nabywca, właściciel galerii, muzeum, krytycy, mass media. Im większa skala oszustwa, tym wyższa ranga fałszerstwa po jego odkryciu. Natomiast jeśli nikt nie zauważy podróbki i sam artysta po jakimś czasie dokona demistyfikacji, jego wytwór zyskuje rangę arcydzieła. Ta moda zmieniła świat sztuki: teraz na aukcjach ludzie jak szaleni podbijali ceny obrazów Goi, Bacona, Gabrieli Lambretty, z cichą nadzieją, że za kilka miesięcy okaże się, iż nabyli Falsyfikat, który wart będzie trzy razy tyle.

- Prawdę mówiąc, ten temat w ogóle mnie nie interesuje - mruknęła Brunna.
- Nie? Dziwne, myślałem, że ci się spodoba.
- Niby dlaczego? Bo ja też jestem kopią, imitacją, podróbką człowieka?

Pablo Nopal uśmiechnął się czarująco. Czarująco i nie wzbudzając zaufania. Ruszył przez salę i Brunna musiała pójść za nim. Był szczupły i poruszał się z lekkością, jakby pod obszernym strojem nie kryły się twarde kości.

- Skądże znowu. Wcale tego nie powiedziałem. Pomyślałem, że ci się spodoba, bo jesteś inteligentną osobą, przyznaję, że próbowałem się o tobie czegoś dowiedzieć. A osoby inteligentne wiedzą, że w pewnym sensie wszyscy jesteśmy podróbkami. Dlatego Falsyfikaty wydają mi się najdoskonalszym obrazem naszych czasów. To nie sztuka, to socjologia. Wszyscy jesteśmy oszustami. Widzę, że jesteś dość przewrażliwiona, Husky? Gdybym był na twoim miejscu, starałbym się znaleźć przyczynę takiej nadmiernej drażliwości.

Przyczyną jesteś ty, zarozumiała, pedantyczny cholerny pa-mięciarzu, miała ochotę odpowiedzieć Bruną. Przeżuwała swoje słowa przez parę sekund, próbując uczynić je bardziej strawnymi.

- No cóż, nie wydaje mi się, że to przewrażliwienie. Raczej zmęczenie stereotypowymi uprzedzeniami. To tak, jakby tobie przypisano zainteresowanie oszustwem, bo wiąże się ono z twoją przeszłością. Pewnie jesteś przyzwyczajony do tego, że ludzie patrzą na ciebie i zastanawiają się, kim naprawdę jesteś... Pablo Nopal, pamięciarz i powieściopisarz? Czy raczej facet, który zamordował własnego wuja i wyszedł z więzienia, bo dowody uległy zniszczeniu?

Śledziła go kątem oka, trochę przestraszona własnymi słowami. Niewykluczone, że posunęła się za daleko i rozmowa właśnie się skończyła. Ale ten człowiek z miną pełnego wyższości znudzenia aż się prosił o wbicie szpili. Bruną znała takich facetów: lubili wyzwania, a nawet upokorzenia. Przynajmniej niewielkie.

- Zły przykład, Husky. Ja niczego nie zakładałem w stosunku do twojej osoby. To ty sobie wymyśliłaś tę zniewagę i ty się obraziłaś. Faktycznie, jak słyszałem, łatwo się zapalasz i jesteś dość uparta. Otóż mój wuj był złym człowiekiem, a ja jestem niewinny. Moje oszustwo polega na czymś zgoła innym.

Przez chwilę w milczeniu zwiędzali wystawę. „Falsyfikaty odzyskują artystyczne dziedzictwo historyczne i przekształcają je w społeczną interwencję, jednocześnie potwierdzając i negując jego sens. Nie istnieje większy niż ten właśnie akt kulturowego buntu”, głosił trójwymiarowy napis na ścianie. Bełkot, jak zawsze, pomyślała Bruną. Zgromadzono dzieła z różnych epok, począwszy od obrazu Elmyra D'Ory'ego z XX wieku, aż po dzieła słynnej Mary Kings, artystki cieszącej się obecnie największą sławą, która powołała do życia heteronima, malarza stwora Zapuleka, a potem poświęciła się podrabianiu Zapuleków, to znaczy fałszowała samą siebie.

- Dobrze, zacznijmy od początku - zaproponował Nopal. - Dlaczego chciałaś się ze mną spotkać? Może tu siądziemy?

Po drugiej stronie sali znajdował się świetlik, a pod nim stały dwa miękkie fotele. Rzeczywiście to było idealne miejsce do rozmowy, na uboczu, a jednocześnie tak widoczne, że spotkanie mogło uchodzić za naturalne i przypadkowe. Idealne miejsce na trudną rozmowę, zauważyła Bruną, notując to w myślach na wypadek, gdyby kiedyś

potrzebowała takiej przestrzeni. Ale dlaczego wybrał je Nopal? Bo na pewno nie znaleźli się tu przypadkiem.

- Dlaczego kazałeś mi przyjść do muzeum?
- Nie lubię gości w swoim domu. A tu jest dość wygodnie. Słucham.

Niewątpliwie był człowiekiem tajemniczym. Udało mu się na przykład zrećźnie ukryć część swojej biografii w sieci. Choć Bruna bardzo się starała, nie mogła znaleźć żadnych danych na temat jego dzieciństwa. Nopal pojawiał się znikąd jako dziesięciolatek, którego zaadoptował wuj. Ten sekret wywindował go na bohaterские wyżyny dezinformacji w dzisiejszym hiperdoin-formowanym społeczeństwie.

- Moja klientka, której nazwiska ci wcześniej nie zdradziłam, to Myriam Chi...

Bruna na ułamek sekundy zawiesiła głos, sprawdzając, czy ta wiadomość spowoduje jakąś reakcję, ale okazało się, że przeszła bez echa.

- Chi uważa, że możesz nam pomóc w śledztwie.
- Jakim śledztwie?
- Próbuje rozwiązać zagadkę repów, którzy zniemacka wpadają w szal i mordują inne androidy, a potem sami się zabijają.
- Chodzi o to zdarzenie w tramwaju...
- Nie tylko o to, w rzeczywistości były już co najmniej cztery podobne przypadki.
- A ja co mam zrobić?
- Oficjalnie tego nie ujawniono, ale repy tracą rozum, ponieważ wstrzykują sobie fałszywe pamięci. Ktoś zaczął sprzedawać śmiertelne memorki.

Nopal wykrzywił usta w złośliwym uśmiechu, pochylił się do przodu, aż znalazł się prawie oko w oko z Bruną, i zadał pytanie, ironicznie przeciągając słowa:

- A co ja mam z tym wspólnego?

Co za upierdliwy gość, pomyślała Bruna. To była jedna z takich chwil, w których żałowała, że zanikły grzecznościowe formy „pan” i „pani”, które początkowo oznaczały szacunek, a pod koniec, zanim wyszły z użycia, służyły stwarzaniu lekceważącego dystansu wobec rozmówcy, co Bruna miała okazję zobaczyć na starych filmach. No właśnie, lodowate „pan” pasowałoby jej tu idealnie. Jest pan obrzydliwym pamięciarzem, mogłaby mu oznajmić. Być może to pan jest owym łajdakiem, który pisze śmiertelne memorki. Niech się pan odsunie i nie próbuje wywierać na mnie wrażenia.

- No cóż, jesteś pamięciarzem...

Pisarz rozsiadł się w fotelu i głęboko westchnął.

- Rzuciłem to, czy raczej wyrzucono mnie dobre kilka lat temu, o czym zapewne wiesz. I zanim popełnisz błąd i zadasz niegrzeczne pytanie, uprzedzę cię i odpowiem, że nie, nie zajmuję się pisaniem nielegalnych pamięci. Nie muszę. Moje powieści dobrze się sprzedają, jakbyś nie wiedziała. No i mam pieniądze odziedziczone po ukochanym wuju.

- Ale może wiesz coś o innych pamięciarzach... Nie ma ich tak wielu. Kto może być zamieszany w tę sprawę?

- Kiedy mnie wywalili, zerwałem wszelkie kontakty z tym środowiskiem. Sama rozumiesz, że w ówczesnych okolicznościach ich kontynuowanie nie byłoby niczym przyjemnym.

- Otóż Myriam Chi uważa, że możesz coś wiedzieć.

Nopalał znów się uśmiechnął. Tym razem, ku zaskoczeniu Bruny, niemal z czułością.

- Myriam zawsze uważała, że mogę więcej niż w rzeczywistości...

Zamyślił się. Bruna milczała, czując, że mężczyzna zaraz się odezwie. Ale powiedział nie to, czego się spodziewała.

- Ile masz lat, Husky?

- Co to ma do rzeczy?

- Moim zdaniem jakieś 5/30... A może 6/31. Wtedy byłoby to możliwe.

- Co byłoby możliwe?

- Ze to ja napisałem twoją pamięć.

Branie zabrakło tchu w piersiach. Poczwała pot na karku.

- To odrażające - wyszeptwała.

I zagryzła zęby, żeby opanować mdłości.

- Wiesz co, Husky? Jest jeszcze jeden powód, dla którego umówiłem się z tobą tu, zamiast zaprosić cię do domu... Miałem przykre przejścia z paroma repami. Delikatnie rzecz ujmując, wy, technoludzie, niezbyt cenicie pamięciarzy, a ja to nawet rozumiem.

- Ujawnianie swojej tożsamości jako autora konkretnej pamięci jest zabronione. Zabronione. Nie możesz tego zrobić.

- Wiem, wiem. Spokojnie, Brano. Przepraszam za moje wcześniejsze pytanie. W rzeczywistości nigdy bym ci tego nie powiedział. Nawet gdyby nie było zabronione, a ja

bym to wiedział, to i tak bym ci nie powiedział. Słowo.

Ulga, której doświadczyła po słowach Nopala, pozwoliła jej zrozumieć, jak bardzo była przerażona. I wraz z ulgą poczuła coś na kształt wdzięczności. Uczucie zupełnie głupie, niczym nieuzasadnione i bliskie syndromu sztokholmskiego, ale nie mogła mu się oprzeć. Cztery lata, trzy miesiące i dwadzieścia dwa dni.

- Tymczasem my, pamięciarze, nie tylko nie odczuwamy antypatii w stosunku do repów, a wręcz darzymy ich specjalnym uczuciem. Przynajmniej ja. Uważam, że możliwość skonstruowania pamięci dla innej osoby to niewyobrażalny przywilej. Możesz to pojąć? Pamięć jest podstawą naszej tożsamości, więc ja jestem w jakiś sposób ojcem setek istot. Więcej niż ojcem. Jestem ich maleńkim prywatnym bogiem.

Bruna wzdrygnęła się.

- Nie jestem swoją pamięcią. Co więcej, wiem, że jest fałszywa. Ja to moje czyny i moje dni.

- No cóż, to już kwestia do dyskusji... A tak czy inaczej, nie zmienia to sensu mojej wypowiedzi... Ponieważ ja opowiadałem o swoich wrażeniach, o tym, jak ja to postrzegam. I powiedziałem ci, że kocham repów. Wzbudzacie we mnie szczególne uczucie. Głębokie poczucie współwiny.

- Świetnie. Wybacz, że nie czuję tego samego. Wybacz, że nie jestem wdzięczna mojemu małemu bogowi, kimkolwiek by był, za ten śmietnik arbitralnie wybranych fałszywych wspomnień.

- Śmietnik wybranych wspomnień? Prawdziwe życie pełne jest arbitralnych wyborów. O wiele bardziej arbitralnych niż my sami. Ja zawsze starałem się zrobić to jak najlepiej... Obmyślałem i opisywałem z największą starannością każdą z pięciuset scen...

- Pięciuset?

- Nie wiedziałaś? Jedno życie składa się z pięciuset wspomnień... Pięciuset scen. To wystarcza. Zawsze starałem się równoważyć jedno wydarzenie innymi, dać złudzenie sensu, ostateczne poczucie harmonijnej całości... Moją specjalnością były sceny ujawnienia...

- Cholerny taniec widm.

- Moje sceny ujawnienia były pełne empatii, że tak powiem. Pouczające, pełne współczucia. Wspierały dojrzewanie replikanta.

- Mój pamięciarz zabił mojego ojca, kiedy miałam dziewięć lat. Kochałam go, a jakiś przestępca bez sensu zamordował go w nocy na ulicy.

- Takie rzeczy się zdarzają, niestety.

- Ale ja miałam dziewięć lat. I przez kolejnych pięć cierpiałam jak zбитy pies, aż miałam czternaście i nadszedł czas mojego tańca widm. Po to tylko, żeby dowiedzieć się, że mój ojciec nie istniał, a więc nie został zamordowany.

- To nie tak, Bruno. Przecież wiesz, że te pięć lat, o których mówisz, nie istniało. To tylko fałszywe wspomnienie. Wszystkie sceny zostały jednocześnie umieszczone w twoim mózgu.

W ściśniętym gardle Bruna poczuła łzy bólu i wściekłości. Z trudem wydobyła z siebie ochrypły głos.

- A ból? Cały ból, który noszę w sobie? Całe cierpienie, które przechowuję w pamięci?

Nopal zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

- Takie jest życie, Bruno. Tak się rzeczy mają. Życie boli.

Zapanowała cisza, po chwili mężczyzna wstał.

- Wykonam kilka telefonów i spróbuję się wywiedzieć, co tam słychać u kolegów pamięciarzy. Skontaktuję się z tobą, jeśli trafię na coś ciekawego.

Nopal pochylił się i dotknął palcem wytatuowanego policzka Brany. Tak delikatnie, że Brana pomyślała, że sobie to tylko wyobraziła. Przyglądał swoją prostą grzywkę, uśmiechnął się czarująco i nie wzbudzając zaufania, po czym odwrócił się i odszedł. Replikantka patrzyła, jak pamięciarz się oddala, sama pozostając na fotelu, przygnębiona, z myślami, które brzęczały w jej głowie niczym rój pszczół. Pięćset scen. I to miało być całe jej życie? Próbowała znaleźć siły, żeby wstać, kiedy usłyszała dzwonek telefonu. Spojrzała na przegub dłoni - to Myriam Chi.

- Musimy porozmawiać - oznajmiła repliderka, nie tracąc czasu na powitanie.

- Co się stało?

- Powiem ci osobiście. Przyjdź do mnie jutro o dziewiątej rano.

I przerwała połączenie. Bruna gapiała się w pusty ekran, czując niechęć do samej siebie. Napawało ją goryczą, że musi słuchać takiej Myriam Chi, która wydawała jej polecenia jak własnej niewolnicy. A na myśl o tym, jak straciła panowanie podczas

rozmowy z pamięciarzem, ogarnęły ją mdłości. Fotel, na którym siedziała, znajdował się w głębi sali wystawowej, mogła więc obserwować powolny przepływ zwiedzających, najpierw od ściany do ściany, potem kierujących się w stronę wyjścia. O dziwo, na nią nikt nie patrzył. Tak jakby nikt nie zauważał tego wysokiego i charakterystycznego androida - zbyt oczywisty brak zainteresowania, by uznać go za naturalny. Tak, ów złośliwy Nopal trafił w dziesiątkę, umawiając się z nią tutaj - Bruna, oświetlona od góry zimnym blaskiem świetlika, poczuła się jak jeszcze jeden Falsyfikat. Bez wątpienia najmniej wart na całej tej wystawie.

- Bruno! Bruno! Obudź się! Wstawaj!

Replikantka otworzyła jedno oko i zobaczyła nad sobą ludzką postać. Podskoczyła na łóżku, krzyknęła, wykonała obronny gest i jej ramię, nie napotykając oporu, przecięło kolorowe powietrze. Wyostrzyła wzrok i rozpoznała starego Yiannisa.

- Do jasnej cholery, Yiannisie, tysiąc razy cię prosiłam, żebyś mi tego nie robił! - wymamrotała ze zdrtwiałym językiem i suchymi ustami.

W pokoju unosił się hologram całej postaci starego archiwisty. To była jedyna osoba, której Bruna udzieliła autoryzacji na holorozmowy.

- Nie znoszę, kiedy to robisz. Zaraz wpiszę cię na listę nieautoryzowanych!
- Przepraszam, ale nie mogłem cię dobudzić w żaden sposób, a Myriam Chi...
- A niech to, Chi!

Zanim mężczyzna wspomniiał repliderekę, Bruna spojrzała na zegar na suficie, było dwadzieścia po dziesiątej, a jej umęczone kacem synapsy z trudem zaczynały funkcjonować, przynosząc jako pierwszą informację o spotkaniu, do którego nie doszło. Powoli dokonała mglistej rekonstrukcji wczorajszego dnia: rozmowa z Nopalem, telefon od Chi, zbyt wiele wina wypitego po powrocie do domu. Samotne picie, czy raczej samotne upijanie się, to był przedostatni stopień alkoholizmu. Miała problem z piciem, to fakt, ale teraz miała też problem ze swoją jedyną klientką, którą wystawiła do wiatru. Szybkim ruchem podniosła się z łóżka, na tyle szybkim, że galaretowaty mózg uderzył w czaszkę; Bruna złapała się za głowę i na parę sekund zamknęła oczy. Dość tego: nigdy w życiu nie wypije już ani jednego kieliszka.

- Wiem, że jestem spóźniona na spotkanie z Chi! Wiem, że zawaliłam! - mruczała, wciąż mocno zaciskając powieki.

- Nie. Nie o to chodzi. Nie jesteś spóźniona.

Replikantka uniosła głowę i zobaczyła, że Yiannis stoi odwrócony plecami. No jasne, jestem goła. O mój ty nieszczęsny i staromodny rycerzu, pomyślała w duchu, czując, jak przy całym rozdrażnieniu wzbiera w niej czułość. Na ziemi leżał jedwabny szlafrok, Bruna podniosła go i narzuciła na siebie.

- Już możesz patrzeć. Dlaczego niby nie jestem spóźniona?

Yiannis, a raczej jego hologram, odwrócił się. Twarz miał bladą i napiętą - bez wątpienia przynosił złe wieści. Fala adrenaliny przebiegła przez kręgosłup Bruny i w cudowny sposób uleczyła jej ból głowy.

- Co się stało?

- Chi nie żyje.

- Co!?

- Dziś wczesnie rano zaatakowała w metrze sekretarkę z Ministerstwa Pracy. Wydłubała jej oczy i przecięła tchawicę. Nie muszę dodawać, że tamta kobieta była androidem. Następnie Chi rzuciła się pod nadjeżdżający pociąg. Zginęła na miejscu.

- Skąd o tym wiesz?

- Podali w wiadomościach.

Bruna uruchomiła ekran i stanęła twarzą w twarz z liderką androidów. Myriam na wiecu, Myriam na ulicy, Myriam się uśmiecha, podczas dyskusji, w trakcie wywiadu. Piękna i pełna życia. W wiadomościach nie podano, że miała wszczepioną fałszywą memorkę, co niczego nie dowodziło, bo - z tego, co Brunie było wiadomo - informacja o nielegalnych pamięciach nie została upubliczniona przy żadnej ze śmierci. Czy zachowanie Myriam zostało spowodowane uszkodzeniem mózgu powstałym po wszczepieniu implantu? A jeśli tak się stało, co zresztą było najbardziej prawdopodobne, to kto jej go wstrzyknął przez nos? Bo w to, że liderka RRR wszczepiła sobie pamięć z własnej woli, Bruna nie mogła uwierzyć. To było morderstwo. Oraz największa porażka w jej zawodowej karierze. Jej klientka została zamordowana zaledwie dwa dni po zatrudnieniu detektyw.

- Mówiłam jej o tym, mówiłam, że musi się pilnować, że powinnyśmy...

- Uspokój się, Bruno, uspokój się i słuchaj...

Hologram Yiannisa, teraz w pozycji siedzącej, dalej wisiał w powietrzu i wpatrywał

się uważnie nie w ekran w mieszkaniu Husky, lecz w jakiś punkt bardziej w prawo, prawdopodobnie w jego własny ekran. Obydwoje widzieli to samo. Dziennikarz, antypatyczne i sławne indywiduum o lśniących blond włosach', niejaki Enrique Ovejero, komentował wydarzenie sensacyjnym tonem.

- ...Ludzie zastanawiają się: co się dzieje z androidami? Czyżby były chore? Czy to jakaś epidemia? Czy zagraża też ludziom? Dlaczego stają się tak agresywne? Do tej pory atakowały tylko replikantów, ale czy mogą zaatakować ludzi? Jest z nami José Hericio, postać dość kontrowersyjna i zapewne wielu z was znana, adwokat i sekretarz generalny PS, Partii Supremacjonistów. Dzień dobry, Hericio. Po pierwsze, czy śmierć jednego z twoich największych wrogów, liderki RRR, nie jest dla ciebie dobrą wiadomością...?

- Nie, Ovejero, na Boga, nie cieszy mnie niczyja śmierć... Co więcej, nie tylko nie uważam tego za dobrą wiadomość, wręcz przeciwnie, to bardzo niepokojący fakt.. Czy słyszałeś o wcześniejszych przypadkach agresji?

- Tak, oczywiście, do jednego takiego zdarzenia doszło w zeszły czwartek w tramwaju powietrznym, a wcześniej była ta kobieta, która wyłupała sobie oko... Razem z Chi mamy więc już trzy podobne przypadki w ciągu tygodnia.

- Nie, nie. Chodzi mi o to, co stało się jeszcze wcześniej. Otóż miały miejsce już cztery podobne wydarzenia. Czyli w sumie jest ich siedem. Ale wcześniejsze przeszły niezauważone, bo dzieliły je większe odcinki czasu. To trwa już sześć miesięcy. Ale wszystkie przypadki są ze sobą powiązane... i nie tylko obsesją wyłupywania sobie i innym oczu. Okoliczności są bardzo podobne.

- Jakie okoliczności?

- Mój drogi, wybacz, ale te informacje zachowam dla siebie.

Rzeczywiście, wcześniej doszło do czterech samobójstw, przy czym tych czworo samobójców nikogo nie zaatakowało. Troje z nich wyłupało sobie oczy, cała czwórka miała sfalszowane pamięci. Bruna dowiedziała się tego, czytając dokumenty dostarczone przez Chi. Hericio miał więc na myśli memorki, kiedy wspominał o podobnych okolicznościach. Skąd o tym wiedział? Lider Partii Supremacjonistów był odrażającym typem - policzki napchane silikonem, przeszczepione włosy i miękkie, obślinione, zawsze wilgotne usta. Zdaniem Bruny fanatyczny ekstremizm czynił z Hericia żalostnego pajaca i raczej nikt nie powinien brać na serio

głoszonych przez niego idiotyzmów, a tymczasem w ostatnich wyborach w Regionie jego partia osiągnęła zadziwiająco wysoki, trzyprocentowy wynik.

- To ciekawe, co mówisz, Hericio, ale dlaczego zwykły obywatel nic nie wie o tych incydentach? - dopytywał się przymilnie Ovejero, udając oburzenie.

- Ponieważ kolejny raz nasz rząd, a mam na myśli Rząd Regionalny, ale również Rząd Planetarny, ukrywa przed nami pewne informacje. Ukrywa je, a może - co byłoby o wiele gorsze - wcale ich nie ma, ponieważ rządzą nami najbardziej niekompetentni politycy w historii ludzkości. I to jest bardzo poważna sprawa, mamy w naszej partii wiarygodne informacje o zawiązanym spisku replikantów, tajnym planie przejęcia władzy nad ludźmi.

- Poczekaj, nie bardzo rozumiem! Technoludzie przygotowują zamach stanu? Przecież dotąd ofiarami były wyłącznie androidy...

- Oczywiście, bo to dopiero początek... To jest część makiawelicznego planu, którego teraz nie mogę ujawnić. Ale zapewniam cię, i proszę, dobrze zapamiętaj moje słowa, otóż zaręczam ci, że już niedługo ofiarami będą też ludzie.

- Hericio, to dość śmiało twierdzenia, wręcz skrajne, i ja nie...

- Niestety, tak się stanie. Tak się stanie już wkrótce. Dlatego że ów rząd umysłowych miernot i filorepów nie jest w stanie temu zapobiec.

- A co twoim zdaniem należałoby zrobić?

- No cóż, replikanci to nasza pomyłka. W rzeczywistości nawet im współczuję, jest mi ich żal, bo są monstrami stworzonymi przez nas, przez ludzi. Są dziećmi naszego poczucia wyższości i naszej chciwości, a przy tym są niestety potworami. Dlatego należy czym prędzej ukrócić to dziwactwo - program naszej partii mówi, jak tego dokonać. Przede wszystkim zamknąć raz na zawsze wszystkie platformy poczęcia, a potem, zważywszy na krótkie życie repów, wystarczyłoby umieścić ich w odosobnieniu i poczekać, aż umrą.

- No tak. Te słynne obozy koncentracyjne z lat sześćdziesiątych. Nie wiem, czy pamiętasz, że straszliwą wojnę replikantów rozpętano z dużo błahszych przyczyn.

- Dlatego właśnie należy działać szybko, z zaskoczenia i stanowczo. Jest nas o wiele więcej. Nie możemy pozwolić, żeby oni nas zaatakowali pierwsi.

- Jeśli kiedykolwiek nas zaatakują, Hericio. No cóż, w naszym programie nie

zawsze zgadzamy się z wygłaszanymi opiniami, ale jesteśmy zwolennikami wolności słowa i stąd jest tu miejsce dla radykalnych wypowiedzi lidera Partii Supremacjonistów. Dziękuję.

Bruna stała oszołomiona. Już od dawna nie słyszała czegoś równie agresywnego. I winiła Ovejera, który najpierw zaprosił takiego idiotę do programu z dużą oglądalnością, a potem pozwolił na wygłoszenie paranoicznej agitki, nie protestując ani jednym słowem, nie próbując mu przerwać, a jedynie pozorując dyskusję. No tak, ale czego można oczekiwać od typu, który o istotach ludzkich mówił „normalni ludzie”?

- To niesłychane... Należałoby złożyć doniesienie o podżeganiu do agresji wobec innego gatunku - wymruczał Yiannis.

Może Hericio zapłacił dziennikarzowi, pomyślała Bruna. A może fanatyczna nienawiść do replikantów rosła szybciej, niż można by przypuszczać. Wzdrygnęła się. „Husky, wiesz przecież doskonale, jak bardzo jesteśmy dyskryminowani”, tak brzmiały słowa Myriam. I ona też wspominała o tajnych spiskach i knowaniach. .. po drugiej stronie. To niemożliwe, oni wszyscy poszaleli. Tu chodzi o coś o wiele głupszego i prostszego. Na czarnym rynku znalazła się seria uszkodzonych memerek. Poczula, jak gdzieś w jej mózgu kielkuje nowa myśl. Postanowiła ją ignorować, bo zazwyczaj takie myśli rozwijały się same, kiedy ona się nimi nie przejmowała.

- Muszę iść do RRR, Yiannisie.
- Oczywiście. A ja muszę wrócić do pracy.

Hologram mężczyzny zniknął. Bruna wzięła szybki prysznic parowy, ubrała się w połyskliwą fioletową spódnicę i niebieską bluzkę, wyjęła z lodówki kubek z podwójną porcją kawy, by wypić go po drodze. Złapała taksówkę i po chwili była na miejscu. Ledwie zdążyła potrząsnąć kubkiem, żeby się zagrzał, i duszkiem wypić kawę, kiedy taksówka zatrzymała się przed siedzibą Radykalnego Ruchu Replikantów.

- Będzie mi tu śmierdziało kawą - mruknęła taksówkarka.
- Przecież to bardzo przyjemny zapach. Powinnam dostać zniżkę za kurs - spokojnie odparła Bruna.

Ale kiedy już wysiadła, przemknęła jej przez głowę niepokojąca myśl: ta kobieta była wobec mnie niemiła, bo jestem replikantką. Bruna potrząsnęła głową, złościąc się na samą siebie. Wkurzyło ją, że uległa obsesji. Powszechnie wiadomo, że taksówkarze nie

lubią, kiedy ich pasażerowie jedzą czy piją. Cztery lata, trzy miesiące i dwadzieścia jeden dni.

Przed wejściem do siedziby RRR oprócz pilnujących jej zazwyczaj strażników stały dwa wozy policyjne. Zapytała o Valo Nabokov, szefową ochrony i kochankę Chi, i ku jej zaskoczeniu kobieta przyjęła ją natychmiast. Bruna weszła do gabinetu i zobaczyła, jak odwrócona plecami Valo spogląda przez okno. Była wzrostu Bruny i pewnie była również replikantką bojową, choć ubraną w zdecydowanie bardziej kobiecym i wyrafinowanym stylu: wąskie spodnie, szeroka spódnica z przezroczystej tkaniny z trójwymiarowymi kropkami, udającymi pączki róż, wysokie koturny. Kruczoczarne, gęste włosy upięte w misterny kok na czubku głowy.

- Siadaj, Husky - wydała polecenie, nawet się nie odwracając.

W gabinecie stał fotel z ekoskóry i czerwone krzesło z pleksi-glasu. Bruna wybrała krzesło, nie chciała się głęboko zapadać. Minęło parę długich sekund, wreszcie Valo odwróciła się. Nie była brzydka. Wszystkie androidy miały regularne i harmonijne łusy twarzy (czasami Bruna myślała sobie, że to dlatego ludzie za nimi nie przepadają), choć nie wszystkie były jednakowo atrakcyjne. Szefowa ochrony sprawiała raczej nieprzyjemne wrażenie. Replikantki bojowe miały niewielkie piersi, co przydawało się w trakcie walki, ale Nabokov wszczepiła sobie dwa ogromne implanty, teraz mocno uniesione i obnażone, rodzaj mięsnego bufetu pod kwadratową, bladą twarzą.

- Powiedz mi jedno - warknęła.

- Tak?

- Pracujesz dla nas od dwóch dni. Powiedz mi, co odkryłaś. Powiedz, kto jej to zrobił.

- Na razie nic nie wiem.

Kobieta spojrzała płomiennym wzrokiem. Pod oczami mocno znaczyły się plamy cieni.

- Nie ochroniłaś jej. To twoja wina. Ty byłaś za nią odpowiedzialna i nic nie zrobiłaś.

- Chi nie zleciła mi swojej ochrony, ale śledztwo w sprawie śmierci repów. Jej ochrona należała do ciebie.

Replikantka przymknęła oczy z prawie niedostrzegalnym grymasem bólu. A potem

znów spojrzała na Brunę z szaleństwem w oczach. Miała potargane włosy i przypominała jeden z takich starożytnych medalionów z portretami furii, które Yiannis kiedyś jej pokazywał.

- Idź już.
- Poczekaj, Nabokov, jest mi bardzo przykro z powodu twojej straty, ale muszę z tobą porozmawiać...
- Idź już!
- Myriam wczoraj do mnie dzwoniła. Sądzę, że miała mi coś do powiedzenia, może odkryła coś ważnego. Poprosiła o spotkanie dziś o dziewiątej.

Valo utkwiała wzrok w Brunie, która po chwili spuściła oczy. Przyjrzała się dłoniom szefowej ochrony: dużym, kościstym, drżącym. Zaciśniętym dłoniom, które, rzecz niezwykła, wyglądały jak pokryte regularnymi, ciemnymi piegami. Ale to nie były piegi, tylko maleńkie, na pół zabliznione rany, może po oparzeniach.

- Ale nie przyszedłeś... - wyszeptała Valo.
- Proszę?
- Na spotkanie o dziewiątej. Nie przyszedłeś.

Bruna zmieszana się.

- Tak. Zasnęłam. A potem zobaczyłam wiadomości.

I właśnie w tej dość nieodpowiedniej chwili w jej głowie wykielkowała myśl, której wcześniej nie poświęciła uwagi: nie tylko to, że Hericio znał pewne okoliczności, jest dziwne. Niepokojące jest również to, że znała je Chi. W jaki sposób repliderka dotarła do tych faktów? I skąd, do diabła, i on, i ona wiedzieli, że wszystkie ofiary miały wszczepione sfalszowane pamięci? Kto udzielił im informacji, która była jedynie w posiadaniu policji? No tak, może w tych wszystkich teoriach spiskowych tkwi ziarno prawdy... Co więcej, obsesja na punkcie oczu zaobserwowana u wszystkich ofiar nie mogła być skutkiem przypadkowego uszkodzenia memorek.

Owe myśli zdążyły przelecieć jej przez głowę, kiedy Valo odwróciła się w kierunku stołu i opadła bez sił na krzesło przed ekranem. Uniosła głowę i rzuciła Branie twarde spojrzenie.

- Jesteś zwolniona.
- Zwolniona?

- Spadaj stąd. Już.

Cholera jasna, straciłam trzy tysiące gai na fałszywą pamięć, skonstatowała Brana, nie bez odrobiny żalu za utraconą kasą. Ale zaraz oprzytomniała: nie ma mowy, nie chcę zostawić tej sprawy, muszę wyjaśnić, co się stało. Muszę dalej prowadzić to śledztwo.

- Dobrze, już sobie idę, ale powiedz mi tylko jedno: jak Chi dowiedziała się o...

- Nie mamy o czym rozmawiać. Już dla nas nie pracujesz. Zostałaś wyłączona ze sprawy. Zachowaj sobie zaliczkę. W ten sposób jesteśmy na czysto. A teraz... wynocha stąd!

No niezupełnie na czysto, bo Brana popełniła szaleństwo i kupiła memorkę na czarnym rynku, ale to raczej nie był dobry moment, żeby rozmawiać o zwrocie kosztów: Valo wyglądała na naprawdę wściekłą. Detektyw wstała i wyszła z gabinetu, bardziej zła z powodu tych wszystkich pytań, których nie udało się jej zadać, aniżeli z powodu nagłej przerwy w dopływie gotówki.

Idąc szybko korytarzem w stronę wyjścia i w zamyśleniu rozważając swoje wątpliwości i płatności, prawie zderzyła się z Habibem, osobistym asystentem repliderki. Poznała go dwa dni temu: to on dostarczył jej informacje i dokumenty związane z wcześniejszymi wypadkami. Przystojny, urokliwy replikant eksplorujący. Gdyby nie to, że Bruna nie chciała już wiązać się z innymi androidami, z przyjemnością by sobie z nim poflirtowała.

- Hej, Husky, gdzie tak pędzisz? Akurat cię szukam.
- Właśnie mnie zwolniono. Jeśli to miałaś mi powiedzieć, to już nie musisz.

Habib otworzył oczy ze zdumienia.

- Co ty mówisz? To Valo? Nie zwracaj na nią uwagi. Zachowuje się jak oszalała i ja to rozumiem. Wszyscy jesteśmy trochę wytrąceni z równowagi. To potworny cios.

Głos mu zadrżał, prawie się załamał.

- Tak... Mnie też to przeraziło.
- Nie odchodź, Bruno. Teraz potrzebujemy cię bardziej niż kiedykolwiek.

Chodźmy do mojego gabinetu.

Wszystkie pokoje w budynku RRR były do siebie podobne, przypominały surowe, niemal klasztorne cele, tak jakby jakiegokolwiek ozdoby były niezgodne z ideologią ruchu. Jednak na biurku Habiba stał flakonik z bukiecikiem mimozy.

- To żywe kwiaty?

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Nie, hologram. No właśnie, zdaje się, że masz ciągle kulę holograficzną Myriam, to znaczy tę holograficzną groźbę...

Bruna przypomniała sobie, że zaczęła szczegółową analizę obrazów, która do tego czasu musiała dobiec końca, a ona nie widziała jeszcze rezultatów.

- Tak. Właśnie poddawałam ją analizie. Oddam ci kulę dziś wieczorem. No więc pracuję czy nie pracuję przy tej sprawie?

- Oczywiście, że pracujesz. Porozmawiam z Valo. Zresztą ona nie ma prawa cię wyrzucić.

- A ty masz?

- Ja - tak, ale tego nie zrobię. Ale jeśli chcesz wiedzieć, kto przejął władzę w RRR po śmierci Myriam, to informuję cię, że ja jestem jej następcą do czasu nadzwyczajnego zgromadzenia, które właśnie zwołałem. Odbędzie się za dwa tygodnie.

- I co się wtedy stanie?

- Najprawdopodobniej zatwierdzą mnie na tym stanowisku. Co nie znaczy, że zamordowałem Myriam, żeby zająć jej miejsce - stwierdził z uśmiechem pozbawionym radości.

- Zamordowałem?

- Jestem przekonany, że ona nie wstrzyknęła sobie memorki.

- Ja również. No właśnie, skoro o sfalszowanych pamięciach mowa, w jaki sposób dowiedzieliście się o wcześniejszych przypadkach?

- Od Myriam. Któregoś dnia pojawiła się tu z tymi informacjami. Bardzo zmartwiona.

- No tak, ale kto jej powiedział?

- Nie wiem. Powiedziała mi tylko, że otrzymała je z zaufanego źródła.

- Nie wydało ci się dziwne, że wiedziała o memorkach? Taką informację możesz uzyskać tylko wtedy, jeśli masz dostęp do oficjalnych raportów z sekcji zwłok...

- Nie, wcale mnie to nie zdziwiło. Myriam zawsze była doskonale poinformowana. Miała wszędzie zaufanych ludzi i odpowiednie kontakty. Nawet jednego przyjaciela pamięciarza. Była wyjątkową kobietą.

W rzeczywistości to nie było znów tak trudne, doszła do wniosku Bruna, ona sama miała dostęp do wyników sekcji Caty Cain... A co do pamięciarza, natychmiast pomyślała o Pablu Nopalu.

- Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?
- Odwiedziła mnie w gabinecie wczoraj po południu. Musieliśmy podjąć parę decyzji związanych z RRR, jak to w pracy.

Ale miałem wrażenie, że jest zdenerwowana, rozkojarzona. Zapytałem, o co chodzi, i gadaliśmy o tych zabitych replikantach. Potem wstała i wyszła. Powiedziała, że jest bardzo zmęczona i że uda się prosto do domu, żeby się położyć. Ale nie zrobiła tak, przynajmniej nie wyszła główną bramą. Ochroniarze Myriam czekali do północy, potem zaczęli jej szukać na górze, jednak nigdzie nie mogli jej znaleźć.

- Dlaczego czekali tak długo?
- Wiele razy zostawała do późna, żeby popracować.
- Nie zaniepokoiło ich to, że jej nie znaleźli?
- Zaniepokoiło, więc do mnie zadzwonili. A ja skontaktowałem się z jej asystentką

Nabokov, która również nie miała pojęcia, że Chi nie poszła do domu. Szaleliśmy ze strachu. I nie bez powodu.

Przez chwilę milczeli, a upiorne obrazy śmierci Myriam przewijały się z piskiem przed ich oczyma. Przestrzeń między nimi zalśniła krwawą poświatą.

- O której rozmawiałeś z Chi?
- Między siódmą a ósmą wieczór. I ja ostatni widziałem ją żywą.

Bruna starała się nie okazać lekkiego zaskoczenia. Myriam telefonowała do niej o wpół do ósmej.

- Jesteś pewien?

Habib uśmiechnął się. On też miał wyraźne cienie pod oczami i bladą twarz.

- Oczywiście. I nie musisz kryć zdziwienia. Byłem z nią, kiedy do ciebie dzwoniła.

I wiem, co chciała ci powiedzieć.

Teatralnie zawiesił głos, Bruna o mało nie straciła cierpliwości.

- Możliwe, że... Musisz przyrzec, że zachowasz to w absolutnej tajemnicy, Husky.

Dużo ryzykujemy. No cóż, niestety, możliwe, że w ostatnie rzezie są zamieszani replikanci. To raczej nie najlepsza informacja, jeśli chodzi o nasze ugrupowanie, ale

obawiam się, że owa hipoteza podbudowana jest sporą ilością dowodów.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Jakie dowody masz na myśli?
- Od zawsze istnieli agresywni replikanci, sama wiesz. I jeśli mam być szczery,

doskonale to rozumiem, bo marginalizacja i upokorzenie, których doświadczamy ze strony ludzi, są trudne do zniesienia. W RRR nie jesteśmy zwolennikami przemocy, zarówno ze względów etycznych, jak i strategicznych. Nasz ruch próbuje stworzyć demokratyczną przestrzeń do walki o godność i równe prawa dla naszego gatunku.

Bruna powstrzymała grymas zniecierpliwienia.

- Tak, wiem, wiem. Ale rozmawialiśmy o dowodach...
- Zamek w drzwiach do gabinetu Myriam został przestawiony przez któregoś z

replikantów z firmy sprzątającej Ideał. Zamek nie zarejestrował klucza osoby, która zostawiła kulę holograficzną na stole.

- Rozmawialiście z firmą?
- Nasi technicy odkryli wczoraj rano, że manipulowano przy zamku, i natychmiast

pojechaliśmy do siedziby Ideału. Spóźniliśmy się o kilka minut. Zdążyli uciec, a wcześniej usunęli wszystkie bazy danych.

- Uciekli w samą porę...

Habib westchnął.

- Tak... Pomyślałem to samo. Trudno mi w coś podobnego uwierzyć, ale możliwe, że ktoś z RRR uprzedził ich o naszej wizycie... Problem w tym, że mógł to być każdy, bo o sprawie wiedziało mnóstwo osób: technicy, niektórzy członkowie rady, chłopcy Valo...

- Chłopcy Valo?
- Replikanci bojowi, pracownicy ochrony. Wiesz przecież, że wielokrotnie nas atakowano. Wczoraj pojechaliśmy do tej firmy z dziesięcioma w obstawie. Na wszelki wypadek.

- Od kiedy współpracujecie z Ideałem?
- Od czterech czy pięciu miesięcy. Poszukam dokładnej daty. Tak czy inaczej, fakt, że w sprawę zamieszana jest firma, zdaje się wskazywać, że to nie odosobniony akt jednostkowej agresji, ale o wiele głębsza, skomplikowana i dokładnie zaplanowana intryga... I jest coś jeszcze. Widziałas tego fanatyka, Hericia, w wiadomościach?

- Tak.

- To zastanawiające, że występuje akurat teraz z tymi swoimi opowieściami, prawda? A nie wydaje ci się dziwne, że zna tyle szczegółów? Wiemy, że Hericio spotkał się z jakimś repem.

- Skąd wiecie?

Habib wyduł usta i machnął ręką.

- No cóż... Powiedzmy, że staramy się być na bieżąco z poczynaniami wroga. Ktoś z naszych widział Hericia rozmawiającego z replikantem, w publicznym miejscu, ale niespecjalnie się z tym afiszującego.

Bruna przypomniała sobie fotele pod świetlikiem w' Muzeum Sztuki Współczesnej.

- Gdzie się spotkali?

- Na przystanku tramwajowym. To ważne?

Detektyw pokręciła głową, czując się odrobinę głupio.

- Podejrzewamy, że mógł to być ktoś z Idealu. To firma tworzona wyłącznie przez androidy. Zawsze staramy się współpracować z naszymi. Myriam doszła do wniosku, że PS udało się w jakiś sposób przekupić tych nieszczęśników. I że wszystko zaplanowano w celu zdyskredytowania naszego ruchu i podburzenia nastrojów przeciwko androidom, co sprzyja partii Hericia.

Bruna przez chwilę rozważała taką możliwość.

- Brzmi prawdopodobnie. Niestety, nie możemy odrzucić hipotezy, że chodzi o jakąś nową grupę repterrorystów.

- Ale po co by mieli atakować inne androidy?

- Żeby je przestraszyć, żeby je przekonać, że to spisek supremacjonistów, jak sam powiedziałaś... Żeby zradykalizować nastroje wśród replikantów i nakręcić spiralę agresji między gatunkami.

- Mhm... owszem... możliwe. Tak czy inaczej, potrzebujemy jak najszybciej wyjaśnić, co się dzieje. Obserwujemy znaczący wzrost napięcia społecznego. Myriam była tego świadoma i dlatego wczoraj do ciebie zadzwoniła. Wiem, o co chciała cię poprosić: żebyś prześwietliła PS, w szczególności Hericia. I, jak widać, jego poranne wystąpienie dziś w wiadomościach tylko potwierdza hipotezę Chi.

Bruna lekko skinęła głową.

- Dobrze. Zobaczą, co uda mi się zrobić.

Wstali i Habib odprowadził ją do drzwi gabinetu. Tylko dwa kroki, pokój był niewielki. Przed przekroczeniem progu Bruna odwróciła się.

- Jeszcze tylko jedno pytanie: co się stało z dłońmi Nabokov?

Mężczyzna zmarszczył czoło i przyglądał się Branie, jakby się zastanawiał, co jej odpowiedzieć.

- Valo nie czuje się dobrze - powiedział w końcu. - Wystąpiły... wystąpiły u niej pierwsze oznaki WGT. Tylko się domyślamy, bo ona nie chciała pójść do lekarza.

Chodzi za to do jakiejś znachorki... Ślady na dłoniach to po ukąszeniach żmii. Afrykańskiej żmii, która podobno leczy repara. Sama wiesz, jak to działa.

Owszem, Brana wiedziała. Nieuchronność i żarłoczność WGT sprawiała, że wiele androidów poszukiwało cudownych sposobów leczenia, kwitł więc rynek różnorodnych terapii alternatywnych i mnożyli się lekarze oszuści. Jak wszystkie androidy i ona otrzymywała wbrew swej woli reklamy hordy szarlatanów, którzy obiecywali wyleczenie repara za pomocą fal magnetycznych, promieni gamma, terapii chromatycznych czy zwierzęcych jadów, jak w przypadku Nabokov. Niestety, z tego co wiedziała, jak dotąd nikomu nie udało się uniknąć przedwczesnej śmierci.

Wróciła do domu potwornie przygnębiona. Zdarzały się takie dni, które już od rana źle się układały, a życie zdawało się przygniatać swoim ciężarem jak nasiąknięta wodą wełniana derka. Kiedy pomyślała o szalbierskiej praktyce leczenia jadem żmii, uświadomiła sobie, że od paru dni nie sprawdzała poczty, otworzyła więc skrzynkę, która była pełna ogłoszeń reklamowych, trójwymiarowych i holograficznych. Zostały zaprogramowane tak, by zastartować wraz z pierwszym promieniem światła, i teraz, tuż po aktywacji, wypełniały maleńkie pudełko natłokiem kształtów i kolorów, zgiełkiem głosów i piskliwych dźwięków. Dlatego nie znośę odbierać listów, pomyślała ze złością, po czym zaczęła wyjmować reklamy i wrzucać je do żółtych pojemników, które kiedyś były skrzynkami: reklamy wczasów nad morzem, rowerów słonecznych Torresa, siłowni, lipolaserowej chirurgii plastycznej i tych cholernych cudownych terapii przeciwko reprakowi. Ogłoszenia z piskiem lądowały w koszu, a tam, znowu w ciemnościach, milkły. Co za ulga, westchnęła. W swojej pasji wyrzucania Bruna omal nie pozbyła się maleńkiej koperty. Na szczęście w porę ją zauważyła i otworzyła: to była kupiona u dilerki memorka, którą wysłała do laboratorium; właśnie przysłano wyniki jej analizy.

Powodowana ciekawością, zaczęła czytać raport, nie ruszając się spod skrzynek. Z analizy wynikało, że to nielegalna pamięć, ale nie sfalszowana, zatem ani nie wywoływała agresji, ani nie powodowała śmierci. Po takim wstępie następował szczegółowy opis scen, które zawierała memorka, było ich pięćset, co zgadzało się z wyjaśnieniami Nopala. Przeleciała je wzrokiem, jakby patrzyła na rozgniecionego karalucha. Na koniec laboratorium dołączyło rachunek za wykonaną pracę - trzysta gai. Tego tylko brakowało. Jediną dobrą stroną tej sytuacji był fakt, że Bruna nie będzie musiała znów spotykać się z nieszczęsną syndmutantką o zwisających uszach - ów trop wiódł donikąd.

Przekroczywszy próg mieszkania, podeszła do lodówki i nalała sobie kieliszek białego wina, który wypila jednym haustem. Rozkazała domowi, by podniósł żaluzje i otworzył na oścież wszystkie okna. Potrzebowała powietrza i światła. Obsesyjnie powracało wspomnienie Myriam: wyobrażała sobie napad szaleństwa, gwałtowny atak na tamtą kobietę, koła metra miażdżące jej ciało. A potem znów widziała dłonie Nabokov, z regularnymi, sinymi rankami. Nalała sobie kolejny kieliszek wina, podgrzała dwa sojowe hamburgery z algami i zjadła je, metodycznie i w skupieniu przeżuując każdy kęs. Skoncentrowała się najedzeniu, żeby wyrzucić z głowy prześladowające ją obrazy. Kiedy skończyła, była na tyle spokojna, że mogła zabrać się do pracy. Napełniła kolejny kieliszek, usiadła przed ekranem i zobaczyła, że Habib przysłał jej już informacje o firmie sprzętającej. Poświęciła trochę czasu, by wyszukać jej dane w różnych oddziałach administracji regionalnej. Okazało się, że Ideał pojawił się znikąd na tydzień przed podpisaniem umowy z RRR, że miał tylko dwóch pracowników zatrudnionych na stałe - dwa androidy - a Radykalny Ruch Replikantów był jego jedynym klientem. W sumie wyglądało to dziwnie.

Zamyślona Bruna poszukała w komputerze analizy filmu z obrazkami z rzeźni. Przeszukiwanie w sieci zakończyło się już parę godzin temu i wyniki czekały. Program nie zdołał zidentyfikować miejsca ani zrekonstruować wymazanych śladów, ani dostarczyć jakichś istotnych wskazówek, choć analiza źródeł dawała 51% prawdopodobieństwa, że patroszenia zwierzęcia dokonano prywatnie, a nie w rzeźni. Żadnych nowych informacji, poza jednym szczegółem: w pewnym momencie w ostrzu noża odbijała się twarz osoby dokonującej nagrania - fragment brwi, policzka, oka... a w

nim pionowej źrenicy, źrenicy replikanta. Zmartwiła się: wina, a przynajmniej współwina androidów stawała się coraz bardziej oczywista. Skopiowała zdjęcia, wyjęła chip z komputera i włożyła go do kuli holograficznej, wezwała firmę kurierską i kiedy dwadzieścia minut później maleńki robot zapiszczał pod jej drzwiami, włożyła kulę, memorkę i astronomiczny rachunek - zwrot wydatków związanych ze śledztwem - do skrzynki automatycznego posłańca, po czym wysłała go do Habiba.

A resztę popołudnia przeznaczyła na tracenie czasu.

Starła się przejrzeć dostarczoną przez Habiba dokumentację czterech pierwszych wypadków śmiertelnych, była jednak zbyt zmęczona, a kolejne lampki wina spowodowały senność, której nie mogła opanować. Próbowła położyć się i zdrzemnąć, ale napięcie nie pozwoliło jej zasnąć. Gimnastyka nie wchodziła w grę, bo już sama myśl o wysiłku fizycznym sprawiła, że poczuła się wyczerpana. Otępiła rozłożyła się na sofie z kolejnym kieliszkiem białego wina, ale chwilę później wewnętrzny niepokój kazał jej wstać i błędnym krokiem przejść przez pokój. Udało się jej dołożyć jeden kawałek puzzli, co tak ją zmęczyło, że zostawiła układankę. Przeczytała kilka stron ostatniej powieści Malencii Piñeiro, zupełnie nic z nich nie rozumiejąc. Założyła trójwymiarowe okulary i zaczęła grać w wirtualne gry, konkurs strzelania z łuku, wyścig rakiet i slalom gigant, ogłupiające, uzależniające zabawy, które zazwyczaj uwalniały głowę od myśli i delikatnie otumaniały, ale tym razem ich monotonia tylko rozstroiła jej nerwy.

Spojrzała na zegarek, była za dziesięć dziesiąta, zrozumiała, że podświadomie próbowała przeczekać aż do zapadnięcia nocy, kiedy najprawdopodobniej swój dyżur zaczynał Gandara; Bruna mogła udać się do Instytutu Medycyny Sądowej i obejrzeć zwłoki Myriam Chi.

Ochłodziło się, Bruna założyła kurtkę termiczną na koszulkę i spódniczkę z metalicznym połyskiem, po czym wyszła na ulicę. Było jej trochę niedobrze: wypila zbyt dużo wina do zaledwie dwóch sojowych hamburgerów. Tymczasem pół godziny później, kiedy zagłębiała się w ciemne korytarze instytutu, a jej kroki niosły się echem po zniszczonej kamiennej posadzce, bała się, że jest zbyt trzeźwa, i żalowała, że nie wypila kilku kieliszków więcej.

Na szczęście tej nocy był tu stary Gandara. Zobaczyła go przez szybę między jego gabinetem a pierwszą salą sekcyjną, gdzie osobiście grzebał w jakichś zwłokach. Chociaż

dzięki robotom i telechirurgii można było nie dotykać zmarłych, Gandara wciąż używał własnych dłoni podczas autopsji: twierdził, że żadna technologia nie jest w stanie zastąpić drobiazgowej wnikliwości bezpośredniego badania. To właśnie robił, pochylony nad czymś, co kiedyś było kimś; wyglądem - stosownie do swej profesji - przypominał sępa płowego, o twarzy właściwie bez zmarszczek dzięki rutynowym zabiegom odmładzającym, ostrym, wydatnym nosie, gęstych brwiach, nastroszonych włosach, długiej, chudej szyi, czarnych, przenikliwych oczach. Gandara uniósł głowę i dostrzegł Brunę, gestem dłoni zaprosił ją do siebie. Dłoni w rękawiczce i całej we krwi. Bruna przez chwilę się wahała, więc lekarz sądowy raz jeszcze zamachał, krople krwi zaślśniły niczym chińska laka w mocnym świetle reflektora. I wtedy Bruna dostrzegła ciemną, puciołowatą twarz leżącego na stole trupa z wybebeszonymi wnętrznościami - nie знаła tego człowieka. Odetchnęła głęboko i pchnęła drzwi sali sekcyjnej. Nie była pewna, czy zniosłaby, że Gandara grzebie w ciele Chi.

- Cześć, Husky, co tam słycać? Zdaje się, że byłaś tu parę dni temu...
- Tak.
- Przestraszyłaś mojego asystenta.
- Łatwo go przestraszyć.
- To kretyn. Przyszłaś tu w związku z Chi?
- Oczywiście. Bystry z ciebie facet.
- No jasne. Ten krętym Kurt mówił, że interesowałaś się sprawą Cain.
- Tak.

Gandara rozmawiał, nie przerywając czynności związanych z otwartymi zwłokami. Zwłokami, na które Bruna spojrziała, zmuszając się do tego, a które nie były już nikim. Martwe ciało, ciemna krew, kilogramy materii organicznej, które nie były już niczym. To był człowiek, ale śmierć niwelowała wszelkie różnice.

- Sprawa Chi wygląda tak samo. Też miała wszczepioną śmiercionośną pamięć, tak jak Cain. Chcesz zobaczyć?
- Pamięć?
- Nie, Chi. Memorkę odesłałem do laboratorium bioinżynierii.

Nie, pomyślała Bruna. Powiem, że nie, że nie chcę, żeby mi pokazywał repliderkę. Ale nie była w stanie wykrztusić słowa.

- Depozyt, proszę o wydanie Myriam Chi - rozkazał lekarz centralnemu systemowi.
- Poczekaj chwilę, tylko się trochę ogarnę.

Gandara mył ręce pod strumieniem pary, w tym czasie otworzyły się drzwi chłodni i zautomatyzowany wózek przywiózł ciało kobiety. Nie chcę jej widzieć, jeszcze raz pomyślała Bruna. I zbliżyła się do kapsuły, choć zrobiła to jak automat.

- Jest trochę pokiereszowana. W końcu rzuciła się pod pociąg. Ale jak na kogoś, kto został przejechany, nie wygląda najgorzej. Z wyjątkiem odciętej nogi. Uderzenie rozerwało jej wnętrzności. Proszę otworzyć kapsułę.

Przezroczysta pokrywa metalowego walca rozsunała się z sykiem. Wewnątrz, w oparach płynnego azotu, spoczywały zwłoki Myriam Chi. Sina, naga, ogolona, z bliznami po sekcji na czaszce i torsie. Bez śladu zniekształceń na twarzy. I bez makijażu. Dziecinna i bezbronna. Poniżej groteskowa płatanina nóg. Ta odcięta i w kawałkach została złożona w całość, niczym puzzle. W myślach Bruny mignął obraz z kuli holograficznej: ciało Chi, zmasakrowane i znieważone. Kiedy zobaczyła to wtedy, po raz pierwszy, to było kłamstwo. Zamknęła oczy i wyrzuciła wspomnienie ze swoich myśli. Nic nie czuję, pomyślała. Przede mną leży kawałek zimnego mięsa.

- Mimo wypadku wciąż jest bardzo ładna, prawda? Jutro oddam ciało ludziom z RRR, będą mogli urządzić wspaniały spektakl pogrzebowy, domagając się zemsty.
- Gandara, potrzebuję laboratoryjnych analiz memorek... Muszę wiedzieć, co jest na tych cholernych implantach.
- Też chciałbym to wiedzieć, ale ludzie z bioinżynierii nic mi nie dali... Ani teraz, ani przy Cain, ani przy tych z tramwaju. To ciekawe, że Policja Sądowa postanowiła utajnić wszystkie raporty...
- Bardzo słuszna decyzja, przynajmniej moim zdaniem - odezwał się jakiś głos za ich plecami.

Bruna i lekarz odwrócili się. Stał przed nimi ogromny mężczyzna, wyższy niż Husky i dwa razy od niej szerszy w barach. Masywnym cielskiem zasłaniał drzwi.

- Ponieważ obawiam się, że mając te raporty, a jesteś, jak podejrzewam, lekarzem sądowym o nazwisku Gandara, przekazałbyś je temu oto, nieznanemu mi, androidowi - dokończył.

Mówił powoli, sennie, przeciągał słowa, jakby tkwił w letargu; jego zielone oczy,

ukryte pod ciężkimi powiekami, chyba nigdy do końca się nie otwierały; postać wbita ciężarem ciała w ziemię wyglądała, jakby chciała się w nią zapaść.

- My też nie wiemy, co z ciebie za pieprzony dupek - Bruna celowo użyła wulgaryzmu.

Kłamała, bo tani, zwykły, trzyczęściowy mundur - szare spodnie, koszula i nieco ciemniejsza termiczna kurtka - zdradzał jego zajęcie. Na pewno był policjantem.

- Inspektor Paul Lizard, z Policji Sądowej - mężczyzna pokazał swój identyfikator.
- A ty jesteś...

- Jestem siostrą ofiary - wyjaśniła ironicznie Bruna.

- Ty jesteś zapewne tą detektyw, którą zatrudnił RRR, tak? Bruna... Bruna Husky - powiedział spokojnie Lizard, sprawdzając zapiski w swoim komfonie.

- Jasnowidz.

- Cieszę się, że cię spotkałem. Właśnie chciałem z tobą porozmawiać.

- O czym? Może o tym, dlaczego ukrywacie informacje o podrabianych pamięciach?

- Niewykluczone. Możesz się zjawić jutro w komisariacie? Wiesz, gdzie on jest, mam nadzieję. O trzynastej?

- A dlaczego miałabym to zrobić?

- Bo to ci się przyda. Bo możemy sobie pomóc. Bo jesteś ciekawska. Bo jeśli nie przyjdiesz sama, wydam rozkaz zatrzymania i cię do mnie doprowadzą.

Mężczyzna podszedł do nich. Stał przy kapsule i przyglądał się zwłokom Chi, a jego oczy pod opadającymi powiekami okazały się nader przenikliwe. Pod tym spojrzeniem skrywa naturę drapieżcy, pomyślała Bruna.

- Jeśli nikt nie wyjaśni kwestii fałszywych pamięci, które powodują szaleństwo u repów, to okaże się, że my, androidy, jesteśmy niebezpiecznymi zabójcami. A to przecież kompletna bzdura.

Te słowa same wypłynęły z ust Bruny, jakby wypowiedziane na czyjś rozkaz. I natychmiast zrozumiała, że Myriam Chi miała rację, że istnieje spisek, że być może ten zwalasty i skryty inspektor jest w to zamieszany. Liderka RRR przestrzegła ją: nie możesz ufać policji.

- A dlaczego działa? Bo w głębi ducha wy, ludzie, boicie się nas, androidów...

Gardzicie nami, ale jednocześnie czujecie przed nami lęk. Ty też, inspektorze? Budzę w tobie lęk? Odrazę?

- Husky, co ty mówisz... - mruknął niezadowolony Gandara.

Ach, pomyślała Bruna, więc on też. Stary lekarz sądowy od razu stanął w szeregu z nowo przybyłym. Przedstawiciele jednego gatunku tworzą między sobą najsilniejszą więź. Chociaż nie, to nie do końca tak, Bruna starała się myśleć racjonalnie: nic dziwnego, że Gandara poczuł się dotknięty jej słowami, ponieważ nigdy wcześniej nie wygadywała podobnych bzdur. Poczula się zobowiązana do wystąpienia w imieniu Myriam Chi. Tak jakby musiała powiedzieć to, co powiedziałaaby tamta.

- Jedyne, co budzi mój lęk, to głupota - odparł Lizard.

- Ilu inspektorów replikantów jest w Policji Sądowej?

Mężczyzna westchnął ze zrezygnowaną miną.

- Odpowiedz mi! Ilu jest u was inspektorów replikantów? - Bruna prawie krzyczała.

Lizard obrzucił ją flegmatycznym spojrzeniem.

- Żadnego - odparł.

Husky oniemiała. Nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Prawdę powiedziawszy, jeszcze przed momentem nie przyszłoby jej do głowy o to pytać. Poczula bolesne ukłucie myśli. Zrozumiała, że zepchnięto ją na margines. Poczula, że w środku uwalnia się mechanizm ślepej furii. Odwróciła się na pięcie i nie pożegnawszy się, opuściła salę. Za plecami usłyszała niski głos Paula:

- Pamiętaj, jutro o trzynastej w komisariacie!

Bruna przemierzyła ciężkim krokiem mroczne korytarze, przeszła przez hol, nie pozdrowiwszy stojących tam strażników, i szybko opuściła instytut, jakby chciała z niego uciec. Ledwie jednak znalazła się za progiem budynku, przyhamowała. Zatrzymała się po paru metrach, w środku nocy, na opustoszałej ulicy, nie wiedząc, co ma zrobić i dokąd pójść. Była zbyt poruszona, by tak po prostu wrócić do domu. Zbyt rozdrażniona, by udać się do jakiegoś zaprzyjaźnionego lokalu, na przykład do Oli, i narazić się na banalną rozmowę z przypadkowo spotkanym znajomymi. Zbyt zaniepokojona, by oddać się rozmyślaniom. Zbyt wiele było w niej śmierci, żeby mogła zostać sama. Cztery lata, trzy miesiące i dwadzieścia jeden dni.

Chłodne powietrze przyniosło ulgę jej rozpalonym policzkom. Stała na chodniku, z lekko rozchylonymi stopami, czując cały ciężar ciała. Spocony kark, rozluźnione barki, gładki, napięty brzuch, zwinne nogi. Czujne, pełne pożądania ciało. Wściekle pragnące życia. Poczula na skórze tchnienie niepokoju, niczym zwiastun burzy na sierpniowym niebie. Znienacka coś sobie przypomniała i zaczęła przeszukiwać kieszenie. Wreszcie w plecaku, w wymiętym papierku, w opakowaniu po środkach przeciwbólowych, znalazła to, czego szukała: cukierka. Koktajl z oksytocyną. Małe kapsułka od miesiący leżała schowana w plecaku i była nieco przybrudzona. Bruna oczyściła ją trochę palcami i umieściła pod językiem, żeby przyspieszyć działanie narkotyku. I przez parę sekund oddychała, czekając. Rozkoszowała się chłodnym powiewem nocy. Opróżniała głowę z myśli, stając się tylko ciałem.

Przed bramą Instytutu Medycyny Sądowej stał zaparkowany samochód. Nie był to oznakowany policyjny radiowóz, ale szare tablice zdradzały, że należał do kogoś ze służb. Zapewne do inspektora Paula Lizarda, Jaszczura, Kajmana, olbrzyma, któremu trudno zaufać. Bruna zaczerpnęła powietrza. Skóra ją paliła, ale tym razem od środka. Replikantka zamierzała coś z tym zrobić. Z tą energią i z tym żarem. Za parę chwil Bruna zacznie przemierzać miasto, przecinać noc w poszukiwaniu seksu, dążąc do cielesnej eksplozji zdolnej zwyciężyć śmierć. Jedyna brama do nieśmiertelności znajdowała się między jej nogami. Jak większość ludzi i androidów, Bruna była biseksualna, osób wyłącznie homo- czy heteroseksualnych było doprawdy niewiele. Choć ją akurat bardziej pociągali mężczyźni, i tej nocy zdecydowanie miała ochotę na mężczyznę. Może na takiego ogromnego faceta jak jaszczur Lizard, któremu ona, replikantka, kazałaby prosić się o seks. Roześmiała się. Serce zaczęło bić szybciej, ciało wrzeć, powietrze przesiąkło feromonami. Ach, ta pijana noc. Bruna była gwiazdą, która miała zaraz wybuchnąć, pulsującym kwazarem. Przeszła parę kroków, czerpiąc rozkosz ze swej siły i zwinności, swego pożądania i zdrowia. Czula straszliwą radość.

Włożyła rękę pod metaliczną minispódniczkę i oparta o zaparkowany samochód, ściągnęła majtki. Tej nocy chciała krążyć po mieście bez bielizny. Nie pierwszy raz jej się to zdarzało, i nie ostatni. Jaka to przyjemność otworzyć się, zrzucić pęta, być gotową. Zanim odeszła, wetknęła majtki za wycieraczkę policyjnego samochodu. Świat brzęczał wokół, w żyłach pulsowała krew, serce drżało, a na dole rozkwitał jej nagi kwiat.

Centralne Archiwum Stanów Zjednoczonych Ziemi Wersja do modyfikacji
DOSTĘP ŚCIŚLE OGRANICZONY TYLKO UPRAWNIENI WYDAWCY

Madryt, 22 stycznia 2109, 11.06 Witaj, Yiannis

JEŚLI NIE NAZYWASZ SIĘ YIANNIS LIBEROPOULOS I NIE JESTEŚ
ARCHIWISTĄ CENTRALNYM FT711, NATYCHMIAST OPUŚĆ TE STRONY
DOSTĘP ŚCIŚLE OGRANICZONY TYLKO UPRAWNIENI WYDAWCY
WEJŚCIE BEZ UPRAWNIENI JEST PRZESTĘPSTWEM, ZA KTÓRE GROZI
KARA DO DWUDZIESTU LAT WIĘZIENIA.

Ziemie Dryfujące

Słowa kluczowe: Historia Nauki, Kult Labarycki, arystopopulizm Plagi, Wojny
Robotów, umowy dwustronne, Druga Zimna Wojna #63-025

Artykuł edytowany

Istnieją obecnie dwie Ziemie Dryfujące: Demokratyczne Państwo Kosmosu i Królestwo Labari. Te dwie ogromne, sztuczne struktury utrzymują się na orbitach w stałej odległości od Ziemi i tworzą własne światy, korzystając z pełnej autonomii. Choć z powodów strategicznych zarówno Kosmos, jak i Labari prowadzą politykę nieudostępniania danych, można przypuszczać, że każdą z Dryfujących Ziemi zamieszkuje od pięciuset do siedmiuset milionów mieszkańców. Są to wyłącznie ludzie, ponieważ w obu państwach zabroniono wstępu technoludziom i obcym, co czyni z tych światów miejsca bez wątpienia bardziej bezpieczne dla naszego gotunku.

Pierwsze wzmianki o ewentualnej konieczności zbudowania w strato-sferze sztucznego świata, w którym mogłaby się schronić choćby część ludzkości, sięgają tak zwanej Ery Atomowej, czyli kilku dziesięcioleci po wybuchu, w połowie XX wieku, pierwszych bomb nuklearnych nad skupiskami ludności cywilnej (miasta Hiroszima i Nagasaki). Ale dopiero w XXI wieku, po spustoszeniach będących efektem Globalnego Ocieplenia, po podniesieniu się poziomu oceanów o dwa metry i zalaniu 18% powierzchni lądów oraz w obliczu wysokiej śmiertelności, desperacji i niepewności spowodowanych Plagami, wojną replikantów i Wojnami Robotów, idea skonstruowania alternatywnych światów w przestrzeni kosmicznej stała się społeczną koniecznością i

możliwym do zrealizowania projektem.

Królestwo Labari wzięło swą nazwę od założyciela Kościoła Jedynej Wiary, Argentyńczyka Heriberta Labariego (2001-2071). Labari, z wykształcenia podolog, urodził się 11 września 2001 roku, tego samego dnia, kiedy doszło do głośnego zamachu na World Trade Center w Nowym Jorku, którą to okoliczność uznał później za potwierdzenie swego przeznaczenia. W wieku trzydziestu lat Labari oznajmił, że otrzymał znak od Boga. Porzucił pracę, założył Kościół Jedynej Wiary i oddał się głoszeniu Kultu Labaryckiego, stanowiącego według niego pierwszą i pierwotną religię, przywiezioną na Ziemię przez istoty pozaziemskie w zamierzonych czasach, później zniekształconą i rozczłonkowaną z powodu głupoty i chciwości na wiele różnych wyznań. Kult proponuje synkretyczną mieszankę wierzeń najpopularniejszych religii, zwłaszcza chrześcijaństwa i islamu, a także elementy gier fantasy i rpg, z licznymi odwołaniami do średniowiecznego, hierarchicznego, seksistowskiego, niewolniczego i w ogromnym stopniu zrytualizowanego modelu społeczeństwa. W celu rozpowszechnienia swojej nauki Heriberto Labari napisał około dwudziestu powieści science fiction, które szybko zyskały popularność: „Moje opowieści fantasy to chrześcijańskie parable XXI wieku”. Należy pamiętać, że założenie Kościoła Jedynej Wiary zbiegło się w czasie z ponurą epoką Plag, jednym z najokrutniejszych i najtragiczniejszych okresów w dziejach ludzkości, a przesłanie Labariego dawało poczucie bezpieczeństwa i obietnicę ratunku. Kiedy prorok zginął w 2071 roku, zamordowany przez szyckiego fanatyka, na Ziemi były już setki milionów jedynowierców, wśród których znajdowali się posiadacze wielkich fortun, poczynając od szejków z Zatoki Perskiej, na przedsiębiorcach z Zachodu kończąc.

Na kilka lat przed śmiercią Labari zaczął snuć plany budowy świata w stratosferze, szukając nie tylko schronienia po ucieczce z Ziemi wstrząsanej coraz to nowymi konwulsjami, ale i możliwości stworzenia społeczeństwa doskonałego, według ścisłych reguł Kultu Labaryckiego. Pośmiertnie wydana powieść, Królestwo Czystych, szczegółowo opisywała takie państwo. Labari skonstruowano na kształt grubego pierścienia, czy raczej ogromnej opony. Według dostępnych informacji, obręcz została zbudowana przez półsyntetyczne bakterie, które rozmnażając się w przestrzeni z ogromną szybkością, tworzą półorganiczną substancję, porowatą, lekką, niepodlegającą

odkształceniom i praktycznie niezniszczalną. Owa całkowicie innowacyjna technologia wciąż pozostaje tajemnicą. To zdumiewające, że społeczeństwo oficjalnie uchodzące za antytechnologiczne dokonało tak spektakularnego wynalazku, którego nowatorstwa nie umniejsza fakt, że wszystkie zastosowane procesy technologiczne są naturalne albo też w jakiś sposób naśladują naturę. Mieszkańcy Królestwa żyją wewnątrz ścian pierścienia, natomiast znajdujący się w środku ogromny zbiornik wody z algami produkującymi wodór dostarcza niezbędnej energii.

O ile Labari powstało na bazie nowej religii, o tyle Kosmos jest produktem ideologii. Choć być może i religia; i ideologia dążą do tego samego celu. Kiedy w 2062 roku podpisano Traktat Księżycowy, który zakończył wojnę replikantów, nie sygnowało go tylko jedno państwo: Rosja. W tamtych czasach niegdysiejsze rosyjskie imperium przeżywało jeden z najgorszych okresów w historii. Kraj był bankrutem, pustoszoną przez przestępcze bandy, ze znacznie okrojonym terytorium, do czego przyczyniły się kolejne wojny i jęczące się przez lata lokalne zatargi graniczne. Był tak biedny i zacofany, że nie posiadał nawet własnych ośrodków produkcji androidów, zatem fakt, że Rosja nie sygnowała traktatu, nie wpływał na jego ważność. Natomiast odmowa podpisania dokumentu rozślawiła z dnia na dzień Amaię Eleskanovą, świeżo wybraną prezydent zrujnowanego mocarstwa.

Eleskanova (2013-2104) była założycielką i liderką partii Pere-HepaukiH, Odnowa. Twierdziła, że całe zło na świecie jest skutkiem porzucenia idei utopii i poddania się nadużyciom kapitalizmu. Uważała co prawda, że zarówno marksizm w czystej postaci, jak i ustrój sowiecki to przeżytki, ale domagała się stworzenia wspólnego rewolucyjnego frontu do walki z nierównościami tego świata. W swoim eseju Odpowiedzialne mniejszości i szczęśliwe masy, kamieniu węgielnym nowej ideologii, Eleskanova tworzyła wizję społeczeństwa rządzonego przez najbardziej uzdolnionych i najmądrzejszych, na wzór republiki Platona, ale wspomaganą osiągnięciami naukowymi: „Można by nawet wybiórczo wzmacniać cechy przyszłych rządzących już na etapie zygoty, dzięki metodom znanym w eugenicie (...) Łącząc Wiedzę i Świadomość Społeczną w Celu Stworzenia Supermężczyzn i Super-kobiet Przyszłości (duże litery w tekście oryginału)”.

Nurt odnowieńczy albo arystopopulizm, bo takim terminem zaczęto go określać,

rozprzestrzenił się z szybkością błyskawicy po całym świecie, zwłaszcza gdy - od połowy lat sześćdziesiątych – liczne kraje zaczęły pobierać opłatę za używanie powietrza i obywatele dysponujący mniejszymi dochodami zostali zmuszeni do masowego przesiedlania się na bardziej zanieczyszczone tereny. Nie tylko te najsłabsze ekonomicznie sektory przyjęły doktrynę Eleskanovej: potężne partie wywodzące się z różnych krajów i ideologii, od skrajnej lewicy do skrajnej prawicy, przyłączyły się do rosyjskiej przywódczyni, tworząc w 2077 roku Międzynarodowy Ruch Arysłopopulistyczny (MRA), antyburżuazyjny, antyreligijny i antykapitalistyczny, choć - paradoksalnie - dysponujący znacznym kapitałem.

Taki ruch miał naturalnie ambicję władania światem, ale Ziemia nie stanowiła ich zdaniem miejsca z przyszłością. I być może z tego powodu, być może na wieść o tym, że Labaryci zamierzają skonstruować dryfujące królestwo, pierwszym krokiem MRA była decyzja o stworzeniu własnej platformy pozaziemskiej. Między jedynowiercami i arystopopulistami wywiązała się ostra rywalizacja, kto pierwszy zrealizuje projekt, tak jakby to niesamowite osiągnięcie - budowa sztucznego świata - miało posłużyć za reklamę ich przeciwstawnych wizji życia. I pomimo że MRA wystartował jako drugi, właśnie on zwyciężył w tym wyścigu: Demokratyczne Państwo Kosmosu powstało w 2087 roku, zaś pierwsi poddani Królestwa Labari pojawili się dopiero w 2088.

Również w przypadku Kosmosu nieznane są technologiczne szczegóły konstrukcji, ale niewątpliwie stanowi on strukturę niezwykłą z naukowego punktu widzenia. Piramidy zbudowane z nanowłókien węglowych łączą się ze sobą, tworząc megapiramidę. W efekcie otrzymujemy sieć rur, rodzaj rusztowania, na którym wiszą budynki czy gniazda mieszkalne, połączone „ulicami” biegnącymi wewnątrz rur. Jeśli chodzi o energię, najprawdopodobniej w Kosmosie uzyskuje się ją z wiatru słonecznego, wykorzystując w tym celu bliżej nieznaną technologię.

Pomimo że z Ziemi śledzono budowę sztucznych światów z rosnącą nieufnością i lękiem, to fakt, że oba projekty zostały zainicjowane przez międzynarodowe ruchy społeczne, oraz - przede wszystkim - chaos i wysoka umieralność spowodowane Wojnami Robotów (2079-2090) uniemożliwiły zbudowanie jakiegokolwiek skutecznej opozycji przeciwko tworzeniu tych państw. I kiedy wreszcie ogłoszono ich powstanie, miliony zdesperowanych Ziemiaków próbowało się tam dostać, uciekając przed wojennymi

spustoszeniami. Kosmos i Labari nie podpisały Traktatów Międzyplanetarnych z Kasjopei, ponieważ odmówiły przyznania androidom i obcym praw przysługujących ludziom. Nieco później zarówno jedynowiercy, jak i arystopopuliści podpisali umowy dwustronne ze Stanami Zjednoczonymi Ziemi, ale relacje z dryfującymi światami nigdy nie należały do łatwych. Ta koegzystencja, pełna podejrzliwości, tajemnic i napięć, została przez analityków ochrzczona mianem Drugiej Zimnej Wojny. Jednocześnie, zważywszy na fakt, że dwa nowe państwa pozostają ze sobą we wrogich stosunkach i nie utrzymują kontaktów dyplomatycznych, SZZ poczuły się zobowiązane w pewnych uzasadnionych przypadkach do działania w roli nieoficjalnego pośrednika.

Wreszcie niektóre źródła wspominają o istnieniu trzeciego dryfującego świata, o zdecydowanie mniejszych rozmiarach, być może z samonapędem, przypominającego raczej wielki statek kosmiczny niż platformę orbitalną, którego demokratyczne społeczeństwo miałooby wieść sprawiedliwy i szczęśliwy żywot, ciesząc się wolnością i tolerancją. Ta niewielka społeczność najprawdopodobniej rozpoczęła swe tajemne życie w pełnym zamętu czasie Wojen Robotów i od tamtej chwili udaje się jej ukrywać w przestrzeni kosmicznej. Statek miałby nosić nazwę Avalon, ale wszystko wskazuje, że jest to jeszcze jedna miejska legenda.

Jak zawsze, pierwsze, co poczuła, to ostry, pulsujący ból w skroniach. Kac przewiercał głowę ognistą śrubą.

Potem, przez powieki, dojrzała jasną czerwień. Powieki były jeszcze zbyt ociężałe, by spróbować je unieść. Ale ta czerwona jasność oznaczała, że jest dużo światła. Może to światło dnia.

Czaszka pękała. Skupienie uwagi sprawiało ból.

Bruna zmusiła się jednak do myślenia. I do wspomnień. Ostatnie godziny zdawały się ginać w czarnej otchłani, ale na drugim brzegu tej przepaści replikantka zaczęła dostrzegać poszarpane obrazy minionej nocy, sceny przysłonięte mgłą. Głośne, pełne ludzi lokale. Zapchane parkiety. A wcześniej - Instytut Medycyny Sądowej. Zwłoki Chi. Ulicę, księżyc. I na tej ulicy widzi siebie, wkładającą pod język cukierka. Znów pojawiły się przepełnione bary. Jakiś facet bez twarzy stawiający jej drinka. Publiczne teledimy paplające pod czarnym niebem. Zespół muzyczny na scenie. Dłoń, która przesuwiała się po jej plecach. Wzdrygnęła się, co sprawiło, że poczuła resztę ciała, a nie tylko głowę, w

której wciąż dudniło. Leżała na brzuchu, na czymś podobnym do łóżka. Z rękoma wzdłuż tułowia. Z twarzą opartą na lewym policzku.

Bruna zaczerpnęła powietrza, powoli, by nie zbudzić kacowego demona. Nie pamiętała, jak skończyła się noc, i nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Nie zносиła budzić się w obcym domu. Nienawidziła wstawać o świcie w nieznaną dzielnicę i sprawdzać na komfonie współrzędne geograficzne, by ustalić, gdzie tym razem wylądowała. Pomacała prześcieradło prawą dłonią. Nie udało się jej rozpoznać dotykiem, czy leży w swoim łóżku. Nie miała innego wyjścia, musiała otworzyć oczy. Cztery lata, trzy miesiące i dwadzieścia jeden dni. Nie. Cztery lata, trzy miesiące i dwadzieścia dni.

Powoli uniosła powieki, bała się spojrzeć. Rzeczywiście, wszystko było zalane światłem. Ostрым światłem dnia, które raniło jej rogówkę. Przez parę sekund przyzwyczajala się do jasności, a potem rozpoznała fotelik z ekoskóry, przykryty jej pomiętymi ciuchami: połyskliwą spódniczką i kurtką. I zobaczyła jeszcze bluzkę rzuconą na znaną jej podłogę z syntetycznego drewna. Była w swoim domu. Na szczęście.

Pokrzepiona tą dobrą wiadomością uniosła się na rękach i spróbowała dźwignąć tułów. I wtedy kątem oka dostrzegła, że pod kołdrą obok kryje się coś na kształt człowieka. Nie była sama. Sytuacja zaczęła się komplikować.

Nie miała ochoty zaprezentować się obcej osobie w całej nagiej okazałości, więc złapała kurtkę z fotela i wciąż siedząc na łóżku, pospiesznie ją włożyła. Potem głęboko westchnęła, zebrała się w sobie i wstała. Stojąc przy łóżku, z ostrym bólem skroni, przyjrzała się nieznanemu. Zdaje się, że był to ktoś bardzo duży. Ogromne ciało leżało na boku, odwrócone do niej plecami, całkiem zakryte prześcieradłem. Nie tak całkiem - u góry widać było włosy... szorstkie, zmierzwiłone... i kark... zielony.

Bruna wstrzymała oddech.

To niemożliwe.

To niemożliwe.

Złapała się za głowę, by złagodzić ból i powstrzymać galop myśli, ostrożnie obeszła łóżko i zobaczyła twarz śpiącego: szeroki, płaski nos, rzadkie brwi, zielonkawa skóra.

Przespała się ze stworem.

Zebrało się jej na wymioty.

Naprawdę przespała się ze stworem? To znaczy naprawdę...? Na myśl o tym nogi się

pod nią ugięły. Musiała usiąść na łóżku, inaczej pewnie by się przewróciła. Niechęć obudziła obcego.

Stwór uniósł powieki i spojrzął na nią. Miał melancholijne oczy w miodowym odcieniu. To był Omaajczyk. Bruna gorączkowo usiłowała sobie przypomnieć, co wie na temat Omaajczyków. To był najliczniej reprezentowany na Ziemi gatunek obcych, mieli nie tylko przedstawicielstwo dyplomatyczne, schroniły się tu tysiące uchodźców z planety ogarniętej wojnami religijnymi. Uciekinierzy z Omaa to najbiedniejsi pośród obcych - nie mieli ojczyzny, traktowano ich więc z największą pogardą. Byli... hermafrodytami? Czy to chodziło o Balabijczyków? Do diabła z nimi. Bruna bała się, że będzie musiała zobaczyć całe ciało swego towarzysza z łóżka.

Ostrożnie, powoli i bardzo spokojnie, jak człowiek, który porusza się przed dzikim zwierzęciem i nie chce go spłoszyć, stwór usiadł na łóżku, nagi od pasa w górę, od pasa w dół przykryty prześcieradłem. Ach tak, i na dodatek oni są przezroczyści, przypomniała sobie Bruna, ze strachu bliska omdlenia. Najbardziej niepokojący w tych istotach był ich wygląd: ziemski i pozaziemski zarazem. To niewiarygodne biologiczne podobieństwo. Omaajczyk był wielki i muskularny, prawdziwy okaz męskiej tężyzny, szerokie ramiona, mocne dłonie i paznokcie na każdym z... Bruna szybko przeliczyła... sześciu palców. Natomiast głowa ze szczeciniastymi włosami, najeżonymi brwiami, szerokim nosem i smutnymi oczyma bardziej przypominała psi pysk. I wreszcie najgorsze, czyli skóra, niebieskawa, w zgięciach zielonkawa, a przede wszystkim półprzezroczysta. Prześwitywały przez nią, mocniej lub słabiej, w zależności od ułożenia ciała względem światła, organy wewnętrzne, różowa sieć pulsujących naczyń krwionośnych. Ciekawe, jak, do cholery, dotyka się takiej skóry. Bruna nie pamiętała, by jej kiedykolwiek dotykała, a prawdę powiedziawszy, nie miała też ochoty sobie tego przypominać. I co mają teraz zrobić? Zapytać o swoje imiona?

Stwór uśmiechnął się nieśmiało.

- Cześć. Mam na imię Maio.

Jego głos brzmiał jak łoskot morskich fal rozbijających się o skały, ale zrozumiała go bez problemu, nawet akcent był do przyjęcia.

- A ja... Bruna.

- Bardzo mi miło.

W ciszy, która zapadła, tłoczyły się niezadane pytania. I co teraz? - pomyślała replikantka.

- Czy pamiętasz... czy ty pamiętasz, o której przyszliśmy do domu? - wydusiła w końcu.

- Tak.

- To znaczy, że ty... To znaczy, że ty wszystko pamiętasz?

- Tak.

Do diabła, chyba nie mam ochoty pytać dalej, pomyślała Bruna.

- No cóż, Maio, ja muszę wyjść, przepraszam. To znaczy musimy wyjść.

Natychmiast.

- Dobrze - zgodził się stwór uprzejmie, słodkim głosem.

Jednak nawet nie drgnął.

- No już, wychodzimy.

- Ale ja muszę wstać i się ubrać. Jestem całkiem goły.

No proszę! Oczywiście! Czyżby Omaajczycy byli tak pruderyjni? Może i dobrze, bo ona nie była przygotowana na to, co mogłaby zobaczyć.

- Ja też pójde się ubrać. Do łazienki. A ty w tym czasie...

Bruna nie dokończyła zdania, złapała w biegu wczorajsze ubranie, aby nie tracić czasu na szukanie w szafie i zamknęła się w łazience. Lekko oszołomiona, nękana bólem głowy, wzięła szybki parowy prysznic i ubrała się w połyskliwą spódniczkę i bluzkę. Parsknęła z niezadowolenia, kiedy zauważyła, że nie ma pod ręką bielizny, i przypomniała sobie, co zrobiła z majtkami zeszłej nocy. Brak tej części garderoby bardzo jej teraz doskwierał. Przemyśla twarz odrobiną drogocennej wody i lekko orzeźwiona ostrożnie uchyliła drzwi. Naprzeciwko, przy łóżku, jak pies pragnący zadowolić pana, stał obcy. Mierzył chyba ze dwa metry. Miał na sobie rodzaj spódnicy-rurki, długiej do pół łydki. Bruna przypomniała sobie, że tak właśnie zwykli się ubierać Omaajczycy, w spódnice z materiału przypominającego miękką wełnę, w ciepłych kolorach ziemi, ochry, wina, musztardy. Co stanowiło strój niezwykle elegancki, choć akurat spódnica Maia wyglądała na raczej znoszoną. Niestety, górę uzupełniała obrzydliwa ziemską koszulka, z tych rozdawanych jako reklamówki, z ordynarnym rysunkiem spienionego piwa. Co gorsza, była o dwa numery za mała, więc nieestetycznie opinała muskularny tors.

- To tylko żeby się zakryć. Ta koszulka. Zauważyłem, że Ziemianie nie lubią oglądać przezroczystej skóry na naszym ciele - wyjaśnił obcy głosem, który zdawał się dochodzić z głębin oceanu.

Faktycznie, Omaajczycy normalnie chodzili z nagim torsem, przepasanym co najwyżej jakimiś rzemieniami, których znaczenia Bruna nie znała. Może po prostu stanowiły rodzaj ozdoby. Tak czy inaczej w koszulce wyglądał okropnie. Jak gwiazdny żebrak.

- Okej. W porządku. Świetnie. No to idziemy - wymamrotała.

Wyszli z mieszkania i schodząc w dół, natknęli się na paru sąsiadów. Bruna dostrzegła w ich oczach zdziwienie, strach, odrazę, ciekawość. Tego tylko brakowało, pomyślała, nie dość, że jestem replikantką, to jeszcze pokazuję się ze stworem, a na dodatek stworem o wyglądzie parszywego włóczęgi. Kiedy znaleźli się na ulicy, stanęli naprzeciw siebie. Może powinnam była zaproponować mu skorzystanie z prysznica? Bruna miała lekkie wyrzuty sumienia. Może powinnam poczęstować go śniadaniem? Jeśli jest uciekinierem, a jest nim bez wątplenia, zapewne głoduje. A co jedzą te stworzenia? Wszystko przez tę smętną psią minę, przez te prawdziwie wierne, psie oczy, bo Omaajczyk, mimo potężnego cielska, wyglądał jak opuszczony szczeniak. Do ciężkiej cholery, pomyślała Bruna, spałam już z tyloma dziwnymi ludźmi, ale obudzić się obok stworza to za wiele nawet dla mnie.

- No dobra. Cześć - rzuciła replikantka.

I ruszyła w drogę, nie czekając na odpowiedź, wchodząc na pierwszy napotkany ruchomy chodnik. Po przejechaniu kilku metrów, zanim chodnik wszedł w zakręt, by zaraz zniknąć za rogiem, nie potrafiła opanować ciekawości i odwróciła głowę. Obcy wciąż stał pod bramą domu i patrzył na nią bezradnie. Dobra, co mnie to obchodzi, pomyślała. I jechała dalej, aż straciła go z oczu. Koniec. Nigdy więcej.

Gdzie.teraz? - zastanawiała się w duchu. I w tej samej chwili kompfon zasygnalizował połączenie. Inspektor Paul Lizard. Ciekawe, pomyślała, że wciąż pamiętam imię Kajmana.

- Jesteśmy umówieni za dwadzieścia minut, Husky.

- Tak, pamiętam - skłamała. - Jestem w drodze.

- To dlaczego jedziesz chodnikiem w przeciwnym kierunku?

Bruna lekko się zirytowała.

- Nie wolno ci nikogo satelitarnie lokalizować, chyba że posiadasz zgodę takiej osoby.

- Oczywiście, Husky, to prawda, ale nie w przypadku inspektora Policji Sądowej. Mogę lokalizować każdego. Chyba jesteś spóźniona. A jeśli dalej będziesz podążała w tym samym kierunku, spóźnisz się jeszcze bardziej.

Bruna, kończąc rozmowę, machnęła ręką. Powinna spotkać się z Lizardem, nawet jeśli nie sprawia jej to najmniejszej przyjemności - licencja detektywa zawsze zależy od dobrych układów z policją. Przeskoczyła barierkę ruchomego chodnika i zaczęła szukać taksówki. Była sobota i przepiękna pogoda, aleja Królowej Wiktorii z małym parkiem ciągnącym się pośrodku zapełniła się dziećmi. Bogatymi dziećmi, które spacerowały z pluszowymi robocikami, udającymi zwierzątka: tygryski, wilki, dinozaury. Jedna dziewczynka frunęła sobie jakieś pół metra nad ziemią, z zabawkowymi reaktorem na plecach, mimo zaporowej ceny, którą karano to marnotrawstwo paliwa i będące jego skutkiem jeszcze większe zanieczyszczenie powietrza. Za równowartość godziny lotu tej dziewczynki dorosły człowiek mógłby opłacić dwa lata dostępu do czystego powietrza. Brunna jakoś znosiła rozliczne życiowe niesprawiedliwości, zwłaszcza kiedy nie doświadczała ich na własnej skórze, ale dziś czuła się szczególnie wkurzona i na widok dziewczynki jej humor jeszcze się pogorszył. Rozłożyła się w taksówce i zamknęła oczy, próbując się odprężyć. Wciąż bolała ją głowa, nie zdążyła też zjeść śniadania. Kiedy pół godziny później dotarła do siedziby Policji Sądowej, czuła prawdziwie wilczy głód.

- Cześć, Husky. Spóźniłaś się dwadzieścia minut.

Paul Lizard miał na sobie różową bluzę. Różową bluzę! Zapewne w ten sposób inspektor wyobrażał sobie nieformalny weekendowy strój.

- Jestem głodna - oznajmiła na powitanie.

- Tak? Ja też, poczekaj.

Połączył się ze stołówką w budynku i zamówił pizzę, parówki o smaku kurczaka, jajka sadzone, gorące bułeczki, owoce, ser z prażonymi nasionami i dużo kawy.

- Przyniosą wszystko do pokoju z dowodami. Chodź.

Weszli do pustej sali i usiedli przy wielkim stole holograficznym. Paul przygasił lampy. Kiedy tak siedział po drugiej stronie, oświetlony tylko mlecznym blaskiem

bijącym od blatu, jego twarz wyglądała jak wyciosana z kamienia.

- Posłuchaj, Husky... chciałbym ci zaproponować udział w grze. W grze współpracy i wymiany informacji. Ty mi coś powiesz i ja ci coś powiem. Na zmianę. I bez oszukiwania.

Nawet ty sam w to nie wierzysz, stwierdziła w duchu Bruna, a potem pomyślała, że ona wcale nie ma tak dużo do opowiadania. Zbyt mało kart w ręce, by siadać do gry.

- Naprawdę, Lizard? No więc jeśli chodzi o mnie, to chciałabym wiedzieć, dlaczego nikt nie wspomina o sfalszowanych pamięciach. I co one zawierają.

Mężczyzna uśmiechnął się. Miał ładny uśmiech, który na moment przemienił go w zupełnie inną osobę. Młodszą. Mniej niebezpieczną.

- Oczywiście ty odpowiadasz jako pierwsza. Jak sądzisz, w jaki sposób zginęła twoja klientka?

Bruna uniosła brwi.

- Została zamordowana. To znaczy wszczepiono jej wbrew woli sfalszowaną pamięć.

- Skąd pewność, że nie zrobiła tego dobrowolnie?

- Nie wyglądała na kogoś, kto bierze dragi. Wiedziała o tych zabójczych memorkach, chyba nie ryzykowała. Zwłaszcza po tym, jak jej grożono.

- No tak. Mówisz o słynnej kuli, która pojawiła się w gabinecie. Co na niej było?

- Nie wiesz? - zdziwiła się Bruna. - Nie dostałeś jej w RRR?

- Habib twierdzi, że jej nie ma. Bo ty ją masz.

- Zwróciłam ją wczoraj przez posłańca.

- Dopiero co z nim rozmawiałem, nie dostał jej. Co znaczy, że robot zniknął po drodze w tajemniczych okolicznościach. Ale zdążyłaś przeanalizować tę wiadomość...

Bruna zastanowiła się przez moment. Kula zginęła? Dziwna sprawa.

- Chwila, Lizard. Przystopuj. Teraz ty odpowiedz.

Paul skinął głową.

- Dobrze. Spójrz na tych ludzi...

Na stole zaczęły się pojawiać hologramy trzech postaci. Dokładnie rzecz ujmując, trzech trupów. Mężczyzna z idealnie okrągłą i czystą dziurą w głowie, najpewniej ofiara broni laserowej. Kolejny mężczyzna z podciętym gardłem, cały we krwi. I kobieta z

odstrzeloną połową twarzy, być może za pomocą konwencjonalnej broni, być może broni plazmowej. Brunę przeszedł lekki dreszcz - pół twarzy, które kobiecie zostało, wydało się jej znajome. Tak, tego ucha, które wyrastało zupełnie nie tam, gdzie powinno, nie dało się pomylić z żadnym innym.

- Znasz ich? - zapytał policjant.
- Tylko tę kobietę. To chyba dilerka z Nowych Ministerstw. Przed trzema dniami kupiłam u niej memorkę.
- Co z nią zrobiłaś? Użyłaś jej?
- Kim są dwaj pozostali?
- Nielegalni handlarze narkotyków. Znani dilerzy. Ktoś postanowił ich pozabijać. Z zemsty za śmiertelne pamięci?

- Czy raczej żeby pozbyć się konkurencji i samemu sprzedawać trefny towar? Wysłałam memorkę do analizy. Bez rewelacji. Piracka, ale nieszkodliwa.

Paul znów pokiwał głową. Do sali wjechał robot z zamówionym jedzeniem. Zapewne jakość potraw nie była najwyższa, ale wszystko było ciepłe i wyglądało apetycznie. Rozłożyli tacki na stole i przez parę minut w milczeniu oddawali się przyjemności konsumpcji, tymczasem hologramy trupów unosiły się nad stołem. Jedzenia było dość sporo, ale już po chwili Bruna ze zdziwieniem skonstatowała, że we dwójkę spałaszowali prawie wszystko. Replikantka nalała sobie kolejną kawę i spojrzała na Lizarda z życzliwością, będącą efektem pełnego brzucha. Wspólna uczta dwojga głodomorów sprzyja zawiązywaniu przymierzy.

- No dobrze, coś mi się wydaje, że miałaś mi opowiedzieć o zawartości kuli holograficznej, którą dostałaś od Chi... - zaczął mężczyzna, odsuwając talerze.

Bruna westchnęła. Prawie nie czuła już kaca.

- Nie, nie. Teraz twoja kolej. Ja opowiedziałam o tej nielegalnej pamięci.

Lizard uśmiechnął się i znów zaczął manipulować przy blacie. Nad stołem pojawiły się dwa kolejne trupy. Dwa nieznanne jej androidy.

- Nie wiem, kim są - oświadczyła Bruna.

- To dwa dość ciekawe typy. Pracowali dla RRR. To znaczy pracowali dla zewnętrznej firmy sprzątającej, której jedynym klientem był RRR. Słyszałaś coś o tym?

Replikantka nawet nie drgnęła.

- Jak zginęli? - zapytała, by zyskać na czasie.
- Dwa strzały w potylicę. Egzekucja.

Powinna czy nie powinna o tym powiedzieć? Nie chciała ujawniać szczegółów uzyskanych od Habiba bez jego wiedzy. W końcu był jej klientem. Postanowiła podzielić się swoją wiedzą z innego obszaru.

- Nic nie wiem, nie mam bladego pojęcia. Jeśli chodzi o kulę holograficzną, to była tam scena z Chi przemawiającą na...

- Nie, nie musisz tego opisywać, wiem, co to za nagranie. Habib mi opowiedział. Interesuje mnie wynik twojej analizy.

- Obrazki z patroszenia przedstawiają wieprza i istnieje pięćdziesiąt jeden procent pewności, że nie pochodzą z żadnej legalnej rzeźni, a zwierzę zostało zabite domowym sposobem. I nie udało mi się zdobyć żadnego śladu, żadnych danych, żadnej wskazówki, żadnego uwierzytelnienia. Z wyjątkiem...

- Z wyjątkiem?
- Mogę użyć twojego stołu holograficznego?
- Oczywiście.

Bruna poprosiła o połączenie ze swojego kompfona i Lizard je autoryzował. Parę sekund później pojawiło się przed nimi nagranie z kuli Chi. Dzięki zaawansowanej technologii stołu obrazy miały naturalne rozmiary - widok był dość nieprzyjemny. Kiedy film się skończył, Bruna dotknęła ekranu swojego kompfona i puściła oryginalne nagranie z patroszonym wieprzem, zrekonstruowane i wyczyszczone. Zrobiła zbliżenie na ostrze noża i powiększyła obraz tak bardzo, że można było dostrzec oko replikanta.

- Mhm... Czyli scena została odegrana przez androida - mruknął zamyślony Lizard.
- Ciekawe.

- Mogę ci zostawić kopię analizy.
- Dzięki. Czyli nic nie wiesz o tych dwóch androidach, które pracowały dla RRR?
- Nigdy w życiu ich nie widziałam - stwierdziła Bruna z pewnością kogoś, kto mówi prawdę. - Ale pomyślałam sobie, że możesz ich przepuścić przez program anatomicznego rozpoznawania i sprawdzić, czy oko odbite w ostrzu noża przypadkiem nie należy do któregoś z nich. A tak przy okazji, to gdzie znaleźliście zwłoki?

Lizard zgarnął palcem ostatnią grudkę sera i zjadł ją ze smakiem. Zanim się odezwał,

na jego twarzy pojawił się niepokój.

- To jest właśnie najdziwniejsze... Znaleźliśmy wszystkie trupy w tym samym miejscu... Na Biokompoście C.

To znaczy w jednym z czterech madryckich centrów recyklingu odpadów.

- Na wysypisku?

- Te dwa androidy leżały na górze świeżych odpadków... Ułożone ze szczególną dbałością. Smieciarze roboty mają zainstalowany program do wykrywania tkanki organicznej i informują o takich znaleziskach, więc przerwali pracę i ogłosili alarm. W tej samej kupie śmieci, już nieco zagrzebane, znaleziono inne zwłoki, starsze i w różnych stadiach rozkładu. Na hologramach, które widziałas, ciała zostały zrekonstruowane, ale tamci dwaj mężczyźni zginęli przynajmniej miesiąc temu.

- To znaczy, że ciała leżały gdzieś indziej i przyniesiono je na Biokompost C.

- No właśnie, tak jakby ktoś chciał, żebyśmy odkryli je wszystkie naraz i tym samym powiązali te przypadki w jedno. Oczywista przesłanka dla tępych detektywów.

Bruna uśmiechnęła się. Ten wielki facet o leniwym głosie miał swój urok. Choć nie należało mu ufać.

- Lizard, ja wiem, że wcześniej w podobny sposób zginęli replikanci. Jeszcze przed przypadkami ujawnionymi w tym tygodniu... Było ich czworo. Ten faszysta Hericio opowiadał o nich w wiadomościach... A Chi próbowała rozwikłać te zagadkowe śmierci.

Lizard uniósł brwi, po raz pierwszy rzeczywiście zaskoczony.

- Chi o nich wiedziała? A niech to... To najpilniej strzeżony sekret Regionu... A co dokładnie wiedziała?

- Że zginęło trzech mężczyzn i jedna kobieta, wszyscy byli androidami, wszyscy popełnili samobójstwo, żadne z nich nikogo nie zabiło przed śmiercią. Pozbawili się życia na różne sposoby, choć raczej konwencjonalne: podcięcie żył, przedawkowanie narkotyków, skok z okna... Troje ostatnich, to znaczy troje tych, którzy zginęli najpóźniej, wyłupało sobie oko. I wszyscy mieli wszczepioną sfalszowaną memorkę.

- Nic więcej? Nie знаła innych szczegółów związanych z tymi przypadkami?

- Chi nie znalazła niczego, co by je łączyło. Wyglądały na przypadkowe śmierci.

- Może tak było, Bruno. Ale jest coś jeszcze... wszyscy mieli wytatuowane na ciele słowo „zemsta”.

- Wszyscy?
- Cała siódemka.
- A Chi?
- Również ona.
- Nie zauważyłam.
- Miała tatuaż na plecach.
- Gandara nic mi nie powiedział.
- Wczorajszej nocy szybko stamtąd wyszłaś. Spójrz.

W powietrzu zawisło pierwszoplanowe ujęcie nagich pleców. Długich, krągłych, białych. Naznaczonych fioletowymi plamami siniaków. Tuż nad pośladkami widniało słowo „zemsta”, zapisane wyrazistą, ciasną, ciemną i okrągłą czcionką. Długie na cztery centymetry, wysokie na jeden. W fioletowym odcieniu charakterystycznym dla tatuaży wykonanych pistoletem na zimny laser, dokładnie takim, jaki miała Bruna. Te tatuaże goiły się właściwie w trakcie robienia.

- To Chi - wyjaśnił mężczyzna. - Ale wszystkie tatuaże są identyczne i znajdują się w tym samym miejscu.

Lizard wyłączył stół i z niewyraźnymi uśmiechem spojrzął na Brunę.

- Coś mi się wydaje, że za dużo ci powiedziałem.

To prawda. Powiedział za dużo.

- Jeszcze tylko jedno pytanie, Lizard. Co zawierają śmiertelne memorki?

- To nie tyle memorki, co implanty z zaprogramowanym zachowaniem. Bardzo szczególne dzieła bioinżynierii. Implanty z ofiary na ofiarę miały coraz wyższy stopień zaawansowania. Były coraz bardziej skomplikowane.

- Pierwsi zmarli to coś na kształt prototypów?

- Albo wersji testowych, tak, coś w tym rodzaju. Chipy zawierają krótką sekwencję pamięci... Trzydzieści, czterdzieści scen zamiast tysięcy umieszczanych na nich zwyczajowo.

- Zwyczajowo umieszcza się pięćset.

- Tak mało? No dobrze, na tych memorkach jest kilkadziesiąt scen, które sprawiają, że ofiara wierzy, iż jest człowiekiem i stała się obiektem prześladowań ze strony repów... technoludzi. A potem następują sceny, które stanowią jakby przepowiednie. .. Wizje

czynów, do których ofiara zostaje przymuszona. Coś na kształt delirium. Implanty wywołują rodzaj zaprogramowanej, niezwykle gwałtownej psychozy. Uderzenie jest tak potężne, że w parę godzin niszczy mózg, choć nie wiemy, czy ta biologiczna degeneracja jest efektem zamierzonym czy tylko ubocznym i niepożądanym skutkiem implantu.

- A ta obsesja na punkcie oczu?
- Samoślepienie czy oślepienie zaatakowanego pojawia się przy drugiej ofierze.

To jedna ze scen z delirium. A więc niewątpliwie efekt zaplanowany.

- Podpis mordercy. Tak jak tatuaż.
- Może. A może jakaś wiadomość.

Za tym wszystkim musi stać jakiś chory obłąkaniec, pomyślała Bruna. Ktoś o perwersyjnym umyśle, kto czerpie rozkosz z wyłupywania oczu. Replikantom. Zemsta i nienawiść, sadyzm i śmierć. Brunę lekko zemdliło. Chyba za dużo zjadła.

- A dlaczego żadna z tych informacji nie przedostała się do opinii publicznej?

Dlaczego ukrywacie sprawę implantów?

Lizard z uwagą spojrzał na Brunę.

- Lepiej zachować dla siebie jakiś szczegół znany tylko mordercy, to się czasem przydaje - oznajmił charakterystycznym sennym głosem po nieco przydługim milczeniu.

- Macie przecież tatuaże. Dlaczego nie ujawniacie faktów, które dowodzą, że repy są również ofiarami, a nie tylko oszalałymi zabójcami?

Znów nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

- Masz rację. Otrzymaliśmy odgórne polecenie, żeby nic nie mówić. Polecenie, które niezbyt chętnie respektuję. W tej sprawie dzieje się coś, czego nie rozumiem.

Dlatego się z tobą skontaktowałem. Myślę, że możemy pomóc sobie nawzajem.

Bruna niepostrzeżenie dotknęła brzucha. Uczucie mdłości narastało. Coś tu nie gra. Coś tu bardzo nie gra. Dlaczego Lizard jej to wszystko opowiada? Dlaczego tak hojnie obdarował ją swoimi sekretami? Jak to możliwe, że tak otwarcie przyznał się do braku zaufania względem przełożonych? Tutaj? W siedzibie Policji Sądowej? Przecież tu wszystkie rozmowy są nagrywane.

Poczuła, jak jeżą się jej blond włoski na kręgosłupie. Jak delikatna elektryczna fala, która płynie po plecach w górę i zawsze pojawia się na moment przed walką. Albo w chwili zagrożenia. I właśnie teraz Bruna wyczuła niebezpieczeństwo. To była pułapka.

Spojrzała na toporną, mięsistą twarz Lizarda i ogarnęło ją obrzydzenie.

- Muszę już iść - oznajmiła zniecierpliwiona, wstając od stołu.

Mężczyzna uniósł brwi.

- Tak nagle?

Bruna zatrzymała się i odezwała z udawanym spokojem:

- Chyba powiedzieliśmy sobie wszystko? Ja nic więcej nie wiem. A ty mi więcej nie powiesz. Mam zaraz spotkanie i właściwie jestem spóźniona. Będziemy w kontakcie.

Lizard, wciąż za stołem, chwycił ją za rękę.

- Poczekaj...

Replikantka poczuła szorstką, ciepłą dłoń mężczyzny i musiała powstrzymać się ze wszystkich sił, by nie uderzyć go kolanem i się nie wyrwać. Spojrzała pytającym i dzikim wzrokiem, na pół obrócona, nie porzucając zamiaru opuszczenia sali.

- Ty przecież masz coś jeszcze do powiedzenia... To ciebie zaatakowała Cata Cain...

Bruna westchnęła i obróciła się do Lizarda, a ten puścił jej rękę.

- Tak. Wszystko zostało opisane w raporcie policyjnymi. Co z tego?
- Byłaś na jednej ze scen wyciągniętych z memorki Caty Cain. Według scenariusza twoja sąsiadka miała cię śledzić, pójść do twojego mieszkania, podduś cię kablem, nieprzytomną związać, wyłupić oczy i potem dobić.

Ta informacja zmroziła jej krew w żyłach. Brunna otworzyła usta, ale nie mogła wydusić słowa.

- To ciekawe, prawda? Na memorce jest zapisane twoje imię. Twoje nazwisko, twoja podobizna i twój adres. Jak sądzisz, dlaczego zostałaś uwieczniona na śmiercionośnym implancie?

- To znaczy, że wezwałeś mnie na przesłuchanie?
- Nie przesłuchuję cię. Po prostu pytam.
- Więc ja odpowiadam, że nie mam pojęcia.
- Ciekawe. Powinnaś zostać ofiarą, ale nią nie zostałaś. Kwestia szczęścia? Czy wcześniejszej wiedzy?
- Co insynuujesz?
- Może znałaś zawartość memorki? Może nawet współpracowałaś przy

wytworzeniu implantu?

- Dlaczego miałabym umieszczać tam scenę z moim zaprogramowanym zabójstwem?

Lizard uśmiechnął się czarująco.

- Żeby mieć idealne alibi.

Bruna poczuła ulgę. Zdecydowanie takiego go wołała, grającego w otwarte karty, jawnie wrogię. Odwzajemniła uśmiech.

- Obawiam się, że nie zostaniemy przyjaciółmi...

Obróciła się na pięcie i odeszła. Przekraczała próg sali, kiedy za plecami usłyszała odpowiedź policjanta:

- Szkoda...

Ten cholerny Lizard zaliczał się do owych facetów, którzy zawsze muszą mieć ostatnie słowo.

Bruna rzeczywiście była umówiona, choć omal o tym zapomniała. Od trzech miesięcy, co sobotę o godzinie osiemnastej, chodziła do psychoguru. Problemy zaczęły się jakieś pół roku temu. Pewnego popołudnia oglądała film u siebie w domu i nagle rzeczywistość odpłynęła. A raczej Brunna zeszła ze sceny. Ekran, mieszkanie, cały świat wokół jakby przesunął się na kraniec długiej czarnej tuby, a ona mogła oglądać rzeczywistość, patrząc przez wylot tego ciemnego tunelu. Nagle, zlana potem, zaczęła dygotać, szczekać zębami, nogi jej się trzęsły. Poczowała, jak ogarniają paniczny strach, jakiego do tej pory nigdy nie zaznała. Co gorsza, nie miała pojęcia, czego się tak naprawdę boi. To był ślepy, niezrozumiały lęk. Szaleństwo. Rozum się wyłączył. Trwało to ledwie parę minut, ale kompletnie ją wycieńczyło. I uczyniło zakładnikiem strachu przed strachem. Lęku, że taki atak się powtórzy. I rzeczywiście parokrotnie się powtórzył, zawsze w najmniej oczekiwanych momentach: kiedy uprawiała jogging w parku, jadła w restauracji czy jechała tramwajem albo metrem.

Na początku udała się do psychoautomatu, tak jak czyniła to wielokrotnie w czasie służby w wojsku. Żołnierze korzystali z psychopudeł po jakiejś szczególnie krwawej bitwie czy w okresie wysokiego zagrożenia. Wchodzili do małego pokoiku psychoautomatu, siadali w fotelu, na głowę nakładali kask z elektrodami, opuszki palców

umieszczali na sensorach i zwracali się ze swoich problemów. Psychoautomat udzielał rad, delikatnie stymulował mózg falami magnetycznymi, a jeśli to nie pomagało, wydawał stosowną pastylkę. Replikanci chodzili tam właśnie po te pastylki. Odprężające, relaksujące, stymulujące, stabilizujące, wprawiające w stan euforii, antydepresyjne. Wiedzieli, jak rozmawiać z pudłem, żeby dostać to, czego potrzebowali, a takie sesje kosztowały tylko piętnaście gai, nie licząc leków.

Tym razem Bruna nie wiedziała, czego potrzebuje.

- Miałaś napad smutku - zdiagnozowała maszyna wibrującym barytonem (w opcjach dźwięku Bruna wybrała głos męski).

- Ale dlaczego?

- Napady smutku to skutek lęku przed śmiercią - wyjaśnił psychoautomat.

Tak jakby to faktycznie było jakieś wyjaśnienie. Bruna przez całe swoje krótkie życie miała świadomość śmierci i wielokrotnie znajdowała się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, ale nigdy nie powodowało to napadów smutku, wręcz przeciwnie, ryzyko wyzwalało w jej organizmie rodzaj świetlistego, chłodnego spokoju. To było jedno z osiągnięć inżynierii genetycznej, hormonalna poprawka, jedna z wielu, z jakimi przychodzili na świat replikanci bojowi. I nagle, któregoś wieczoru, oglądając we własnym domu jakiś głupi film, kompletnie się rozsyłała. Dlaczego?

Ponieważ psychopudło nie ukoilo jej smutku, pomyślała o psychoguru. Od czasu, kiedy w latach osiemdziesiątych XXI wieku peruwiańska psycholog Rosalind Villorde rozwinęła swoją postfreudowską teorię Mistrza, jej naśladowcy stali się bardzo popularni. Niedaleko mieszkania Bruny znajdowała się Galeria Zdrowia, jedna z wielu galerii handlowych wyspecjalizowanych w mniej lub bardziej alternatywnych terapiach. Właśnie tam na parterze miał swój gabinet psychoguru Virginio Nissen. Któregoś wieczoru wybrała się do niego z do końca niejasnym zamiarem uzyskania informacji. I wyszła, zobowiązawszy się do kolejnych wizyt. W zupełnie niezrozumiały sposób mężczyzna wymógł na niej takie przyrzeczenie. Od dwóch miesięcy napady smutku ustały, ale replikantka wątpiła, by pomogła jej terapia Nissena. Być może zawdzięczała to osiemdziesięciu gaiom, które musiała każdorazowo zapłacić za półgodzinny seans: nie miała innego wyjścia, musiała wyzdrowieć, żeby je zaoszczędzić.

Bruna leżała na łóżku deprivacji sensoralnej, na materacu wypełnionym bąbelkami

powietrza, w wirtualnych okularach, dzięki którym czuła się jak w kosmosie. Unosiła się w czarnej przestrzeni międzygwiazdnej, w stanie nieważkości, nie czując własnego ciała.

W tym dalekim, przyjemnym miejscu rozległ się słodki głos Virginia Nissena:

- Wymień trzy słowa, które sprawiają ci ból.

Miała odpowiedzieć od razu, bez namysłu.

- Rana. Rodzina. Krzywda.

- Pierwsze słowo odrzucamy, zbyt nacechowane semantycznie. Pomyśl o rodzinie i wymień kolejne trzy słowa, które cię ranią.

- Pustka. Brak. Samotność.

- Co oznacza pustka?

- Ze to kłamstwo.

- Co jest kłamstwem?

- Mówiliśmy o tym wiele razy.

- Więc jeszcze raz, Husky.

- Wszystko jest kłamstwem... Uczucia... Wspomnienia o tych uczuciach. Miłość moich rodziców. Moi rodzice. Moje dzieciństwo. Wszystko rozplywa się w pustce. Nie istnieje i nie istniało.

- Istnieje miłość, którą czujesz do ojca i do matki.

- To kłamstwo.

- Nie, ta miłość jest prawdziwa. Twoja rozpacz jest prawdziwa, bo twoje uczucie jest prawdziwe.

- Moja rozpacz jest prawdziwa, bo moje uczucie jest złudzeniem.

- Moi rodzice zmarli przed trzydziestu laty, Husky.

- Bardzo ci współczuję, Nissen.

- Chcę ci tylko powiedzieć, że moi rodzice również nie istnieją. Zachowałem ich tylko we wspomnieniach. Tak samo jak ty.

- To nie to samo.

- Dlaczego?

- Bo moje wspomnienia są kłamstwem.

- Moje też. Wszystkie wspomnienia kłamią. Wszyscy wymyślamy sobie przeszłość. Myślisz, że moi rodzice naprawdę byli tacy jak moje wspomnienia o nich?

- Wszystko mi jedno, bo to nie to samo.
- Dobrze, zostawmy to. A drugie słowo, brak, co ono oznacza?
- Samotność.
- Dlaczego?
- No cóż... Nie możesz tego zrozumieć. Żaden człowiek nie może tego zrozumieć!

Może powinnam znaleźć sobie psychoguru, który byłby replikantem. Czy są jacyś technoludzie, którzy się tym zajmują? Nawet szczur... nawet najnędniejszy ssak ma swoje gniazdo, swoje stado, swoją gromadę, swój miot. Jako replikanci jesteśmy pozbawieni tej podstawowej relacji... Nigdy nie byliśmy prawdziwie wyjątkowi, prawdziwie komuś potrzebni... W taki sposób, w jaki dzieci są ważne dla rodziców, albo rodzice ważni dla dzieci. Poza tym nie możemy mieć dzieci... i żyjemy tylko dziesięć lat, co bardzo utrudnia albo nawet uniemożliwia stworzenie stałego związku.

Ścisnęło ją w gardle i umilkła ze strachu, że się rozplacze. Za każdym razem, kiedy wspominała śmierć Merlina, fala żalu zalewała ją z taką siłą, jakby to było wczoraj, a nie prawie dwa lata temu. Oddychała głęboko, połykając łzy, aż udało się jej nad sobą zapanować.

- Chodzi o to, że tak naprawdę dla nikogo nie jesteś kimś ważnym... Możesz mieć kolegów, przyjaciół, ale nawet u boku najlepszego przyjaciela nie jesteś w stanie poczuć silnej, cielesnej więzi. Kogo obchodzi, co czujesz?

Świetnie, pomyślała Bruna z sarkazmem, trzeba być idiotą, żeby tracić tu czas i płacić osiemdziesiąt gai za pograżanie się w depresji. Międzygwiezdna przestrzeń, w której się unosiła, wcześniej tak odprężająca, teraz zaczęła ją przytłaczać.

- W rzeczywistości nie jest dokładnie tak, jak mówisz, Husky. Nawet porównanie, którego użyłaś, nie jest stosowne. Nie wszystkie ssaki to zwierzęta stadne. Na przykład dzikie niedźwiedzie były samotnikami przez całe swoje życie. Łączyły się w nietrwale pary tylko w okresie rui. Tak więc...

Co mnie obchodzą niedźwiedzie, pomyślała Bruna. Zresztą ich już nie ma: zostały tylko pojedyncze osobniki w ogrodach zoologicznych. Replikantka zdjęła wirtualne okulary i usiadła na łóżku. Zamrugała oczami, trochę oszołomiona, wracała do rzeczywistego świata. Przed nią, rozparty w fotelu, siedział Virginio Nissen, z długimi warkoczykami wąsów, złotym kolczykiem i ogoloną, lśniącą głową.

- Mam dość. Dajmy sobie już dziś spokój.
- Świetnie, Husky. Właściwie czas naszej sesji dobiega końca.

No jasne, Nissen zawsze musi mieć ostatnie słowo. Kolejny dominujący samiec, tak jak Lizard, skwitowała w myślach Bruna, zatwierdzając na kompfonie operację przelewu osiemdziesięciu gai. Kompfon mężczyzny zabrzączał, odbierając pieniądze, psychoguru uśmiechnął się szerzej o kolejne parę milimetrów, a Bruna opuściła gabinet z mocnym pragnieniem podniesienia się na duchu za pomocą kieliszka.

Tym razem nie. Ostatnio piła za dużo.

Zamiast wejść do baru naprzeciwko gabinetu Nissena, tak jak się to już parę razy zdarzyło po terapii, ruszyła głównymi pasażem w stronę wyjścia. Toczyła wewnętrzną walkę, bo taki wypity w samotności kieliszek sprawiłby jej ogromną przyjemność, to pragnienie było tak silne, że aż ją zaniepokoiło. Powinna ograniczyć spożycie alkoholu. Wiele androidów stawało się alkoholikami albo narkomanami, wepchniętymi w szpony nałogu zapewne tą samą rozpaczą, której Bruna nie umiała wyjaśnić Nissenowi. I z tego samego powodu tylu replikantów oddawało się ryzykownej grze z nielegalnymi pamięciami - skoro nie mogli przeżyć prawdziwego życia w jego zwykłej ludzkiej długości, próbowali przejść kilka żyć w danym im czasie. Nałożonych i równoczesnych. Cata Cain została zaprogramowana, by najpierw wyłupić Brunie oczy, a potem ją zabić. Znow przeszyły ją dreszcze, a pamięć przywołała dawne sceny pełne krwi i przemocy, gorączkowe urywki z jej wojennych przeżyć, o których zazwyczaj starała się nie pamiętać. Cztery lata, trzy miesiące i dwadzieścia dni.

W galerii kłębił się tłum. Ostatnimi czasy wszyscy dostali prawdziwej obsesji na punkcie zdrowia. Nie tylko androidy, również ludzie. Pomimo optymistycznych prognoz naukowych z XXI wieku nie udało się wydłużyć ludzkiego życia do więcej niż dziewięćdziesięciu pięciu, sześciu lat, a komfort życia dziewięćdziesięciolatek pozostawiał wiele do życzenia. Transplantacje, organy bioniczne i inżynieria komórkowa poprawiły jakość życia młodszych ludzi, ale nie udało się złagodzić nieuchronności starczej degeneracji. Co prawda starszycy umierali bez zmarszczek, za sprawą chirurgii plastycznej przeobrażeni w swoje własne i nie do końca dopasowane pośmiertne maski, ale demencja starcza zżerała ich od wewnątrz. Repom przynajmniej tego oszczędzono, pomyślała Bruna: powolnej i bolesnej starości. Wybrańcy bogów umierają

młodo, jak Achilles, zwykł mawiać Yiannis, dodając jej otuchy, kiedy mijali na ulicy jakiegoś starca uwięzionego w pułapce niedołężności: umysł pogrążony w demencji, obślinione usta, kruche ciało więzione na wózku niczym zwłoki. A mimo wszystko, westchnęła w duchu replikantka, zamieniłabym się z każdym człowiekiem choćby teraz.

Galeria Zdrowia nie była wielka, ale znajdowało się w niej prawie wszystko: dzwony podciśnieniowe, ośrodki terapii antyoksydantami, bioniczne second handy, duchowi uzdrowiciele, punkty praktyk labaryckich... I cała chmara znachorów i znawców terapii anti-WGT. A na pierwszym piętrze nawet jakiś lekarz, Gnejczyk. To jedno z niewielu miejsc, gdzie można z bliska przyjrzeć się obcemu... oczywiście z wyjątkiem własnego łóżka, pomyślała Bruna. I potrzęsnęła głową, żeby wyrzucić z pamięci obraz przezroczystego cielska Maia, którego wspomnienie pojawiała się w myślach jak natrętna mucha.

Obok wyjścia znajdował się nieduży salon tatuażu, którego Bruna wcześniej nie zauważyła. Podeszła bliżej: tatuaż esencjalny. O ile dobrze pamiętała, sekta esencjalistów narodziła się u schyłku XX albo zaraz na początku XXI wieku w Nowej Zelandii. Nie potrafiła powiedzieć zbyt wiele na temat ich wierzeń, choć wiedziała, że podstawę stanowiły starożytne rytuały maoryskie. Ich tatuaże cieszyły się sporą popularnością. Esencja-liści uważali je za święte, za swego rodzaju zewnętrzne przedstawienie ducha. Każdy musiał znaleźć swój tatuaż, najważniejszy dla siebie rysunek, wizualny symbol swojego ukrytego wnętrza, a kiedy już go odnalazł, powinien wyryć go na skórze, jak ktoś, kto podpisuje swą duszę. Według ich wierzeń, wytatuowanie błędnego rysunku wprowadzało wielki chaos i pociągało za sobą niekończący się szereg nieszczęść. Natomiast użycie stosownego symbolu uspokajało i chroniło taką osobę, a nawet leczyło przeróżne dolegliwości. Nic dziwnego, że tatuaże stały się modne.

Bruna zerknęła przez wąską witrynę, ozdobioną rysunkiem nagiego mężczyzny o skórze całkowicie pokrytej dziwnymi znakami. Nieduże pomieszczenie z drewnianą ławą i paroma poduszkami na podłodze wyglądało na puste. Replikantka pchnęła drzwi. Były otwarte, więc weszła. Poczula woń pomarańczy, otulił ją bursztynowy półmrok. To było przyjemne miejsce. Ława, widziana z bliska, okazała się stara i pięknie rzeźbiona. Drugi drewniany mebel stał przy ścianie po prawej. Wisząca w głębi zasłona z przezroczystych paciorków poruszyła się, szemrząc jak woda, i tatuażysta wyszedł z zaplecza. A może

tatuażystka? Bruna spróbowała określić płeć tej niewysokiej istoty o wroście równym szerokości i sprężystej jak kula sztucznego kauczuku. Jej kruczoczarne, proste włosy sięgały do ramion, ubrana była w obcisłą fioletową bluzkę, opadającą na elastyczne spodnie. Miała też biust, co znaczyło, że bardziej była to tatuażystka. Kobieta podeszła do Brany i z dołu - sięgała jej ledwie do pępka - obrzuciła ją przenikliwym spojrzeniem. Miała najbardziej okrągłą twarz, jaką Brana kiedykolwiek widziała, pulchną, o miedzianym odcieniu, stanowczą i na swój sposób piękną. Z jakiegoś dziwnego powodu jej ciekawość nie nosiła znamion agresji, Brana pozwoliła się oglądać bez słowa.

Wreszcie kobieta uśmiechnęła się krzywo i powiedziała:

- Przecina cię.

Do diabła, co za głos. Może to jednak facet?

- Co mnie przecina?

Mężczyzna, o ile był to mężczyzna, wskazał grubym paluchem tatuaż Brany.

- Ta linia. Jak chcesz się dobrze czuć, skoro jesteś przecięta na pół? A te części wcale nie są równe. I na dodatek zrobiono to pistoletem laserowym. Be!

Na jego twarzy pojawił się grymas prawdziwego obrzydzenia, a Bruna omal nie wybuchła śmiechem. No tak, teraz sobie przypomniała, że esencjaliści wykonywali tatuaże w tradycyjny sposób, za pomocą naostrzonej kości i roślinnych barwników. To raczej dość bolesny proces...

- Nie wiem, czy zdołam ci pomóc. Nie wiem, czy znajdę twój rysunek. Ta linia wprowadza sporo chaosu - oznajmił miękkiem głosem, i przez to upodobił się znów do kobiety.

- Nieważne. Ja nie przyszłam tu po tatuaż, który symbolizuje mojego ducha...

- Nie ducha. Żadnych duchów! Musimy znaleźć twoje życiowe tchnienie.

- Dobrze, niech się nazywa, jak chcesz. Jestem Bruna Husky i pracuję jako detektyw.

Tatuażysta (czy tatuażystka) uprzejmie skinął głową.

- Nazywam się Natvel i jestem tohunga. Poszukuję symboli. Umieję je uchwycić. I odtworzyć.

To oświadczenie, wypowiedziane uroczystym tonem, zabrzmiało jak wiersz albo modlitwa. Replikantka poczuła się trochę nieswojo. Nigdy nie przepadała za religiami.

- Natvel, pracuję nad sprawą morderstwa... Ofiara miała tatuaż. Jedno słowo, zapisane dość charakterystyczną czcionką... Bardzo ciemną, ciasną, litery jakby napierały na siebie, tworząc coś na kształt łamigłówki, idealnie do siebie pasowały.

- Co to za słowo?

Bruna wahała się przez moment.

- Nie mogę powiedzieć, przepraszam. Ale pomyślałam, że może wiesz przynajmniej, o jakiej czcionce mówię?

Natvel w zamyśleniu tarł podbródek.

- Czy te litery były piękne?

- Raczej ponure.

Mężczyzna skinął głową i skierował się do drewnianego mebla, kołysząc przy tym biodrami jak kobieta. Otworzył szufladę i wyciągnął stertę papierów.

- Siadaj - nakazał Brunie, wskazując ławę.

Usiedli na dwóch krańcach ławy i esencjalista położył kartki między nimi. To był stos rysunków wykonanych ołówkiem albo sangwiną. Zapewne stare wzory tatuaży. Natvel szybko je przeglądał, jakby czegoś szukając, na koniec wyciągnął jedną kartkę i pokazał ją replikantce. To był orzeł, cudowny ptak z rozpostartymi skrzydłami, trzymał w szponach jedno słowo niczym węża, którego właśnie upolował. Słowo było częściowo zakryte szponami, ale jego koniec dało się z łatwością odczytać: „athan”. Napisane tą samą czcionką co „zemsta” na ciałach ofiar.

- To te litery. Takie same.

Na słonecznym obliczu Natvela odmalowało się zatroskanie.

- Labaryckie pismo mocy. Nieczyste i złe znaki. To tatuaż chłopca o imieniu Jonathan. Niewolnika z Królestwa Labari. Tak jak i innym niewolnikom, wytatuowano mu imię pismem mocy, aby go ukorzyć i upokorzyć. Ale on miał coś w sobie. Nadzwyczajną siłę. Dzięki niej zdołał uciec z dryfującego świata i dotrzeć na Ziemię. Dostrzegłem tę jego nadzwyczajną siłę, była jak orzeł. Wytatuowałem mu orła pozerającego jego imię niewolnika i Jonathan wyzdrowiał.

Pismo labaryckie! To doprawdy zaskakujące. Brunna raz w życiu była w Królestwie Labari, przy okazji prowadzonego śledztwa - żeby się tam dostać, musiała udawać człowieka, i zachowała jak najgorsze wspomnienia o tym strasznym świecie stworzonym

przez fanatyków.

- Nieźle. Dzięki, Natvel, bardzo mi pomogłeś. Ile jestem ci winna?
- Nic. Warto walczyć z ciemnością - z powagą odparła dziwna postać.

Niemożliwością było określenie jej płci. I nie w tym rzecz, że Natvel był androgynem czy hermafrodytą, on raczej prezentował sekwencję zmieniających się obrazów. Wydawał się stu-procentową kobietą, a za chwilę nie ulegało wątpliwości, że jest mężczyzną. Bruna zastanawiała się, czy on nie jest syndmutantem, czy ta płynność tożsamości płciowej nie została spowodowana nieładem TP.

- Jestem ci bardzo wdzięczna, ale jesteś...

Replikantka zawahała się, czy powiedzieć „specjalistą” czy „specjalistką”, więc zakończyła tak:

- ...jesteś ekspertem w tej materii, a praca ekspertów powinna być opłacana. Poza tym, jeśli ci zapłacę, zawsze mogę tu wrócić i znów poprosić o pomoc...

Natvel uniósł do góry grubiotki palec wskazujący:

- Cicho.

Bruna umilkła.

Tatużysta stanął na ławce i położył dłonie na skroniach replikantki, która wzdrygnęła się, ale nie odchyliła głowy. Poczula je - delikatne, gorące, pulchne matczyne dłonie. Natvel pochyliła głowę między rozłożonymi ramionami i trwała w milczeniu, skoncentrowana, z zamkniętymi oczyma. Bruna zaś stała sztywno i zastanawiała się, czy nie powinna poczuć czegoś niezwykłego: energii promieniującej z dłoni, wewnętrznego drżenia, zapowiedzi transu czy jednego z ezoterycznych przeżyć, o których zawsze opowiadają entuzjaści takich rytuałów. Tymczasem nie czuła nic poza zażenowaniem. Wreszcie Natvel puściła Brunę i ta się wyprostowała.

- Wiem, kim jesteś, wiem, jaka jesteś. Zobaczyłam cię.
- Ach tak? - wyjąkała replikantka.
- Widziałam twój esencjalny rysunek.

Bruna wstała.

- Wolę nie wiedzieć, co przedstawia. Jeszcze raz bardzo ci dziękuję, Natvel.

Powiedz, ile mam ci zapłacić.

- Już wiesz, że nic. Jesteśmy kwita. Ale wróć tu, kiedy zapragniesz dowiedzieć się

czegoś więcej o sobie.

Bruna skinęła głową i pospiesznie opuściła gabinet tatuażu. Kiedy znalazła się na zewnątrz, odetchnęła z ulgą - zbyt wielu znachorów i uzdrowiaczy jak na jeden wieczór. Zbyt wielu ludzi, którym się wydaje, że wiedzą, czego jej trzeba albo kim jest. Postanowiła zaprzestać wizyt u psychoguru. Przestać chodzić do psychoguru, przestać pić, przestać prowadzić nieuporządkowane życie, skończyć z gniewem, skończyć z niepokojem, przestać żyć jak rep. Wybuchnęła krótkim, gorzkim śmiechem, co brzmiało, jakby się zakrztusiła. Ten cały Natvel przynajmniej się do czegoś przydał. Rozpoznał pismo labaryckie.

Jakieś krzyki wyrwały Brunę z zamyślenia. Niedaleko, przy wejściu do Galerii Zdrowia, coś się działo. Podeszła bliżej, żeby sprawdzić, o co chodzi: dwóch młodych mężczyzn, wysokich, potężnie zbudowanych i dość odrażających, jeden biały, drugi czarny, z głowami ogolonymi w pasy, które stanowiły typową fryzurę supremacjonistycznych zbirów, znęcało się nad człowiekiem-reklamą. Popychali go między sobą i obrzucali wyzwiskami, bawiąc się nim i jego upokorzeniem.

- Zamknij się, pieprzona papugo! Mamy dość twojej reklamy!
- Nie mogę tego wyłączyć - jęczała ofiara.
- Nie mogę tego wyłączyć, nie mogę tego wyłączyć... Nic innego nie umiesz powiedzieć, łachmaniario? Paskudna starucha, śmierdząca żebraczka... no już, schowaj się gdzieś, żebyśmy cię więcej nie słyszeli!

Człowiekiem-reklamą była kobieta z Texaco-Repsol, która czasami przesiadywała w barze u Oli, ale jeszcze przed jej rozpoznaniem Bruną poczuła elektryzujący wir hormonów, wibrujące napięcie od czubka głowy aż po palce stóp, poczuła gotowość do walki, uzbrojona w ten cudowny i jasny spokój, w ten gorący chłód, który pojawiał się w chwilach zagrożenia. Wkroczyła między dwóch chuliganów i złapała w ramiona ślaniającą się kobietę, kiedy jeden ze zbirów popchnął ją w kierunku drugiego.

- Koniec zabawy - oznajmiła cichymi głosem.

Delikatnie podniosła drżącą ze strachu kobietę i posadziła ją pod ścianą kilka metrów dalej. „Czysta energia dla wszystkich, odnawialne źródło mocy dla szczęśliwej przyszłości...”, szczebiotał ekran na jej piersi. Bruną wróciła, by zmierzyć się z napastnikami, którzy jeszcze nie zdążyli zareagować na jej działanie.

- Świetnie! Robi się coraz zabawniej. Repka! Z której próbówki wypadłaś, poczwaro z laboratorium? - zasyczał Murzyn z twarzą wykrzywioną grymasem wściekłości.

Obaj nerwowo kołysali się na stopach, z ramionami lekko odchylonymi od tułowia. Typowy zwierzęcy taniec, pierwotny balet ataku i obrony. Bruna natomiast stała nieruchomo, pozornie rozluźniona.

- Co się wtrącasz, potworze?! Co? Ktoś ci pozwolił się do nas odzywać, genetyczny mutantcie? - bluzgał kolorowy mężczyzna, prawdopodobnie ważniejszy z tej dwójki.

- Jardo, poczekaj... To jest chyba rep bojowy - wymamrotał biały.

- Dla mnie to zwykła kurwa nafaszerowana hormonami - ryknął Murzyn.

I wyciągnąwszy z kieszeni elektryczny paralizator, rzucił się na Brunę gotów ją usmażyć. Zrobił to szybko, ale nie dość szybko. A poza tym, stwierdziła w duchu Bruna, rzucając się w bok i rozbrajając zbira uderzeniem kantem dłoni w ramię, stracił cenne tysięczne sekundy na wyciąganiu paralizatora, zamiast maksymalnie skoncentrować się na ataku. To była bardzo głupia decyzja, oeniła, wykonała obrót, wyrzuciła nogę do tyłu i uderzyła piętą w genitalia zbira. Upadł, chwytając ustami powietrze. Drugi, jak trafnie przewidziała Bruna, zdążył już uciec.

Replikantka podeszła do kobiety-reklamy Texaco-Repsol, która wciąż skulona i cała drżąca siedziała pod ścianą.

- Spokojnie. Już po wszystkim.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję. Ja ciebie znam - wymamrotała kobieta.

- Tak, znamy się. Z baru Oli.

Bruna pomogła jej wstać. Otaczał je krąg gapiów, wyłącznie ludzi. Niektórzy przyglądali się jej z widocznym lękiem. Bali się Brany. Do cholery, powinni być jej wdzięczni. Jeśli już kogoś powinni się bać, to tego gnoja, który, pochlipując, wciąż leżał na ziemi, a tymczasem przerażała ich replikantka, inny, obcy, przeklęty potwór z laboratorium.

- Koniec przedstawienia - warknęła.

Ludzie posłusznie się rozeszli.

- Wszystko w porządku?

- Tak, tylko... trochę jestem... zdenerwowana.
- Dziękujemy, drogi konsumencie! Szczęśliwe rodziny to nasz wspólny sukces - odezwał się ekran reklamowy.

- Mam na imię RoyRoy...
- Bruna Husky.

Kobieta-reklama miała nieco ponad sześćdziesiąt lat, wyglądała jednak dużo starzej. Na jej twarzy nie widać było śladów chirurgii plastycznej, a to znaczyło, że musiała być bardzo biedna. Sina twarz i drżące wargi czyniły z niej wcielenie bezbronności.

- RoyRoy, może pójdziemy do baru Oli? Czegoś się napijemy, uspokojmy nerwy, wyluzujemy... Tam przynajmniej obie jesteśmy mile widziane.

Pojechały do baru taksówką, bo kobieta była zbyt poturbowana, żeby iść na nogach. Gdy tylko stanęły w drzwiach, gruba Oli, z wrodzoną sobie empatią, natychmiast wyczuła w czym rzecz.

- Co się stało, Husky? Wchodźcie, siadajcie tam w rogu, nikt wam nie będzie przeszkadzał... Tam, obok twojego przyjaciela Yiannisa.

Stary archiwista rzeczywiście siedział w głębi baru i bardzo się ucieszył na widok Bruny. Nie widział jej od zeszłego ranka, kiedy zbudził ją informacją o śmierci Chi. Replikantka opowiedziała o niemiłej przygodzie. Oli, która podała im dwa piwa i talerz frytek, a potem stanęła za barem i przysłuchiwała się historii, wykrzywiła lśniąca twarz w kolorze kawy z mlekiem i skwitowała relację Bruny:

- Pieprzony czarnuch... Powinien pamiętać, że półtora wieku temu my byliśmy ofiarami linczów i prześladowań. Ale renegaci są zawsze najgorsi.

- Ten cały supremacjonizm zaczyna mnie trochę martwić - mruknął Yiannis. - W archiwum też ostatnio napotykam jakieś okropne zdania...

- Które, jak mniemam, poprawiasz?
- Za to mi płacą.
- Texaco-Repsol zawsze w awangardzie społecznego dobrobytu!

Bruna i Yiannis wymienili spojrzenia. Trudno było wieść spokojną rozmowę z nieustannym szczebiotem reklamy pośrodku. RoyRoy zauważyła ich miny i zawstydzona wstała ze stołka.

- Przepraszam. Wiem, że to strasznie męczące. Nie chcę już wam się naprzykrzać...

Zrobiliście już zbyt wiele...

- Co ty gadasz, siadaj, kobieto...

- Nie, naprawdę. Nie czułabym się dobrze, gdybym tu została... Dziękuję, Bruno, bardzo dziękuję. Nigdy tego nie zapomnę. Chyba pójdę spać... Wykorzystam teraz moje dziewięć godzin. Muszę odpocząć... Pozwólcie, że ja zapłacę...

- Dziś ja stawiam - oznajmiła Oli.

- W takim razie jeszcze raz dziękuję. Dziś wszystkim wam tyle zawdzięczam...

I leciutko się uśmiechnęła.

Yiannis i Bruna odprowadzili ją wzrokiem. Była jak ptak uwięziony w klatce z ekranów.

- To jedne z najsmutniejszych oczu, jakie widziałem - wyszeptał archiwista.

Rzeczywiście. Replikantka ziewnęła. Nagle poczuła się kompletnie wyczerpana. Zawsze tak miała, ilekroć wzięła cukierka. Mieszanka neuroleptyków i alkoholu działała jak uderzenie obuchem. W ciągu całego dnia wypiała tylko jedno piwo, które postawiła jej Oli. I to jej bardzo odpowiadało. Chciała, żeby tak zostało i dlatego powinna była pójść do domu.

- Ja chyba też już sobie pójdę, Yiannisie. Padam ze zmęczenia.

Czuła się tak wyczerpana, że pojechała taksówką, choć wcale nie miała zamiaru przyzwyczajając się do luksusu. Po pięciu minutach była na miejscu, wysiadła, zapłaciła. Na ulicy przelewał się tłum, była sobota, a noc dopiero się rozpoczęła. Bruna mogła myśleć tylko o swoim łóżku. O szklance kakao i spaniu. Otworzyła bramę odciskiem palca i pchnęła drzwi, kiedy jakiś nagły impuls kazał jej spojrzeć w prawo. On tam był, pięć metrów dalej, przytulony do ściany, z opuszczonymi ramionami. Obcy, Omaajczyk, zielony stwór. Czekał na nią niczym porzucony psiak, zdyszane ogromne psisko w przyciasnej koszulce. Bruna zamknęła oczy i zrobiła głęboki wdech. To nie mój problem, pomyślała. I nie oglądając się za siebie, weszła do budynku.

Dostępu do mieszkania Caty Cain wciąż strzegły policyjne taśmy, choć był to raczej efekt zaniedbania niż konieczność, pomyślała Bruna. Od śmierci replikantki minęło już dziewięć dni, a policyjnych zabezpieczeń nigdy na tak długo nie zostawiano. Taśmy ochronne stanowiły też dowód na zupełną samotność Cain: nikt nie zapragnął wejść tu po jej śmierci, nikt nie zainteresował się jej rzeczami, pewnie nie ma nikogo, kto by o niej

pamiętał. Nie pamiętali o niej nawet policjanci, którzy powinni byli zdjąć taśmy. Ot, krótkie i nędzne życie.

Bruna bez problemu rozbroiła cążkami elektroniczną taśmę i otworzyła drzwi deszyfrującym wytrychem. Posiadała całą kolekcję sprytnych małych narzędzi, które służyły do dezaktywowania alarmów, zacierania śladów i rozszyfrowywania kodów, o ile w grę wchodziły niezbyt wyszukane systemy bezpieczeństwa. W tym przypadku zamek zaliczał się do najprostszych i najtańszych z dostępnych na rynku, więc złamanie kodu nie trwało długo. Bruna rozejrzała się po korytarzu - o czwartej po południu w budynku panował spokój. Replikantka była już w mieszkaniu Cain tamtego pamiętnego dnia, w towarzystwie jednego z dozorców. Ale wtedy przeszukała je tylko pobieżnie, chciała zdobyć jakieś podstawowe informacje o życiu ofiary. Teraz zaś zamierzała przejrzeć wszystko bardzo dokładnie - chciała się dowiedzieć, dlaczego na memorce Caty zaprogramowano morderstwo Bruny. Nie wiedziała, czego szuka, ale umiała patrzeć. Zazwyczaj z rewizjami nie miała problemów, to, czego szukała, odnajdywało się jakby samoistnie.

Mieszkanie Cain stanowiło lustrzane odbicie apartamentu Brany, tyle że znajdowało się nie na siódmym, a na pierwszym piętrze. Bruna zapamiętała je jako bezosobowe, puste i zakurzone, a pierwsze wrażenie przy kolejnych odwiedzinach, po dziewięciu dniach, potwierdziło jej wspomnienie: to wciąż było bardzo smutne miejsce. Prawie całkowicie spuszczone żaluzje w oknach, przesiąknięty kurzem, spokojny półmrok pokoju miał w sobie coś z żaloby.

- Domku, podnieś żaluzje. - Brana zwróciła się w stronę ekranu, pobłyskującego w ciemnościach.

Ale komputer nie zareagował - oczywiście głos Brany nie był tym autoryzowanymi do wydawania poleceń. Replikantka przeszła przez pokój, szybko uniosła żaluzje i gdy odwróciła się, by obejrzyć pomieszczenie, natychmiast zauważyła coś niezwykłego - panował w nim okropny bałagan. Z pewnością nie zostawiła go po sobie policja - od czasu, kiedy parę lat temu Państwo zostało obciążone karą dwóch milionów gai po głośnym skandalu w sprawie Johna Gonza, agenci przestrzegali żelaznych reguł porządku. A skoro nie oni, to znaczy, że ktoś przeszukał mieszkanie przed nią. Stojąc nieruchomo na środku pokoju, Brana uważnie rozglądała się dookoła. To był jakiś

dziwny bałagan. Wszędzie leżały fragmenty ubrań, prawdopodobnie wyciągniętych z szafy Cain, rozrzuconych i poszarpanych na strzępy. Oderwany róg dywanu gdzieś zniknął, być może ktoś go zabrał. Na co komu potrzebny kawałek taniego dywanu? Żeby włożyć go komuś do ust jako knebel? Na stole leżała rozpruta i całkowicie wypatroszona poduszka. Czyżby ktoś zabrał razem z dywanem to, co znajdowało się w jej wnętrzu? Z dwóch wysuniętych szuflad wysypano i potłuczono w drobny mak całą zawartość, trzy inne szuflady wyglądały na nietknięte. Brana podeszła i zajrzała do nich: panował tam idealny porządek, prawdopodobnie nie zostały nawet otwarte. Kimkolwiek był ten, kto czegoś tu szukał, najprawdopodobniej to znalazł.

Replikantka poszperała w tych nietkniętych szufladach. Rodzinne fotografie, kolorowe wstążki, tania biżuteria, zeszyty z młodzieńczymi zapiskami. Cała sterta fałszywych pamiątek. Cain trzymała je poza zasięgiem oczu... ale się ich nie pozbyła.

Gdzieś z bardzo bliska dał się słyszeć odgłos tłuczonego szkła. Bruna odwróciła się szybko i oparła plecami o ścianę, chroniąc się od tyłu. Znieruchomiała. To chyba w sypialni. A może w łazience. Wolno mijały sekundy, cisza ciągnęła się jak guma. Replikantka już miała uznać, że był to fałszywy alarm, kiedy jej wyostrzony słuch wyłowił coś jeszcze: cichy szelest i jakby delikatne, szklane dzwonienie. Coś poruszyło się w sypialni. Ktoś tam był. I wtedy zrozumiała, że nietknięte szuflady oznaczały, że przerwała poszukiwania intruzowi.

Bruna ostrożnie zbliżyła się do drzwi sypialni, żałując, że nie ma przy sobie plazmowego pistoletu. Przechodząc obok kuchni, chwyciła nóż leżący na blacie: to był zwykły nóż stołowy, ale ona potrafiła zrobić z niego użytek. Stojąc w progu, zlustrowała sypialnię: niepościelone łóżko, uchylone szafy. Jedno z okien było niedomknięte, zapewne tędy dostał się tu złodziej. I prawdopodobnie tą samą drogą uciekł. Replikantka wstrzymała oddech, aby skupić się na ewentualnych odgłosach, i rzeczywiście znów usłyszała szmer po drugiej stronie łóżka, przy szafach. Nie, jeszcze nie uciekł. Wciąż tu był.

W ułamku sekundy, na chłodno i z nadzwyczajną precyzją, Bruna rozważyła wszystkie możliwe posunięcia. Mogła skradać się powoli, mogła wykonać szybki sus, mogła wrócić do salonu, wskoczyć na łóżko, przeczołgać się po podłodze. Mogła też obrócić się na pięcie i wymknąć się z mieszkania Cain, nie stając do walki. Choć skoro

intruz nie próbował jej do tej pory zaatakować, być może znaczyło to, że nie czuje się zbyt pewnie, prawdopodobnie nie jest uzbrojony ani zbyt groźny, a jednocześnie mógłby stanowić ciekawe źródło informacji. Poza tym leżał na podłodze, wciśnięty między łóżko i ścianę, czyli w sumie znajdował się w dość niekomfortowej sytuacji.

- Wiem, że tam jesteś. Mam pistolet - skłamała Bruna. - Wstań z rękami do góry. Liczę do trzech: raz...

I nie licząc dalej, Bruna przeskoczyła nad łóżkiem. Nie wylądowała jednak na intruzie, jak się tego spodziewała, tylko na podłodze.

- O wielki Morlayu!

Naprzeciwko niej, pomiędzy kawałkami rozbitego lustra, przy szafie, siedziało skulone jakieś włochate stworzenie i wpatrywało się w nią ze strachem. Mierzyło pół metra wysokości, miało małpi tułów, choć bez ogona, o wydatnym brzuszku, cały pokryty nastroszoną rudą sierścią. Z tułowia wyrastała nieproporcjonalnie długa szyja zakończona nieproporcjonalnie małą, trójkątną głową, z olbrzymimi czarnymi oczami, trochę podobną do głowy strusia, tyle że owłosioną i z płaskim nosem zamiast dziobu. Na szczycie spłaszczonej czaszki wyrastał grzebień sztywnych włosów. Istotka wyglądała na bezbronną. Bruna rozpoznała zabawne stworzenie: to był... jak on się nazywał? Gryzek. Domowe zwierzątko pozaziemskie, teraz nie potrafiła przypomnieć sobie, z której planety, ostatnio bardzo modne. Stworek wpatrywał się w nią, nie przestając się trząść.

- A ty skąd się tu wzięłeś? - zapytała głośno.

- Cata - wymamrotał zwierzak niewyraźnie, choć zrozumiale. - Cata, Cata.

Bruna wypuściła nóż z dłoni i ciężko usiadła na łóżku, zupełnie ogłupiała. Małpa, która mówi. Albo struś, który mówi. Tak czy inaczej, włochate stworzenie, które mówi.

- Rozumiesz mnie? - zapytała niepewnie.

- Cata! - powtórzyło stworzenie nosowym i trochę płaczącym głosem.

Replikantka sprawdziła gryzka w komfonie i na wyświetlaczu pojawiło się zdjęcie ze zwierzęciem bardzo podobnym do tego, które miała przed sobą, oraz artykuł:

BUBI (Im. bubu, pot. gryzek)

Stworzenie pochodzące z planety Omaa, niewielki ssak domowy, sprowadzony na Ziemię, gdzie stał się bardzo popularny; z powodu dużych zdolności przystosowawczych i wysokiej odporności wyjątkowo łatwy w hodowli i idealny jako domowa maskotka.

Gatunek heteroseksualny, nie wykazuje dymorfizmu płciowego, samiec i samica wyglądają identycznie, z wyjątkiem organu płciowego, choć i ten jest trudno rozróżnialny. Dorosły bubi waży około 10 kilogramów i może prażyć nawet dwadzieścia lat. Zwierzątko bardzo czyste, pojętne, spokojne, nawiązuje uczuciową więź z właścicielem, potrafi artykułować słowa za pomocą szczątkowego aparatu głosowego. Większość uczonych jest zdania, że mowa bubich jest tylko naśladowaniem dźwięków, podobnie jak w przypadku ziemskich papug. Niektórzy zoologowie utrzymują, że stworzenia te odznaczają się wysoko rozwiniętą inteligencją, porównywalną z szympanсами, a artykułowane wypowiedzi są wyraźnie intencjonalne. Bubi jest wszystkożerny i bardzo żarłoczny. Żywi się przede wszystkim owadami, roślinami i produktami zbożowymi bogatymi w błonnik, ale głodny potrafi zjeść prawie wszystko, zwłaszcza papier i tekstylia. Nawyk nieustannego pogryzania stał się powodem, dla którego na Ziemi zwierzę nazywane jest potocznie gryzkiem. Liczne stowarzyszenia miłośników zwierząt domagały się rozwiązań prawnych, zarówno regionalnych, jak i międzyplanetarnych, dzięki którym bubi mogłyby znaleźć się na tym samym poziomie taksonomicznym co naczelnice, a tym samym zostałyby uznane za istoty czujące.

Poniżej znajdowały się inne artykuły, zawierające szczegółowe informacje z dziedziny anatomii czy etologii, Bruna je pominęła. Spojrzała na zwierzątko. Wciąż trząsał się jak galareta.

- Spokojnie, nie zrobię ci krzywdy - przemówiła delikatnym tonem.

Gryzek miał krew na ramieniu, pewnie skaleczył się odłamkiem szkła. Krew lśniła czerwienią, podobna do krwi ludzi i repów. Bruna powoli wyciągnęła rękę, bubi jeszcze bardziej przylgnął do szafy i cicho zapiszczał.

- Ciiii... spokojnie... Chcę tylko obejrzeć ranę.

Sierść zwierzęcia była gruba i twarda, ale o wiele mniej szorstka w dotyku, niż Bruna się spodziewała. Odgarnęła sklezione krwią włosy i uważnie przyjrzała się ranie. Nie wyglądała poważnie. Powierzchnowe skaleczenie, już zdążyło przyschnąć. Spod rudej sierści przebłyskiwała szara skóra.

- No już dobrze, nic się nie stało. Widzisz? Spokojnie...

Delikatnie pogłaskała zwierzątko po karku i plecach. Nie dziwiła się popularności gryzków, były dość zabawne i budziły czułość. Bubi przestał się trząść, ale wciąż nie

spuszczał z niej czujnego wzroku. Bruna wstała.

- Co ja mam z tobą zrobić?
- Bartolo. Cata. Śliczny Bartolo, śliczny Bartolo - odezwał się bubi.

Po czym wyjął zza pleców urwany kawałek dywanu i delikatnie przytrzymując go łapkami o szarych paluszkach, zaczął w najlepsze wcinać.

Cata, pomyślała Bruna. Czyli Cain miała bubiego. A Bartolo to pewnie jego imię. No cóż, powinna zawiadomić jakieś towarzystwo opieki nad zwierzętami.

- Bartolo? Nazywasz się Bartolo?
- Śliczny Bartolo - powtórzył gryzek, nie przestając przeżuwać.

Sądząc po zniszczeniach, Bartolo spędził ostatnie dziewięć dni samotnie i bez jedzenia. Prawdopodobnie w czasie policyjnej rewizji przestraszony uciekł na patio i nie został znaleziony. Choć kiedy Bruna przyszła tu z dozorcą, też go nie zauważyła.

Zdażył się wcześniej ukryć? Założmy, że Cain napadnięto i siłą wszczepiono jej zabójczą memorkę, pomyślała Bruna. Założmy, że bubi był świadkiem napadu i uciekł przez okno. Czy w jakiś sposób mógłby rozpoznać napastnika? W końcu uchodzi za dość inteligentne zwierzę. Rzuciła krytycznym okiem na przeżuwające stworzenie i nie poczuła się zbudowana tym widokiem.

Zdecydowała się na razie zostawić bubiego w spokoju i zaczęła szybko przeszukiwać mieszkanie. Sypialnię, łazienkę i wreszcie salon. Nie znalazła niczego interesującego. Bubi nieśmiało towarzyszył jej w każdym z pomieszczeń, zaszyty w kącie zupełnie nie przeszkadzał. Kiedy Bruna przejrzała kuchnię, z której praktycznie wszystko poznikało, odwróciła się w stronę zwierzaka.

- No nie!

Błyskawicznie doskoczyła do bubiego i wyrwała mu z łap wełnianą kurtkę. To znaczy niedojedzone resztki swojej wspaniałej kurtki z prawdziwej wełny. Wszedłszy do mieszkania, zostawiła ją w salonie i nie zauważyła, kiedy bubi zaczął ją pożerać. Spojrzała wkurzona.

- Bartolo głodny - wyjaśnił gryzek ze skruszoną miną.

Zaraz zadzwonię do schroniska, im szybciej go zabiorą, tym lepiej, postanowiła wściekła. Ale potem stwierdziła, że lepiej byłoby sprawdzić najpierw pochodzenie zwierzęcia. Pochyliła się i wzięła je na ręce. Bubi ufnie objął ją za szyję. Pachniał

kwaśnym ciepłem, właściwie przyjemnie. To była woń mchu i skóry. Replikantka wyszła z mieszkania Cain, zamknęła drzwi i za pomocą czązek przywróciła policyjne zabezpieczenia. Potem udała się na poszukiwania któregoś z dwóch dozorców, przesiadujących w ogromnym bloku. Udało się jej spotkać tego, z którym tamtego dnia odwiedziła mieszkanie Caty. Przerwała mu poobiednią drzemkę, wprawiając go w zły humor.

- Jest niedziela, Husky. Wam, lokatorom, wydaje się, że skoro my tu mieszkamy, to jesteśmy waszymi niewolnikami - gderał, a z jego ust zalatywał śmierdzący oddech.

- Przepraszam. Mam tylko jedno pytanie: czy ten zwierzak należał do Caty Cain? Mężczyzna przyjrzał się zwierzęciu rozspanym i wściekłym wzrokiem.

- Nie wiem, czy to ten, ale Cain miała identycznego.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś, kiedy byliśmy w jej mieszkaniu?

- A to ma jakieś znaczenie? Właściwie lepiej by było, żeby zniknął. Ja to w ogóle bym zabronił trzymania zwierząt. Psów, kotów, ptaków. Nic innego nie robią, tylko brudzą. A kto potem musi sprzątać? Oczywiście niewolnik.

- Już dobrze, spokojnie. Dzięki i przepraszam za kłopot. - Bruna wręczyła dozorcę dziesięciogaiowy banknot.

A zatem Bartolo faktycznie był maskotką Caty, pomyślała. Stała na środku korytarza, z gryzkiem na ręku, nie za bardzo wiedząc, co robić dalej. Wsluchiwała się, cichy, miarowy oddech zwierzątka. Delikatnie pochrapywał. Zasnął w jej ramionach. A niech to, pomyślała, wezmę go na razie do siebie, a potem zobaczymy.

Bruna obudziła się z jedną stopą zlodowaciałą i drugą gorącą, a kiedy zasnęła podniosła się na łóżku, żeby sprawdzić, co takiego stało się z jej nogami, ze zdziwieniem odkryła, że jedna jest odkryta, a druga przykryta jakąś rudą, włochatą poduszką. Chwilę trwało, zanim uświadomiła sobie, że poduszka to w rzeczywistości zwierzę i że to ona przyniosła je tu wczoraj z mieszkania Caty Cain. Gryzek owinał się wokół jej prawej stopy i spokojnie przeżuwał gruby koc ze sporej wielkości wygryzioną wcześniej dziurą, przez którą wystawała lewa stopa Bruny. Co gorsza, stwierdziła z obrzydzeniem replikantka, cała stopa została umazana śliną bubiego i dlatego tak marzła. Bruna warknęła i zrzuciła gryzka na ziemię. Zwierzak za-skowyczał.

- Śliczny Bartolo, śliczny Bartolo... - wybełkotał.

- Ja ci pokażę ślicznego Bartola... Zaraz zadzwonię do schroniska - mruzczała pod nosem replikantka, wkładając jedwabny szlafrok i pochylając się nad wygryzioną dziurę.

I właśnie wtedy zadzwonił Nopal. Bruna bezwiednie wyprostowała się, odchrząknęła, spróbowała ożywić twarz wyrazem zainteresowania. Pisarz powiedział krótko: ma dla niej ciekawe informacje i prosi o spotkanie. Ucieszyła się, ale jednocześnie poczuła ukłucie niepokoju, smutek, który nie bardzo rozumiała. Na myśl o pamięciarzu zaczynała się denerwować. Bardzo denerwować. Czy dlatego, że był pamięciarzem? Czy dlatego, że był taki, a nie inny? Mglisty, niejednoznaczny, zuchwały, a zarazem zbyt miły. Ten mężczyzna miał w sobie coś, co ją intrygowało, i coś, co przyprawiało ją o dreszcze. Fascynował ją jak kobra.

Umówili się o trzynastej w Pawilonie Niedźwiedzia. Repli-kantka, która zeszłego wieczoru poszła dość wcześnie do łóżka, obudziła się w doskonałym nastroju, teraz lekko zmałym przez gryzka. To był drugi z rzędu poranek, który przywitała bez kaca, wyczyn, jakiego nie dokonała od dawna. Stała na środku salonu, umiarkowanie zadowolona z życia. A to przytrafiało się jej dość rzadko. Spojrzała na przestraszonego stworka i znów go pożałowała - wczoraj właściwie nie dostał kolacji, bo ona nie miała w domu za wiele do zjedzenia. Nic dziwnego, że wygryzł dziurę. Nie mówiąc już o smutku, jakiego musiał doświadczyć po nagłej stracie swej pani, o samotności ostatnich dni i o wszystkich zmianach w jego życiu. Smutek to było coś, co Bruna mogła zrozumieć. Ona też czasami miała ochotę kąsać i drapać, potrafiła się jednak powstrzymać.

- No dobrze, na razie tu zostaniesz... Możliwe, że mi pomożesz. Ale musisz być grzeczny...

- Grzeczny Bartolo, grzeczny Bartolo.

Bruna zdziwiła się: zwierzątko faktycznie wydawało się rozumieć, co się do niego mówi. Zadzwoniła do Super Expressu i zamówiła płatki zbożowe z błonnikiem, suszone jabłka i śliwki dla bubiego oraz wszystkiego po trosze dla siebie. Usługi ekspresowe były bardzo drogie, ale nie miała ochoty wychodzić z domu. Kiedy czekała na przybycie robota z zakupami, odbyła holorozmowę z Yiannissem i przedstawiła mu Bartola, a potem zdążyła dopasować kolejne cztery kawałki puzzli. Niebawem pojawiły się zakupy i razem z bubim zjedli obfite śniadanie. Bubi usiadł na podłodze, oparty plecami o ścianę, delikatnie oszołomiony i w pełni zadowolony. Bruna przykucnęła obok.

- Bartolo, wiesz, co się stało z Cata. Widziałeś coś? Ktoś cię skrzywdził?
- Pyszne, pyszne. - Gryzek aż przymknął oczy z zadowolenia.
- Posłuchaj, Bartolo. Cata? Krzywda? Oj? Boli? Cata Cain? Napad? Żli ludzie?

Bruna nie za bardzo wiedziała, jak mówić, żeby dotrzeć do niewielkiego mózgu.

Odegrała krótką scenkę napadu, pomagając sobie minami, złapała się za szyję i sama sobą potrząsnęła, wywracając oczami. Bubi patrzył na to wyraźnie zafascynowany.

- Do cholery jasnej, wiesz, co się stało z Cata?
- Dobra Cata. Nie ma Caty.
- Tak, tak, wiem, że jej nie ma. Ale wiesz, co się z nią stało? Widziałeś kogoś?

Ktoś ją skrzywdził?

- Bartolo sam.

Bruna westchnęła, podrapała bubiego po rudej szczecinia-stej czuprynie i wstała.

- Głód! - wrzasnął Bartolo.
- Znowu? Przecież dopiero co zjadłeś wielkie śniadanie.
- Głód, głód, głód! - powtarzał gryzek.

Bruna wzięła miskę, napełniła ją płatkami i podała zwierzakowi.

- Masz i nie wrzeszcz.
- Nie, Bartolo nie. Głód, głód, głód! - powtórzył, odpychając miskę łapkami.

Replikantka spojrzała zdumiona. Jeszcze raz podała mu jedzenie, a zwierzak raz jeszcze odmówił.

- Głód!
- Nie wiem, o co ci chodzi.

Bubi spuścił głowę, zniechęcony brakiem porozumienia. I zaraz zaczął gładzić się po brzuszku.

- Grzeczny Bartolo.

Kurzy mózdzek, pomyślała Brunna, trudno wyciągnąć z niego coś pożytecznego. Jak tylko wróci ze spotkania, zadzwoni do schroniska, żeby go wzięli.

Z pamięciarzem była umówiona na trzynastą, miała jeszcze trochę czasu, a ponieważ przepełniała ją energia, nieco posprzątała w mieszkaniu i trochę poćwiczyła z niedużymi ciężarkami: nie chciała, żeby masa mięśniowa ograniczała jej zwinność. Potem, kiedy bubi sobie spał (zdaje się, że te stworzenia spędzały życie na spaniu i jedzeniu),

replikantka przygotowywała się do wyjścia. Poświęciła na to wyjątkowo dużo czasu. Wypróbowała parę wariantów stroju. W końcu wybrała rdzawy kombinezon, z szerokimi spodniami i obcisłą górą. Już miała wyjść, kiedy pod wpływem nagłego impulsu założyła jedną z dwóch posiadanych sztuk biżuterii: wielki, geometryczny naszyjnik wykonany z tak cienkiego płatu złota, że wydawał się kartką lśniącego papieru. To było sławne złoto z kopalni Potosí: poddane sekretnemu procesowi chemicznemu cieniutkie płyty metalu nabywały niezwyklej wytrzymałości. Bruna dostała go w prezencie od pewnej kobiety, której uratowała życie podczas zamieszek, kiedy odbywała jeszcze służbę wojskową i została odkomenderowana na daleką kopalnianą planetę. Bruna dwukrotnie się teleportowała, z Ziemi na Potosí, a potem z powrotem na Ziemię, i na szczęście nie doświadczyła przykrych efektów syndromu nieładu. Choć tak naprawdę nigdy nie można być tego pewnym.

- Uważaj, żebyś tu czegoś nie zbroił, dobrze, Bartolo? Żebyś przez przypadek nie zjadł puzzli. Jeśli coś mi zjesz, to cię wyrzucę z domu. Słyszałeś?

- Śliczny Bartolo, grzeczny Bartolo.

Bruna wyszła z domu ubrana dość elegancko i trochę zakłopotana tym zbytnim zadbaniami o siebie. Ożywiona, niemal zadowolona, czuła się zdrowa i pełna wigoru, daleka od WGT, w pełni panując nad doskonałą maszyną swego ciała. Dobry nastrój uległ lekkiemu rozchwianiu, kiedy wyszła za próg budynku, tam gdzie zeszłej nocy zobaczyła tego cholernego niebieskozielonego pozaziemskiego stwora. Wiernego jak pies Omaajczyka. A niech to, Bruna już zdążyła o nim zapomnieć.

Tymczasem on tu siedział, otoczony małym kręgiem gapiów, gotów tkwić całą wieczność pod jej bramą. Może to jakiś ich narodowy zwyczaj? Jakies kulturowe nieporozumienie? Być może powinna była dopełnić określonego rytuału pożegnania, na przykład ofiarować mu kwiat albo podrapać go po głowie? Replikantka niespokojnie przygryzła wargę, żałując, że nie oglądała z większą uwagą reportaży o kulturach pozaziemskich. Oto nagle cała omaajska fauna postanowiła zadomowić się w jej życiu. Coś na kształt przekleństwa. Bez namysłu ciężkim krokiem zbliżyła się do Maia.

- Cześć. Posłuchaj, nie wiem, jak to jest na waszej planecie, ale tu, gdy mówimy sobie do widzenia, to po prostu każdy idzie w swoją stronę. Nie chciałabym wyjść na osobę niewychowaną, ale...

- Spokojnie, wiem. Nie zrobiłaś niczego niestosownego. Nie musisz mi mówić nic więcej. Wiem, co znaczy „do widzenia”.

Jego słowa brzmiały jak szum fal rozbijających się o brzeg.

- Więc dlaczego wciąż tu siedzisz?

- Bo to dobre miejsce. Inne nie przychodzi mi do głowy. Nikt na mnie nigdzie nie czeka. Nie jest łatwo znaleźć miłych Ziemiaków.

Sens ostatniego zdania wprowadził Brunę w stan zdumienia. Czy to znaczy, że ją uważa za miłą osobę? Ją, która bezceremonialnie wyrzuciła go z domu i teraz znów próbuje się go pozbyć? W takim razie jak przykre musiały być jego wcześniejsze doświadczenia? Obraz, jaki pojawił się wraz ze słowami Maia, to było zbyt wiele jak na Brunę, nie potrafiła sobie z tym poradzić. Odwróciła się na pięcie i odeszła bez słowa.

Kroczyła szybko i oddaliła się już jakieś dwieście metrów, kiedy ktoś z tyłu złapał ją za ramię. Odwróciła się zdenerwowana, myśląc, że to stwór, ale stanęła twarzą w twarz z jakąś siłą, przypominającą widmo postaci, którą z trudem rozpoznała.

- Nabokov!

To była kochanka Chi, szefowa ochrony w RRR. Włosy, kiedyś gładko spięte, dziś brudne i skołtunione, opadały na ramiona. Odkąd widziały się po raz ostatni, przed trzema dniami, schudła w zastraszającym tempie, rysy twarzy wyostrzyły się, a skóra - poszarzała i zmęczona - została jakby naciągnięta na wystające kości policzkowe. Nad ciemnymi podkówkami świeciły rozgorączkowane oczy, kobieta drżała na całym ciele. Wieloorganowy guz technoludzki w fazie pełnego rozkwitu. Bruna widziała to już tyle razy, że rozpoznała bez trudu.

- Nabokov...

Valo wciąż trzymała się ramienia Brany, która nie próbowała się od niej uwolnić, w obawie, że pozbawiona oparcia kobieta upadnie. Przechylona na bok nie wyglądała na kogoś, kto potrafi utrzymać równowagę. Wielkie sztuczne piersi stanowiły groteskowy dodatek do jej zniszczonego ciała.

- Habib powiedział... Habib powiedział... - bełkotała.

- Co ci powiedział?

- Ty przecież to wiesz, prawda?

- Co 'mam wiedzieć?

- Oni są jak skorpiony, gorsi od skorpionów, bo te przynajmniej ostrzegają przed atakiem.

Patrzyła błędnym wzrokiem, a dłoń wpijająca się w ramię Brany niemal ją parzyła.

- Nabokov, nie rozumiem, o czym mówisz, uspokój się, może pójdziemy do mnie, mieszkam niedaleko.

- Nie... Chcę, żebyś to potwierdziła.
- Chodźmy do mnie, porozmawiamy spokojnie.
- Supremacjoniści. Są jak skorpiony.
- Tak, są dość żałośni, ale...
- Wszyscy ludzie to supremacjoniści.
- Musisz odpocząć, Valo, posłuchaj...
- Habib mi o tym powiedział.
- Więc chodźmy z nim porozmawiać...

Bruna próbowała za pomocą kompfona skontaktować się z siedzibą RRR, ale konwulsyjnie zaciśnięta na jej ręce dłoń Nabokov skutecznie to uniemożliwiała.

- Zemsta! - wyjęczała Nabokov.

W głowie Bruny odezwał się alarmowy dzwonek.

- O tym powiedział ci Habib? Użył słowa „zemsta“?

Valo spojrzała na Brunę rozgorączkowanymi oczyma. Potem wykrzywiła twarz w straszliwymi grymasie, który być może miał być uśmiechem. Jej dziąsła krwawiły.

- Nie... - wyszeptała.

Puściła Brunę, nadzwyczajnym wysiłkiem wyprostowała zmaltretowane ciało i zebrała w sobie tyle siły, by ruszyć szybkim, mocnymi krokiem. Replikantka podążyła za Valo i położyła jej rękę na ramieniu.

- Poczekaj, Valo, może ja...
- Zostaw mnie!

Kobieta oswobodziła się jednym szarpnięciem i odeszła. Brunna obserwowała ją z niepokojem, spieszyła się jednak na spotkanie z Nopalem, a przy tym nie była najwłaściwszą osobą do zajmowania się chorą. Zadzwoiła na prywatny numer Habiba, a on natychmiast odpowiedział. Zdenerwowany i zaniepokojony.

- Właśnie spotkałam Nabokov, chyba jest bardzo chora.

- O wielki Morlayu, nareszcie! - zawołał z ulgą. - Gdzie ona jest? Szukamy jej od paru godzin.

- Wysłałam ci sygnał lokalizacyjny. Dostałeś? Nabokov poszła w kierunku południowym. Wciąż ją widzę.

- Zaraz tam będziemy, dzięki! - Habib wyraźnie się spieszył.

Skończył rozmowę.

Bruna chciała omówić jeszcze kilka kwestii z pełniącym obowiązki lidera RRR, ale uznała, że może z tym poczekać. Bojąc się spóźnić, znów zamówiła taksówkę - przerodziło się to już w nieszczęsny i kosztowny nawyk. Niestety, pomimo znacznego uszczuplenia swoich zasobów finansowych, przekroczyła bramę Pawilonu Niedźwiedzia z piętnastominutowym poślizgiem. Nopal czekał na jednej z ławek w ogrodzie przy wejściu, z łokciami opartymi na kolanach, z grzywką opadającą na oczy i z wyrazem znużenia na twarzy.

- Znów się spóźniasz, Bruno. To brzydki zwyczaj, wybacz, że ci to mówię. Twój pamięciarz nie dopracował chyba wspomnień związanych z dobrym wychowaniem. Rodzice nigdy ci nie mówili, że niegrzecznie jest się spóźniać?

Replikantka zauważyła, że mężczyzna zwrócił się do niej po imieniu, co wprawiło ją w zakłopotanie bardziej nawet niż jego sarkazm.

- Przepraszam, Nopal, zwykle jestem punktualna. To zbieg okoliczności, w ostatniej chwili coś mi przeszkodziło.

- W porządku. Przeprosiny przyjęte. Byłaś tu kiedyś?

Pablo Nopal miał dziwny zwyczaj umawiania się z nią w osobliwych miejscach. Pawilon Niedźwiedzia został wzniesiony przed pięciu laty, z okazji Wystawy Światowej w Madrycie. Miasto od zawsze miało za symbol niedźwiedzia jedzącego owoce z drzewa madrono, a wielokrotnie wybierana, odwieczna prezydent Regionu, Immaculada Cruz, postanowiła świętować Expo w nawiązaniu do starego herbu. Jakies pół wieku temu wyginęły ostatnie niedźwiedzie polarne, tonąc w oceanie po stopieniu lodów Arktyki. To było powolne, smutne konanie dzielnych zwierząt, które płynęły czterysta czy pięćset kilometrów, by na koniec umrzeć z wyczerpania. Ostatniego z tonących niedźwiedzi, a przynajmniej ostatniego, którego zlokalizowano, obserwowano z helikoptera organizacji Na Ratunek Niedźwiedziom. NRN chciała go ocalić, ale ta ostatnia agonia zbiegła się w

czasie z wybuchem wojny replikantów, więc ekolodzy nie zdołali uzyskać ani wsparcia technicznego, ani finansowego dla przeprowadzenia skutecznej akcji ratunkowej. Mogli jedynie uwiecznić tragedię na filmie. Zamrozili i zdeponowali w banku komórek krew ostatniego niedźwiedzia, a właściwie niedźwiedzicy, oraz komórki trzydziestu innych przedstawicieli tego wymarłego gatunku, od których udało im się pobrać materiał genetyczny w czasie prowadzonych wcześniej badań weterynaryjnych. Dzięki tej krwi prezydent Cruz mogła stworzyć swój nowy symbol Madrytu. Stosując technologię podobną do wykorzystywanej przy tworzeniu technoludzi, bioinżynierowie powołali do życia niedźwiedzicę genetycznie identyczną z ostatnim z wymarłych niedźwiedzi polarnych. Nazwano ją Melba.

- Tak, znam to miejsce - odparła Bruna.

Zawsze interesowała się tą stopochodną replikantką, zwłaszcza że były mniej więcej w jednym wieku. W Pawilonie Niedźwiedzia czuła swego rodzaju wzruszenie i często tu przychodziła. Szczególnie podczas tamtych strasznych miesięcy po śmierci Merlina, kiedy zdawało się jej, że tylko dryfuje pchana bólem żałoby, tak samo jak Melba dryfowała samotnie ku śmierci na swoim coraz mniejszym kawałku lodu.

- A ja już od dawna tu nie przychodzę. Przespacerujemy się? - zaproponował Nopal, wstając z ławki.

Bruna wzruszyła ramionami. Nie bardzo rozumiała turystyczne i perypatetyczne tęsknoty, które przy każdym spotkaniu odzywały się w pamięciarzu, ale nie chciała mu się sprzeciwiać w tak nieistotnej kwestii. Przecięli niewielki ogród i weszli do właściwego pawilonu, gigantycznej, przezroczystej kopuły. Poczuli uderzenie zimnego powietrza. Wszystko wokół wyglądało jak z lodu albo szkła, choć w rzeczywistości wewnątrz zbudowano z termoglasu, syntetycznego, mocnego materiału, utrzymującego wewnątrz stałą temperaturę. Kroczyli naprzód, podziwiając krajobraz, który zapewne odtwarzał Arktykę, lśniące lodowe skały i połyskliwe kawałki kry unoszące się na szklanym morzu, aż dotarli do długiej, poszarpanej szczeliny oddzielającej zwiedzających od błękitnego jeziora i lodowych platform, wśród których mieszkała Melba. Z brzegu fosy można było podziwiać niedźwiedzicę, jeśli akurat nie pływała pod wodą lub nie kryła się między skałami, choć najlepszym rozwiązaniem było zejście do szczeliny. To właśnie uczynili Nopal i Bruna: jak typowi turyści wstąpili na ruchomy

chodnik i zaczęli zjeżdżać między szklanymi, śliskimi ścianami. Chodnik przesuwiał się powoli, a na ścianie, na pięciu niepostrzeżenie zachodzących na siebie ekranach, wyświetlano ostatnie chwile życia prawdziwej Melby. Widz miał wrażenie, że rzeczywiście tam jest, że widzi, jak rozpada się ostatni kawałek lodu, jak niedźwiedzica próbuje go złapać, jak płynie coraz wolniej, jak parska, zanurzając się w wodzie, jak ostatkiem sił unosi nad wodą ciemny pysk i wydaje z siebie przejmujący jęk, pomruk gniewu i przerażenia. I wreszcie jak znika w lodowatych i czarnych odmętach. Na widok owych obrazów, naturalnej wielkości, oglądający milkli. I w tej przenikliwej ciszy dojeżdżali do końca szczeliny, a tam w półmroku stawali przed lśniąca ścianą wody. To było sztuczne jezioro Melby, widziane od spodu, przez ścianę z termoglasu. I jeśli widz miał szczęście, mógł zobaczyć, jak niedźwiedzica nurkuje, bawi się piłką czy radośnie bryka, wypuszczając nosem bańki powietrza. A czasami zbliża do szyby, bo potrafi wyczuć obecność zwiedzających, a przy tym jest bardzo ciekawska.

Dziś jednak zwierzęcia nie było. Bruna i pamięciarz czekali chwilę, nosy im marzły, na twarzach tańczyły blaski błękitnej wody. Melba wciąż się nie pojawiała. Ruchomym chodnikiem wjechali na górę, znów znaleźli się pośród polarnego krajobrazu. Bruna, obdarzona sokolim wzrokiem, wypatrzyła Melbę pomiędzy lodowymi blokami. Czy raczej zad Melby, okrągły, kudłaty, wielki zad niedźwiedzicy, leżącej pod skałami, z których bielą się zlewała.

- Popatrz, jest tam.
- Gdzie?

Po raz pierwszy zdarzyło się jej przyjść do pawilonu i nie zobaczyć zwierzęcia. Co za pech, skonstatowała ze złośliwą radością: widzisz, Nopal, my, replikanci, nie przepadamy za pamięciarzami.

- Wiesz co, chodźmy stąd - zaproponował. - Umieram z zimna

Weszli do kawiarni, cudownie ciepłej i jasnej, przykrytej przezroczystą kopułą. Było dość pustawo, zajęli stolik przy ścianie z falistego termoglasu. Nad prostymi, kościstymi barkami pamięciarza Bruna obserwowała szybko przesuwające się po niebie chmury. Na zewnątrz chyba nieźle wiało. Lokal był zautomatyzowany, poprosili przy stoliku o dwie kawy i po chwili zjawił się mały robot z zamówieniem i z rachunkiem, który opiewał na astronomiczną sumę 24 gai. Do Pawilonu Niedźwiedzica wchodziło się za darmo, ale ceny

w kawiarni to była istna grabież. Dlatego miejsce świeciło pustkami.

- To skandal, żeby dwie kawy aż tyle kosztowały! I jeszcze w zautomatyzowanym lokalu! - Bruna dała upust swojej irytacji.

- Masz rację. Ale dzięki temu mamy tu spokój. Nie przejmuj się, ja stawiam.

Nopal zapłacił i przez chwilę obydwój w milczeniu pili kawę. A czynności przy tym jest przecież mnóstwo. Można otworzyć cukier, wrzucić do filiżanki, zamieszać.

Dmuchać na płyn, tworząc maleńkie fale, próbować go ostudzić. Bawić się łyżeczką przy rozdzielaniu piany. Bruna rozpakowała i ugryzła ciasteczko podane na talerzyku. Zbliżała się pora obiadu, ale ona nie czuła głodu, zjadła przecież obfite śniadanie. Miejsce było bardzo piękne i całkiem miło się tu siedziało, w milczeniu, wolno popijając kawę.

Przypominali zwykłą ludzką rodzinę, jedno z takich małżeństw, które przeżyło ze sobą dziesiątki lat. Wymizerowana, upiorna twarz umierającej Valo stanęła jej nagle przed oczyma. Bruna wzdygnęła się. Czy Melba, niedźwiedzica replikantka, zachoruje na WGT, kiedy skończy dziesięć lat?

- Myślisz, że niedźwiedzica też umrze?

- Wszyscy umrzemy.

- Dobrze wiesz, co mam na myśli.

Nopal przetarł oczy. Twarz miał zmęczoną.

- Jeśli myślisz o WGT, to wydaje mi się, że tak. O ile wiem, średnia życia zwierząt-replikantów jest nieco krótsza niż twoja, wynosi osiem lat. Ale kiedy umrze ta Melba, stworzą kolejną. Niekończący się łańcuch Melb. Wszystko to zdążyłem przeczytać, kiedy na ciebie czekałem. Proszę.

Nopal wyciągnął z kieszeni folder reklamujący pawilon i rzucił go na stół. Bruna obejrzała go, nie dotykając: zawierał trójwymiarowe zdjęcie niedźwiedzicy. Niechlujnie wydana, tania broszura. Cztery lata, trzy miesiące i osiemnaście dni. Replikantka zacisnęła szczęki, nagle posmutniała. Bardzo często, kilka razy w ciągu dnia, liczyła w myślach, ile czasu zostało jej do fatalnej granicy dziesięciu lat. Nerwowy odruch, przyprowadzająca o rozpacz mania, której nie umiała zaradzić: jej umysł raz po raz przypominał o końcowym odliczaniu. Cztery lata, trzy miesiące i osiemnaście dni. Tyle życia jej zostało. Chciała się zatrzymać, przestać liczyć, ale nie potrafiła.

- Piękna jesteś, Bruno. I bardzo elegancka - zauważył pamięciarz.

Replikantka przestraszyła się. Z jakiegoś powodu słowa mężczyzny podziały na nią deprymująco. Naraz poczuła się zbyt wytwornie, a nawet śmiesznie w swoim lśniącym kombinezonie i złotym naszyjniku. Zaczerwieniła się.

- Mam... mam potem spotkanie, dlatego się tak ubrałam.
- Masz randkę?

Spojrzeli sobie w oczy, nieporuszony Nopal i zmieszana Bruna. Jej zakłopotanie natychmiast przerodziło się w wybuch gniewu.

- Nie sądzę, by interesowało cię, z kim się spotykam, Nopal. W końcu przyszliśmy tutaj, żeby pomówić o poważnych sprawach. Wspomniałeś o jakichś informacjach.

Mężczyzna uśmiechnął się. Lekki, chłodny grymas. Bruna poczuła nienawiść.

- No tak. Nie pytaj w jaki sposób, ale skontaktowałem się z jednym z pamięciarzy piratów, którzy piszą nielegalne memorki. I okazało się, że facet jest mi winny przysługę. Nie pytaj dlaczego. Ważne, że jest gotów spotkać się z tobą, jak tylko wróci do miasta. Chwilowo podróżuje. Ale przyjmie cię za cztery dni... w piątek o trzynastej piętnaście. Oto adres... Mam nadzieję, że uda ci się z niego sporo wyciągnąć, to dość miękki typ.

Bruna sprawdziła, czy dane znalazły się w jej komfonie.

- Dzięki.

Na wielkim telebimie nad barem przewijały się zdjęcia tłumu ludzi, skrwawionych szczątków, płomieni, ulicy, policji. Dźwięk został ściszony, nie było wiadomo, gdzie rozgrywają się owe sceny. Zresztą czy to istotne? Zdarzył się po prostu kolejny akt przemocy, o jakich nieustannie informowano opinię publiczną.

- I jeszcze jedno. Coś, o czym przypomniałem sobie po naszym spotkaniu w muzeum...

Nopal przerwał, zamyślony, a Bruna czekała, aż znów zacznie mówić.

- Nie wiem, czy to ma związek ze sprawą, nie wiem nawet, czy to prawda, ale kiedy jeszcze pracowałem w branży, wśród pamięciarzy krążyła plotka, że jakieś dwadzieścia pięć lat temu, tuż przed podpisaniem Pokojowego Traktatu Ludzkości i przed początkiem procesu Unifikacji, Unia Europejska pracowała nad tajną i nielegalną bronią: sztucznymi pamięciami... dla ludzi.

- Dla ludzi!?
- Również dla androidów, ale przede wszystkim dla ludzi. I dlatego był to

całkowicie tajny projekt. Zdaje się, że te implanty przejmowały władzę nad jednostką i zmuszały ją do robienia konkretnych rzeczy...

- Programowanie zachowania...

- No właśnie. A po paru godzinach pamięć zabijała jej nosiciela. I nasunęła mi się myśl o związku tamtych pamięci z obecnymi przypadkami... Ale równie dobrze może to być tylko miejska legenda. Jeśli się dobrze temu przyjrzeć, masz jej wszystkie części składowe: implant pamięci przeznaczony dla ludzi, a nie dla androidów, przejmuje nad tobą władzę i zabija cię... Idealnie pokazuje podświadome lęki, prawda?

Na ekranie wciąż emitowano zdjęcia budzące prawdziwe przerażenie. Pojawiły się jakieś postaci w popielatych tunikach, z twarzami pomalowanymi na szaro i z transparentem, na którym widniało: 3-2-2109. Koniec świata nadchodzi. Jesteś przygotowany? To ci szaleńcy, apokaliptycy. Ostatnio bardzo się ożywili, ponieważ ich prorokini, niewidoma fizjoterapeutka zwana Nową Kasandrą, obwieściła na łożu śmierci, pół wieku temu, że koniec świata nastąpi 3 lutego 2109 roku, czyli za niecałe dwa tygodnie. Bruna przyjrzała się uważniej: sądząc z obrazów, apokaliptycy manifestowali pod siedzibą RRR.

- Przepraszam na moment - zwróciła się do Nopala.

Przejechała kompfonem nad terminalem w stole, zapłaciła dwadzieścia centymów, wyciągnęła malutki głośnik i włożyła go do ucha. Usłyszała śpiewy apokaliptyków i przebijający się przez nie głos dziennikarza: „...wrażenie tragedii, która ponownie wstrząsnęła Radykalnym Ruchem Replikantów. Z Madrytu mówił Carlos Dupont”. A potem wszedł blok reklamowy. Bruna wyjęła słuchawkę, zdezorientowana i nieco zaniepokojona. Czy wciąż mówią o śmierci Chi? Czy chodzi o coś innego? Jak tylko pożegna się z pisarzem, obejrzy wiadomości na komfonie.

- Dlaczego za tobą chodzi? - spytał pamięciarz.

- Kto?

- On.

Bruna odwróciła się w kierunku wskazanym przez Nopala. Poczowała skurcz żołądka. Przy jednym ze stolików siedział Paul Lizard. Ich spojrzenia spotkały się i inspektor lekko skinął głową w geście pozdrowienia. Replikantka wyprostowała się na krześle. Jej policzki płonęły. Poczowała na karku spojrzenie tamtego faceta.

- Dlaczego twierdzisz, że on za mną chodzi? - spytała, na próżno starając się nadać swemu głosowi naturalne brzmienie.

- Znam go. To Lizard. Cholerny pies gończy. Napsuł mi wiele krwi, kiedy... kiedy miałem problemy.

- W takim razie może ty jesteś jego celem?

- Wszedł do pawilonu za tobą.

Bruna zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Jak to możliwe, że nie zorientowała się, że ciągnie za sobą ogon? Czyżby traciła swe umiejętności? A może spotkanie z umierającą Valo tak bardzo wytrąciło ją z równowagi? Valo. Serce się jej ścisnęło. Mroczne przeczucie nieszczęścia. Replikantka wstała.

- Dzięki za wszystko, Nopal. Będę cię informować na bieżąco.

Zdecydowanym krokiem ruszyła do wyjścia, a przechodząc obok stolika inspektora, pochyliła się i szybko wyszeptała mu do ucha:

- Idę do siedziby RRR. Na wypadek gdybyś mnie zgubił.

- Dziękuję, Bruno - odparł mężczyzna.

I uśmiechnął się, nieporuszony.

Nopal patrzył za odchodzącą Bruną. Widział, jak na moment pochyliła się nad Lizardem, jakby szeptała mu coś do ucha, a potem lekkim, pewnym krokiem kieruje się do wyjścia. Była cudownym stworzeniem, szybką, doskonałą maszyną. Pół minuty później inspektor wstał i ruszył za Bruną, wysoki, umięśniony, szedł nieco chwiejnym marynarskim krokiem. Dokładne przeciwieństwo sprężystego ciała Bruny, Nopal dokonał tego porównania bezwiednie.

Delikatny odgłos bębnienia nad głową uzmysłowił mu, że właśnie zaczęło padać. Krople uderzały o przezroczystą kopułę, potem szybko po niej spływały. Niebo przesłoniły kłęby chmur we wszystkich odcieniach szarości, przez nieliczne szczeliny przebijał słaby blask. Idealna sceneria, by pogрузić się w smutku.

Smutek to prawdziwy emocjonalny luksus, pomyślał pamięciarz. Przez wiele lat nie mógł sobie pozwolić na to spokojne i dające wytchnienie uczucie. Gdy ból, którego doświadczamy, jest tak ostry, że lękamy się, że go nie zniesiemy, nie czujemy smutku, tylko rozpacz, wściekłość, gniew. Tę rozpacz odnajdywał w Branie, tę żalność, która wyzerała wewnątrz niczym kwas. Oczywiście, że miał nad nią przewagę, jeśli chodzi o

identyfikowanie jej uczuć. Znał Branę. A raczej ją rozpoznawał.

Kiedy pracował jako pamięciarz, zawsze postępował według reguł, które wyłuszczył replikantce w Muzeum Sztuki Nowoczesnej: próbował tworzyć życia pełne, mające przynajmniej pozory prawdziwego losu. Istnienia, które niosły swego rodzaju pocieszenie. I tylko raz wyszedł poza swoje niepisane zasady, to była ostatnia praca, jaką wykonał, wiedząc już, że zostanie wyrzucony. I właśnie tę pamięć dostała Bruna. Ustawa o Sztucznej Pamięci z 2101 roku zabraniała pamięciarzom dowiadywania się, do których konkretnych androidów trafiały napisane przez nich pamięci, a androidom nie pozwalała na poznanie autorów ich implantów, albowiem zakładano, że taka wiedza może stać się przyczyną wielu nadużyć. Ale pamięć Bruny była wyjątkowa pod wszelkimi względami: była o wiele szersza, głębsza, wolna, pełna emocji, kreatywna. Stanowiła dzieło życia Nopala, zwłaszcza dlatego, że to było jego własne życie. Oczywiście w twórczo zmodyfikowanej wersji... Ale wszystkie podstawowe uczucia, główne wydarzenia, wszystko tam było. A ponieważ każdy jest tym, czym są jego wspomnienia, Bruna w pewien sposób była jego alter ego.

Już w momencie przekazywania pamięci Pablo Nopal próbował ustalić tożsamość androida, któremu miano ją wszczepić. Dowiedział się jedynie, że to kobieta, model bojowy, znał też jej przybliżony wiek, z dokładnością do sześciu miesięcy. Wolałby, co prawda, mężczyznę, model liczący albo eksploracyjny, bo te specjalizacje zezwalały na większą kreatywność i wyrafinowanie, ale o odbiorcy pamięci decydowały platformy poczęcia i Nopal nie miał tu nic do gadania. Tworząc implant, czuł się absolutnie wolny: nie trzymał się żadnych reguł obowiązujących w jego profesji. Biedna Husky: będąc jego ostatnim dziełem, otrzymała zatruty dar jego bólu.

Przez ostatnie sześć lat poszukiwań Nopal spotkał dziesiątki replikantek. Jedynym sposobem na odnalezienie posiadaczki jego wyjątkowej pamięci były długie rozmowy - próba poznania ich najskrytszych myśli, więc Nopal stał się prawdziwym tropicielem replikantek bojowych. Choć odkrył, że u niektórych żeńskich androidów pamięciarze wzbudzają niezdrową ekscytację, to na koniec stał się wielbicielem owych atletycznych, szybkich kobiet o doskonałych ciałach. Z paroma się przespał, ale zbliżył się tak naprawdę tylko do jednej: Myriam Chi. Ona akurat nie była replikantką bojową, tylko eksploracyjną, poznali się w trakcie romansu Nopala z jedną z funkcjonariuszek RRR.

Zatem wiążąc się z Chi, nie liczył na żadne korzyści. Była kobietą niezwykłą: kimkolwiek był jej pamięciarz, stworzył prawdziwe dzieło sztuki. Zaprzyjaźnili się i Nopal opowiedział jej o swoich poszukiwaniach. Obiecała, że nie powie nic repli-kantce, jeśli ją spotka, prócz tego bardzo mu pomogła. Dzięki Chi stworzył listę kobiet, które pozostały mu do sprawdzenia, było ich dwadzieścia siedem, między innymi Husky. Kiedy Bruna opowiedziała mu o Myriam, wtedy, w muzeum, Nopal nie umiał stwierdzić, czy Chi wysłała Brunę, by ułatwić mu jego poszukiwania, czy to on miał pomóc Branie w jej śledztwie. Chciał zadzwonić do liderki RRR i zapytać, ale zanim to zrobił, Chi została zamordowana.

Została zamordowana, powtórzył w duchu, czując, jak ostrze słowa rani mu język.

Jego ojciec również został zamordowany przez jakiegoś opryszka, gdy Nopal miał dziewięć lat. To było jedno z ognisk bólu, które umieścił w pamięci Brany. Ale w życiu pisarza były jeszcze cięższe momenty, ponieważ kilka miesięcy później jego matka popełniła samobójstwo. Potem przez rok przebywał w sierocińcu, ale kiedy myślał już, że przeszedł najgorsze piekło, pojawił się jego wuj, żeby go adoptować. Nopal zrozumiał wtedy, że zawsze może być gorzej.

Czuł, że stoi zbyt blisko przepaści. Poruszył się na krześle. Ilekroć myślał o swoim dzieciństwie, wspominał chłopca o imieniu Pablo, jakby to nie był on sam, ale jakaś nieszczęsna istota, o której opowiedziano mu dawno temu. Wiedział, że chłopczyka bito, zamykano na całe dni w ciemnej piwnicy, że dziecko było przerażone. Ale nie zachował żadnych wspomnień o tamtych przeżyciach, o wiecznych ciemnościach brudnej piwnicy, o mokrych, posikanych spodniach, o ranach od oparzeń. W głowie Nopala chłopczyk, który nie do końca był nim samym, wciąż był bity i więziony. Wystarczyło, że o tym pomyślał, a smutek nappełniał mu oczy łzami, żal chwycił go za gardło i kąsał jak pies, i nie pozwalał normalnie oddychać. Dlatego Nopal wolał nie myśleć i nie wspominać.

Pisarz nie bardzo wiedział, dlaczego nieco złagodził wspomnienia z dzieciństwa, przelewając je w pamięć Bruny. Może z powodu współczucia dla replikantki, która miała się stać naturalnych rozmiarów wcieleniem małego Pabla, którego nosił w sobie. A może posłuchał głosu profesjonalisty, w obawie, że jeśli umieści wspomnienia w całości, opowieść wyda się przesadzona i mało prawdopodobna. A może przemilczał pewne sprawy, bo prawdziwego bólu nie da się wyrazić. A i tak wyposażenie replikantki we

własne wspomnienia pomniejszyło ciężar Nopalowego bólu. Nie tylko dlatego, że w jakiś sposób część swoich nieszczęść scedował na inną osobę, lecz dlatego, i przede wszystkim dlatego, że ta inna osoba istniała, że istniał ktoś taki jak on. I Nopal nie czuł się już tak samotny.

Samotność była gorsza niż uwięzienie, gorsza niż sadystyczne zachowania kolegów z sierocińca, gorsza niż uderzenia i rany, gorsza nawet aniżeli strach. Nopal został całkowicie sam w wieku dziewięciu lat, i ta całkowita samotność była doświadczeniem niehumanicznym i przerażającym. Od zabójstwa ojca pisarz nigdy już nie był nikomu potrzebny ani dla nikogo ważny. Nikt za nim nie tęsknił. Nikt o nim nie pamiętał. Nawet jego matka nie pomyślała o nim, popełniając samobójstwo. Jakby nie istniał. Natomiast ta replikantka w znacznej mierze była taka jak on, miała część jego wspomnień, a nawet posiadała przedmioty, które pochodziły z dzieciństwa Nopala. Ta istota była czymś więcej niż córką, niż siostrą, niż kochanką. Nikt nigdy nie będzie mu równie bliski jak ten android.

Tamtego popołudnia w muzeum, kiedy wreszcie otrzymał potwierdzenie tożsamości Brany i dotarł do końca swoich poszukiwań, dostał gęziej skórki. Wzruszył się głęboko, ale na szczęście umiał to ukryć: przez całe życie uczył się skrywania swoich uczuć. Replikantka wydała mu się bardzo pociągająca. Piękna, drapieżna, twarda i cierpiąca, trawiona wewnętrznym ogniem tak samo jak on. Od pierwszej chwili uległ fascynacji jej osobą, może dlatego, że intuicyjnie czuł wzajemne podobieństwo, a kiedy w końcu upewnił się, że ona to ona, spodobała mu się jeszcze bardziej. Ale nie mógł dać się porwać narcystycznemu uniesieniu. Nie mógł się z nią kochać. To byłby akt przeciw naturze, coś nieczystego i chorobliwego. A pamięciarz, wbrew powszechnym podejrzaniom, uważał się za mężczyznę o wysokim poczuciu moralności, niemal purytanina. Z zastrzeżeniem, że wyznawane przez niego wartości moralne różniły się od wartości innych ludzi.

Nie, tak będzie lepiej, powtórzył sobie w duchu: będzie ją otaczał opieką na odległość, tak jak swoje dzieła otacza opieką dobry bóg. I spróbuje się nią cieszyć, korzystać z tej ulgi w bólu, którą niosło samo istnienie Brany, przez tych kilka lat, które jej zostało do przeżycia. Westchnął, ogarnął go lekki żal. Kawiarnia zupełnie opustoszała, słychać było tylko uderzenia deszczu. Idealny dzień, by poczuć tęsknotę za

niemożliwym. Nigdy nie będzie mógł powiedzieć Branie, kim jest. Nigdy nie będzie mógł wziąć jej w ramiona i kochać się z nią tak, jak tylko on by to potrafił. Ach, ten wyszukany luksus smutku.

Bruna opuszczała Pawilon Niedźwiedzia, kiedy zadzwonił do niej Habib.

- Właśnie do was jadę. Możemy się spotkać? - zapytała.

Twarz androida wykrzywił grymas przerażenia.

- Nie waż się tu pokazywać! Jest niebezpiecznie.

- Niebezpiecznie?

- Z powodu manifestantów. Policja już przyjechała, ale ja jej nie ufam. Zdaje się, że w całym mieście dochodzi do aktów przemocy wobec repów.

- Aktów przemocy?

Habib wytrzeszczył oczy.

- To ty nic nie wiesz?

- Nic nie wiem? - Brunna nie wiedziała, o co chodzi.

I poczuła się jak kretyńka, gdy jak papuga powtarzała słowa mężczyzny.

- Husky, wydarzyło się coś potwornego, coś, coś...

Był tak roztrzęsiony, że wyglądał, jakby dławił się słowami.

- Valo, Valo... Zdetonowała bombę na jednym z ruchomych chodników. Jest mnóstwo ofiar. Zginęli ludzie. Także dzieci.

Bruna poczuła lodowate zimno na plecach. I nagle zobaczyła, że na wszystkich okolicznych ekranach widać te same obrazy krwawej jatki.

- Ale dlaczego? Ona? Miała na sobie ładunek wybuchowy?

- Tak, oczywiście. Zginęła. Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy? To wszystko jest straszne. Musimy wiedzieć, co się tu dzieje. Śledź Hericia! Doniesiono nam, że poprosił o Otwarty Okres Finansowy i próbuje zdobyć fundusze dla partii. Zrób z tym coś! Na wielkiego Morlaya, musimy coś z tym zrobić albo oni nas wykończą, Husky. Dobra, muszę kończyć, zdaje się, że supremacjoniści próbują się wdrzeć do budynku. Uważaj na siebie. Ludzi ogarnęła wściekłość.

Twarz Habiba znikła. Brunna podłączyła kompfona do serwisu informacyjnego. Pożar, zamieszanie, krzyki, porozrywane ciała, transportowane przez służby sanitarne. Ale teraz Brunna wiedziała, co widzi. Zniszczenia dokonane przez Valo Nabokov. Zemstę, jak sama

powiedziała.

Dzienniki informowały o fali nienawiści wobec replikantów, idącej przez cały Region. Supremacjoniści, uzbrojeni w kije i noże, groźnym pierścieniem otaczali siedzibę RRR. Bruna doszła do wniosku, że szal nienawiści u ludzi jest zbyt dobrze zorganizowany jak na spontaniczną reakcję. Niech szlag trafi wszystkie gatunki, przecież supremacjoniści mieli nawet trójwymiarowe transparenty! Znow przeszedł ją dreszcz na myśl o tajnym spisku.

Poczuła na sobie czyjś wzrok, uniosła głowę. Jakiś malec patrzył na nią wyraźnie przestraszony. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, dziecko objęło nogi matki i wybuchło płaczem. Kobieta próbowała je uspokoić, ale widać było, że boi się tak samo jak jej synek. Bruna rozejrzała się dookoła: ludzie ją omijali. Przechodzili na drugą stronę ulicy.

Pełna konsternacja. Bruna nie była rzecz jasna naiwną zwolenniczką szczęśliwego współistnienia gatunków, prawdę mówiąc, nie wierzyła w szczęście ani tym bardziej we współistnienie. Ale nienawidziła przemocy: ta z czasów służby wojskowej wystarczyła jej na całe życie. Teraz pragnęła tylko ciszy. Chciała, by wszyscy zostawili ją w spokoju.

A społeczeństwo na skraju zamieszek to zdecydowanie nie to, o czym marzyła.

Cztery lata, trzy miesiące i osiemnaście dni.

Nie potrafiła wyrzucić z myśli zmizerowanej i oszalałej twarzy Valo Nabokov. Konającej zabójczyni. Najgorsze, że zginęły dzieci. Ludzie dostawali szału, jeśli coś przytrafiało się ich dzieciom. Dzieciom, których replikanci nigdy nie będą mogli mieć.

Cztery lata, trzy miesiące i osiemnaście dni.

Brunie zdawało się, że idzie po grzbiecie lawiny. Sunie po szczycie obślizgłej masy, która podąża ku przepaści i z każdą minutą rośnie w postępie geometrycznym, połykając wszystko, co znajduje na drodze. Upłynęło zaledwie półtora tygodnia od dnia, w którym Cain próbowała ją udusić, a od tamtego czasu sprawy toczyły się z zawrotną szybkością.

Cztery lata, trzy miesiące i osiemnaście dni.

Dosyć, Bruno, skarciła się w duchu. Koniec z tą mechaniczną wyliczanką, koniec z nerwowością i niepokojem. Wciąż stała na środku chodnika, a przechodnie omijali ją z dwóch stron, na podobieństwo morskich fal rozdzielanych przez samotną skałę. Wokół widziała tylko ludzi, androidy zapewne schowały się w domach. Ludzie patrzyli na nią i drżeli ze strachu. Patrzyli na nią i szeptali. Patrzyli na nią i jej nienawidzili. W oczach

mężczyzn i kobiet odbijał się potwór, tym potworem była ona. Nagle mocno zatęskniła za Merlinem: gdyby on żył, miałyby dokąd pójść.

Cztery lata, trzy...

Przestań, głupia replikantko, trzepnęła się po głowie. Poczula głód. Brzuch potwora był całkowicie pusty.

Wsiadła do tramwaju, żeby dotrzeć do baru Oli, i jak tylko zajęła miejsce w tylnej części pojazdu, reszta pasażerów zaczęła przesuwać się do przodu, jedni otwarcie i szybko, a inni po kryjomu, jak w tej starej dziecięcej zabawie Baba Jaga patrzy.

Dwa przystanki później replikantka została całkiem sama z tyłu tramwaju, a wszyscy tłoczyli się z przodu. Mogłam nałożyć soczewki, pomyślała Bruna. Oczywiście mogła założyć perukę i zakryć kocie źrenice, by nie wzbudzać strachu i gniewu u ludzi. Takie przebranie to nic trudnego, pewnie wokół było trochę zamaskowanych repów. Być może w tłumie ludzi, którzy przesunęli się do przodu, krył się jakiś replikant, zmuszony zachowywać się tak jak reszta. Co za upokorzenie. Nigdy nie przebiorę się ze strachu, postanowiła. Nie zamierzam udawać kogoś, kim nie jestem.

W tej samej chwili powietrzny tramwaj stanął gwałtownie obok schodów awaryjnych. Drzwi otwarły się i mechaniczny głos nakazał natychmiastową ewakuację. To był komunikat Uwaga, niebezpieczeństwo nr 1 - na tle wygrywanej na harfach melodii, mającej uspokoić pasażerów, łagodny głos powtarzał: „Z powodu zagrażającego niebezpieczeństwa prosimy o szybkie opuszczenie tramwaju, prosimy o spokój”. Ton lektora był całkowicie beznamiętny, jakby czytał wyniki losowania Planetarnego Totolotka. Bruna zawsze uważała, że komunikaty z cyklu Niebezpieczeństwo są śmieszne i wywołują efekt przeciwny do zamierzonego: gdy tylko ludzie słyszeli dźwięki harf, natychmiast wpadali w panikę. Tłumek pasażerów wyskoczył w popłochu na platformę awaryjną i zaczął zbiegać po schodach, przepychając się, byle dalej od androida. Nagle gdzieś w dole rozległ się wybuch, potem dały się słyszeć piski i uderzenia. Do góry wzbil się obłok dymu, jakiś smród i wreszcie krzyki pasażerów: „To nie repy, spokojnie, to tylko jakiś samotny się zabił!”. Wolą od nas tych porypanych terrorystów, skostatowała Bruna. Cholerny, pieprzony świat.

Kiedy gruba Mulatka powitała ją jak zawsze z uśmiechem na twarzy, Bruna zrozumiała, że nie tylko fizyczny głód przygnał ją do baru Oli, ale również potrzeba

znalezienia bezpiecznego miejsca, małego skrawka normalności.

- Cześć, Husky. Tylko ciebie tu brakowało.

Oli wskazała na koniec lady i Bruna zobaczyła Yiannisa i RoyRoy, kobietę-reklamę. I właściwie nie zdziwiła się, że widzi ich razem. Podeszła do nich. Z ciała kobiety dochodziło ciche mruczenie, stłumiony głos:

- Texaco-Repsol, zawsze do twoich usług...
- Zauważyłaś? To ja wymyśliłem. Teraz przeszkadza o wiele mniej - pochwalił się Yiannis.

Ekran reklamowy powleczono kilkoma warstwami taśmy izolującej.

- To było potwornie uciążliwe. - Mężczyzna nie miał zwyczaju owijać w bawełnę.
- Tak mi przykro. - Kobieta-reklama uśmiechnęła się przepaszająco.

Oli z własnej inicjatywy podała każdemu piwo i postawiła na środku półmisek z przekąskami.

- Właśnie wyjęłam je z piekarnika. Zjedzcie, zanim wystygną. Husky, powiedz mi, co tam słychać.

- Źle to wszystko wygląda.

RoyRoy posmutniała.

- Zaatakowano mężczyznę-reklamę, androida. Podpalono go i nie wiadomo, czy przeżyje. Firma odesłała do domu wszystkie replekamy. Twierdzi, że dla ich bezpieczeństwa, ale w rzeczywistości to po prostu zwolnienie.

- Znałaś tę Nabokov? - chciał wiedzieć Yiannis.

- Tak. A nawet spotkałam ją tuż przed zamachem. Była w ostatnim stadium WGT, konająca i oszalała. Musiała mieć guza mózgu.

- Prawdziwa tragedia. - Yiannis był bardzo przygnębiony.

Na ekranie w barze widać było policyjny atak na manifestantów otaczających siedzibę RRR. Po prawej stał Hericio, lider Partii Supremacjonistów, który znów udzielał wywiadu.

- To niedopuszczalne, że policja broni owych kreatur i atakuje supremacjonistów, zamiast bronić nas przed tymi mordercami, którzy już, a zapewne ofiar będzie więcej, zabili siedem osób, w tym troje dzieci...

Siedmiu zabitych. Troje dzieci. Bruna przeraziła się liczbą ofiar. Och, Valo. Zrobiłaś

coś potwornego. Tymczasem na ekranie, sprytnie wykorzystując tragedię, znów pojawił się José Hericio. Przypomniała sobie słowa Habiba i podejrzenia Myriam o domniemany spisek, w którym uczestniczyć miał lider Partii Supremacjonistów. Ta sugestia nie wzięła się znikąd.

- Warto przyjrzeć się tym supremacjonistom... Muszę jakoś wniknąć w ich środowisko... - Bruna miała usta pełne pysznego ciasta nadziewanego masą udającą mięso kuropatwy.

- Jest... jest taki bar przy placu Kolumba, gdzie oni się spotykają - odezwała się nieśmiało RoyRoy. - No wiesz, jako reklama cały dzień chodzę po ulicach. Kiedyś miałam kłopoty właśnie przed tym barem i okazało się, że to lokal supremacjonistów. Przy takiej pracy jak moja muszę wiedzieć, gdzie mogę chodzić, więc sporządzam sobie listę bezpiecznych miejsc i tych, które powinnam omijać. Ich bar jest właśnie takim nieprzyjaznym miejscem. Proszę, oto adres. Nazywa się Saturn. Tylko uważaj na siebie. Jeśli pojawisz się tam teraz, nie wiem, co się stanie. Mnie oni bardzo wystraszyli.

- Właśnie z braku bezpieczeństwa i poczucia bezbronności ludzie chwytają za broń i próbują się chronić. Jest to zachowanie jak najbardziej słuszne i konieczne, zważywszy na beczynność władz... - przemawiał w uniesieniu Hericio.

- Oli, bądź tak miła, wyłącz to, proszę... - odezwała się Bruna.

Kobieta mruknęła coś pod nosem w kierunku ekranu i natychmiast pojawiła się spokojna panorama oceanu z pływającymi delfinami.

- Co jest? Przeszkadza ci słuchanie prawdy? - rozległ się wzburzony, piskliwy głos.

W barze zapanowała cisza, jakby ktoś wylał oliwę na wzburzone fale. Bruna nie przerwała jedzenia. Nie ruszając się, kątem oka, spod rzęs, przyjrzała się typkowi, który zadał pytanie. Niewysoki, wychudzony mężczyzna. Chyba lekko pijany. Stał jakiś metr od niej.

- Może nie wiesz, że mamy was dosyć? Ze nie pozwolimy, żebyście nas dalej wykorzystywali? Co ty tu robisz? Nie widzisz, że jesteś tu jedynym potworem?

Istotnie, była jedynym replikantem w lokalu. Spokojnie ugryzła następną kanapkę. Mężczyzna ubrany był dość biednie i wyglądał na zwykłego robotnika. Kiedy mówił, prostował ciało i stawał na palcach, jakby chciał przez to wyglądać groźniej. Właściwie zrobiło się jej go żal: mogłaby powalić go na ziemię jednym ciosem. No cóż, cmentarze

pełne są ludzi, którzy za bardzo ufali we własne siły, więc replikantka z zawodową precyzją przeanalizowała sytuację. Po pierwsze, wyjście. Typek całkowicie zastawił drogę do drzwi, ale w najgorszym wypadku Bruna mogła wskoczyć za bar, znajdując tam zresztą doskonałe schronienie. Najbardziej zastanawiał ją fakt, że ten człowieczek, czyżby z głupoty? ośmiela się ubliżać jej, replikantce bojowej. Może jest uzbrojony? Ma pistolet plazmowy? Nie wyglądał na kogoś, kto nosi takie cacko przy sobie, a Bruna nie dostrzegła śladu innej broni. A może nie był sam? Może w barze znajdowali się jacyś jego wspólnicy? Zrobiła szybki przegląd i odrzuciła tę możliwość: prawie wszystkich klientów znała z widzenia. No tak, to był po prostu biedny, pijany kretyn.

- Idź sobie, wstrętna kreaturo. Idź i nie wracaj. Wybijemy was wszystkich jak szczury.

No tak, najbardziej niepokojące było to, że typek czuł się na tyle pewnie, że nie bał się obrażać kogoś takiego jak Bruna. Ona nie chciała z nim walczyć, nie chciała mu zrobić krzywdy, nie chciała go upokorzyć, bo to tylko wzmogłoby jego paranoję, jego nienawiść do replikantów. Woląca poczekać, aż mu się znudzi i umilknie. Tymczasem typek coraz mocniej manifestował swój gniew. Napędzała go wściekłość. Nagle ruszył do przodu i zaatakował Brunę niezdarnym ciosem, przed którym ona z łatwością się uchyliła. Cholera, pomyślała poirytowana, chyba będę musiała mu przyłożyć.

Nie było takiej potrzeby. Nagle obok nich stanął mur ludzkiego ciała. Oli wyszła zza baru i chwyciła mężczyznę od tyłu, po czym uniosła go nad ziemią, jakby podnosiła szmacianą lalkę.

- Jedynym szczurem jesteś tutaj ty.

Gruba Oli zaniósła wierzgającego mężczyznę do drzwi i wyrzuciła go na ulicę.

- Jeśli jeszcze kiedyś zobaczę tu twoją zakazaną mordę, to ci ją rozkwaszę - warknęła, wznosząc złowieszczo do góry gruby palec.

A potem odwróciła się i powiodła wzrokiem po swej trzód-ce, z wyzywającą miną, jakby czekając na protest. Jednak nikt się nie odezwał, a nawet wyglądało na to, że większość się z nią zgadza. Oli odetchnęła z ulgą, a jej okrągłą twarz rozświetlił uśmiech. Kołysząc biodrami, wróciła za bar. Bruna dotąd widywała ją tylko za ladą i po raz pierwszy zobaczyła Oli w całej jej okazałości - była naprawdę potężna, jeszcze szersza na dole niż okrągła na górze. Pogańska bogini, człowiek-wieloryb. Była tak wielka, że

replikantka zaczęła się zastanawiać, czy Oli nie jest syndmutantką, czy ów ogrom ciała nie jest skutkiem syndromu nieładu.

Ledwie przeszło poruszenie wywołane tym incydem, dał się słyszeć jakiś hałas z zewnątrz. Bruna pomyślała, że to pewnie wyrzucony z baru mężczyzna dalej się awanturuje, więc podeszła do drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje. Parę metrów dalej wrzeszczała jakaś rudowłosa kobieta, próbując wyrwać się z łap dwójki policjantów skarbowych, siejących postrach „niebieskich”. Mała, najwyżej sześciolatka dziewczynka przyglądała się temu okrągłymi z przerażenia oczyma, przytulając brudnego pluszowego królika. Trzecia policjantka podeszła i złapała ją za rękę. Właściwie szarpnęła, wrywając pluszaka z dłoni dziecka. Dziewczynka wybuchła płaczem, cicho rozplakała się też ruda kobieta, rezygnując z dalszej walki, tak jakby łyż dziecka, zapewne jej córki, skłoniły ją do kapitulacji. Policjanci zabrali je ze sobą, a przechodnie spoglądali za nimi ukradkiem, jak na jakąś zawstydzającą scenę, której nie wypada się przyglądać otwarcie.

- Biedne ćmy - cicho zauważył Yiannis.

Bruna pokiwała głową. Prawie wszyscy biedacy, potocznie zwani ćmami, mieli dzieci, a jeśli decydowali się zaryzykować i żyć nielegalnie w strefach czystego powietrza, na co nie było ich stać, czynili to ze strachu przed nieodwracalnymi zmianami, jakie w organizmach dzieci powoduje zanieczyszczenie. Potajemnie opuszczali śmierzące miasta pod wiecznym szarym niebem i przybywali zwabieni światłem słońca i tlenem, choć najczęściej cieszyli się nim tylko przez chwilę, policja fiskalna wykazywała się bowiem ogromną skutecznością. Ruda kobieta i jej córka nosiły się równie biednie jak pijany człowiek z baru. To tacy zdesperowani biedacy stanowili pożywkę dla fanatyzmu i segregacjonizmu gatunkowego.

- Przy pierwszym zatrzymaniu deportacja i mandat, jeśli złapią cię jeszcze raz, nawet do sześciu lat więzienia - wyjaśnił Yiannis.

- To odrażające. Wstyd być Ziemianinem - mruknęła Bruna.

- Cuncta fessa - wyszeptał archiwista.

- Proszę?

- Oktawian August stał się pierwszym rzymskim cesarzem, ponieważ Republika przyznała mu ogromną władzę. A dlaczego Republika to zrobiła, dlaczego popełniła samobójstwo, pozwalając zaistnieć Cesarstwu? Tacyt wyjaśnił to tak: Cuncta

„niebieskich”. Mała, najwyżej sześciolatka dziewczynka przyglądała się temu okrągłymi z przerażenia oczyma, przytulając brudnego pluszowego królika. Trzecia policjantka podeszła i złapała ją za rękę. Właściwie szarpnęła, wyrywając pluszaka z dłoni dziecka. Dziewczynka wybuchła płaczem, cicho rozplakała się też ruda kobieta, rezygnując z dalszej walki, tak jakby łyż dziecka, zapewne jej córki, skłoniły ją do kapitulacji. Policjanci zabrali je ze sobą, a przechodnie spoglądali za nimi ukradkiem, jak na jakąś zawstydzającą scenę, której nie wypada się przyglądać otwarcie.

- Biedne ćmy - cicho zauważył Yiannis.

Bruna pokiwała głową. Prawie wszyscy biedacy, potocznie zwani ćmami, mieli dzieci, a jeśli zdecydowali się zaryzykować i żyć nielegalnie w strefach czystego powietrza, na co nie było ich stać, czynili to ze strachu przed nieodwracalnymi zmianami, jakie w organizmach dzieci powoduje zanieczyszczenie. Potajemnie opuszczali śmierdzące miasta pod wiecznym szarym niebem i przybywali zwabieni światłem słońca i tlenem, choć najczęściej cieszyli się nim tylko przez chwilę, policja fiskalna wykazywała się bowiem ogromną skutecznością. Ruda kobieta i jej córka nosiły się równie biednie jak pijany człowiek z baru. To tacy zdesperowani biedacy stanowili pożywkę dla fanatyzmu i segregacjonizmu gatunkowego.

- Przy pierwszych zatrzymaniu deportacja i mandat, jeśli złapią cię jeszcze raz, nawet do sześciu lat więzienia - wyjaśnił Yiannis.

- To odrażające. Wstyd być Ziemianinem - mruknęła Bruna.

- Cuncta fessa - wyszeptał archiwista.

- Proszę?

- Oktawian August stał się pierwszym rzymskim cesarzem, ponieważ Republika przyznała mu ogromną władzę. A dlaczego Republika to zrobiła, dlaczego popełniła samobójstwo, pozwalając zaistnieć Cesarstwu? Tacyt wyjaśnił to tak: Cunctafessa. Co znaczy: wszyscy są zmęczeni. Zmęczenie niepewną sytuacją polityczną i społeczną doprowadziło obywateli Rzymu do utraty praw i wolności. Strach budzi w nas głód władzy autorytarnej. Strach jest najgorszym doradcą. A teraz rozejrzyj się wokół siebie, Bruno: wszyscy są przestraszeni. Przeżywamy krytyczny moment. Niewykluczone, że nasz system demokratyczny jest o krok od samobójstwa. Czasami narody decydują się na skok w przepaść.

- Ta nasza cudowna demokracja, która truje dzieci ubogich rodziców.
- Ta obrzydliwa demokracja, tak, ale jednocześnie jedyna we Wszechświecie.

Przynajmniej w znanym nam Wszechświecie. Omaajczycy, Gnejczycy, Balabijczycy mają rządy arystokratów albo dyktatorów, Kosmos i Labari to dwa straszne państwa totalitarne. Nasza demokracja, Bruno, ze wszystkimi jej wadami, stanowi ogromne osiągnięcie ludzkości. Ludzie przez wieki o nią walczyli i za nią cierpieli. Świat się zmienia, społeczeństwo się zmienia, a im więcej demokracji, tym więcej możliwości wprowadzania w niej zmian. Tu, na Ziemi, przeżyliśmy straszne stulecie, Unifikacja miała miejsce zaledwie czternaście lat temu, nasze Państwo jest jeszcze młode i panuje w nim pewien chaos, to pierwsze państwo planetarne, większość rozwiązań wymyślamy na bieżąco... Możemy wiele poprawić, ale musimy uwierzyć w siłę demokracji, bronić jej i pracować nad jej doskonaleniem. Zaufaj mi, Bruno.

Cztery lata, trzy miesiące i osiemnaście dni.

- Nie wierzę, że ta dziewczynka zdąży dostrzec zmiany na lepsze, wcześniej z powodu zanieczyszczenia zapadnie na jakąś nieuleczalną chorobę - stwierdziła Bruna z ciężkim sercem.

I po paru sekundach wymownego milczenia gniewnie zawyrokowała:

- Nie, ona nie zdąży. Ja też nie zdążę.

Godzinę później, wychodząc z baru, Bruna rozejrzała się bacznie. Przestało padać, słońce nieśmiało wychylało się zza chmur. Poniedziałek, szósta po południu, ulice sprawiały wrażenie opustoszałych, nieliczni przechodnie, wyłącznie ludzie, przemykali pospiesznie. Nikt nie miał ochoty na spacer. Nad miastem zawisło niejasne poczucie zagrożenia.

Replikantka zadzwoniła do Habiba. Zatroskane oblicze mężczyzny natychmiast ukazało się na wyświetlaczu komputera.

- Co słyszeć w RRR?

- Jest lepiej, tak mi się wydaje. Policja stanęła na wysokości zadania i supremacjoniści zniknęli przed budynkiem. Choć oczywiście atmosfera dalej jest dość nieprzyjemna.

- Mam pytanie, Habib. Czy wasi szpiegowie znają bar Saturn?

- No jasne. Istne gniazdo żmij. Zaraz obok siedziby PS, to tam spotykają się ci

wszyscy ekstremiści. Dlaczego pytasz?

- No cóż, zastanawiałam się nad dotarciem do Hericia, sam mi to sugerowałaś.
- Tak, warto by było. Ale uważaj na siebie. Nie sądzę, żeby akurat dziś należało się

tam zapuszczać.

- Wiem. I jeszcze jedno... co powiedziałaś Nabokov?

- Nie rozumiem.

- Kiedy ją spotkałam, Nabokov powtarzała, że ty jej coś powiedziałaś... „Habib mi to powiedział, Habib mi to powiedział...” Coś, co bardzo ją podłamało...

Mężczyzna zdziwił się.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Nic jej nie mówiłem. Wydaje mi się, że od śmierci Myriam w ogóle z nią nie rozmawiałem. Ostatnio panował tu straszliwy chaos. Musiała bredzić... W końcu była w fatalnym stanie.

- Wiadomo coś o wynikach sekcji?

- Jeszcze nie. Dziwi nas, że ciała Valo nie zawieźli do Instytutu Medycyny Sądowej. Nie wiemy, co policja z nim zrobiła. Nasi adwokaci wniosą skargę.

- Dziwne...

- Tak, wszystko, co związane jest z tą sprawą, wygląda dziwnie - zduszonym głosem przyznał Habib.

Bruna skończyła rozmowę pełna wątpliwości. Czyżby umierającej Valo również wszczepiono fałszywą pamięć? I zaprogramowano jej zachowanie: halucynacje i rzekomą rozmowę z Habibem, wreszcie zbrodniczy zamiar podłożenia bomby? Czy właśnie dlatego tyle razy użyła słowa „zemsta”? Dlaczego policja ukrywa jej ciało?

- Wynocha z Madrytu, pieprzony repie! - krzyknął ktoś z przejeżdżającego obok samochodu i pojechał dalej, nie zatrzymując się na czerwonych światłach najbliższego skrzyżowania. Kierowca coś tam jeszcze wrzeszczał, ale zapewne był tchórzem. Choć może należało powiedzieć tak: zapewne bał się, więc wrzeszczał.

Bruna westchnęła. Rozejrzała się raz jeszcze dookoła, szukając Lizarda. Nigdzie go nie dostrzegła, ale nie ufała samej sobie, ze wstydem pomyślała o dzisiejszej wpadce, kiedy nie zauważyła, że inspektor ją śledzi. Zresztą mógł to robić z łatwością: wystarczyło namierzyć kompfona replikantki. To niedopuszczalne postępowanie, ale, jak widać, nie w przypadku inspektorów Policji Sądowej. Drobne ograniczenia prawne,

radośnie nierespektowane. Na wszelki wypadek wyłączyła kompfona i wyciągnęła baterię, uniemożliwiając jego namierzenie; wyjęcie chipa lokalizującego było przestępstwem, zresztą był on zamontowany w taki sposób, że usunięcie go groziło uszkodzeniem urządzenia. Potem weszła w pierwszą przecznicę, żeby sprawdzić, czy ktoś podąża jej śladem, i rzeczywiście zobaczyła młodą, postawną kobietę, która na odległość śmierziała policją i niewątpliwie zaliczała się do psów gończych inspektora Lizarda. Bruna знаła wiele sposobów gubienia ogona, tym razem postanowiła posłużyć się metrem. Ponieważ wyłączyła kompfona, musiała zapłacić za bilet gotówką, a niezbyt doświadczona policjantka zdążyła przejść przez bramki dużo wcześniej i czekała, aż Bruna kupi bilet. Sprawiając wrażenie nieświadomej całej sytuacji, replikantka weszła na peron. To była stacja Trzeci Maja, jeden z bardziej skomplikowanych podziemnych węzłów komunikacyjnych, krzyżowało się tu pięć linii metra. Bruna spokojnie czekała na pociąg, tymczasem policjantka ostentacyjnie ziewała parę metrów dalej (to jedna z pierwszych rzeczy, jakich uczą na Kursie Detektywistycznym I stopnia: ziewanie budzi w śledzonym poczucie bezpieczeństwa, pouczał instruktor). Kiedy pociąg z hukiem wtoczył się na stację, replikantka wsiadła do ostatniego wagonu i stanęła na końcu, niedbale oparta o małe drzwi między wagonami, które tu zostały zablokowane. Ziewająca policjantka wsiadła do czwartego wagonika od końca. Jak tylko pociąg ruszył, Bruna wyjęła dekoder i w pół sekundy odblokowała prościutki mechanizm. Ogon pociągu mijał właśnie granicę stacji, gdy replikantka otworzyła drzwi i wyskoczyła na tory. Spróbowała zatrzasać drzwi za sobą, ale choć się jej to nie udało, uznała, że zanim tamta dotrze do końca składu, pociąg tak się rozpędzi, że będzie się bała wyskoczyć. Nie wspominając o tymi, że aby spaść na ziemię bez szwanku i nie usmażyć się na trakcji elektrycznej, niezbędne było wytrenowanie i zręczność. Replikantka nie wierzyła, że potrafiłby tego dokonać człowiek, chyba że ktoś z nadzwyczajnymi umiejętnościami artysty cyrkowego.

Pociąg zniknął w ciemnościach tunelu, zostawiając za sobą gorący podmuch, Bruna zaś zawróciła i schodami wjechała na peron stacji Trzeci Maja. Para ludzi w średnim wieku zamarła na jej widok i podjęła rozpaczliwą próbę ucieczki w stronę wyjścia. Replikantka westchnęła z niesmakiem i zamierzała nawet powiedzieć im coś w rodzaju „nie bójcie się, nie musicie przede mną uciekać, nie jestem niebezpieczna”. Oddalili się

jednak zbyt szybko i gdyby zaczęła do nich wołać czy ruszyła za nimi, pewnie przestraszyliby się jeszcze bardziej. Tak wielkie stężenie strachu nie mogło doprowadzić do niczego dobrego.

Wsiadła do wagonu innej linii i wysiadła dwie stacje dalej. Naprzeciwko zobaczyła różnokolorowe, plastikowe kopuły cyrku. Nie chciała włączać kompfona, więc za bilet znów zapłaciła gotówką, w duchu raz jeszcze dziękując za charakterystyczną dla władz Ziemi skłonność do korupcji, która sprawiła, że w powszechnym, legalnym użyciu wciąż pozostawał przedpotopowy papierowy pieniądz: płacenie gotówką było anonimowe i ciche i nie pozostawiało śladów, w przeciwieństwie do transakcji elektronicznych.

Przedstawienie trwało, widownia zajęta była co najwyżej w jednej czwartej. Bruna przeszła na paluszkach i usiadła z boku, możliwie jak najbliżej orkiestry. To było fatalne miejsce, niewiele stąd dało się zobaczyć, wokół znajdowało się wiele pustych miejsc, pojawienie się Bruny nie pozostało więc niezauważone. Skrzypaczka, jedyna kobieta wśród sześciu muzyków, opuszczając na chwilę smyczek, spojrzała na replikantkę i pozdrowiła ją delikatnym skinieniem głowy. Bruna odpowiedziała równie dyskretnie, po czym wygodnie się rozsiadła. Musiała poczekać na koniec spektaklu. Kolejne punkty programu następowały po sobie w nudnej rutynie pozorowanego entuzjazmu. To był przeciętny cyrk, ani mierny, ani wybitny, bardzo konwencjonalny i niezapadający w pamięć. Najpierw na arenie pojawił się poskramiacz psokoni gnejskich, biednych pozaziemskich zwierząt przypominających charty bez uszu, wielkości konia i z mózdzkiem komara, które z powodu różnicy w sile przyciągania ziemskiego z łatwością wykonywały zdumiewająco wysokie skoki. Potem występowała trupa repów z najróżniejszymi organicznymi implantami i z plazmowymi ekranami zamiast brzuchów; rysowali hologramy w powietrzu za pomocą dłoni, a właściwie mikrokamer wszczepionych chirurgicznie w opuszki palców. I wreszcie typowy krwawy numer kalinianów, sekty oszalałych sadomasochistów naśladowujących praktyki magików z klasycznego cyrku, ale bez uciekania się do oszukańczych sztuczek, bo kalinianie uwielbiali cierpieć na oczach publiczności: przekrawali ciała piłami i przebijali policzki długimi igłami. Bruna uważała, że to odrażające widowisko, ale kalinianie cieszyli się ogromną popularnością.

Ich pokaz zakończył przedstawienie. Kiedy mała orkiestra przystąpiła do hałaśliwego

finału, Bruna zauważyła, że Mirari ma problem z graniem. Lewe ramię skrzypaczki, czyli bioniczna proteza niepokryta sztucznym ciałem, metalowy organ z systemem przegubów, wyglądała jak żywcem wzięta z futurystycznych wizji robotów w XX wieku i chyba coś z nią było nie w porządku, bo kobieta wykorzystywała najkrótszą nawet przerwę, żeby poprawić protezę. W końcu spektakl dobiegł końca, umilkły niemrawe oklaski i muzycy, w tym również Mirari, szybko zniknęli za kulisami, ku zdziwieniu detektyw, która była przekonana, że skrzypaczka podejdzie do niej i się przywita.

Bruna wskoczyła na arenę, starając się ominąć krwawe plamy po pokazie kalinianów, rozchyliła złotą kurtynę i weszła na zaplecze. W trzeciej z kolei garderobie znalazła Mirari, która z furią uderzała gumowym młotkiem w bioniczne ramię.

- Mirari...
- Niech szlag trafi tę pieprzoną protezę! - warknęła, nie przestając walić młotkiem.

Ale po chwili, wyczerpana, czerwona na twarzy, rzuciła go na podłogę i opadła bez sił na krzesło.

- Działa nie najgorzej jak na rzecz kupioną z drugiej ręki. Dobre bioniczne ramię sporo kosztuje. Zwłaszcza profesjonalne, tak jak w moim przypadku... Czego tu szukasz, Husky?

- Widzę, że mnie pamiętasz.
- Obawiam się, że trudno cię zapomnieć.

Bruna westchnęła.

- Tak, pewnie trudno.

Mirari też niełatwo było zapomnieć. Nie tylko z powodu jej retrofuturystycznej protezy, ale też bladej cery, czarnych jak węgiel oczu, okrągłej twarzy w otoczone krótkich, białych jak śnieg i sztywnych jak druciki włosów. Skrzypaczka świetnie poruszała się w świecie przestępczym i potrafiła zrealizować każde zamówienie, sfalszować dokumenty, zlokalizować sekretne miejsca, dostarczyć najbardziej wyszukane i nielegalne urządzenia. Z tego, co Bruna słyszała, kobieta nie sprzedawała nigdy tylko dwóch rzeczy: broni i narkotyków. Wszystko inne stanowić mogło przedmiot transakcji. Można by mniemać, że praca w cyrku stanowiła jedynie przykrywkę, w rzeczywistości jednak to muzyka była prawdziwą pasją Mirari, która świetnie grała na skrzypcach, o ile oczywiście nie przeszkadzało jej bioniczne ramię.

- Po co przyszłaś? - zapytała raz jeszcze Mirari, która ceniła zwięzłość i nie znosiła marnotrawienia czasu.

- Potrzebuję nowej tożsamości... Dokumentów i przeszłości, której nie da się przeświecić.

- W szczegółowym śledztwie czy w rutynowym postępowaniu?

- W dość szczegółowym.

- Mówimy oczywiście o czasowej tożsamości?

- Tak, jeden tydzień mi w zupełności wystarczy.

- Czyli tożsamość klasy A.

- To musi być człowiek... I musi mieszkać jakieś sto kilometrów od Madrytu. W moim wieku. Z dobrą pozycją społeczną.

Z pieniędzmi na koncie. I byłoby genialnie, gdybyś w jego biografii umieściła jakiś supremacjonistyczny rys. Nic poważnego, sympatię dla tej ideologii, nic radykalnego. Ważne, żeby od razu było jasne, że jest zwolennikiem segregacjonizmu, choć do tej pory ujawniał się z tymi poglądami tylko na gruncie prywatnym.

- Jasne. Na kiedy tego potrzebujesz?

- Jak najszybciej.

- Myślę, że do jutra zdążę. Dwa tysiące gai.

- Potrzebuję też bezśladowego kompfona.

- Tysiąc gai.

- W porządku. Nie mam tyle kasy w gotówce...

- Zapłać transferem. Używam programu, który zaciera ślady. Ale wypływ pieniędzy zostanie zarejestrowany na twoim.

- Żaden problem. Tylko teraz wyłączyłam kompfona, bo chyba śledzi mnie policja. Nie chcę go tu uruchamiać. Zrobię transfer za chwilę, już na ulicy, jeśli nie masz nic przeciwko. I jeśli mi ufasz.

- Nie muszę ci ufać. Po prostu nie zacznę realizować zleceń, dopóki nie dostanę pieniędzy.

Bruna uśmiechnęła się kwaśno: jasne, jasne. Niepotrzebnie dodała tę zdumiewająco głupią uwagę.

- Choć, jeśli to ma ci w czymś pomóc, to tak, ufam ci - dodała kobieta.

Tym razem Bruna uśmiechnęła się szeroko: drobna uprzejmość ze strony człowieka wydała się jej szczególnie miła w dniu takim jak ten, obfitującym w międzygatunkowe konflikty. Mirari pochyliła się, żeby podnieść młotek z podłogi. Przez chwilę otwierała i zamykała dłoń bionicznej ręki. Palce nie zginały się równocześnie, a serdeczny i środkowy nie zginały się do końca. Skrzypaczka uderzyła delikatnie gumowym młotkiem.

- Ile kosztuje nowa proteza?

Mirari uniosła głowę.

- Pół miliona gai... Drożej niż moje skrzypce. A to przecież steiner.

- Co?

- Jedne z najlepszych skrzypiec na świecie, z warsztatu austriackiego lutnika Steinera, z XVII wieku. Mam cudowne skrzypce i nie mam ręki, żeby na nich grać - wyznała z nieskrywanym smutkiem.

- Ale chyba można jakoś zebrać te pieniądze.

- Tak. Można je też ukraść - odparła Mirari sucho, z zaciętą, nieprzeniknioną miną.
- Zadzwoń do ciebie, jak wszystko będzie gotowe.

Bruna wyszła spod kopuły cyrku i postanowiła wrócić na piechotę - od paru dni nie ćwiczyła, czuła, jak jej ciało drętwieje, a mięśnie dopominają się wysiłku. Ściemniło się, błyskały pierwsze światła. Mokre chodniki lśniły w świetle reflektorów, a powietrzne tramwaje, rozświetlone, puste, przelatowały z hukiem. Kiedy dotarła na plac Trzeciego Maja, czyli na miejsce, w którym wyłączyła kompfona, włożyła baterię i uruchomiła go z powrotem. Przesłała pieniądze Mirari, i rezygnując z kolacji w barze Oli, ruszyła w kierunku domu. Szła skupiona, rozważając poszczególne aspekty prowadzonego śledztwa, i do ostatniej chwili nie była świadoma nadciągającego ataku: usłyszała brzęk i wyczuła ruch za plecami. Uskoczyła w bok, obracając się w locie, ale nie zdołała całkowicie uniknąć ciosu: łańcuch uderzył ją w prawą rękę, którą odruchowo uniosła w obronnym geście. Zabolalo, ale mimo to chwyciła łańcuch i pociągnęła go. Mężczyzna, który trzymał jego drugi koniec, upadł na ziemię. Nie był sam. Bruna szybko oceniła sytuację. Siedmioro napastników, licząc tego, który próbował się podnieść z ziemi. Pięciu mężczyzn i dwie kobiety. Duży, mocni, wysportowani. Uzbrojeni w łańcuchy i stalowe pręty. A co gorsza, rozstawieni wokół Brany na kształt gwiazdy: troje blisko,

czworo krok dalej, ciasno, bez żadnej przerwy. Profesjonalna formacja ofensywna. Nie pójdzie jej łatwo. Zdecydowała, że spróbuje przerwać pierścień, atakując blondyna z kolczykami w uszach: pocił się i wyglądał na najbardziej zdenerwowanego. A kolczyki dowodziły braku profesjonalizmu: Bruna najchętniej wyrwałaby mu je z uszu.

Dysponując bronią w postaci łańcucha, uznała, że ma szansę ucieczki, ale na pewno nie uniknie kilku ciosów. Spotkanie zapowiadało się dość nieprzyjemnie.

Te przemyślenia zajęły replikantce ledwie parę sekund. Cała grupa znieruchomiała w idealnym, pełnym napięcia spokoju, poprzedzającym spiralę przemocy. I wtedy jakiś głos wdarł się w najeżoną agresją przestrzeń jak ciepły nóż w masło.

- Policja. Rzućcie broń na ziemię.

To był Paul Lizard, a jego niski, opanowany głos dochodził zza lufy plazmowego pistoletu.

- Nie zamierzam się powtarzać. Cały złom łąduje na ziemi.

Zaskoczeni napastnicy upuścili z hukiem łańcuchy i pręty.

- Ty również, Husky.

Bruna parsknęła i rzuciła łańcuch.

- No i co teraz z nami zrobisz, twardzielu? Strzelisz nam w plecy? - zapytała jedna z kobiet, może przywódczyni grupy.

I jak na umówiony sygnał, wszyscy rozbiegli się, każdy w innym kierunku.

Lizard popatrzył, jak znikają, i schował pistolet. Spojrzał na Brunę lekko zaspanym wzrokiem.

- Udało ci się w ostatniej chwili.
- Poradziłabym sobie z nimi.
- Czyżby?

Ton Lizarda uzmysłowił Brunie śmieszność jej przechwałek.

- Oczywiście, że bym sobie poradziła... To znaczy udałoby mi się uciec... Choć z pewnością dostałabym parę razy.

- Z pewnością.
- Dobra. Dziękuję - to słowo wyszło z ust Bruny z wielkim trudem. Właściwie je wykaszła.

Lizard uśmiechnął się. Kiedy się uśmiechał, jego twarz przypominała twarz dziecka.

- Nie ma za co. Znałaś ich?
- Nie. Ale to byli zawodowcy.
- Tak. Być może płatni zabójcy wynajęci przez kogoś do wzniesienia zamieszek.

Bruna spojrzała z zainteresowaniem.

- Dlaczego tak sądzisz?

Policjant wzruszył ramionami.

- Sam nie wiem, ale dostrzegam zbyt wiele dziwnych zjawisk w tym nagłym wybuchu nienawiści do replikantów.

Przyjrzała mu się z uwagą. Spod ciężkich powiek patrzyły żywo zielone oczy.

- Dziś zginęło siedem osób w eksplozji bomby podłożonej przez Nabokov - zaczęła Bruną.

- Osiem. Zmarł jeden z najciężej rannych.

- A zatem osiem ofiar... Czy nie zniechęciłbyś repów, Lizard? Odpowiedz szczerze. Nie zniechęciłbyś choć trochę?

- Nie.
- Nie boisz się nas?
- Nie.

I Bruną mu uwierzyła.

- Wracaj do domu, Husky. Dzisiejsza noc to nie jest czas na spacer.

- Myślałam, że zgubiłam twoją dziewczynę. Nie można być dobrym ogonem, jak się jest takim grubasem.

- Owszem, zgubiłaś ją. Ale ona była moim kamuflażem. Dałaś się nabrać na prostą sztuczkę, Husky.

Strapiona replikantka zagryzła wargi.

- Dlaczego ciało Nabokov nie znalazło się w Instytucie Medycyny Sądowej?

- Jej czym potraktowano jak atak terrorystyczny, a śledztwa przeciwko terrorystom są klasyfikowane jako ściśle tajne.

A w instytucie, o czym ty sama wiesz najlepiej, jest wiele wtyczek.

Bruną uśmiechnęła się.

- Chcesz powiedzieć, że ukryliście zwłoki, żeby nie mogła się o czymś dowiedzieć?

Inspektor też się uśmiechnął.

- Masz o sobie wysokie mniemanie, Husky. Ale nie ty jedna mogłabyś wykraść dane. Zresztą, co za brak zaufania. Nie zasłużyłem sobie. Zaproponowałem ci współpracę, szkoda, że mi nie uwierzyłaś.

- Opowiedz mi o wynikach sekcji Nabokov, to ci uwierzę.
Lizard przyglądał się Branie. Zaspianymi, lekko ironicznymi wzrokiem.

- Doskonale. Będę je miał jutro. Jeśli chcesz, możemy pogadać. A teraz wracaj już do domu, Husky.

- Dalej będziesz mnie śledził?
- Wyszło ci to tylko na dobre.
- Pytam poważnie: będziesz mnie śledził?
- Nie.

I Brana mu nie uwierzyła.

Ziemie Zatopione

Słowa kluczowe: globalne ocieplenie, Wojny Robotów, Plagi, ul-tradarwinizm, Ustawy Demograficzne, turystyka podwodna.

#002-327

Artykuł edytowany

Choć w efekcie globalnego ocieplenia proces topnienia lodów na pokrywach biegunów rozpoczął się już w XX wieku, a poziom oceanów podnosił się sukcesywnie przez kilka dziesięcioleci, nie ulega wątpliwości, że niszczący wpływ tego zjawiska dał o sobie znać z wielką siłą około 2040 roku. „Podobnie jak żaba, która w podgrzewanej stopniowo wodzie nie czuje, jak gotuje się żywcem, tak ludzkość nie zauważała trwającej katastrofy, dopóki nie nastąpiły masowe zgony”, stwierdził w 2046 roku Górka Marlaska, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny.

W rzeczywistości do poważnych zamieszek dochodziło dużo wcześniej, ale traktowano je jako odosobnione przypadki i w zasadzie przechodziły niezauważone przez opinię publiczną, zwłaszcza że miały miejsce na obszarach gęsto zaludnionych, gospodarczo zaniedbanych i od zawsze cywilizacyjnie niestabilizowanych, jak na

przykład w nieistniejącym już Bangladeszu, kraju, który prawie w całości znalazł się pod wodą - z wyjątkiem wąskiego pasma gór na wschodzie, po epoce Plag wchłoniętego przez Indie. Tymczasem pod koniec 2039 roku, kiedy wody oceanów zatopiły od 13 do 14% terytorium Ziemi, w delcie Irawadi (dawna Birma) doszło do zamieszek, które, w przeciwieństwie do podobnych wcześniejszych wydarzeń, nie tylko nie wygasły w tym rejonie, ale rozprzestrzeniły się pod innymi szerokościami geograficznymi i już w ciągu roku 2040 objęły cały obszar Ziemi. Należy pamiętać, że właśnie na wybrzeżach znajdowały się liczne, gęsto zaludnione metropolie. W miarę podnoszenia się poziomu wód, niektóre miasta całkowicie znikły pod wodą, choćby Wenecja, Amsterdam czy położony na wyspie Manhattan, niektóre zaś zostały zatopione częściowo, jak Lizbona, Barcelona czy Bombaj. Jeszcze bardziej zgubne w skutkach okazało się zalanie najżyźniej-szych delt rzecznych i gęsto zaludnionych przybrzeżnych obszarów rolniczych. Miliony zrozpaczonych, nękanym głodem ludzi, którzy stracili wszystko, uciekało przed wodą, kierując się w stronę wyżej leżących ziem. Ale te obszary także doświadczały klęski głodu z powodu utraty terenów uprawnych. Starcia pomiędzy grupami uciekinierów i tubylców wstrząsnęły całą planetą. Przemoc rozlała się po świecie i krwawe masakry trwały nieprzerwanie przez kilka lat. Można powiedzieć, że była to pierwsza ziemską wojna domowa, przy czym okazała się ono tak wielką traumą, że, o dziwo, nie posiada własnej nazwy. Historycy określają ten okres w dziejach Ziemi epoką Plag, ponieważ drapieżne i potężne hordy uciekinierów przyrównano do biblijnej plagi szarańczy.

Na Ziemi zapanował chaos, do dziś brak jest wiarygodnych danych, ale oblicza się, że do roku 2050 w trwających dziesięć lat konfliktach zginęło dwa miliardy ludzi, zarówno w walkach, jak też z powodu chorób i głodu. Kolejne masowe zgony nastąpiły wraz z pojawieniem się ultradarwinistów. Ultradarwinizm był rasistowskim i terrorystycznym ruchem rzekomo bazującym na teorii Karola Darwina, choć znakomita większość naukowców odrzucała jakiegokolwiek związek ultrasów z ewolucjonizmem. Twierdzili oni, że Ziemia nie może dać schronienia tak wielkiej liczbie ludności, czemu trudno zaprzeczyć, i uważali, że Ziemie Zatopione i następujące po nich Plagi to naturalny proces selekcji, korzystny dla planety, zwłaszcza że największa umieralność występowała na obszarach przeludnionych, zacofanych gospodarczo i w większości

zamieszkałych przez przedstawicieli ras niekaukaskich, a więc w mniemaniu ultrasów stanowiących wadliwy i zbędny materiał ludzki. Aby przyspieszyć ten rzekomo naturalny proces czystki etnicznej, ultradarwińscy dokonywali licznych zamachów, używając konwencjonalnych środków wybuchowych, pocisków, a nawet głowic nuklearnych krótkiego zasięgu, do czasu, kiedy organizacja została całkowicie rozbita, co miało miejsce w roku 2052. Skądinąd wiadomo, że replikanci wykorzystali czas Plag, żeby bezkarnie mordować ludzi.

****Skandaliczny wymysł! Replikanci jeszcze nie istnieli w epoce Plag. Niniejszym wyrażam swój niepokój i niechęć wobec pewnych błędnych komentarzy, bardzo niebezpiecznych w swej wymowie, które znajdują ostatnio w dokumentach archiwum. Zalecam wewnętrzne dochodzenie. Yiannis Liberopoulos, archiwista centralny FT711 ****

Choć najgorszy okres Plag zakończył się w połowie XXI wieku, krajobraz polityczny i geograficzny uległ tak wielkim zaburzeniom, że cała planeta przez dziesiątki lat doświadczała braku równowagi. Wojna replikanfów (2060-2063) pogorszyła sytuację, dowodząc raz jeszcze szkodliwości istnienia technoludzi, a brak prawnego umocowania nowych granic stał się przyczyną rozpętania Wojen Robotów (2079-2090). W tym długim okresie niestabilności i powszechnej przemocy liczba mieszkańców Ziemi spadła poniżej czterech miliardów. W ostatnim dwudziestopięcioleciu XXI wieku niektóre kraje zaczęły ograniczać liczbę dzieci przypadającą na jednego obywatela, ale dopiero po Unifikacji (2096) Stany Zjednoczone Ziemi uchwaliły Ustawy Demograficzne (2101), które regulowały liczbę ciąż w celu uniknięcia ponownego przeludnienia naszej planety i utrzymania stałej liczby mieszkańców na poziomie czterech miliardów, do których dodać należy około dwóch miliardów do podziału między Ziemię Dryfującą, czyli Labari i Kosmos. Zważywszy na to, że 15% Ziemiaków to replikanci (sześćset milionów osobników), korzyścią płynącą z ich eksterminacji byłaby możliwość znaczącego zwiększenia liczby ludzkich dzieci.

****Zalecam, by wewnętrzne śledztwo zostało przeprowadzone w trybie pilnym. Yiannis Liberopoulos, archiwista centralny FT711 ****

Rząd Planetarny przy okazji Unifikacji postanowił czerpać korzyści z Ziemi Zatopionych. Na najbardziej charakterystycznych z zalanych obszarów wydzielono

atrakcyjne działki i oddano je w zarząd wielkim przedsiębiorstwom rozrywkowym i turystycznym. Do tej pory otwarto dwanaście parków tematycznych, a w budowie jest kolejnych dwadzieścia. Konsorcja umocniły ruiny na Ziemiach Zatopionych i skonstruowały sztuczne wyspy, by postawić na nich hotele, restauracje i inne niezbędne obiekty. Zatopione obszary można zwiedzać w batyskafach, w podwodnej bańce albo nurkując. Istnieją miejskie parki tematyczne, jak słynny Manhattan, czy historyczne, jak delta Nilu. Te popularne destynacje wakacyjne zyskały miano turystyki podwodnej.

Merlin świetnie grał w szachy. Był replikantem kalkulacyjnym i posiadał umysł matematyczno-muzyczny, precyzyjny labirynt pełen błyskotliwych myśli.

- Czasami wyobrażam sobie to dzikie zwierzątko, którym byłabyś beze mnie, i ogarnia mnie przerażenie - mówił, łapiąc ją za kark, jakby chwycił zbyt nerwowego żrebaka.

Merlin sobie żartował, ale jego żarty były bardzo bliskie prawdy. Bruna wiedziała, że dwa spędzone z nim lata, a potem nauki Yiannisa uczyniły z niej replikantkę bojową inną niż wszystkie. Życie stanowiło nieodgadnioną tajemnicę, nawet krótkie i szablonowe życie replikanta. Inżynierowie genetyczni, choć uważali się za bogów, w istocie nie do końca wiedzieli, co czynią. Owszem, mogli wzmocnić pewne właściwości androidów w zależności od roli, jaką demy android miał odegrać, ale każdy z repów był inny i rozwijał posiadane przymioty czy wady w sposób nieprzewidywalny dla inżyniera genetyka, który potrafił jedynie ciąć na kawałki i łączyć sklonowane spirale DNA. Merlin również był wyjątkowy: twórczy, obdarzony wielką wyobraźnią i poczuciem humoru, co sprawiało, że potrafił być szczęśliwy.

Poznali się, kiedy Bruna skończyła służbę w wojsku, a w kieszeni wciąż miała pieniądze z odprawy. Ona była jeszcze młoda, tymczasem Merlin miał 8/33. Ale żył, nie lękając się śmierci, jakby miał żyć wiecznie. Albo jakby był człowiekiem, bo ludzie łatwiej zapominali, że są śmiertelni. Tej sztuki Brunie nie udało się opanować.

- Husky, jesteś tu?! W ogóle mnie nie słuchasz.

Na twarzy Habiba pojawił się grymas znudzenia i zniecierpliwienia.

- Przepraszam, ale zamyśliłam się...

- Możesz się zamyślać po pracy. Biorąc pod uwagę rachunki, jakie przedstawiasz,

bądź uprzejma nie narażać mnie na stratę czasu.

Habib zachowywał się tak od rana, poirytowany, wręcz agresywny, wpadał w złość z byle powodu - Bruna nigdy go nie widziała w takim stanie.

- Dałeś mi wolną rękę, jeśli chodzi o koszty.

- I gdybyś pokazała mi rezultaty śledztwa, uznałbym to za dobrą inwestycję. Ale jak do tej pory... - warknął.

Niestety, miał rację.

Znajdowali się w mieszkaniu dzielonym przez Myriam Chi i Valo Nabokov. To było dość surowe, choć przestronne i funkcjonalne wnętrze, tak jakby radykalna ideologia nie sprzyjała wyrafinowanym ozdobom. A może jakby mieszkające tu osoby nie chciały zbyt przywiązywać się do rzeczy. Stąd być może tylko jeden osobisty akcent: fotografia Myriam i Valo, objętych, zakochanych i uśmiechniętych. Została trójwymiarowo wycięta wewnątrz szklanego bloku. Typowa pamiątka z wakacji, zrobiona na poczekaniu w którymś z kurortów. Merlin i Bruna też przywieźli sobie taki portrecik z Parku Wenecja, gdzie spędzili podwodny weekend zaraz na początku znajomości. Kiedy kochanek umarł, Bruna wyrzuciła szklane wspomnienie: nie mogła znieść obrazu szczęścia. Ale teraz, natknąwszy się na portret Nabokov i Chi, jej myśli popłynęły ku Merlinowi, choć na ogół starała się o nim nie myśleć.

Gdyby nie ta konwencjonalna pamiątka z wakacji, mieszkanie mogłoby uchodzić za hotelowy apartament. W porównaniu z tym wnętrzem dom Bruny wydawał się przytulnym gniazdkiem. Replikantka z dumą przywołała w pamięci dwie kopie obrazów, które powiesiła u siebie: Człowiek witruwiański Leonarda da Vinci i Kobieta pisząca list ze służką Vermeera. To były reprodukcje doskonałej jakości, żadne tam holografie, ale superrealistyczne, i obie sporo kosztowały.

- Nic tu nie ma. Mówiłem - mruknął Habib, zasuważąc szuflady w kuchni.

Policja zdjęła zabezpieczenia po dokładnym przeszukaniu mieszkania. Bruna wyobraziła sobie potężnego Lizarda wężącego po kątach, co sprawiło jej przykrość, uznała to za nadużycie, a nawet za swego rodzaju nieprzyzwoitość. Myriam i Valo nie spodobałoby się, że jakiś człowiek grzebie w ich rzeczach. Zresztą nie spodobałoby się im i to, że przyszli tu we dwójkę. Kiedy Habib dowiedział się, że Bruna zamierza rzucić okiem na mieszkanie, uparł się, by jej towarzyszyć. No i teraz miotał się tu całkowicie

bezużyteczny, bo nie wiedział, czego szuka replikantka. Prawdę mówiąc, ona też tego nie wiedziała, ale doświadczenie nauczyło ją, że jej podświadomość jest mądrzejsza aniżeli świadomość i że patrząc, często dostrzega to, czego inni nie widzą. Wskazówki, które pokazywały się jej same, jakby ją przyzywając. Toteż Bruna szła krok za Habibem i na nowo otwierała i przeszukiwała wszystkie szuflady i szafy, które mężczyzna nonszalancko zamykał. Choć w istocie aż do tej chwili nie natknęli się na nic ciekawego.

Weszli do sypialni, Bruna poczuła się zmieszana i wzruszona. To było intymne miejsce, gniazdo, kryjówka, najświętsza świętość, gdzie śmiertelnicy szukali schronienia przed okrutnym światem. Ogromne łóżko przykryte eleganckimi różnokolorowymi poduszkami z lśniącego jedwabiu. Na przeciwległej ścianie, na całej jej długości, stało w szeregu piętnaście białych orchidei w złożonych ozdobnych donicach. Tiule w kolorze lila falowały, zwisając z sufitu, na podłodze pysznił się puszysty omaajski dywan w kolorze głębokiej czerwieni.

- A niech to. Robi wrażenie - stwierdził Habib.

Bruna zastanawiała się w duchu, która z dwóch, Myriam czy Valo, zdecydowała o tym jakże kobiecym wystroju sypialni. Chi, z jej wymalowanymi paznokciami... Czy Nabokov, z jej ogromnym biustem i niezwykłą fryzurą. Choć najpewniej to był ich wspólny pomysł... Intymna przestrzeń, tajemnicza i wypełniona emocjami, w której odnajdywały siebie. Na tym przecież polega miłość: masz kogoś, z kim możesz dzielić swoje dziwactwa.

- Byłem wcześniej w tym mieszkaniu, jasne, ale... nie w tym pokoju. Tak naprawdę nigdy nie udaje nam się poznać innych do końca - szepnął Habib.

Na nocnym stoliku ujrzeli ślady po przeżytych piekle: mnogość buteleczek, strzykawki do podskórnych iniekcji, plastry, pastylki, środki dezynfekujące, opatrunki, maści. Wszystkie te medyczne śmieci, brudny osad bezużytecznych leków, który pozostawia po sobie choroba. Kiedy umarł Merlin, jego pokój też zaścielały smutne resztki. Podwójnych dawek środków przeciwbólowych. Psychotropów na delirium, niepokój i agresję wywołaną przez WGT. Środków antydepresyjnych. Gdy on już odszedł, strzępy jego cierpienia wciąż trwały przyklejone do leków. Dokładnie tak samo dziś pośród stosów drażetek można było znaleźć ślady agonii Nabokov. Bruna poczuła ukłucie strachu. Tego starego, dobrze znanego lęku, który niczym smok budził się w jej

wnętrznosciach. Cztery lata, trzy miesiące i siedemnaście dni. Siedemnaście dni. Siedemnaście dni.

Habib na czworakach na podłodze przejeżdżał palcem po brzegu grubego dywanu, wzdłuż wąskiego rowka między dywanem a ścianą. Chyba za bardzo się przejął, pomyślała rozbawiona Bruna. Prawdę mówiąc, bardzo się tym przejął, uznała nieco zdziwiona. Android sprawiał wrażenie, jakby nie przetrząsał domu, tylko szukał czegoś konkretnego. Ta jego drobiazgowość w poszukiwaniach, ta jego nerwowość...

- Zemsta - zawołała.
- Proszę? - zapytał Habib, zwracając się w jej stronę.

Bruna powiedziała to pod wpływem impulsu, w ślepym intuicyjnym odruchu, wypuszczając balonik-sondę. Spojrzała mu w oczy.

- Zemsta. Coś ci to mówi?

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- No nie, nie za wiele. Co miałoby mi mówić, Bruno?

Wyglądał głupio, wciąż na czworakach, z głową odwróconą przez ramię w jej kierunku. Pomyślała nagle, że teraz sprawia dość sympatyczne wrażenie. Zwrócił się do niej po imieniu, przyjacielskim tonem, choć cały ranek zachowywał się nieznośnie. Bruna przestała mu ufać. Czasami się jej to zdarzało, nagle przenikał ją chłodny powiew podejrzania. Postanowiła nie wspominać Habibowi o tatużach. To w końcu tajemnica jej i Lizarda.

- Nie wiem, może nic. Tego słowa użyła Nabokov, kiedy widziałam ją po raz ostatni. Zemsta. I odeszła, żeby zabijać i umrzeć.

Habib wstał i pokiwał głową.

- Musiała majaczyć. Posłuchaj, Bruno, nie wiem, czego tu szukamy. Nie wydaje mi się, żeby Valo wszczepili pamięć. Po prostu była chora i oszalała z bólu po śmierci Myriam.

Bruna przytaknęła. Prawdopodobnie miał rację.

- I jeszcze jedna sprawa, Bruno... Proszę, wybacz mi, jeśli jestem trochę... rozdrażniony. Za dwa dni odbędzie się walne zgromadzenie RRR, na którym dokonamy wyboru nowego przywódcy naszego ruchu. Sądziłem, że bez problemu nim zostanę, ale pojawili się dwaj inni kandydaci, którzy prowadzą przeciwko mnie bardzo nieczystą

kampanię. Oskarżają mnie o brak wytrwałości w dążeniu do wyjaśnienia śmierci Myriam, a nawet o radość z powodu jej odejścia, bo dzięki temu mogę zająć jej miejsce. Dlatego potrzebuję jak najszybciej jakiegoś konkretnego sukcesu, rozumiesz? Jak najszybciej!

- Rozumiem. Najlepiej sukcesu wyborczego - ironicznie skostatowała replikantka. Habib rzucił jej gniewne spojrzenie.

- Tak, tego również. Dziwisz się? Znajdujemy się w krytycznym momencie historii replikantów, a ja wiem, że jestem w stanie zmienić sytuację na lepsze, wiem, że mogę rządzić silną ręką i przeprowadzić RRR przez ten kluczowy okres. Nie ucieszyłem się ze śmierci Myriam, jak twierdzą ci nędznicy, oczywiście że nie, ale może w pewnym sensie była ona opatrnościowa. Bo ja wiem, co trzeba zrobić. I wydaje mi się, że wiem to nawet lepiej od niej. Czy jest przestępstwem dążenie do przywództwa, kiedy wiesz, że ono pozwoli ci uczynić coś dobrego dla społeczeństwa?

Kończył, przemawiając podniosłym tonem. To znaczy, że wcześniej, na czworakach, wściubiając wszędzie nos, po prostu szukał głosów. Nawet za cenę szaleństwa Nabokov, śmierci Chi, za cenę strachu, ognia i przemocy. Żalodne. Spojrzała obojętnie na rozgniewanego Habiba. Jak mawiał Yiannis, ludzka mizeria ujawniała się, jak tylko sprawy zaczynały przybierać zły obrót.

Bruna zeszła z ruchomego chodnika, ostrożnie skręciła w aleję i uważnie przyjrzała się okolicom swego domu, jeszcze z odrobiną nadziei w duchu. Nic z tego: Omaajczyk wciąż tam tkwił, przezroczyste cielsko w przyciasnej koszulce. Oblężenie z uporem prowadzone przez stwora czyniło z każdego wyjścia i powrotu istną drogę przez mękę. Zeszłej nocy, kiedy wracała nabuzowana adrenaliną po spotkaniu z bandą płatnych zabójców z łańcuchami, wzięła wielki cień obcego za jednego z napastników i omal nie wymierzyła mu celnego kopniaka w genitalia. To znaczy w miejsce, gdzie mają je Ziemianie. Ale Omaajczyk uniknął ciosu z taką łatwością, jakby odgadł jej zamiar.

- To ja, Maio. Przepraszam, że cię przestraszyłem - tłumaczył się swym szumiącym głosem.

A replikantka pożałowała, że to nie jest anonimowy napastnik. Obcy wyprowadzał ją z równowagi, obarczał absurdalnym poczuciem winy, stał się jej obsesją do tego stopnia,

że za każdym razem zastanawiała się, czy wracać do domu. Na przykład teraz, skończywszy przeszukiwać mieszkanie Chi, wolałaby nie wracać. Uznała jednak, że to wstyd uciekać przed obcym, no i był jeszcze Bartolo, którego nie chciała zostawiać zbyt długo samego. A zatem nie pozostało jej nic innego, jak rzucić się biegiem i przelecieć przez bramę jak błyskawica, żeby uniknąć przeklętego, upartego Maia. Obcy stawał się coraz większym problemem.

Pokonanie pierwszego Omaajczyka zakończyło się sukcesem, teraz czekał na nią drugi. Bruna otworzyła drzwi mieszkania, lękając się tego, co zastanie w środku. Jak, do diabła, mogła tak sobie skomplikować życie? Po raz kolejny postanowiła zadzwonić do schroniska dla zwierząt i uwolnić się od bubiego. Ostrożnie wsunęła głowę: w mieszkaniu panował porządek. Żadnych ponadgryzanych ubrań na podłodze. Uspokojona weszła, zamknęła drzwi i zobaczyła gryzka, przytulonego do ściany, zdenerwowanego, ze zwieszoną głową: ani chybi coś przeszkrobał. Replikantka poczuła, jak uchodzi z niej powietrze.

- Co się stało? Zrobiłeś coś złego, tak?

Bartolo z rozpaczliwą skruchą tarł drobne łapki. Bruna nagle pomyślała o czymś strasznym i podbiegła do stołu z puzzlami. Odetchnęła z ulgą: wszystko na miejscu. Ale... zaraz: brakowało jednego kawałka, wyjętego z ułożonej części. Na środku układanki widniała dziura, na podobieństwo rany.

- Mówiłam ci, żebyś nie dotykał puzzli.

Bubi jęknął.

- Co-zrobiłeś z tym kawałkiem? Zjadłeś go, głupi zwierzaku?

- Grzeczny Bartolo... - chlipnął zwierzak.

I pobiegł do sypialni. Bruna ruszyła za nim i ku swemu zdumieniu znalazła brakujący element w łóżku, starannie umieszczony dokładnie na środku poduszki. Wzięła go do ręki, był nietknięty, chyba nawet niepolizany. To na pewno jest zaszyfrowana wiadomość, ostrzeżenie, a nawet groźba, pomyślała Bruna. Znaczą mniej więcej tyle: nie lubię, kiedy mnie zostawiasz, i w odwecie mógłbym ci zniszczyć całą układankę, ale w swej wielkoduszności tego nie uczyniłem. Bardzo wyrafinowana deklaracja... Coś w rodzaju odciętej psiej głowy, którą jako ostrzeżenie zostawiała chińska mafia.

Replikantka usiłowała ukryć uśmiech, który zakwitł na jej twarzy, i odwróciła się do

bubiego, siląc się na surową minę.

- Bartolo sam... - wymruczał gryzek, wykręcając palce.
- Wiem, wiem, że zostałeś sam i że tego nie lubisz... Dobrze. W porządku. Tym razem ci wybaczam. Ale więcej tego nie rób.

Zwierzak podskoczył i usadowił się w jej ramionach. Bruna czuła na szyi ciepło jego oddechu. Zakłopotana i zagniewana zdjęła bubiego i posadziła go na podłodze. Jeszcze tego brakuje, żeby przytuliła się do stworzenia, z którym zaraz się rozstanie.

- I tego też nigdy więcej nie rób! Żadnego skakania i przytulania!

Ale widząc zasmuconą twarz gryzka, natychmiast dodała:

- Chodź, dostaniesz jeść.

Te słowa podniosły bubiego na duchu.

Zadzwoiła Mirari. Na ekranie pojawiła się charakterystyczna twarz skrzypaczki ze sterczącymi białymi włosami, podobnymi do kolczastego wieńca.

- Mam wszystko. Wysyłam robota. Za dwadzieścia minut - oznajmiła.

Lakoniczna jak zawsze.

Replikantka nalała sobie kieliszek białego wina i wyczerpana opadła na sofę z widokiem na wielkie okno, tymczasem Bartolo entuzjastycznie przeżuwał zawartość miseczki z płatkami zbożowymi. Cztery lata, trzy miesiące i siedemnaście dni. Napiała się wina. Na ręce, w której trzymała kieliszek, widniał okrągły siniak od uderzenia łańcuchem i Bruna pomyślała, że to symboliczny znak. Ostatnie wydarzenia kaleczyły ją, zostawiały rany. W jakiś dziwny sposób ta sprawa poruszyła ją bardziej niż jakakolwiek inna. Dotknęła ją osobiście.

Zaczęło padać. Po niebie przetaczały się ciemne chmury, a krople deszczu uderzały o smagane podmuchami wiatru szyby. Kiedyś Yiannis pokazał Brunie stary, kultowy film z XX wieku, w którym po raz pierwszy była mowa o replikantach. Łowca androidów. Film był dziwny i choć nie ukazywał androidów jako wrogów, to Brunę nieco zirytował: filmowi replikanci niewiele przypominali prawdziwych; byli głupi, schematyczni, dziecinni i agresywni. Nie wspominając już o pewnej blond replikantce, która niczym przegubowa lalka bez przerwy robiła salta. Niektóre sceny głęboko ją poruszyły. Bruna zapamiętała słowa, którymi przemówił przed śmiercią główny bohater, replikant, w strugach ulewnego deszczu: „Widziałem rzeczy, którym wy, ludzie, nie daliście wiary.

Statki w ogniu sunące ku ramionom Oriona. Oglądałem promienie kosmiczne, błyszczące w ciemnościach blisko wrót Tannhausera. Wszystkie te chwile znikną w czasie jak łzy w deszczu. Czas umrzeć". Po czym schylał głowę i po prostu umierał. Tak po prostu. Jak jakiś elektryczny sprzęt, nagle odłączony od prądu. Bez cierpień spowodowanych guzem. A jego mocne słowa idealnie odzwierciedlały niestałość życia... Tego delikatnego i pięknego drobiazgu, który zniknął w czasie bez śladu. Replikant z Łowcy androidów schylał głowę i umierał, a deszcz spływał mu po policzkach, zmywając jego ostatnie łzy.

Tuż przed swoimi 10/35 urodzinami Merlin zniknął. Odszedł. Przeprowadził się do hotelu. A kiedy go wreszcie odnalazła, android był wobec niej bardzo nieprzyjemny, próbował ją od siebie odsunąć. Brunie, która nigdy nie błyszczała elokwencją, tym razem udało się go przekonać, że jeśli on umrze z dala od niej, to jego śmierć zaboli ją jeszcze mocniej. Merlin wrócił i zdążyli wykorzystać te parę miesięcy, zanim pojawiły się pierwsze symptomy WGT.

Po ujawnieniu się choroby wyjechali do Highlands, do Szkocji. Naga ziemia, smagana wiatrem, strumienie jak nitki rtęci w czarnych dolinach rzek. Oboje lubili takie odludne miejsca, zimne, niegościnnie: to było jedno z ich wspólnych dziwacznych upodobań, które stanowią podstawę miłości. Dlatego kiedy Merlin postanowił ukryć się, jak ranne zwierzę, wybrał właśnie ten odległy zakątek. Wynajęli mały, stary cottage i natychmiast zapełnili go żalonym bagażem leków i środków opatrunkowych. Zapach choroby i zatruty czas. Przytłaczający, wolno płynący czas konania. Śmierć krążyła wokół niczym zbójca, plamiąc wszystko cierpieniem. Bruna przypominała sobie pewną deszczową noc, kiedy krople uderzały o szyby zupełnie jak dziś. Leżący obok Merlin przysypiał, przez chwilę wolny od cierpień, ona, na kocu, czytała powieść w żółtawym świetle lampki. Od czasu do czasu patrzyła na kochanka: na znane jej doskonale, teraz wychudłe plecy, bladą twarz, zarost na brodzie. Paznokcie i włosy rosły u konających; kiedy wszystkie inne funkcje zanikały, te maleńkie komórki nieprzerwanie wytwarzały swoje substancje, ślepo i rozpaczliwie trzymając się życia. Zbyteczny wysiłek organiczny sprawił, że z zarośniętymi policzkami piękna twarz Merlina stawała się coraz bardziej wymizerowana. Niedługo przed końcem, Bruna o tym wiedziała, u chorych wyostrzał się profil, może po to, by rozpruć naciągający mrok, by zagłębić się w ciemności jak dziób statku. I twarz jej kochanka zaczęła gwałtownie szczupleć. Wciąż jednak byli razem i

wciąż żyli, za oknami świstał wiatr, deszcz zawodził rozpaczliwie, ale ich domek stanowił bezpieczne schronienie. Tamtej nocy czas się zatrzymał i ból dziwnie zelżał.

Czasami Bruna czuła tak ostrą żalność, że wydawało się jej, że tego nie zniesie.

I za każdym razem znosiła.

Łzy w deszczu. Wszystko minie i wszystko szybko ulegnie zapomnieniu. Nawet ból.

Napiła się wina i spojrzała na reprodukcję Kobiety piszącej list ze służką. Służka czekała z założonymi rękoma, aż jej pani skończy pisać, pewnie po to, by zaraz zabrać list. Nie okazywała zniecierpliwienia, bo kiedy tak czekała, nie musiała pracować, to był krótki odpoczynek w jej krzątaniu. Młoda dziewczyna o okrągłej buzi stała w głębi obrazu i z przyjemnością patrzyła w okno, przez które wpadało czyste światło poranka. Zapewne był piękny dzień. Dziewczyna cieszyła się słońcem, młodością i zdrowiem, idealnym spokojem tej chwili. Pełnią życia zamkniętą w jednym momencie. Bruna wzruszała się tym obrazem, bo widziała w nim kawałek czasu poza czasem. Patrząc na niego, czuła się tak jak tamtej deszczowej nocy obok Merlina. Tamtej nocy, kiedy umierał jej kochanek, ona była nieśmiertelna. Prawie jak człowiek.

Do drzwi zadzwonił robot pocztowy i Bruna aż podskoczyła - miała nieźle zszargane nerwy. To była przesyłka o najwyższym stopniu zabezpieczenia: dopiero gdy robot sprawdził jej DNA, mogła odebrać opieczętowne i wodoszczelne pudełko. Jak, do diabła, Mirari udało się zdobyć jej DNA? zastanawiała się replikantka, i nie bez lęku skonstatowała, że skrzypaczka jest niebezpieczną kobietą. Rozerwała zabezpieczenia i wyjęła kompfona, chip z danymi i doskonale spreparowany dowód tożsamości, nawet lekko pogięty, jakby rzeczywiście używano go od dawna. Włożyła fałszywy dowód do centralnego komputera i dowiedziała się, że jest trzydziestoletnią kobietą, Annie Heart, urodzoną w Tavistock, w Devonie, w dawnej Wielkiej Brytanii, obecnie zatrudnioną jako profesor robotyki stosowanej na Uniwersytecie Technicznym im. Asimova w Nowej Barcelonie. Potem obejrzała tajne pliki zawierające dane Annie Heart: historię leczenia, profil genetyczny, przebieg studiów, przebieg pracy zawodowej, kartę dentystyczną, wyciągi finansowe i bankowe, dokumenty ubezpieczeniowe, policyjne, sądowe, listę zainteresowań i prawie sto innych linków, które można było otworzyć tylko za pomocą różnych autoryzowanych kluczy. Oczywiście Bruna jako właścicielka tej tożsamości mogła je wszystkie przejrzeć, a nawet musiała uważnie je przestudiować, żeby

dowiedzieć się, kim jest niejaka Annie Heart, w którą zamieni się na parę dni. Najpierw jednak wpięła chip do komputera. Na ekranie ukazała się twarz Mirari.

- Daję gwarancję na całkowite bezpieczeństwo operacji przez najbliższych sześć dni. A właściwie przez pięć, żeby uniknąć jakiegokolwiek ryzyka. Co do kompfonta, kupiłam miesiąc utajnienia satelitarnego, zatem przez ten czas kompfont będzie niewykrywalny. Zobacz plik FF3. Uważam, że wykonałam kawał dobrej roboty - podsumowała.

I zakończyła wyjaśnienia szelmowskim uśmiechem, jakże zaskakującym na wiecznie srogiej twarzy skrzypaczki. Wyświetlacz zgasł. Plik FF3 był raportem policyjnym. Annie Heart została zatrzymana podczas manifestacji supremacjonistów w Nowej Barcelonie i oskarżona o to, że trzy dni wcześniej wzięła udział w pobiciu androida. Po paru godzinach została wypuszczona na wolność, ponieważ, po pierwsze, poza niezbyt spójnie zeznającą ofiarą nie znaleziono żadnych innych osób, które świadczyły na jej niekorzyść, a po drugie, Annie Heart nigdy nie działała w żadnym z radykalnych ugrupowań i utrzymywała, że tylko przechodziła w pobliżu miejsca bójki. Bruna uśmiechnęła się: idealny szczegół, dokładnie o to jej chodziło. Mirari jest absolutną profesjonalistką.

Replikantka potwierdziła w sieci informację Habiba: Partia Supremacjonistów istotnie poprosiła o OOF. Partie nie otrzymywały żadnych subwencji od państwa, działały dzięki składkom członków i dotacjom, choć te ostatnie były ściśle regulowane i żeby je dostać, należało wystąpić o Otwarty Okres Finansowania. Taki OOF mógł trwać dwa, cztery albo sześć miesięcy i w tym czasie partia mogła otrzymywać fundusze zarówno od osób prywatnych, jak i od firm, oczywiście odprowadzając wcześniej określoną sumę do Urzędu Skarbowego. Teoretycznie pieniądze te miały być przeznaczone na opłacenie inspektorów kontrolujących partyjne operacje, w rzeczywistości stanowiły ukryty podatek, i ten fakt wzbudzał spore niezadowolenie. Skoro Partia Supremacjonistów, tak oporna w uznaniu legalności państwa, zwróciła się o OOF, oznaczało to tylko jedno: palącą potrzebę pieniędzy albo dalekosiężne plany, albo obie te rzeczy naraz. Pozwolenie na finansowanie supremacjonistów zostało wydane na dwa miesiące, zostały im jeszcze dwa tygodnie na pozyskiwanie środków. Zapewne chcieliby zdobyć jak najwięcej kasy, zanim czas zbiorów minie, pomyślała Bruna. To sytuacja dla niej wprost wymarzona.

Replikantka spędziła półtorej godziny na studiowaniu szczegółów fałszywej tożsamości i pożeraniu ogromnej porcji ryżu z tofu. Bartolo chrapał. Następnie posprzątała mieszkanie, pościeliła łóżko, dołożyła trzy kawałki puzzli, wysłuchała koncertu Brahmsa. Gryzek wciąż spał głębokim snem. Wtedy Brunie przyszedł do głowy pewien pomysł. Usiadła przed głównym ekranem i wpisała słowo „głód”. Plik z siódmego miejsca na Uście odpowiedzi wyjaśniał:

GLÓD

Najlepsze centrum rozrywki w Madrycie.

Wielofunkcyjny lokal, gdzie zaspokoisz wszelki głód.

Aleja Tęczy nr 12. Otwarte 24h, 365 dni w roku.

A więc Głód to nazwa knajpy... Rzeczywiście, teraz przypomniała sobie, że gdzieś to widziała, może w reklamach, może w serwisie informacyjnym. Jeden z owych wielkich parków rozrywki, multiro, jak nazywano je potocznie, które mieściły restauracje, bary, dyskoteki, salony gier wirtualnych - wszystko naszpikowane najnowszymi technologiami bardzo spektakularne, ze strefami uwzględniającymi upodobania replikantów i obcych. Bruna odwiedziła takie multiro w Paryżu. Dość zabawne doświadczenie. Może to właśnie chciał jej powiedzieć Bartolo, może Cata Cain bywała w tym centrum. Mogłaby się tam po prostu przejść.

Cztery godziny później Bruna wychodziła z domu w sukience koloru lila, jednej z jej ulubionych, ozdobionej eterycznym, lśniąącym naszyjnikiem ze złota. Wyglądała elegancko, może nazbyt elegancko, pomyślała, dochodząc do alei Tęczy, na przemysłowych przedmieściach Madrytu. Numer dwanaście okazał się okrągłą sześciopiętrową wieżą, pozbawioną okien, poza szóstym piętrem, gdzie mieściła się główna restauracja; na połyskliwej, opalizującej powierzchni ścian powoli zmieniała się tonacja barw. Na płaskim dachu ogromne litery układały się w napis GLÓD, szyld wyglądał, jakby płonął, pewnie zastosowano jakąś holograficzną sztuczkę. Zapadał wieczór, zbliżała się pora kolacji, hol wieży zapełniali klienci najróżniejszego rodzaju, poczynając od wyrostków, którzy dopiero co osiągnęli pełnoletność, przez kalinianów z agrafkami w policzkach, na starszych, zamożnych i statecznych parach kończąc. Bruna zatrzymała się przed interaktywnymi tablicami informacyjnymi i przejrzała listę oferowanych atrakcji. Nad jej głową, na telebimie serwisu informacji publicznej,

Immaculada Cruz, obecna prezydent Regionu, przemawiała na forum parlamentu, wyraźnie wzburzona, zdaje się, że opozycja wysunęła wobec niej wnioski o wotum nieufności. Parlamentarna dyskusja rozwijała się, towarzyszyła jej nieubłagane wzrastająca irytacja. Replikantka rozejrzała się, nie dostrzegła żadnego innego repa. Była sama, w swej eleganckiej sukience i złotym naszyjniku.

Podeszła do młodego mężczyzny z wygolonymi brwiami, który siedział przy stoliku informacyjnym na środku holu, i pokazała mu zdjęcie Caty Cain.

- Znasz ją może?

- No tak, biedna Cain... wszystkich nas to przeraziło - mężczyzna nie wyraził zdziwienia jej pytaniem.

- Ach tak? Więc wszyscy ją tu znali? Często przychodziła?

- Przychodziła? Przecież ona tu pracowała... w Księżycowej Dyskotece.

Bruna zdziwiła się.

- Naprawdę? Od kiedy? I dlaczego nikt o tym nie wspomniał? O ile wiem, Cata pracowała w administracji hotelu.

- Tak, tu miała niepełny etat... Pomagała w zarządzaniu dyskoteką... Sprawy bieżące, zaopatrzenie, księgowość. Od jakichś czterech miesięcy przychodziła tu popołudniami na parę godzin. Aż któregoś dnia przestała. A dwa dni później już nie żyła. Ale popytaj na pierwszym piętrze, tam znali ją lepiej...

Idąc za radą chłopaka, Brunna udała się na pierwsze piętro, do Księżycowej Dyskoteki. Przyłożyła kompfona do terminala płatniczego, który ściągnął z konta 30 gail - lokal nie zaliczał się do tanich. Metalowe, pneumatyczne drzwi otworzyły się z sykiem i replikantka weszła na swego rodzaju galerię, z której roztaczał się widok na dużą, okrągłą salę. Na jednym jej krańcu mieścił się parkiet, obok, nieco wyżej, jakby zawieszona w powietrzu, znajdowała się połyskująco-opalizująca barowa lada, całą resztę sali zajmowały wygodne latające sofy, na których goście siedzieli lub leżeli, pijąc i rozmawiając. Wystrój wnętrza udawał kosmiczną przestrzeń: w świetlistym półmroku, gdzieś w dali powoli obracały się gwiazdy i planety, emitując przytłumiony blask. Dopracowane szczegóły sprawiały, że efekt końcowy przechodził wszelkie oczekiwania: bywalcy dyskoteki mieli wrażenie, że unoszą się w czerni kosmosu, zwłaszcza że siła grawitacji w dyskotece była mniejsza od siły przyciągania ziemskiego. Brunna ruszyła

schodkami w dół i doświadczyła przyjemnego stanu względnej nieważkości, cudownej i zwodniczej lekkości. Wbrew „księżycowej” nazwie siła grawitacji nie była tu równa tej właściwej dla Księżyca, stanowiącej zaledwie jedną szóstą wartości przyciągania ziemskiego, ale stanowiła pewnie jakieś dwie trzecie ziemskiej siły. Bruna musiała się kontrolować, żeby nie polecieć, tylko zejść schodami w dół.

Podeszła do baru elastycznym, miękkim krokiem i złapała się lady. To było zabawne. Nawet bardzo zabawne. Czowała lekki zawrót głowy i jakiś rodzaj bezkarności. Jakby nie mogło się jej zdarzyć nic złego, dopóki ciało tak niewiele waży.

Pierwszy kieliszek białego wina wylała sobie na twarz, bo uniosła go zbyt szybko, a potem przez parę minut śmiała się do łez. Barman uprzejmie towarzyszył jej w tym ataku wesołości, choć widać po nim było, że zdążył się przyzwyczać do takich wpadek. Z oczyma jeszcze mokrymi od łez zapytała barmana o Catę Cain. Sprawiała wrażenie dobrej osoby, odparł barman.

Skromna, wyciszona, pracowita. Nie miała przyjaciół. Nie zwierzała się. Z nikim nie chodziła. Trudno powiedzieć o niej coś interesującego.

A może jednak, barman nagle zmienił zdanie, rzucając dyskretne spojrzenie na koniec baru: parę razy piła w towarzystwie tamtej.

Bruna odwróciła głowę. Tamta była wysoką, chudą kobietą, może wzrostem równą Brunie, ale dużo szczuplejszą, odzianą w coś na kształt fioletowego habitu, jej proste włosy, rozdzielone przedziałkiem na środku głowy, opadały po obu stronach kościstej twarzy. Oparta łokciami o bar, kontemlowała swojego drinka, wysoki kieliszek wypełniony jaskraworóżowym płynem. Sprawiała smutne i nieco odpychające wrażenie. Replikantka podeszła do niej, z kieliszkiem w dłoni.

- Cześć.

Tamta rzuciła jej raczej wrogie spojrzenie i nie odpowiedziała.

- Mam na imię Bruna.

Kobieta dalej milczała i w tym milczeniu wyczuwało się agresję. Jej gładkie włosy były bardzo brudne: twarz przysłaniały jakby dwie tłuste płachty. Na odsłoniętym dekolcie widniał malutki czarnozielony tatuaż: bardzo mocno wyrysowana litera S, wielokrotnie poskręcana, ciężka, konwulsyjna. Pismo laba-ryckie, bez żadnych wątpliwości. I ten fioletowy kolor habitu...

- To litera mocy... A ty jesteś Labarytką. Nigdy bym nie pomyślała, że jedynowiercy odwiedzają ziemskie dyskoteki. Sądziłam, że takie ekscesy są u was zakazane.

Kobieta obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem i jednym haustem opróżniła kieliszek. Napój jakby ją uspokoił.

- Nie, nie jestem Labarytką. Już nie. Hej, ty, nalej mi jeszcze jednego.

- Pozwól, że ja postawię. I napiję się tego samego. Co to jest?

- Wódka z tęczową porzeczką i oksytocyną. Największa dozwolona dawka - wyjaśnił kelner.

- Super... chyba mi nie zaszkodzi.

Oksytocyna w małych dawkach podnosiła poziom empatii i namiętności. Dlatego nazywano ją narkotykiem miłości. Na chudzinę z tłustymi włosami też musiała zadziałać, kobieta sprawiała wrażenie bardziej przystępnej. Barman przyniósł dwie wysokie, fosforyzujące szklanki i replikantka szybko napiła się ze swojej, licząc na to, że kobieta pójdzie w jej ślady i złagodnieje jeszcze bardziej pod wpływem narkotyku. Zadziałało. Kiedy postawiła na barze na pół opróżnioną szklankę, odwróciła się w stronę Bruny i odsłoniła kawałek twarzy spod tłustych włosów. Pochyliła się do przodu i ukazała Brunie swój prawy profil: na skroni miała trzecie oko, czy raczej zarys oka, gałkę oczną nie do końca przykrytą szczątkową i sparaliżowaną powieką, z tęcząwką i źrenicą zalepioną białoszarą błoną. Przysłoniła twarz włosami i odsunęła się do tyłu.

- Jesteś syndmutantką - stwierdziła Bruna.

- Dlatego zostałam wygnana z Labari. Teleportowałam się dla nich, pracowałam w kopalni na Potosi i kiedy syndrom nieładu zdeformował moje ciało, jedynowiercy wyrzucili mnie z Dryfującej Ziemi.

- Ile podróży odbyłaś?

- Osiem.

- To szaleństwo! To nielegalne! Traktaty z Kasjopei zabraniają teleportować się więcej niż sześć razy!

- Ale Królestwo Labari nie podpisało traktatu. I ludzie teleportują się tam w nieskończoność. I wierzą, że Jedyna Uświęcona Reguła chroni ich od zła. Jeśli jesteś wystarczająco Czysty, Reguła cię chroni. Prawi jedynowiercy nigdy nie cierpią na

syndrom nieładu.

- To jakaś kosmiczna bzdura. To nie jest kwestia wiary, ale statystyki i wiedzy.
- Cóż, ja wierzyłam i czasami wydaje mi się, że wciąż wierzę - ponuro stwierdziła

kobieta. - Na Labari używamy teleportacji podczas Świątych Sądów. Jeśli dwie osoby z wyższej kasty, kapłanów czy panów, mają rozstrzygnąć jakąś poważną sprawę, oddają się w opiekę Jedynej Regule i poddają teleportacji - ten, który ulegnie syndromowi nieładu, jest winny. Świąte Sądy odbywają się publicznie i miałam okazję w paru uczestniczyć, zapewniam cię, że to działa.

- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Jeden z sądzonych pozostaje nietknięty, a drugi zawsze zostaje ukarany jakąś

deformacją.

- Niech szlag trafi wszystkie gatunki, co za idiotyzm! Ci, którzy stają przed sądem, teleportują się w tę i z powrotem, dopóki jeden z nich nie zmutuje, tak?

- Właśnie tak.

- To nie ma żadnego związku z uświęconą regułą. Prawdopodobieństwo syndromu nieładu wzrasta z każdą kolejną teleportacją. To czysty przypadek, kto ucierpi pierwszy, czysty przypadek. I przypuszczam, że czasami obaj sążeni wracali z deformacjami. Począwszy od jedenastej teleportacji, istnieje stuprocentowa pewność wystąpienia syndromu w każdym organizmie żywym.

Kobieta wyglądała na poruszoną. I odetchnęła z ulgą.

- Naprawdę? Stuprocentowa pewność?
- Jak możesz być taka ciemna? Wiedzą o tym nawet pięcioletnie dzieci...

To było głupie pytanie, co Bruna uświadomiła sobie zaraz po jego zadaniu:

Królestwo Labari utrzymywało poddanych w całkowitej niewiedzy.

- Jestem na Ziemi dopiero od dwóch miesięcy - przyznała tamta ze wstydem.

I naraz replikantka poczuła ciepły, mocny strumień sympatii płynący w stronę kobiety. To skutek oksytocyny, uświadomiła sobie z trudem, nie popełnij błędu, trzymaj się na dystans. Ona nie jest twoją przyjaciółką.

- Jak masz na imię?
- Sun.
- Sun, wydaje mi się, że znałaś tę kobietę... Catę Cain...

Syndmutantka spojrzała na wyświetlacz kompfona Bruny.

- Tak, to replikantka, tak jak ty.
- Przyjaźniłyście się?

Sun spuściła głowę i wbiła wzrok w szklankę lśniąca słabym blaskiem.

- No cóż... parę razy napiłyśmy się razem. Intrygowała mnie. Widziałam replikantów tylko na Ziemi. Na Labari ich nie ma.

- Wiem.

- No i z nią czułam się nieco swobodniej, z tobą zresztą też. Wszyscy jesteśmy potworami, prawda?

Kwaśna nuta zmąciła słodką czułość narkotyku. Ona nie jest moją przyjaciółką, powtórzyła sobie w duchu Bruna.

- Nie wiesz, czy Cata się czegoś bała? Opowiadała o czymś dziwnym? Pamiętasz może, czy spotykała się z kimś jeszcze? Poznała kogoś?

Syndmutantka pokręciła głową, sklejone gładkie włosy powoli zahęstały się na boki jak dwie blaszane płachty. Potem jednak uniosła wzrok, jakby szukała czegoś w myślach.

- Chociaż tak, moment... To było tego dnia, kiedy widziałam ją po raz ostatni... Nie rozmawialiśmy ze sobą. Ale siedziała przy stoliku z jakimiś dwoma typami.

- Z ludźmi?

- Nie wiem. Byli dość daleko, a tu jest raczej ciemno. Ale wydaje mi się, że przynajmniej jeden z nich był androidem.

Znów ten niepokojący replikancki trop. Bruna dopiła drinka, podziękowała kobiecie i przed wyjściem postawiła jej jeszcze jednego. Kiedy odchodziła od baru, odwróciła się w stronę kobiety.

- A ta wytatuowana litera...
- S od służ. Należę do kasty służ.
- A co to dokładnie znaczy?
- W hierarchii stoję wyżej od niewolnika i niżej od rzemieślnika.
- To pismo mocy?

Kobieta znów zwiesiła głowę.

- Tak, dlatego wciąż jestem służą. Nie mogę się wyzwolić.

Bruna westchnęła, uruchomiła kompfona i przesłała Sun dane Natvela, esencjalisty z

Galerii Zdrowia.

- Idź do tego... mojego znajomego. Powiedz, że przysłała cię Bruna Husky. Natvel ci pomoże.

Sun spojrzała sceptycznie.

- Dzięki.

Choć widać było, że nie posłucha Bruny. Jej sprawa, w końcu to nie moja przyjaciółka, raz jeszcze upomniała się w duchu replikantka.

- Jeszcze jedno pytanie: nie wiesz przypadkiem, kto mógłby mi coś powiedzieć o labaryckim piśmie mocy?

- To tajemna wiedza, dostępna jedynie kapłanom. Tak się zastanawiam, może ktoś w ambasadzie? W labaryckich przedstawicielstwach dyplomatycznych szefami są zawsze kapłan i pan.

Replikantka podziękowała raz jeszcze i odeszła, z ulgą tracąc z oczu tę posępną i umęczoną postać.

Idąc, a raczej lekko podskakując, dotarła na skraj parkietu, gładkiego jak lustro i podświetlonego przymglonym blaskiem, przez co sprawiał wrażenie oglądanego pod wodą. Wchodzący na parkiet zanurzali się w muzyce, w dyskotecce stosowano najnowszy system Soundtarget, który pozwalał na bardzo dokładne przesyłanie dźwięku: pół metra od miejsca do tańca prawie nic nie było słyhać. Z jedną nogą na parkiecie, replikantka dała się porwać wirującym dźwiękom. Zamknęła oczy i stała nieruchomo, kołysana melodyjnym rytmem. Ktoś delikatnie trącił ją w ramię i Bruna otrząsnęła się z transu. Odwróciła się: przed nią stał Nopal. Przełknęła ślinę i dając krok w tył, wróciła do strefy ciszy.

- Cześć, Husky. Nie sądziłem, że cię tu spotkam - uśmiechnął się pamięciarz.

I bez zbędnych wstępów Pablo Nopal objął replikantkę i wkroczył na parkiet, żeby z nią zatańczyć. Muzyka wdarła się do uszu Bruny jak woda pod ciśnieniem, upojny wir oszałamiających nut. Bruna nie znosiła tańczyć i nie dawała się prowadzić, ale teraz nie mogła się oprzeć: Nopal i muzyka porwali ją, obezwładnili natłokiem taktów. Pierwsze kroki wypadły niezgrabnie, bo Bruna poruszała się dość sztywno, a na dodatek i on, i ona musieli nauczyć się poruszać przy słabszej sile grawitacji. Ale powoli przyzwyczaili się i rozluźnieni zapanowali nad swoimi ciałami na tyle, by przestać się nieustannie

kontrolować. Płynęli po parkiecie, kołysani nieważkością, lekko i pięknie, niedoścignieni w precyzji ruchów, Nopal i Bruna - wysocy, szczupli, wysmukli, wirowali w takt trzaskającego walca: Maskarada Arama Chaczaturiana, replikantka przeczytała rząd lśniących liter nad ich głowami; tańczyli przytuleni, nie depcząc sobie po stopach, nie gubiąc kroku, jakby tworzyli jeden organizm, uwolnieni od śmiertelnego ziemskiego ciężaru, wieczni, cudowni.

Walc buzował w żyłach, oczy oślepiły od blasku, skóra płonęła, a Bruna oddychała ciężko, dysząc pragnieniem życia i pożądaniem, podtrzymywana ciepłymi dłońmi mężczyzny, osłabiona oksytocyną, patrzyła na pamięciarza tym szczególnym wzrokiem, pełnym powagi, oddając mu się całym swoim wnętrzem. Zderzyła się z twarzą Nopala, z jasnym, przejrzystym spojrzeniem i od razu zrozumiała, że pisarz i ona nigdy nie będą razem. Zawstydzona schowała twarz między szyję a ramię Nopala i w odruchu rozgoryczenia, w gorączce i ogniu, zatopiła zęby w ciele pisarza, poczuła smak krwi w ustach, skąpana w muzyce jak w deszczu. Pamięciarz wzdrygnął się, ale się nie poskarżył. Przystanął i ze zrozumieniem, bez zdziwienia przyjrzał się replikantce.

- Och, Bruno, Bruno - wyszeptał.

A potem objął ją jeszcze mocniej, i tak objęci tańczyli dalej.

Jeszcze raz przejrzała dane z fałszywego dowodu tożsamości Annie Heart i doszła do wniosku, że zna je już całkiem nieźle. Była gotowa. Nadszedł czas działania. Bruna uniosła się w fotelu, trzepnęła po grzbiecie Bartola, wyciągając mu z pyska garść papierowych serwetek, a potem zadzwoniła do Yiannisa.

- Cześć, chciałabym się z tobą spotkać, masz trochę czasu?

Stary archiwista był wyraźnie zdenerwowany i podekscytowany.

- Świetnie, że dzwonisz, Bruno, mam ci dużo do powiedzenia.

- Co takiego?

- Nie teraz. Jak się spotkamy.

- U Oli za dwie godziny?

- Doskonale. Do zobaczenia.

Replikantka przerwała połączenie, poleciła komputerowi włączyć muzykę (lista odtwarzania 037: ciche utwory relaksacyjne z nutką euforii), a potem wyjęła mały piekarnik wbudowany w kuchnię. Włożyła rękę do dziury i otworzyła skrytkę:

znajdowała się tu skrzynka, w której Bruna chowała pewne swoje rzeczy, na przykład małej plazmowy pistolet, na który nie miała pozwolenia. Albo zapasy dermosilikonu.

Już od jakiegoś czasu Branie nie nadarzała się okazja do przebieranki, a zawsze sprawiało jej to dużą przyjemność. Najpierw zdjęła ubranie, potem rozgrzała kawałek dermosilikonu, a gdy ten zmiękł, szybko rozprowadziła warstewkę różowej masy na linii dzielącej jej ciało na pół. Zapewne kreskę na plecach przykryła mniej dokładnie, ale na szczęście ten fragment ciała zasłoni ubranie. Stała z rozpostartymi ramionami i z nogami w rozkroku, tak samo jak człowiek witruiński Leonarda da Vinci, pod ultrafioletowym światłem lampy; po dwóch minutach cienka warstwa wyschła i idealnie zespoliła się ze skórą, całkowicie zakrywając tatuaż. Teraz mogła ściągnąć silikon tylko za pomocą dermorozpuszczalnika. Założyła soczewki - wybrała te w ciemnozielonym odcieniu, wyglądały bardzo naturalnie i maskowały charakterystyczne kocie źrenice. Potem włożyła perukę w kolorze popielaty blond, która sama przyklejała się pod wpływem ciepłoty ciała, i przylepiła sztuczne brwi w tym samym odcieniu, nieco szersze niż jej własne. Odrobinę zaokrągliła policzki, wkładając do buzi dwie silikonowe kształtki, po czym włożyła specjalnie wypchaną bieliznę, która poszerzyła jej biodra i powiększyła o dwa rozmiary drobne piersi Amazonki. Wreszcie makijaż: nieco przesadzony, trochę w stylu retro - mocno czerwone usta i oczy podkreślone złotym cieniem. Wybrała sukienkę z dołem w formie spódnico-spodni, nudny, konwencjonalny strój, który nosiła tylko w takich przypadkach, na koniec przecesała jedwabiste włosy, spadające do ramion. Spojrzała w lustro: zaletą jej oryginalnego, dość charakterystycznego wyglądu było to, że szybko mogła go zmienić. Wystarczyło dwadzieścia pięć minut, by nie rozpoznała jej własna matka. Gdyby oczywiście tę matkę miała. Tak bardzo blond, tak ostentacyjnie kobieca... Czy z takim wyglądem bardziej spodobałaby się Nopalowi? Wspomnienie pisarza pojawiło się na kształt ognistej błyskawicy... ale podobne myśli ją przygnębiały. Pamięciarze wzbudzali w niej wstręt, Nopal wydał się jej okropny i niejednoznaczny. Choć zeszłej nocy na dyskotecę, w jego ramionach, oszołomiona muzyką i oksytocyną, Bruna była gotowa mu się oddać. A on ją odrzucił. Poczula smak jego krwi. Potrząsnęła głową, zasmucona i zmieszana. Wolałaby go już nigdy nie spotkać.

Wybrała zwykłe, wygodne buty, bo nigdy nie wiadomo, czy nie trzeba będzie

uciekać, zdjęła swój dowód tożsamości z łańcuszka na szyi i zastąpiła go płytką od Mirari. Potem zapakowała do torebki wszystkie potrzebne rzeczy i stanęła gotowa do wyjścia. Dokładnie w tej chwili rozległ się sygnał połączenia. Spojrzała na identyfikator tożsamości: Lizard.

- Cholera jasna...

Zmieniła ustawienia na tryb bez podglądu i odebrała rozmowę. Na ekranie pojawiła się grubo ciosana twarz policjanta.

- Husky, jesteś tam?

- Tak, słucham.

- Dlaczego cię nie widać?

- Czy masz dla mnie wyniki sekcji Nabokov?

- Dlaczego cię nie widzę? Według sygnału GPS jesteś w domu. Czy ktoś stoi obok i mierzy do ciebie z plazmy?

- Byłbyś tak miły i przestał mnie śledzić?

- Pytam poważnie, Husky...

Pytał z kpiącym uśmiechem na ustach, ale Bruna miała wrażenie, że gdzieś w głębi ducha naprawdę się o nią martwi. Jakby inspektor udawał, że się uśmiecha, by ukryć, że jeśli zapewniał, że mówi serio, to rzeczywiście mówił serio. Replikantka pokręciła głową: u Lizarda wszystko wydawało się głupio pokomplikowane.

- Bez obaw, u mnie wszystko w porządku.

- Więc dlaczego nie mogę cię zobaczyć?

Był wytrwały jak gończy pies. Nopalał już jej o tym wspominał.

- Ponieważ nie chcę, żebyś mnie widział.

- Dlaczego?

- Powiedzmy, że dziś nie wyglądam wystarczająco atrakcyjnie. Użyła żartobliwego tonu, ale nagle przez głowę przemknęła jej myśl, że być może żartowała po to, żeby ukryć, iż kiedy mówi o jego zainteresowaniu, faktycznie chciała go wzbudzić. Do stu przeklętych gatunków, zaklęła pod nosem Bruna.

- Wiesz co, Lizard, nie mam czasu. Jeśli nie zamierzasz mi nic powiedzieć, będę kończyć.

Policjant potarł palcem podbródek.

- Właściwie chciałbym ci powiedzieć o paru sprawach. Ale poczekaj chwilę...

Pochylił się do przodu, a potem obraz zniknął.

- Lizard?

- Jestem, jestem. Ale nie lubię grać na nierównych warunkach.

Przełączył się na tryb bez podglądu. Nadęty głupek, pomyślała Bruna.

- Jeśli chodzi o mnie, super. Może mi wyślesz robota pocztowego? - prychnęła pogardliwie.

Choć oczywiście denerwowało ją trochę, że nie widzi jego twarzy.

- Ciało Nabokov uległo znacznym obrażeniom w efekcie wybuchu. Nie jesteśmy nawet w stanie określić, czy miała fałszywą pamięć. Znajdowała się w terminalnej fazie WGT i miała liczne przerzuty w mózgu, więc jej zachowanie równie dobrze mogło być skutkiem choroby.

- To wiedzieliśmy wcześniej. To wszystko?

- Prawie.

Przez chwilę Bruna nie mogła oderwać oczu od ekranu, jakby spod mgły pikseli miał się zaraz wyłonić ważny sekret.

- Znaleźliśmy coś w mieszkaniu Nabokov i Chi.

Bruna znów wyobraziła sobie wielkiego Lizarda wężącego wśród liliowych tiuli w sypialni kobiet. To był dość nieprzyjemny obrazek.

- Chip z danymi, ukryty pod kamieniem w pierścionku. Zmyślna kryjówka. Pewnie nigdy byśmy go nie znaleźli, ale mechanizm oczka był niedomknięty. Ktoś dotknął pierścionka i chip wypadł.

- I?

- Rodzaj supremacjonistycznego pamfletu. Nie ma w nim najmniejszej wzmianki o partii Hericia, to jakby manifest bliżej nieokreślonego panhumanizmu. Wynika z niego niezbitie, że istnieje plan eksterminacji replikantów, a co najważniejsze, są tam zdjęcia wszystkich ofiar, nawet Chi, pokazującej tatuaż ze słowem „zemsta”. Zostało to prawdopodobnie nagrane przez zabójców.

Bruna zmarszczyła czoło, próbując rozgryźć nową informację.

- Jak myślisz, Lizard, skąd to się wzięło u Nabokov?

- Nie wiem, ale wydaje mi się, że ktoś mógł jej to pokazać, żeby ją sprowokować.

Dobra hipoteza. Jeśli Nabokov, w swoim dość poważnym stanie, zobaczyła takie paskudztwo, jej gwałtowna reakcja wydawała się bardziej zrozumiała.

- Dlatego mówiła o zemście, kiedy ją widziałam po raz ostatni.
- A właśnie, lekarz sądowy nie był też w stanie stwierdzić, czy Nabokov miała jakiś tatuaż. Na tym, co z niej zostało, nic nie znalazł.
- To labaryckie pismo mocy. Te tatuaże.

Bruna zdziwiła się. Zdumiała się, że tak łatwo przyszło jej podzielić się wiedzą z inspektorem. Oczywiście, jeśli ktoś ratuje cię przed pobiciem, twoje zaufanie do niego rośnie. Wahala się przez chwilę, a potem opowiedziała Lizardowi wszystko, co wiedziała. Opowiedziała o Natvelu, o dodatkowej pracy, którą Cain miała w Głodzie, i o tym, co mówiła jej syndmutantka z trzecim okiem. Opowiedziała wszystko, tylko nie to, że właśnie przebrała się za człowieka i zamierza wniknąć w środowisko Partii Supremacjonistów. Uznała, że nieostrożnością byłoby przyznać się do łamania prawa w tak szerokim zakresie.

- Ty, prowadząc oficjalne śledztwo, mógłbyś od kapłana z ambasady labaryckiej wyciągnąć jakąś informację na temat tatuaży ofiar...

- Niezły pomysł, Husky.
- No właśnie, sprawdziłeś programem identyfikacyjnym, czy przypadkiem oko z ostrza noża nie pasuje do któregoś z tych dwóch zabitych replikantów?
- Tak. Nie. Nie pasuje. To nie oni. Sprawdziłem tym programem również ciebie.

Bruna rzuciła gniewne spojrzenie na pusty ekran. Kilka sekund później znów zabrzmiał spokojny, niski głos mężczyzny:

- Do ciebie też nie pasowało.

Dzięki za zaufanie, pomyślała replikantka.

- Świetnie, nareszcie jakaś dobra wiadomość - odparła lodowatym tonem. - Muszę kończyć, Lizard. Mam trochę pracy.

Odpowiedzi nie było. Ekran brzęczał cicho. Rozłączył się bez pożegnania? Choć zielona lampka wciąż się świeciła.

- Lizard?

I wtedy usłyszała głos mężczyzny. Leniwy, ciężki, gęsty.

- Uważaj na siebie, Husky.

I skończył. Bruna zastanowiła się: policjant zachowywał się tak, jakby coś wiedział. Jakby się czegoś domyślał. Westchnęła, odsunęła na bok niewygodne refleksje. Przez tę rozmowę straciła sporo czasu, pewnie spóźni się na spotkanie z Yiannisem. Zdjęła z ręki kompfona i wyjęła baterię. Potem wzięła nowy, nienamierzalny, i kiedy go uruchomiła, wyświetlacz przywitał Annie Heart: Mirari pomyślała o wszystkim. Włożyła kompfona do torebki i wybiegła z domu. Kiedy zjeżdżała windą, ożywiła ją nadzieja, że tym razem stwór jej nie rozpozna. Ale gdy przeszła obok Maia, obcy spojrział na nią swoimi smutnymi oczyma i powiedział:

- Uważaj na siebie, Bruno.

Zdanie miało w sobie soczystą słodycz, ale w uszach replikantki zabrzmiało jak nieprzyjemny trzask: do stu przeklętych gatunków, czyżby jej przebranie było całkowicie bezużyteczne? I dlaczego ten idiota każe jej na siebie uważać? Też coś podejrzewa, jak Lizard?

Wściekła złapała taksówkę i podała adres baru Oli. Tu i ówdzie, na rogach ulic, widać było dwójki żołnierzy, jak rozstawione warty. Żadnego replikanta bojowego, wyłącznie ludzie. To było dość niezwykle.

- Od kiedy na ulice wyszło wojsko, trochę się uspokoiło. Na szczęście - zauważył kierowca.

Bruna wydała z siebie aprobowane mruknięcie, bez specjalnego entuzjazmu, bo szczerze nie znosiła błahych rozmów z taksówkarzami. Mężczyzna odwrócił się.

- No i dobrze, przynajmniej dzięki zamieszkom zniknęły te cholerne repy. Żadnego nie widać na ulicy. Fajnie jest, nie? - porozumiewawczo mrugnął okiem.

Bruna miała ochotę trzasnąć go w łeb. Choć jak widać, przebranie zdało egzamin. Opanuj gniew, graj swoją rolę, strofowała się w myślach. Ale chyba nie do końca się jej udało, bo kierowca jakby zaczął się wycofywać.

- Wiesz, ja im źle nie życzę, nie chcę, żeby ich zlinczowano, ale mogliby sobie pójść i zostawić nas w spokoju, nie? Można by im zbudować dryfującą ziemię. No właśnie, na Labari i w Kosmosie repów nie wpuszczają. Sprytni są. A dlaczego my ich trzymamy? Bo jesteśmy dupkami. Bo mamy dupków i filorepów w rządzie.

Taksówkarz miał włączonego autopilota i odwrócony przez ramię wciąż ciągnął ksenofobiczno-segregacjonistyczną gadkę. Bruna najchętniej by go udusiła. Pomyśl o

tym, jak doskonale sprawdza się twoje przebranie, mitygowała się w duchu. Pomyślała: cztery lata, trzy miesiące i szesnaście dni, szesnaście dni, szesnaście dni...

Wkroczyła do baru sfrustrowana i zdenerwowana. Gruba Oliar rzuciła w jej kierunku taksujące spojrzenie spod półprzymkniętych powiek, tak jak robiła to w przypadku każdego nowego klienta. Bruna zauważyła, że Mulatka zanotowała w pamięci siniaki na ramieniu po uderzeniu łańcuchem, których ona postanowiła nie maskować. Nic nie umykało uwadze wielkiej Oli.

- Cześć, co ci podać?
- Wódkę z cytryną i dwoma kostkami lodu.

Zamówiła pierwszego drinka, jaki przyszedł jej do głowy, dość charakterystycznego i jednocześnie całkowicie obcego jej gustom, dla jeszcze lepszego kamuflażu. Oczywiście kobieta jej nie rozpoznała. Poczula się różnie. Wzięła szklanekę i przeszła na koniec baru, gdzie czekał już archiwista.

- Cześć, mam wrażenie, że się znamy - zaczepiła go z uśmiechem.

Yiannis obrzucił ją wzrokiem bez specjalnego zainteresowania.

- Nie sędzę. Wydaje mi się, że nie. Nie przypominam sobie.
- A ja ci mówię, że tak. Ty jesteś Yiannis Liberopoulos.

Mężczyzna wyprostował się, zaintrygowany.

- Tak, to ja, ale...
- Oj, Yiannisie, Yiannisie, naprawdę nie wiesz, kim jestem?

Do tej pory Bruna przemawiała zmienionym głosem, ale ostatnie zdanie powiedziała już normalnie. Mężczyzna szeroko otworzył oczy i rozdziawił buzię, kompletnie zaskoczony.

- Bruna! To niemożliwe. To ty, Bruno?

Replikantka roześmiała się.

- Cicho, nie mów tak głośno. Moje przebranie się sprawdza. Yiannisie, chcę, żebyś wiedział, dokąd idę, tak na wszelki wypadek. Chcę wniknąć do Partii Supremacjonistów. Pójdę do Saturna, do baru, o którym wspomniała RoyRoy, spróbuję umówić się z Hericiem.

Oli podeszła ze ścierką w dłoni i udając, że czyści blat, zapytała:

- Wszystko w porządku, Yiannisie?

- Tak, w porządku.

Mulatka odeszła, a Bruna popatrzyła z czułością na jej wielkie plecy. Dobra kwoka Oli, zawsze dbała o swoje pisklęta.

- To bardzo niebezpieczne, Bruno, bardzo niebezpieczne. Czy ty na pewno wiesz, co robisz? - wyszeptał zaniepokojony starzec.

- Wiem doskonale. I już nic więcej nie mów, Yiannisie, bo nigdy więcej nic ci już nie powiem.

Archiwista skrzywił się, ale nie odezwał się, bo dobrze znał Brunę. Replikantka westchnęła. Prawdę powiedziawszy, ona sama nie do końca wiedziała, co zamierza. Wniknięcie w środowisko supremacjonistów na pewno było niebezpieczne i obarczone dużym i bezsensownym ryzykiem. Zdaje się, że szukam właśnie tego ryzyka, pomyślała; być może wystawiając się na niebezpieczeństwo, uciszała poczucie winy tej, która przeżyła, i rozpacz skazanej na śmierć. Umrzeć wcześniej, młodo jak Achilles, i tym sposobem oszczędzić sobie horroru WGT. Potrząsnęła głową, żeby wyrzucić z niej tę myśl, żeby uczynić ją lekką jak balon i pozwolić jej ulecieć, blond biosyntetyczne włosy musnęły jej ramiona. To było tak nieprzyjemne uczucie, że aż przeszedł ją dreszcz.

- Też chciałbym ci coś opowiedzieć. Obserwuję to od pewnego czasu, ale jest coraz gorzej. Dziś rano moje oburzenie sięgnęło zenitu. Zaleciłem oficjalne dochodzenie.

- O czym ty mówisz, Yiannisie?

- O Archiwum. Ktoś manipuluje dokumentami, ktoś fałszuje dane, jakby chciał wywołać bunt przeciwko replikantom.

Centralni archiwiści podlegają rygorystycznej klauzuli tajności, która zabrania im rozmawiać o swojej pracy, a stary Yiannis, człowiek nad wyraz skrupulatny i lekko dziwaczny, zawsze stosował się do owego wymogu. Teraz jednak był tak przejęty rozwojem wypadków, że - po raz pierwszy - poczuł się zwolniony z obowiązku, czy też poczuł, że powinien wypełnić obowiązek dużo ważniejszy. I wyjaśnił Brunie, czego dotyczyły komentarze, które napotykał w przeglądanych artykułach.

- Dlatego poprosiłem o natychmiastowe dochodzenie.
- I co ci odpowiedziano?
- Na razie nic.
- Niedobrze.

To rzeczywiście było niepokojące. Najemnicy, manifestacje - rzekomo spontaniczne, zauważalna przychylność mediów... A teraz jeszcze Archiwum. Jednoczesny atak z wielu pozycji. Jakaś maskarada, złowrogi, wyuczony taniec. W drodze do baru Bruna zauważyła, że na publicznych telebimach dziewięć na dziesięć informacji stanowiły wystąpienia przeciwko replikantom, utrzymane w ostrym, nieprzejednanym tonie. Niektóre oświadczenia niosły tak wielki ładunek agresji, że jeszcze miesiąc temu zostałyby ocenzone przez Ministerstwo ds. Współistnienia. Przypomniała sobie kilka jadowitych wystąpień i poczuła gorycz w ustach - musiała dokonać pewnego wysiłku myślowego, spojrzeć na Yiannisa i Oli, żeby nie zatonać w fali ludzkiej nienawiści. Poza tym wiedziała, że publiczne telebimy, mimo swej nazwy, wcale nie były publiczne: obywatele musieli płacić miesięczny abonament, żeby móc korzystać ze zdjęć i informacji. To była prywatna firma, kontrolowana i manipulowana Firma, którą każdy mógł wynająć, żeby przeprowadzić kampanię zatruwającą umysły. Bruna nie mogła ani nie chciała uwierzyć, że dziewięciu na dziesięciu ludzi chciałoby ją unicestwić.

- I jeszcze coś... Syn RoyRoy został zabity - oznajmił Yiannis.
- Supremacjoniści? - z przerażeniem zapytała Bruna.
- Co mają do tego supremacjoniści? - Yiannis zdawał się nie rozumieć pytania.

Yiannis i Bruna przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu. Czy można wierzyć w porozumienie między gatunkami, skoro nawet przyjaciele nie są w stanie się zrozumieć? Bruna zapytała się w duchu.

- Nie, nie, przepraszam, Bruno, to nie ma żadnego związku z tym, o czym rozmawialiśmy wcześniej. Chciałem tylko powiedzieć, że RoyRoy też straciła dziecko.

Też. No jasne. Archiwista zwierzał się jej, a ona nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Miał szesnaście lat. Zginął w czasie policyjnej operacji. Przypadkowo znalazł się na linii strzału i dostał w głowę. Biedna RoyRoy. Dlatego jest taka smutna. Gdzieś w środku wciąż tli się ból. Upłynęło już sporo czasu, ale to nigdy się nie kończy.

Ona mu się podoba, pomyślała zaskoczona replikantka. Nagle dotarło do niej to, co wcale nie było przyjemne, że Yiannisowi podoba się kobieta-reklama. No tak. Zbołała matka, utracone dziecko. Po śmierci Merlina, kiedy Bruna cierpiała w samotności, Yiannis przez parę miesięcy gościł ją w swoim domu, oto-

Iczył opieką, sprawił, że znów stanęła na nogi. Replikantka czuła wobec niego

ogromną wdzięczność, ale zawsze podejrzewała, że ich przyjaźń bazowała na bólu żałoby. Yiannis uczynił ze swego życia świątynię pamięci o synu, a w Brunie najbardziej odpowiadało mu cierpienie po stracie Merlina. To, że mogli razem dzielić otchłań rozpacz. Bruna nie chciała jednak poświęcać krótkiego życia na rozpamiętywanie przeszłości. Niech Yiannis zaprzyjaźni się z RoyRoy, niech trwają w bólu, niech wznoszą katedrę ku czci utraconych dzieci. Było jej wszystko jedno.

- Sama wiesz, Bruno, każdy idzie przez życie z jakimś ciężarem. Czasami wydaje mi się, że ludzie... i androidy oczywiście też... że jesteśmy jak mrówki, wszyscy nosimy na grzbietach ciężar, który nas przygniata.

Replikantka nie znosiła takiego użalania się nad sobą.

- Sam mi kiedyś powiedziałeś, że istotne jest to, co każdy z nas potrafi z tym zrobić - mruknęła.

Nienawidziła, kiedy Yiannis stawał się taki żaloszny, przewidywalny i niedojrzały. Zakochany głupek, pomyślała z zazdrością. Yiannis westchnął.

- Tak, wszystko zależy od tego, co z tym zrobisz. Parę minut później, kiedy Bruna wychodziła z baru, wciąż

była lekko poirytowana: zawsze myślała, że jej przyjaciel jest równie jak ona odporny na sentymentalne nastroje. Raz jeszcze poczuła się obco. Inna od wszystkich. Inna niż pozostali replikanci. Prawdziwy potwór, jak zwykli mówić supremacjoniści. Ale chwileczkę, chwileczkę! teraz to ona się nad sobą użala. Wielki Morlayu! Co za paskudna, zaraźliwa przypadłość.

Wysoka, gibka, z nadmuchanymi krągłościami opiętymi sukienką i z falującymi blond włosami do ramion wzbudziła spore zainteresowanie w Saturnie, barze w stylu retro, z marmurowymi stolikami i pseudomodernistycznym wystrojem. Przystarzałe wnętrze w sam raz dla reakcjonistów. Była ósma wieczorem, a lokal wypełniony ledwie w połowie: wyłącznie ludzie, w większości mężczyźni, raczej młodzi. Bruna wolnym krokiem przespacerowała się po lokalu, jakby namyślając się, gdzie usiąść, jednocześnie obserwowała personel i sama pozwalała się obserwować. Kiedy nabrała przekonania, że już wszyscy ją zauważyli, wybrała stolik w pobliżu drzwi i zamówiła kolejną wódkę z cytryną i lodem - uwielbiała rozbudowywać fałszywą tożsamość swoich wcieleń, być jej wierną w najdrobniejszych szczegółach i prawie samej w nią uwierzyć. Na przykład teraz

zaczynała wierzyć, że nie ma lepszego drinka niż wódka z cytryną. Napiała się z kieliszka przyniesionego przez robota i zlustrowała salę spojrzeniem spod długich rzęs. Para kobiet i kilku mężczyzn taksowało ją łakomym wzrokiem, próbując przechwycić jej spojrzenie i nawiązać kontakt. Po krótkiej analizie uznała, że spośród obecnych przydatni mogą się okazać tylko dwaj młodzieńcy z licznej grupki usadowionej wokół nieodległego stolika. I dokładnie w tej samej chwili jeden z chłopaków wstał i podszedł do niej wyzywającym krokiem dumnego kogucika. Stał obok i stwierdził:

- Jesteś tu nowa.
- Tak.

Typek przysunął krzesło i bezceremonialnie się przysiadł.

- Posłuchaj, co teraz zrobimy: napijemy się jeszcze po jednym, ja stawiam, a ty opowiesz mi coś o sobie.

- Posłuchaj, co ty zaraz zrobisz - odparła Bruna. - Wrócisz do stolika i powiesz temu brunetowi w zielonej kamizelce, że mam ochotę z nim pogadać.

Facet w kamizelce był o parę lat starszy i wyglądał na tego, który cieszy się w grupce największymi posłuchem. To wrażenie ścisłej hierarchii kazało Brunie podejrzewać, że ma do czynienia z wojującymi supremacjonistami.

- A dlaczego uważasz, do diabła, że cię posłucham? - zapytał.
- Bo jeśli tego nie zrobisz, może się okazać, że mężczyzna w zielonej kamizelce wkurzy się na ciebie.

Młodzieniec fuknął z wściekłości, ale wstał i potulnie jak baranek udał się prosto do swojego stolika, żeby przekazać wiadomość. Co za posłuszny chłopak, pomyślała replikantka.

Typek w kamizelce wysłuchał wiadomości i chwilę się zastanowił. Doskonale, pomyślała Bruna: im dłużej się namyśla, tym wyżej stoi w hierarchii dowodzenia. Zobaczyła, jak mężczyzna prosi o coś robota, i sama też zamówiła kolejną wódkę. Pięć minut później, po kilku łykach piwa, mężczyzna w kamizelce wstał i podszedł do Brany.

- Słucham.

Niski, nieprzyjemny na twarzy, bardzo umięśniony, choć jego bicepsy wyglądały na silikonowe implanty. Brana uśmiechnęła się. Blondynka, o bardzo kobiecych kształtach, reakcjonistka. Jak uśmiechają się superkobiety i supertradycyjne blondynki? Oczywiście

nie z roziskrzonymi oczyma, jak zwykła się uśmiechać Brana, ale z oddaniem, z wilgotną miękkością, dowodząc tym samym, że usta to tylko jedna dziurka więcej. Obiecująca uległość. Brana-Annie uśmiechnęła się kokieteryjnie i powiedziała:

- Jesteś tu nowa.
- Tak.

Typek przysunął krzesło i bezceremonialnie się przysiadł.

- Posłuchaj, co teraz zrobimy: napijemy się jeszcze po jednym, ja stawiam, a ty opowiesz mi coś o sobie.

- Posłuchaj, co ty zaraz zrobisz - odparła Bruna. - Wrócisz do stolika i powiesz temu brunetowi w zielonej kamizelce, że mam ochotę z nim pogadać.

Facet w kamizelce był o parę lat starszy i wyglądał na tego, który cieszy się w grupce największym posłuchem. To wrażenie ścisłej hierarchii kazało Brunie podejrzewać, że ma do czynienia z wojującymi supremacjonistami.

- A dlaczego uważasz, do diabła, że cię posłucham? - zapytał.
- Bo jeśli tego nie zrobisz, może się okazać, że mężczyzna w zielonej kamizelce wkurzy się na ciebie.

Młodzieniec fuknął z wściekłości, ale wstał i potulnie jak baranek udał się prosto do swojego stolika, żeby przekazać wiadomość. Co za posłuszny chłopak, pomyślała replikantka.

Typek w kamizelce wysłuchał wiadomości i chwilę się zastanowił. Doskonale, pomyślała Bruna: im dłużej się namyśla, tym wyżej stoi w hierarchii dowodzenia. Zobaczyła, jak mężczyzna prosi o coś robota, i sama też zamówiła kolejną wódkę. Pięć minut później, po kilku łykach piwa, mężczyzna w kamizelce wstał i podszedł do Bruny.

- Słucham.

Niski, nieprzyjemny na twarzy, bardzo umięśniony, choć jego bicepsy wyglądały na silikonowe implanty. Bruna uśmiechnęła się. Blondynka, o bardzo kobiecych kształtach, reakcjonistka. Jak uśmiechają się superkobiety i supertradycyjne blondynki? Oczywiście nie z roziskrzonymi oczyma, jak zwykła się uśmiechać Bruna, ale z oddaniem, z wilgotną miękkością, dowodząc tym samym, że usta to tylko jedna dziurka więcej. Obiecująca uległość. Bruna-Annie uśmiechnęła się kokieteryjnie i powiedziała:

- Słyszałam, że w tym barze spotykają się ludzie z Partii Supremacjonistów i z

tego, co widzę, ty jesteś tu najważniejszą osobą. Mam nadzieję, że możesz mi pomóc. Chciałabym się spotkać z Hericiem.

Mężczyzna wykrzywił twarz w komicznym grymasie, czując, jak bardzo schlebia mu prośba dziewczyny i jednocześnie w jak bardzo niewygodnej sytuacji go stawia.

Zamyślony usiadł na tym samym krześle, które wcześniej zajął jego kompan.

- Założmy przez chwilę, że jestem z PS. Po co chcesz się spotkać z Hericiem?

- Bo mam wrażenie, że tylko on wie, jak przejść przez ten niebezpieczny moment szaleństwa. Bo jesteśmy skazani na porażkę pod władzą tego rządu filorepów. Bo, jak wszyscy rozumni ludzie, widzę otchłań, do której wpadniemy, jeśli się temu nie przeciwstawimy. Bo chcę współpracować w obronie ludzkości, o co przecież chodzi w tej rozgrywce, ni mniej, ni więcej... - przemawiała z emfazą.

A na koniec, wiedzona nagłym przeblyskiem geniuszu, dodała:

- Bo nie chcę, by moje przyszłe dziecko dostało w spadku skorumpowany, zdeprawowany i nikczemny świat...

I uśmiechnęła się w najbardziej matczynej i bezbronny sposób.

Przemowa Bruny-Annie niewątpliwie wywarła wrażenie na mężczyźnie, który w zamyśleniu drapał się po brodzie, to znaczy po silikonowym implancie, dzięki któremu jego podbródek wyglądał bardziej męsko i władczo. Silikonowe bicepsy wznosiły się i opadały niczym tenisowe piłki pod cienką skórą ramion. Ciągle jednak nie był do końca przekonany.

- Jasne. I tak znienacka zjawiasz się tu zupełnie znikąd, wygłaszasz piękną mowę i chcesz, żebyśmy ci uwierzyli. Skąd jesteś? Kim u diabła jesteś? Nigdy cię nie widziałem, ani tu, ani przy okazji żadnej z naszych manifestacji.

- Urodziłam się w regionie brytyjskim, ale mieszkam w Nowej Barcelonie. Proszę, to mój numer identyfikacyjny. Trzy dni temu przyjechałam na manifestację supremacjonistów i aresztowali mnie za napaść na repa. Puścili mnie z braku dowodów. Ale wykładam na uniwersytecie i nie mogę sobie pozwolić na takie incydenty, inaczej odsuną mnie od nauczania... wiesz pewnie, jak rygorystycznie podchodzą do podobnych spraw. Dlatego przyjechałam do Madrytu zaofiarować swoją pomoc. Jest mi wygodniej działać tu, a mieszkać w Nowej Barcelonie. Niech nie wie lewa ręka, co czyni prawa.

Mężczyzna skinął głową.

- Żeby przysłużyć się sprawie, nie musisz spotykać się z Hericiem. Nazywam się Serra, jestem jednym z jego zastępców. Ja ci nie wystarczę?

Bruna spróbowała upodobnić się do kotki, minimalizując swoje naturalne tygrysie odruchy. Kształtki w ustach trochę w tym pomagały, nadając twarzy okrągły, głupkowaty wygląd.

- Cudownie, że się nie pomyliłam... Od razu wiedziałam, że jesteś kimś ważnym, to widać. Chciałabym jednak porozmawiać z Hericiem. Zamierzam przekazać partii darowiznę. Wiem, że jesteście w trakcie OOF. Chcę ofiarować pewną sumę na naszą sprawę. Ale chciałabym mieć pewność, że Hericio jest właściwym człowiekiem. Że działa pod wpływem tych samych idei.

Serra pokiwał głową. Jak widać, wzmianka o pieniądzach rozwiązała resztkę wątpliwości.

- W porządku. Zobaczę, co się da zrobić. Gdzie można cię znaleźć?
- Mieszkam w Majestic. Jeszcze tylko przez trzy dni.
- Odezwiemy się.

Gdy odchodził, piłki tenisowe trzęsły mu się jak galareta.

Już na ulicy Bruna zauważyła, że jest obserwowana. Było do przewidzenia, że kogoś za nią wyślą, a Bruna nawet starała się ułatwić im zadanie, ponieważ śledzący ją chłopak, jeden z otoczenia faceta w zielonej kamizelce, robił to, biedaczek, dość nieudolnie. Bruna miała ochotę powiedzieć, żeby zadzwonił do Lizarda i poprosił o instrukcję, jak śledzić, samemu pozostając niezauważonym.

Weszła do hotelu i wzięła pokój, meldując się jako Annie Heart. Majestic mieścił się w budynku z połowy XXI wieku, niedawno odnowionym i zamienionym na przeciętny cztero-gwiazdkowy hotel. Bruna mieszkała w nim po przyjeździe do Madrytu i jak to miała w zwyczaju, dokładnie go sobie zapamiętała. Skierowała się do pokoju na czwartym piętrze i przekonała się, że od tamtego czasu nic się nie zmieniło: osoba zameldowana w hotelu i z kluczem do pokoju mogła wyjść na ulicę, korzystając ze schodów ewakuacyjnych znajdujących się na zewnętrznej, tylnej ścianie budynku od strony parku-płuc, w którym zazwyczaj nikogo nie było. Zostawiła torebkę i zeszła do baru, zapelnionego w połowie. Była jedenasta wieczorem i Bruna poczuła głód. Zamówiła ogromną kanapkę z prawdziwym kurczakiem i wódkę z sokiem cytrynowym i

dwiema kostkami lodu, choć po dwóch drinkach wypitych wcześniej na pusty żołądek miała nieprzyjemny szum w głowie. Ale liczyła się spójna osobowość. W głębi lokalu dostrzegła śledzącego ją chłopaka, nieporadnie ukrytego za interaktywnym ekranem, i postanowiła na jego użytek odegrać małe przedstawienie. Do baru weszli właśnie dwaj apokaliptycy, rozdając ulotki i głosząc swoje rewelacje.

- Bracia, słuchajcie nas. Topicie w alkoholu swoje najcenniejsze dobro, swoje życie... Za kilka dni nastąpi koniec świata... Nie zamykajcie umysłów przed prawdą!

Wśród siedzących rozległ się szmer niezadowolenia i barmanka wyskoczyła zza baru, żeby wyprosić apokaliptyków za drzwi, co przyszło jej z łatwością. To byli raczej potulni prorocy. Bruna przełknęła kawałek kanapki i korzystając z chwilowego poruszenia w lokalu po incydencie z apokaliptykami, odezwała się, na tyle głośno, żeby usłyszano ją w całym barze.

- Sądzicie, że to szaleńcy, i oczywiście nie mylicie się. Ale nadchodzi koniec świata. Tego świata, który znamy. Pozwolicie, żeby te wytwory technologii zniszczyły istoty ludzkie? To my stworzyliśmy androidy! To nasze maszyny! My je zrobiliśmy! I teraz mamy pozwolić, żeby nas wykończyły? Tworząc je, popełniliśmy błąd! Skończmy z tą ryzykowną zabawą!

Na końcu barowej lady rozległy się pojedyncze oklaski. Ów drobny sukces sprawił, że Bruna poczuła w ustach smak goryczy. Straciła apetyt, zapłaciła szybko i udając nieco bardziej pijaną, niż była, poszła do pokoju, ale nie od razu położyć się spać.

Miała coś jeszcze do zrobienia. Ściągnęła perukę i odkleiła brwi, wypluła silikonowe wypełnienia i rozebrała się; otworzyła torebkę, wyjęła rozpuszczalnik i usunęła dermosilikon, którym wcześniej przykryła tatuaż. Na koniec wyjęła soczewki, zmyła makijaż i wzięła szybki parowy prysznic. Odetchnęła z ulgą, gdy w zaparowanym lustrze zobaczyła Brunę. Kiedy już ubrała się w swój zwykły strój, ciemnofioletowy lateksowy kombinezon, schowała całe przebranie i zachowując dalece posuniętą ostrożność, wyszła z pokoju. Przecięła pusty korytarz i kluczem od swojego pokoju otworzyła służbowe drzwi wychodzące na zewnętrzne schody przeciwpożarowe. Pół godziny temu minęła północ, Bruna znajdowała się na czternastym piętrze, na metalowej platformie, hulał nieprzyjemny zimny wiatr i ciało replikant-ki, jeszcze wilgotne po parowej kąpeli, pokryło się gęsią skórką. Ponownie posłużyła się chipem z klucza do

pokoju, przystawiając go do inteligentnego zamka zabezpieczającego schody: stopnie szybko zaczęły się rozwijać pod jej stopami, wydając przy tym metaliczny szczęk, który mógł ją zdradzić. Na szczęście dzwonienie z pobliskiego parku-płuc skutecznie go zagłuszyło. Zaskoczyły ją i hałasujące schody, i niespodziewana pomoc sztucznych drzew. Zirykował ją własny brak przezorności - była zbyt zmęczona, żeby rozsądnie myśleć. Tym razem miała szczęście.

Doszła do końca schodów, zeskoczyła na ulicę, a stopnie szybko zwinęły się nad jej głową - kluczy można było używać tylko przy schodzeniu, nigdy przy wspinaniu się. Dlatego Bruna musiała postępować według założonego planu. Skręciła za rogiem, weszła do Majestica i poprosiła o pokój. Recepcjonista, bladej mężczyzna o kościstej twarzy, spojrzał na nią dziwnie. W przeblysku intuicji pomyślała, że zaraz usłyszy, że w hotelu nie ma miejsc. Zrozumiała, że wzbudza strach i nienawiść, silniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Poczła się ofiarą segregacji, oczyma wyobraźni ujrzała smutny obraz przyszłego świata: Ziemi, na której replikanci nie będą mogli wejść do hotelu ani podróżować tramwajem czy pociągiem wraz z ludźmi. Kropla zimnego potu spłynęła jej po karku wzdłuż wytatuowanej linii. I w tej samej chwili, gdy milczenie recepcjonisty zaczęło się nienormalnie przedłużać, mężczyzna przerwał kamienną ciszę, odkaslnął i poprosił Brunę o podanie danych do zameldowania. Nie odważył się, pomyślała Bruna, pewnie przemknęło mu przez myśl, żeby mnie nie przyjąć, ale się nie odważył. Wciąż jeszcze dyskryminacja gatunków była zabroniona.

Wjechała na dwunaste piętro i przygnębiona, ciężko powłócząc nogami, udała się do nowego pokoju - dwie kondygnacje pod pokojem Annie Heart - w którym zameldowała się pod własnym nazwiskiem. Weszła do środka i bez sił opadła na łóżko, czując, jak bardzo wyczerpał ją ten długi dzień. Zmęczenie usadowiło się w jej mięśniach, w nogach i rękach, ciążyło jak kamień i wgniatało ją w materac. Przez chwilę kusiło ją, by zamknąć oczy i zasnąć, ale wiedziała, że powinna wrócić do domu. Wysiłkiem woli obróciła się w łóżku i skotłowała pościel, tak aby roboty sprzątające miały rano coś do zrobienia. Podniosła się, zebrała swoje rzeczy i znów wyszła z hotelu, korzystając ze schodów przeciwpożarowych.

Przeszła parę przecznic, żeby nie skojarzono jej z hotelem i żeby sprawdzić, czy nikt jej nie śledzi, po czym wezwała taksówkę - była zbyt zmęczona, by teraz oszczędzać.

Wysiadła przed bramą domu, pod którą, jak zawsze, siedział obcy, w środku nocy, samotny w wielkim cielsku. W swojej odmienności. Replikantka znów poczuła, jak wzbierający w niej smutek ścisną ją za gardło. Żałowała Maia. Żałowała Nabokov. Żałowała jej ofiary. Żałowała wszystkich. Przeszła obok stwora, omijając go wzrokiem, i szybko przyłożyła palec do zamka, by otworzyć drzwi. Chyba miała ręce poplamione silikonem, bo musiała to robić parę razy. Smutek narastał i stawał się bólem rozrywającym piersi. Cztery lata, trzy miesiące i szesnaście dni, szeptała jak modlitwę. Mantra na prywatny użytek w chwilach przygnębienia. Cztery lata, trzy miesiące i szesnaście dni.

- Piętnaście dni, Bruno. Jest już druga w nocy. Czwartek - szumiącym głosem odezwał się Maio.

Replikantka skamieniała. W ciszy rozległ się szcęk otwieranego zamka, ale nie pchnęła drzwi. Powoli odwróciła głowę w stronę obcego i przez parę sekund patrzyli na siebie w milczeniu.

- Tak. Potrafię czytać w twoich myślach, Bruno. Przepraszam. Może powinienem był ci to powiedzieć - wyszeptał Maio.

Jego słowa dźwięczały jak ziarenka piasku toczące się wewnątrz suchej, wydrążonej trzciny.

Do diabła, pomyślała Bruna. Mam to gdzieś. Stwór wygrał. Niech śpi w domu. Później znajdziemy mu jakieś mieszkanie. Niech tylko sobie nie myśli, że będzie spał w moim łóżku.

- W porządku, Bruno, mogę spać na sofie. Dziękuję.

Replikantka westchnęła, trochę wkurzona. Wielkie nieba, pomyślała, a zatem...?

- ...nie muszę z tobą rozmawiać, odgadujesz moje niewypowiedziane myśli? - dokończyła na głos.

- Nie, nie, Bruno, lepiej, żebyśmy ze sobą rozmawiali, tak jest o wiele wygodniej, mamy wtedy równe szanse. Poza tym ludzie nie zawsze myślą to, co mówią. A mówią to, co chcą, żeby inni usłyszeli. Wolę więc słyszeć twoje słowa i dzięki temu wiedzieć, kim chcesz być dla innych.

Brunie jego wywód wydał się zbyt skomplikowany zarówno z powodu późnej pory,

jak i jej zmęczenia.

- Dobrze. Niech tak będzie. Wchodźmy. Jesteś głodny?
- Nie, dziękuję.
- Tym lepiej. Nie wiem, co jedzą obcy. I teraz nie chcę o tym rozmawiać. Chcę

tylko spać.

Choć Bruna powiedziała to szorstkim, zręczliwym tonem, tak naprawdę poczuła się lepiej, zapraszając do domu Omaajczyka. Zjednoczone potwory stawały się mniej potworne. Cztery lata, trzy miesiące i piętnaście dni. Piętnaście dni.

Bruna musiała przyznać, że Omaajczyk wcale jej nie przeszkadzał, nawet biorąc pod uwagę fakt, że był olbrzymi, a jej mieszkanie - niewielkie. Poza tym Bartolo i obcy bardzo przypadli sobie do gustu, bubi niemal oszalał ze szczęścia, kiedy zobaczył swego pobratymca, i od tamtej chwili nie odstępował go na krok: w nocy spał wtulony w jego plecy, a teraz uczeplił się jego ramienia. Maio przygotował śniadanie dla wszystkich, idealnie trafiając w upodobania replikantki, czytanie w myślach miało też swoje zalety. Obcy zjadł na śniadanie sproszkowane płatki zbożowe, które rozpuścił w gorącym płynie, a następnie zręcznymi palcami uformował z nich zgrabne kulki. Bruna przyglądała mu się z zaciekawieniem, a Maio schował resztę jedzenia w plecaku.

- To omaajskie produkty. Sprzedawane w dziale międzyplanetarnym w sklepach dla smakoszy, no i niezbyt tanie. Mogę oczywiście jeść wasze zboża, ale są o wiele mniej energetyczne. Musiałbym pochłonąć parę kilogramów ziemskiego chleba, żeby najeść się tak jak tymi paroma kulkami. Lubię sery i owoce, nauczyłem się też jeść jajka. Nie smakują źle, ale kiedy pomyślę, czym tak naprawdę są, czuję lekkie obrzydzenie. Nie jadam za to żadnych trupów. Żadnego mięsa ani ryb. Nawet makaronu z morskim białkiem. Dodają do niego krewetki i inne żyjątka prócz koncentratu z alg - wyjaśnił, jakby odpowiadał na czyjeś pytanie.

I rzeczywiście replikantka pytała go w myślach.

- A trupów nie jecie dla zasady czy po prostu źle to na was wpływa? Mam na myśli źle w sensie fizycznym.

- Bardzo źle na nas wpływa. Twardnieje nam quammil. Co może doprowadzić do śmierci. Quammil to jakby nasza dusza.

- My nie mamy duszy.
- My też nie. Mamy ąammil.
- Dusza nie istnieje.
- Zgoda, to tylko taki przykład. Jeśli chcesz, mogę ci wyjaśnić w skrócie, jak funkcjonuje nasz organizm.

Bruna spojrzała na przezroczystą skórę stwora, różowo-niebieskawą, drżącą, zmieniającą odcień jak wieczorne niebo, i aż się wzdrygnęła. Przez chwilę zapomniała, jak bardzo się różnią, właściwie zaczynała się do niego przyzwyczajać, ale teraz znów dostrzegła odmienność jego ciała. Zadzwonił kompfon, który dostała od Mirari, więc ucieszyła się, że nie musi odpowiadać na pytanie Maia. I zaraz się zreflektowała: przecież on i tak już zdążył poznać moje myśli.

Odebrała połączenie w trybie bez podglądu. Na wyświetlaczu pojawiła się twarz Serry, zastępcy Hericia.

- Dlaczego cię nie widzę? - zamiast powitania zapytał podejrzliwie mężczyzna.
- Musiałam przestawić kompfona, żeby nie można mnie było zlokalizować, nie chcę, by zostały jakieś ślady mojej podróży do Madrytu. Pamiętasz, co mówiłam: niech nie wie lewa ręka, co czyni prawa... Ale chyba przy okazji coś zepsułam, bo nie mogę przesyłać obrazu.

Mężczyzna pokiwał głową, uspokojony odpowiedzią.

- Tak... nie bardzo wiedzieliśmy, dlaczego nie możemy cię namierzyć.
- Namierzanie komputerów jest bezprawne, wiesz o tym doskonale...

Serra uśmiechnął się pogardliwie.

- Jak zwykły mawiać Hericio, nie ma nic bardziej legalnego niż łamanie prawa w nielegalnym systemie. Dobra, Annie Heart, chciałbym się z tobą spotkać. Za godzinę w Saturnie.

I skończył rozmowę.

Za godzinę! Replikantka złapała w locie torbę podróżną i popędziła do hotelu Majestic. Wbiegła jako Bruna Husky, pospiesznie przeobraziła się w Annie Heart i wyszła z pokoju, prosząc w duchu wielkiego Gabriela Morlaya, by nie okazało się, że zapomniała o jakimś szczególe przebrania. Kiedy dotarła na parter, głęboko odetchnęła i spróbowała ostudzić swe rozgorączkowanie. Wyszła z windy spokojnymi krokami i z

rozluźnioną miną, jakby nigdzie się jej nie spieszyło, choć właśnie dochodziła godzina umówionego spotkania. No tak, nie pomyliła się w swoich przypuszczeniach. W holu czekał jej ogon, młody chłopak, ten sam co wczoraj, a może inny, wszystkie supremacjonistyczne szczeniaki wyglądały identycznie, bo to właśnie tak bardzo w ich środowisku ceniono: jednolitość. Pozwoliła się śledzić, podążając w stronę Saturna z wystudiowaną opieszałością. Choć knajpa znajdowała się niedaleko jej hotelu, niespieszny krok sprawił, że spóźniła się prawie dwadzieścia minut. Nie zdążyła wejść do środka, gdy zatrzymał się przy niej jakiś samochód i pneumatyczne drzwi uniosły się z sykiem. W aucie siedział Serra.

- Spóźniłaś się - mruknął.

Bruna wsiadła i wyduła usta w kokietyrjno-pogardliwym grymasie. Lekceważąca mina blondynki wychodziła jej idealnie.

- Nie przywykłam do równie niegrzecznego traktowania. Nie jestem twoim żołnierzykiem, żeby tak biegać tu i tam na twój rozkaz.

Serra uśmiechnął się półgębkiem. Dziś nie nosił kamizelki, tylko podkoszulek z delikatnego materiału z metalicznym połyskiem, opinający jego sztucznie napompowane mięśnie. Chyba chce zrobić wrażenie na Annie, pomyślała Brunna. Samochód działał w trybie autopilota, bez kierowcy. Serra nie potrzebował świadków.

- Nie obrażaj się, ślicznotko, to tylko moja praca. I podstawowe środki ostrożności.

- Dlaczego tu jesteśmy?

- Tu?

- W samochodzie. Jedziemy gdzieś?

- Doszliśmy do wniosku, że lepiej, żeby nas nie widywano za często razem.

Robimy to dla ciebie. Sama tak chciałaś, prawda? Popracowałaś nad tym, żeby nie dało się namierzyć twojego kompfona...

Bruna ostrożnie skinęła głową. Nie podobał się jej delikatny sarkazm, który chyba usłyszała w głosie Seriy.

- Dokładnie tak...

- A właśnie, jak to zrobiłaś? Mogę zobaczyć twojego kompfona?

Bruna poczuła delikatne mrowienie w karku. Czyżby coś podejrzewali? Albo, co gorsza, coś wiedzieli?

- Jasne - odparła ze swobodą.

Zdjęła z nadgarstka półprzezroczystą elastyczną opaskę i podała mężczyźnie.

Zastępca Hericia wziął ją do ręki, obrócił parę razy w palcach, wyłączył i włączył. Kompfon otworzył aplikacje, przywitał Annie Heart, a Bruna podziękowała w duchu Mirari za jej mistrzowską robotę. W tej samej chwili z przerażeniem zdała sobie sprawę, że w kieszeni eleganckich spodni ma kompfonta Brany. W pośpiechu zapomniała go zostawić w hotelowym pokoju. Co gorsza, nie pamiętała, czy go wyłączyła. A jeśli ktoś do niej zadzwoni? Poczula, jak oblewa ją zimny pot. Na szczęście Serra był pochłonięty sprawdzaniem kompfonta, inaczej twarz na pewno by ją zdradziła. Miała wrażenie, że mężczyzna coś powiedział, ale ona w lekkim popłochu tego nie usłyszała. Odetchnęła głęboko i poczuła, jak zaczyna działać antystresowy koktajl z hormonów, który w chwilach zagrożenia wzmacniał jej ciało, jej doskonały organizm replikanta bojowego. Niewidoczna fala spokoju przeszła przez nią niczym wodna kurtyna gasząca ogień. Przywołała uśmiech na twarz. W samą porę: Serra podniósł głowę i przyjrzał się Brunie.

- Nie powiesz mi? - zapytał.

- O czym?

- Pytałem, jak to zrobiłaś. Jeśli spróbujesz wyłączyć namierzanie i nie masz autoryzowanego prawnie klucza, urządzenie ulega zniszczeniu.

Przez ułamek sekundy Bruna obmyślała odpowiedź. Obmyśliła i odpowiedziała:

- No cóż, sprawa jest dosyć skomplikowana. Możesz to zrobić tylko równolegle z centralnym komputerem. Podłączasz kompfonta w trybie peryferyjnym i instalujesz wirtualny moduł portu w ID kompfonta, operujesz wartościami aż do uzyskania profilu resztowego HTC i kodu stożkowych. Potrzebny jest kryptorobot, to długi, żmudny proces... I choć zastosowałam specjalne algorytmy, musiałam sprawdzić miliony cyfr, żeby znaleźć klucz... Łapiesz?

Serra przytaknął, choć jego mina wyraźnie wskazywała, że pogubił się w tym zagmatwanym wyjaśnieniu. Bruna nie miała zielonego pojęcia, co opowiada, ale założyła, że supremacjonista i tak nie będzie w stanie tego odkryć.

- Krótko mówiąc, oszukujesz swój osobisty komputer, wmawiając mu, że jest częścią komputera centralnego.

- Zdaje się, że się na tym znasz...

Bruna-Annie poprawiła blond włosy i uśmiechnęła się słodko.

- No cóż, jestem profesorem robotyki stosowanej.

Mężczyzna spojrzał zdziwiony i oddał kompfona. Replikantka założyła go na rękę, myśląc cały czas o tym drugim, w kieszeni - powinna jak najszybciej wysiąść z auta.

- Jak widzę, jeździmy w kółko. Czekamy na kogoś? Po co mnie wezwałeś?

Żeby w tym samym czasie przeszukać mój pokój w hotelu, odpowiedziała sobie w myślach. Nie musiała się niczego obawiać, przewidziała bowiem taką ewentualność i rozrzuciła po hotelowej sypialni elementy podróżnego ekwipunku. To, że Serra się z nią tu umówił, by mieli czas na sprawdzenie jej rzeczy, to była dobra wiadomość, potwierdzenie, że wszystko toczyło się według jej planu.

- To tylko zwykłe środki bezpieczeństwa. Chyba rozumiesz, że jesteśmy ostrożni. Nasza partia znajduje się w dość trudnej sytuacji z winy tego marionetkowego rządu.

- Dlatego właśnie chcę się spotkać z Hericiem. Zaczynam podejrzewać, że dużo gadacie, a w rzeczywistości niewiele robicie.

Mężczyzna wyprostował się.

- Nie wiesz, co mówisz. Nic nie wiesz.

- Ach tak? Czego niby nie wiem? Robicie coś jeszcze, poza pojawianiem się w wiadomościach i wygłaszaniem podniosłych mów?

To był dość prymitywny haczyk i Bruna nie sądziła, że mężczyzna się na niego złapie, ale czasami i głupi sposób zdobywania informacji przynosił efekty. Nie w tym przypadku. Serra skrzywił się, rozdrażniony, i dotknął panelu sterowania. Pojazd stanął przy chodniku, drzwi się otworzyły.

- Zadzwonimy do ciebie - mruknął.

- Tylko szybko. Jutro albo pojutrze. W niedzielę wyjeżdżam z miasta - odparła Bruna stanowczym tonem, świadoma, że niedługo wygaśnie ważność fałszywej tożsamości dostarczonej przez Mirari.

Serra nic nie powiedział. Samochód zamknął się i ruszył. Bruna zobaczyła, jak znika w oddali, i opanowała chęć sięgnięcia do kieszeni po kompfona - możliwe, że gdzieś w pobliżu czał się jej ogon. Nad głową, na publicznym telebimie wyświetlano ujęcia z androidami masakrującymi ludzi. To były stare nagrania z czasów wojny replikantów. „Pozwolisz, żeby znów do tego doszło?” - to pytanie nieustannie przesuwało się na pasku

pod zdjęciami rzezi.

Już w hotelu z wyraźną ulgą zdjęła z siebie kostium Annie. Dziś o mało nie puściły jej nerwy. Okazało się, że jej prawdziwy kompfon nie tylko jest wyłączony, ale również zdezaktywowany. Włożyła baterię na swoje miejsce i włączyła aparat, natychmiast wyświetlił się Lizard - zapewne policjant ustawił tryb automatycznego połączenia.

- W co ty się bawisz, Husky? Wyłączasz kompfona i nie można cię zlokalizować - warknął mężczyzna.

- Skąd ta irytacja? Czyżby pies gończy zgubił trop? A może martwisz się o moje samopoczucie?

Bruna zastosowała metodę starą jak świat: jeśli ktoś zadaje ci pytanie, na które nie chcesz odpowiedzieć, odpowiedz pytaniem, najlepiej równie niewygodnym. Zrobiła to, choć czuła, że ślizga się po słowach jak po cienkim lodzie. W głębi duszy chciała, żeby Lizard jej odpowiedział. Żeby potwierdził: tak, martwię się o ciebie, boję się, że stanie ci się coś złego w świecie, który z każdym dniem staje się bardziej niebezpieczny. Nic takiego jednak nie powiedział.

- Szukałem cię, bo umówiłem się na spotkanie z kapłanem w ambasadzie Labari. Jeśli masz ochotę tam pójść. To był twój pomysł.

Oczywiście, że miała. Siedziba placówki dyplomatycznej znajdowała się dość daleko od Majestica, więc Brunna znów zdecydowała się na taksówkę, mimo że obiecała sobie, że zacznie oszczędzać. Jednak po dziesięciu minutach bezskutecznego machania ręką, musiała skorzystać z metra. Było dla niej jasne, że żaden ludzki taryfiarz nie ma ochoty wozić replikanta bojowego, a w Madrycie związek taksówkarzy zablokował wprowadzenie automatycznych taksówek, takich, jakie kursowały w innych miastach. Co do taryfiarzy replikantów, wszyscy gdzieś zniknęli. Zresztą na ulicach prawie w ogóle nie widać było androidów.

Na spotkanie dotarła mocno zdyszana. Co za cholerny dzień, wciąż tylko się gdzieś spieszy i biegnie. Ambasada labarycka mieściła się w ogromnym, starym budynku przy alei Stanów Zjednoczonych Ziemi, obok Muzeum Prado. Przez całe wieki mieścił się tu katolicki kościół Hieronimitów, do czasu, kiedy spalono go i częściowo zburzono w czasie Wojen Robotów. Zubożały Kościół katolicki, pogrążony w wewnętrznych kryzysach, osłabiony postępującą laicyzacją świata oraz pojawieniem się bardziej

radykałnych doktryn, jakie wybierali ludzie szukający w życiu wzniosłych wartości, został zmuszony do sprzedaży ruin pewnemu konsorcjum, które okazało się przykrywką największej konkurencji Kościoła, jedynowierców z Królestwa Labari - ci zaś odbudowali świątynię, nadając jej przyciężką, mroczną formę. Spoglądała na posępny gmach w kolorze ciemnofioletowym, rytualnej barwie Labarytów, i poczuła, jak przechodzi ją dreszcz: archaiczny, ponury i surowy budynek idealnie odzwierciedlał pewne zasady, stanowiąc kamienną definicję nieprzeniknionej nieustępliwości.

- Szybciej, Bruno, nie ociągaj się. Jesteśmy spóźnieni - mamrotał Lizard.

Replikantka posłusznie podążyła za policjantem i niechętnie wkroczyła na teren ambasady państwa, w którym obecność jej gatunku została zakazana.

Dawniej wewnątrz budynku było jedną wielką pustą nawą, jak w większości katolickich kościołów, teraz jednak zostało podzielone na normalne piętra i pomieszczenia. Prawie normalne: gdy przez nie przechodzili, z recepcji do strefy bezpieczeństwa i wreszcie do poczekalni, czuła rosnącą w piersiach duszność: pokoje były nieproporcjonalnie wysokie w stosunku do powierzchni. A więc nieprzyjemnie ciasne, na dodatek ich wysokie ściany przykrywały grube, ciężkie, fioletowe kotary.

- Co za radosne miejsce - szepnął Lizard.

W tej samej chwili przyszedł po nich mężczyzna z ogoloną głową i łańcuchem przewleczonym przez przebite uszy i opadającym na piersi. Może to niewolnik, pomyślała Bruna. Dotąd nie zauważyła żadnej kobiety. Zanim przestąpili próg gabinetu, mężczyzna odwrócił się do nich.

- Proszę zwracać się do niego „eminencjo”. To jest jego tytuł. I musicie stosować dawne formy grzecznościowe, mówić do niego per pan. Proszę o tym pamiętać.

Kapłan przyjął ich w sali, której ściany pięły się aż pod dalekie, ciemne sklepienie sufitu. Była to zapewne dawna wysokość kościoła Hieronimitów, a ponieważ gabinet był dość niewielkim ośmiokątnym pomieszczeniem, przypominał głęboką studnię. Fioletowe zasłony sięgały tylko do połowy ścian, wyżej nagie mury ginęły w mroku. Dyplomata, mężczyzna w sile wieku, miał długie siwe włosy zebrane w wysoki kucyk na czubku głowy, typową fryzurę labaryckich hierarchów. Siedział za wielkim stołem z litego drewna.

- Uświęcona Reguła pozostaje Jedyną Prawdą - odezwał się uroczyście, używając

rytualnego powitania jedynowierców.

- Dziękujemy, że zechciał nas pan przyjąć, eminencjo - odparł Paul Lizard.
- To moja praca - skwitował lodowato mężczyzna.

Miał coś dziwnego w twarzy. Na pierwszy rzut oka wystające kości policzkowe, ostry podbródek i wysokie brwi, jak na starodawnych podobiznach diabła, przydawały wydłużonej fizjonomii surowości. Ale potem dało się dostrzec drżące puciołowate policzki, ogólną bladość ciała, krągłość spłaszczonej twarzy. Tak jakby mężczyzna pierwotnie przysadzisty i z dużą głową zamieniał się w wysokiego i kościstego, a proces przemiany z powodu błędu zatrzymał się w jej trakcie. Wydatne kości policzkowe, podbródek i brwi w kształcie daszka były zapewne dziełem skalpela. Bruna gdzieś wyczytała, że religia labarycka nie zezwala na operacje plastyczne, jeśli mają one na celu jedynie efekt estetyczny, ale dopuszcza je, gdy chodzi o aspekt moralny. Być może uzyskanie bardziej imponującego i uduchowionego wyglądu w przypadku tego pękatego i dobrodusznego typka zostało uznane za wystarczający powód.

Lizard wyjął z kieszeni i uaktywnił kulę holograficzną. Nad stołem jedynowiercy pokazało się słowo „zemsta”. Zdjęcie pochodziło zapewne z ciała jednej z ofiar, choć na hologramie nie widać było tła, a sam tatuaż został powiększony cztero- czy pięciokrotnie.

- Czy wydaje się to panu znajome?

Mężczyzna spojrzał przeciągle.

- Nie.
- Z niczym się panu nie kojarzy?
- Nie - powtórzył ambasador, nie próbując nawet spojrzeć na napis.

Inspektor manipulował przez chwilę przy kuli, aż oczom zebranej trójki ukazał się cały obrazek: tatuaż na plecach nagiego ciała martwej kobiety.

- A teraz?

Dyplomata przez sekundę patrzył na trupa pustym wzrokiem. Potem przeniósł spojrzenie na Lizarda.

- Teraz tym bardziej nie.
- Ale te litery... To pismo z Królestwa Labari - wypaliła Bruna.

Dyplomata nawet na nią nie spojrzał. Zwracał się wyłącznie do Lizarda.

- Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że krój czcionki jest podobny do liter

używanych w moim państwie przy uroczystych okazjach.

- Labaryckie pismo mocy - podsunęła replikantka.

Mężczyzna zignorował jej słowa i kontynuował:

- Ale jestem przekonany, że to imitacja.
- Widziałam pismo mocy i litery są identyczne - nie ustępowała Bruna.
- Skąd wiesz... przepraszam, skąd pan wie, że chodzi o imitację, eminencjo? -

zapytał Paul.

- Jak poznajesz, że chodzi o replikanta, jeśli to replikant, a nie prawdziwy człowiek, choć imitacja jest bardzo podobna do oryginału? - zapytał jedy no wiercą.

- Po oczach.

Bruna spojrzała na Lizarda z oburzeniem. Jak mógł odpowiedzieć na pytanie, które miało na celu jej upokorzenie.

- Pismo labaryckie też ma takie oczy, dla kogoś, kto umie je dostrzec. I to jest fałszywka, nie mam wątpliwości. Coś jeszcze?

- Tak. Wie pan, czyje to zwłoki?

Kapłan westchnął znużony, jakby chodziło o wyjątkowo głupie pytanie, choć olimpijski spokój jego twarzy nieco zakłóciło nagłe drżenie policzków.

- Przypuszczam, że któregoś z niedawno zamordowanych replikantów.
- A jeśli rzeczywiście ten napis jest fałszywką, komu zależałoby na wmieszanu

Królestwa Labari w tak nieczystą sprawę?

- Jedyna Prawda ma więcej wrogów, niż jest ziaren piasku na dnie oceanów.

Odwieczny Porządek zawsze narażony był na ataki najemników Chaosu, a jest ich wielu. Przywykliśmy do tego: od tysiącleci próbują pozbawić nasze przesłanie jego wielkiej mocy. Nie robi to na nas wrażenia.

- Od tysiącleci? Kult Labarycki zaczął się niecałe sto lat temu - wtrąciła szorstkim tonem Bruna.

Ambasador wciąż udawał, że jej nie widzi.

- Jedyna Święta Prawda była początkiem wszystkiego. Potem głupi człowiek zapomniał, kim jest i co wie. My tylko podążyliśmy dawno wytyczonym szlakiem. My tylko zaczęliśmy na powrót głosić czyste słowa prawdy - wyrecytował.

Potem pochylił się do przodu i płonącymi oczyma wpatrywał się w Paula, a na jego

twarży odmalował się wyraz obrzydzenia.

- A poza tym, cóż nas obchodzi, czy ktoś ich zabija, czy nie? Nie tworzyli Prawdy i nie mają znaczenia. Nie istnieją. Znaczą równie mało co kurz na drodze. Są dla nas tak nieważni i nieistotni, że pozwoliliśmy ci nawet takiego kogoś wprowadzić tutaj, do ambasady labaryckiej! Na dodatek samicę.

Mężczyzna gwałtownie podniósł się, choć w rzeczywistości niewiele to zmieniło: był nieoczekiwanie niski jak na posiadacza tak wielkiej głowy.

- Niech Święta Prawda stanie się twoim Prawem - wygłosił rytualną formułkę.

I wyszedł z gabinetu, ciągnąc po ziemi obszerną fioletową szatę, zdecydowanie na niego za długą.

Bruna opuściła budynek najszybciej, jak się dało: gniew uskrzydlił jej stopy. Lizard szedł za nią w odległości kilku kroków, ostrożnie, flegmatycznie, przeczuwając burzę.

- Zaczekaj, Bruno! Pędzisz do pożaru?

Replikantka gwałtownie odwróciła się i wycelowała w policjanta drżący palec.

- Ty... Dzięki za wsparcie przed tym żalonym rasistą - ryknęła.

- Profesjonalizm... profesjonalizm. Skoro jesteś detektywem, powinnaś wiedzieć, że znakomita część naszej pracy polega na przepytывaniu złych ludzi, a źli ludzie bywają nieprzyjemni. Nie można się denerwować, bez względu na to, co mówią. Zazwyczaj mówią coś, żeby cię wyprowadzić z równowagi. W twoim przypadku to zadziałało.

Istotnie, w głębi ducha Brunna wiedziała, że Lizard ma rację. Lecz było w niej tyle gniewu, że nie mogła uspokoić się ot tak, w jednej chwili.

- Wy, ludzie, wszyscy jesteście tacy sami. Zawsze się nawzajem wspieracie - wyrzuciła z siebie wraz z resztką goryczy, którą miała w ustach.

Twarz inspektora spochmurniała.

- To nieprawda - zaprzeczył zmęczonym głosem. Brunna chciała go zranić i niewątpliwie osiągnęła swój cel.

Teraz zaczynała tego żałować, ale nie mogła prosić go o wybaczenie. Jeszcze nie. Wciąż buzowała w niej adrenalina, a przeżyte upokorzenie nie dawało spokoju. Szli więc obok siebie w milczeniu, nie wiedząc dokąd, aż mężczyzna się zatrzymał.

- Pora coś zjeść. Pójdziemy na jakiś szybki obiad i przy okazji pogadamy.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zadzwonił Nopal. Brunna wzdrygnęła się, machnęła

ręką do policjanta, żeby na nią poczekał, i odeszła parę kroków, by spokojnie porozmawiać z pamięciarzem.

- Co robisz obok tego psa? Dałaś mu się zaarrestować? - zapytał z kpina w głosie.

A tobie co do tego? zapytała w myślach. Ale z jakiegoś powodu nie zadała owego pytania. Drżącą ręką, na której miała kompfona, zakryła drugą dłoń. Nopala źle na nią działał.

- O co ci chodzi?

- O twoje jutrzejsze spotkanie. Zadzwoił do mnie ten facet. Chce, żebyś przyszła godzinę wcześniej.

No tak, spotkanie z piratem od fałszowanych pamięci.

- Czyli na dwunastą piętnaście, tak? W tym samym miejscu?

- Tak.

- W porządku. Dzięki. Pablo zmarszczył czoło.

- Posłuchaj, ten cały Lizard jest niebezpieczny. Nie ufaj mu. Wkurzyła się. Nagle poczuła, że musi bronić inspektora. Czowała, że Paul jest jej przyjacielem. Paul. Po raz pierwszy nazwała go po imieniu. A już na pewno bardziej bezpiecznie czowała się z Paulem niż z Nopalem.

- To nieprawda. Ostatnio uratował mnie przed pobiciem. - Bruna streściła pisarzowi spotkanie z bandytami.

- Co za zbieg okoliczności! Ktoś na ciebie napada i akurat Lizard jest w pobliżu. I wystarczy, że wyciągnął pistolet, a wszyscy od razu uciekli. Na szczęście żaden z napastników nie miał przy sobie broni palnej. I oczywiście nikt nie zostaje aresztowany. Potrafię pisać o wiele bardziej prawdopodobne scenariusze.

- Bardzo zabawne - orzekła replikantka.

Ale słowa Nopala wzbudziły w niej delikatny niepokój.

- Nie chcesz mi wierzyć, ale ja jestem twoim przyjacielem. Zawsze będę stał przy tobie. I martwię się tym, co ci się może przydarzyć. Jak na dłoni widać, że ostatnia eskalacja nienawiści do replikantów jest sterowana. Widzę to, wiem to, przez całe lata wymyślałem scenariusze życia i potrafię dostrzec, kiedy świat wokół jest zbyt perfekcyjny, bardziej rzeczywisty niż rzeczywistość. Wszystko, co się teraz dzieje, zostało przygotowane według wcześniej napisanego scenariusza. A tego nie da się zrobić

bez udziału policji...

Replikantka milczała. Nie chciała więcej słuchać. Ale słuchała.

- Nic w nim nie wydaje ci się zaskakujące? Żadne dziwne zachowanie? Czy przypadkiem nie chciał się z tobą zaprzyjaźnić? Za wszelką cenę zdobyć twego zaufania?

Bruna spojrzała na Lizarda i zauważyła, że ją obserwuje, z rękoma założonymi na piersi. Szybko odwróciła wzrok. Rzeczywiście, policjant sprawiał wrażenie trochę zbyt przyjacielskiego. Zbyt chętnie chciał z nią współpracować. Choćby dziś. Po co zabrał ją na spotkanie z kapłanem?

- Ale po co miałyby się ze mną zaprzyjaźnić?

- O ile wiem, jesteś jedynym niezależnym detektywem, który prowadzi śledztwo na zlecenie replikantów. Jeśli jest blisko ciebie, dowiaduje się o postępach twojego śledztwa. Może też chce cię wykorzystać do czegoś znacznie gorszego. W tym scenariuszu zaplanowano jeszcze wiele niespodzianek i mam nieodparte wrażenie, że to scenariusz thrillera. Uważaj na siebie, Bruno, nie ufaj mu.

Zakończył rozmowę, pozostawiając replikantkę w poczuciu osierocenia.

Powłócząc nogami, z ciężkim sercem wróciła do Lizarda.

- Co ci naopowiadał? - zapytał zgryźliwie policjant.

- Kto?

- Nopal. Co ci naopowiadał?

- Dlaczego zaglądasz mi przez ramię, kiedy ktoś do mnie dzwoni? Czy ten absolutny brak taktu stanowi część policyjnej taktyki?

- Widziałem, jak na mnie spojrzałaś. Z ukosa. Bez sympatii.

- Do stu przeklętych gatunków! Nie zamęczaj mnie swoimi paranojami!

- Dlaczego się zdenerwowałaś, kiedy do ciebie zadzwonił? Nigdy cię takiej nie widziałem. Co cię z nim łączy? Nie ufaj Nopalowi, Husky.

A niech to, przedtem zwracał się do niej po imieniu. Teraz znów stał się bardziej oficjalny. Zielone oczy policjanta pociemniały, wydawały się prawie czarne. Czarne, lśniące, złowrogie kulki uwięzione niczym owady pod ciężkimi powiekami.

- Pablo Nopal jest mordercą. Wiem to. Zabił wuja i najprawdopodobniej również własnego sekretarza. Wszystko na to wskazuje, choć wymknął się sprawiedliwości, bo nie udało się nam znaleźć narzędzia zbrodni. Użył broni starego typu, pistoletu na naboje

dziwięciomilimetrowe. Pewnie P-35...

- Browning High Power... Ale to broń sprzed ponad stu lat...
- Owszem, stary grat, ale wciąż skutecznie zabija.

Broń palna została wycofana z obiegu po Unifikacji, na mocy głośnego Prawa Czystych Rąk, które jednocześnie dopuszczało użycie broni plazmowej wyłącznie w siłach bezpieczeństwa i w wojsku. Stare pistolety i rewolwery zostały namierzone za pomocą specjalnych skanerów wykrywających charakterystyczne stopy metali, natomiast do produkcji pistoletu plazmowego używano płytek celadium, nowego minerału pochodzącego z kopalni na dalekim Enceladusie, przy czym każda z płytek była rejestrowana, numerowana i wyposażona w chip umożliwiający jej lokalizację. Mimo tych wszystkich obostrzeń na Ziemi pełno było nielegalnej broni wszelkiego typu, zarówno pozostałości po epoce prochu, jak i najróżniejszych plazmówek.

- Ja tylko mówię, że to człowiek pozbawiony skrupułów i moralności. Naprawdę niebezpieczny. No i był pamięciarzem... Może to on jest autorem sfalszowanych pamięci. Po co do ciebie dzwonił? Czyżby chciał zaofiarować pomoc? Nie wydaje ci się to dziwne? Nie wiem, dlaczego ma na ciebie taki wpływ, nie wiem, dlaczego wprowadza w tobie taki zamęt, ale wiem, że cię oszukuje.

- Zostaw mnie w spokoju - wymamrotała.

Chciała powiedzieć: przestań, zamilcz, nie chcę tego słuchać, mam w głowie mętlik. A ów mętlik sprawiał, że czuła się niepewnie, a niepewność doprowadzała ją do wściekłości.

- Mam dość. Spadam.

Odwróciła się na pięcie i odeszła nerwowym krokiem. Już miała wskoczyć na ruchomy chodnik, kiedy naraz przyszedł jej do głowy fantastyczny pomysł. Niewiarygodnie, oszałamiająco prosty. Odwróciła głowę: po paru sekundach dostrzegła szerokie ramiona inspektora i jego głowę górującą nad ludźmi wokół. Pobiegła za nim i złapała go dokładnie w chwili, kiedy mężczyzna przystępował do skomplikowanego manewru składania ciała przed wejściem do samochodu.

- Lizard... Paul... zaczekaj, proszę.

Wciągnęła powietrze i uśmiechnęła się szeroko. Przyszło jej to bez trudu, była tak zachwycona swoim pomysłem, że najchętniej by się roześmiała.

- Przepraszam, zachowuję się jak idiotka. Ale jestem... zdenerwowana.
- Jesteś nieznośna - odparł poważnym tonem.
- Tak, przepraszam. Ten Labaryta wytrącił mnie z równowagi. Cała obecna

sytuacja wytrąca mnie z równowagi. Dajmy temu spokój. Mówiłeś coś o jedzeniu. Nie mam nic przeciwko, ale chodźmy do mnie. Coś szybko przygotuję, a przy okazji chciałabym ci coś pokazać.

- Co?
- Zobaczysz.

Samochodem służbowym poruszali się dość szybko, ale Bninie czas się dłużył. Z trudem panowała nad podnieceniem. Wjechali windą, bez słowa, na piętro i replikantka podbiegła, żeby szybko otworzyć drzwi. Korytarz wypełniła przedziwna muzyka. Na środku saloniku stał Omaajczyk, grając na instrumencie przypominającym flet. Na widok Brany przestał grać.

- Witaj, Brano.
- Cześć, Maio - odparła, po raz pierwszy naprawdę zadowolona, że go widzi.

Replikantka spojrzała na Lizarda. Był przerażony. W końcu udało się jej zetrzeć z jego twarzy głupkowatą minę wszechwiedzącego flegmatyka. Spojrzała na obcego: potężny, równy wzrostem Lizardowi, choć jeszcze szerszy w barach, o twarzy podobnej do psiego pyska, z nagim torsem i miszmaszem pulsujących barw, drżącymi trzewiami i sokami trawiennymi prześwitującymi spod przezroczystej skóry. A niech to! Brana powoli przyzwyczajała się do stwora, ale przyznać musiała, że robił piorunujące wrażenie.

- Przepraszam - wyszeptał Maio swoim szemrzącym głosem.

Wziął starą podkoszulkę i ubrał się w nią.

- Zdjąłem, bo mi w niej niewygodnie, przepraszam.

Oczywiście, że niewygodnie: z trudem dało się ją naciągnąć na potężny tors, krępowała go niczym bandaż.

- Jesteś pewnie uchodźcą z Omaa? - wybełkotał nieco zakłopotany policjant.
- Tak.

- Lizard, to jest Maio. Parę dni temu znalazłam go w... na ulicy. Wczoraj pozwoliłam mu spać na sofie... dopóki nie znajdzie innego miejsca. Maio, to jest

inspektor Paul Lizard, który pomaga mi w moim ostatnim śledztwie. Lizard, proszę, wyjaśnij mi, co ty robisz...

- Co mam mu niby wyjaśnić?
- No, opowiedz mu, że prowadzisz śledztwo w sprawie śmierci replikantów... I że współpracujemy...

Mówiąc to wszystko, Bruna starała się intensywnie patrzeć w oczy Omaajczykowi, próbując dać mu jakiś znak. Potem zdała sobie sprawę z własnej głupoty i zaczęła do niego przemawiać w myślach: czytaj w jego głowie. Czytaj w jego myślach i powiedz mi, co on knuje. Powiedz, czy coś przede mną ukrywa. Powiedz, czy chce mnie skrzywdzić.

- Nie mogę - oznajmił Omaajczyk.
- Czego nie możesz? - zdziwił się Lizard.
- Jak to nie możesz?! - krzyknęła Bruna.
- Czego on nie może? - dopytywał się inspektor.

Omaajczyk spuścił głowę i powtórzył:

- Nie mogę!

Zabrzmiało to tak, jakby ktoś wylał na ścianę wiadro wody.

- Ale dlaczego? - Bruna wyglądała na zdesperowaną.

Obcy zaczął zmieniać kolor. Pociemniał, przybierając odcień szarobrązowo-czerwony.

- Co ci jest? - przestraszyła się replikantka.
- To ąammil. Tak się dzieje, gdy coś mocno przeżywam. Na przykład kiedy chcę coś powiedzieć i nie mogę.

- Co ty wyprawiasz? - Lizard zaczynał się irytować.

Coś podszeptało Brunie, że nie powinna drażnić sprawy. Przynajmniej nie teraz.

- To znaczy naprawdę nie możesz?

Maio pokręcił głową. Replikantka odwróciła się w stronę inspektora.

- Przepraszam, ale wydaje mi się, że lepiej będzie, jak sobie pójdiesz. Właściwie i tak nie mam niczego do jedzenia. Pogadamy kiedy indziej.

Lizard patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma. W tej samej chwili zorientował się, że Bartolo obgryza mu nogawki, i potrząsnął nogą, odrzucając od siebie zwierzątko. Bubi

aż pisnął.

- Co robisz, idioto! - krzyknęła wściekła Bruna, pochylając się, by wziąć w ramiona gryzka i zapominając, że dwa dni temu ona zachowała się dokładnie tak samo.

Oburzony Lizard wyzbył się resztek flegmatycznej senności.

- Jesteś wariatką - mruknął.

W jego głosie brzmiała wściekłość. Nienawiść.

- Chodzi o to, że ci nie ufam, Lizard.

- Ja tobie również. Jesteś wariatką. Zostań tu z tym swoim gwiazdowym zoo i odczep się ode mnie - wyrzucił z siebie.

I wyszedł, trzaskając drzwiami.

Replikantka odwróciła się do Maia, który powoli odzyskiwał swoją zwykłą połyskliwą barwę.

- A ty mi teraz powiedz, dlaczego, do diabła, nie mogłeś czytać w jego myślach?

Omaajczyk nieco pociemniał.

- Mogę czytać w myślach tych istot, z którymi byłem blisko.

Bruna wyraźnie się zaniepokoiła.

- Jak blisko?

- Bardzo blisko. Całkowicie. Intymnie. Tak blisko, jak tylko mogą być ze sobą dwie istoty. Kiedy dwie istoty robią guaraam, ich ąuammile stykają się ze sobą i od tej chwili mogą czytać sobie nawzajem w myślach. Guaraam znaczy złączenie. To jest to, co wy nazywacie...

Bruna podniosła rękę.

- Dość.

- Dobrze.

Znów był w kolorze brunatnym.

Cztery lata, trzy miesiące i piętnaście dni, pomyślała Bruna, żeby nie myśleć o Omaajczyku. Poszła do łazienki, na wypadek gdyby mdłości, które poczuła, skończyły się wymiotami, na szczęście do tego nie doszło. Zwilżyła twarz, uszczuplając cenny zapas wody. Cztery lata, trzy miesiące i piętnaście dni. Merlin miałby z tego wszystkiego niezły ubaw.

Wróciła do salonu, gdzie Maio grał na swoim małym kawałku drewna. Albo czymś

podobnym do kawałka drewna. Z wyglądu przypominało flet, ze żłobieniami po jednej stronie, grało się na tym jak na harmonijce, przesuwając usta po rowkach. Instrument wydawał cudowny dźwięk, płynny, delikatny, harmonijny gwizd. Bruna usiadła w fotelu i odpoczywała przy pozaziemskiej muzyce. Nuty pieściły skórę. Przenikały przez naskórek, a nie przez uszy. Po chwili Maio przestał grać; jego skóra nabrała opalizujących tonów.

- Wszyscy Omaajczycy grają tak doskonale?

Stwór uśmiechnął się.

- Nie. Ja jestem ambalistą. Wirtuozem ambali, tego instrumentu. Jestem muzykiem.

I wtedy Bruna doznała kolejnego olśnienia. Po raz drugi tego dnia wpadła na genialny pomysł. I w duchu poprosiła wielkiego Morlaya, żeby tym razem udało się go zrealizować.

Zjawili się w cyrku w przerwie między popołudniowym i wieczornym przedstawieniem. Bruna nie wyłączyła kompfona, ponieważ miała całkowicie jawny i zrozumiały cel wizyty u Mirari. Droga okazała się mało przyjemna, to nie był szczególnie sprzyjający czas na przechadzkę flejtuchowatego obcego i replikantki bojowej ulicami Madrytu. Nie wspominając o Bartolu, którego ogromny Omaajczyk niósł na barana. Tworzyli dość malowniczą grupę, na szczęście strach był silniejszy od nienawiści, ludzie uciekali przed nimi najszybciej, jak się dało. Ulice, tramwaje i ruchome chodniki pustoszały na ich widok, jakby emitowali radioaktywne promieniowanie. Gdyby to nie było przygnębiające, mogłoby uchodzić za nawet zabawne.

Skrzypaczka siedziała w garderobie i jadła pizzę. Spojrzała na nich tak obojętnie, że Bruna pozazdrościła jej siły spokoju, a może doświadczenia. Pewnie Mirari miała wcześniej do czynienia z obcymi.

- O co chodzi?

- Cześć. To Maio. Jest muzykiem. Chciałabym, żebyś posłuchała jego gry.

Mirari z uwagą przyjrzała się stworowi. Sama przypominała ptaka, z głową zwieńczoną lśniącą koroną włosów, białych i sztywnych niczym grzebień z piór.

- Flecista z Omaa... Słyszałam, że są niezli. Poczęstujecie się pizzą?

Zakrzętała się przy kuchennym dystrybutorze, który miała w pokoju, i natychmiast

w szufladzie pojawiły się dwie wielkie pizze wegetariańskie i jedna mniejsza, dla Bartola. Przez parę minut wszyscy przeżuwali w milczeniu, a kiedy pochłonęli pizze, umyli ręce pod strumieniem pary.

- No to pokaż, co potrafisz - poprosiła Mirari, sadwiąc się na krześle.

Maio przyłożył ambalę do ust i zaczął grać. Dźwięki popłynęły przez pokój jak szemrzące strużki, zostawiając za sobą świetliste smugi. Bruna wstrzymała oddech, a właściwie przez chwilę zapomniała o oddychaniu, zanurzona w muzyce jak w wodzie.

Gdzieś z boku zabrzmiał cichy, poruszający lament. Replikantka spojrzała w tę stronę i zobaczyła Mirari grającą na skrzypcach. Głosy obu instrumentów splatały się w powietrzu: kojące dźwięki fletu ze skargą otwartej rany skrzypiec tworzyły tak przejmującą melodię, że Branie zdawało się, iż w jej żyłach zamiast krwi płynie muzyka. Czas się zatrzymał, przeszłość stopiła się z teraźniejszością i Merlin znów żył, bo w tej pierwotnej muzyce mieściło się wszystko prócz śmierci. I dokładnie wtedy smyczek ześlizgnął się i skrzypce jęknęły, czar prysnął.

- Szlag by to. - Wściekła Mirari rzuciła smyczkiem o ziemię.

Położyła skrzypce na krześle i zaczęła walić pięścią w sztywne bioniczne ramię. Tego było jej mało, podeszła do ściany i kołyszając ciałem, uderzała protezę we framugę drzwi. Rozsadzała ją wściekłość, a jej furię zdawał się wzmaczać huk roztrzaskiwanego żelastwa. W końcu przestała, zziębnięta i wyczerpana, z czerwonymi plamami na kredowobiałej twarzy, ze smętnie zwisającym zmasakrowanym ramieniem. Mirari westchnęła ciężko i odsunawszy skrzypce, opadła na krzesło. Maio i Bruna obserwowali ją w milczeniu. Skrzypaczka powoli uspokajała oddech. Potem z wyraźną niechęcią spojrzała na protezę i zaczęła nią ruszać, kręcić. Ramię szcęknęło.

- Zaraz je sobie naprawię... - szepnęła cicho.

Pochyliła się, żeby podnieść smyczek.

- Przynajmniej smyczek jest cały.

Uniosła głowę i popatrzyła na obcego.

- Doskonale grasz, Omaajczyku. Cudownie. Jaka szkoda...

Na jej twarzy pojawił się grymas, który w zamyśle miał być

wyrazem uznania, ale wyrażał tylko bezbrzeżny smutek. Z czerwonego pudełka leżącego na ziemi Mirari wyjęła elektroniczny śrubokręt i zaczęła reperować przeguby

ramienia.

- Poczekaj, Mirari. Trochę się na tym znam. Chyba mogę pomóc - zaofiarowała się Bruna.

Bez wątpienia: jedną z umiejętności, w jakie wyposażano replikantów bojowych, była podstawowa znajomość mechaniki elektronicznej, by w razie nagłej konieczności mogli naprawiać w terenie broń, oprzyrządowanie i pojazdy.

Skrzypaczka podała jej śrubokręt i oparła się o krzesło. Wyglądała na kompletnie wyczerpaną. Bruna przykucnęła obok i zajęła się studiowaniem mechanizmu protezy.

- Kiedyś opowiadałaś, że te twoje skrzypce to jakiś sten... nie pamiętam... że to jakiś drogi egzemplarz. Może byś je sprzedała i kupiła sobie lepszą protezę? - zapytała, dociskając nitowanie.

- Steiner... Uważano, że dobrze gram na skrzypcach. A nawet, że gram bardzo dobrze. Nie mówię tego z próżności, tylko żebyście zrozumieli ciąg dalszy. Problem w tym, że wierzyłam w to moje granie i chciałam się rozwijać... Rozumiesz mnie, Omaajczyku, prawda? Chciałam się rozwijać i potrzebowałam dobrych skrzypiec. Zakochałam się w tym steinerze i nie potrafiłam myśleć o niczym więcej, pożyczyłam pieniądze i kupiłam skrzypce. Niestety, kilka rzeczy mi nie wyszło i nagle nie miałam z czego spłacać kredytu, więc musiałam się teleportować, żeby zdobyć pieniądze w kosmicznych kopalniach. I pech chciał, że kiedy wracałam z drugiej podróży, a była to moja czwarta teleportacja, syndrom nieładu pozbawił moje ramię kości. Został mi tylko ostatni paliczek w palcu serdecznym. Reszta tkanki kostnej wyparowała, a sama ręka była mięsnym flakiem, który nadawał się jedynie do amputacji. Tak więc straciłam ramię, żeby zdobyć skrzypce, a teraz nie chcę sprzedać skrzypiec, choć w ten sposób mogłabym odzyskać sprawne ramię. Zaczęłam zatem robić interesy na czarnym rynku: żeby zdobyć pieniądze i kupić sobie bioniczną protezę wysokiej jakości. Choć przy moim szczęściu pewnie wcześniej wyląduję w więzieniu.

Bruna nigdy nie słyszała tak długiej przemowy wygłoszonej przez Mirari. Delikatnie naciągnęła kabel na łokciu protezy i spojrzała na skrzypczkę.

- Spodobał ci się Maio, co?

- Jest cudowny. Mógłby się poświęcić graniu. Nieźle by zarobił. Omaajscy muzycy to rzadkość, dobrze im płacą.

- No właśnie... Też o tym myślałam. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie wzięłabyś go do swojej orkiestry?

Skrzypaczka zadumała się głęboko, niemal usłyszeli szum przepływających myśli.

- Świetny muzyk i na dodatek obcy - powiedziała, przeciągając słowa. - Tak, to nie byłoby złe. Nasza mała orkiestra dużo by zyskała. Moglibyśmy renegocjować kontrakt. A nawet dopominać się udziału w zyskach. Jesteś zainteresowany tą propozycją?

Maio skinął głową.

- Więc jesteś przyjęty. Wszyscy dostajemy tyle samo. Ale to ja tu rządzę, jasne? Muszę jeszcze pogadać z resztą, ale na pewno się zgodzą. Zawsze się ze mną zgadzają.

Obcy znów energicznie pokiwał głową. Jego ciało zaczęło przybierać pulsujące barwy. Być może w ten sposób wyrażał radość.

- I jeszcze jedna sprawa: Maio nie ma gdzie mieszkać. No i nie chciałabym zabierać mu gryzka, skoro tak doskonale się rozumieją. - Replikantka miała nadzieję, że przy odrobinie szczęścia za jednym zamachem uda się jej uwolnić od obu lokatorów.

Mirari wzruszyła ramionami.

- Mogą zostać w mojej garderobie. Za parawanem stoi jeszcze jedno łóżko.

I bezwiednie wskazała to miejsce bioniczną protezą, która z łatwością się poruszyła.

- O, już działa - zdziwiła się, dotykając palcami metalowych stawów.

- Tak, działa. Ale postaraj się nie walić nią o ścianę, chyba że będziesz sobie mogła pozwolić na nową protezę.

Bruna stała w kolejce do okienka. Czekala już dość długo i zaczynała odczuwać zmęczenie. Było duszno, klimatyzacja nie działała, sala sprawiała ponure i przygnębiające wrażenie. Setki osób tłoczyły się w zbyt małym pomieszczeniu, pod niskim sufitem, w słabym, mdłym świetle. Starcy siedzieli na tobołkach, dorośli przechadzali się nerwowo, dzieci płakały. I tylko ten płacz rozbrzmiewał w ciszy, tak jakby ludziom po długim oczekiwaniu zabrakło już słów. Wyglądali jak wojenni uciekinierzy, jak uchodźcy szukający azylu, i w pewnym sensie nimi byli. Replikantka rozejrzała się dookoła i pomyślała sobie, że wszyscy w tej sali, androidy i ludzie, syndmutanci i stwory, to istoty pozbawione nadziei, pogrążone w rozpacz, zimnej, niemej, głębokiej. Brunna stanęła przed okienkiem - w końcu nadeszła jej kolej. Kobieta zajęła się dokumentami, a mężczyzna zaprowadził ją do bramy.

- Teraz ty - oznajmił.

U jej stóp, daleko w dole, rozpościerała się panorama tętniącego życiem miasta, połyskującej wielobarwnej kałuży pod ciemnym sklepieniem nieba. Z ekscytacji zakręciło się jej w głowie. Zrobiła krok do przodu, ale ktoś złapał ją za ramię i przytrzymał.

- Jemu nie wolno.

Replikantka odwróciła się zaskoczona i odkryła, że obok niej stoi Merlin. Trzymali się za ręce.

- Jemu nie wolno - stanowczym tonem powtórzył głos.

Merlin spojrzał na nią i uśmiechnął się. Delikatnie, melancholijnie. Bruna chciała z nim porozmawiać, chciała zawrócić, wejść do sali. Niestety, uczynili pierwszy krok, już nie mogli się zatrzymać, wszystko potoczyło się za szybko. Bruna spadała w stronę miasta, Merlin zawisł nad nią, nieruchomy ciężar, który nie pozwalał się jej oddalić. Replikantka ścisnęła dłoń kochanka, mocno, żeby się nie rozdzielili. Ale on leciał wolno, jak balon napęczniony helem, zostawał coraz bardziej w tyle, a rozciągnięte ramię Bruny bolało.

- Nie!!! - krzyknęła, czując, że Merlin się jej wymyka.

Zdesperowana wbiła paznokcie w wierzch jego dłoni, ale ich spocone, śliskie ręce już się nie dotykały. Merlin, z rozpostartymi ramionami, niczym gwiazda unosił się ku czarnemu, niedosięgiemu niebu i ginął w ciemnościach.

Bruna usiadła na łóżku. Zlana potem, dyszała ciężko, senny koszmar wciąż przygniatał jej piersi. Spojrzała na zegarowy wyświetlacz na suficie: 3.35. Czwartek. Nie, już piątek. 28 stycznia 2109 roku. Tydzień przed końcem świata, według wierzeń apokaliptyków. Cztery lata, trzy miesiące i czternaście dni.

Jęczała cicho, tak potworny był ten ból. Bolała nieobecność Merlina, bolało wspomnienie jego bólu. Jeśli ludzie patrzyliby na śmierć bliskich, jeśli byłiby świadomi, jak ciężko jest umrzeć, straciliby wiarę w życie. Bruna zacisnęła szczęki, zgrzytnęła zębami. Dość, powiedziała sobie w duchu. Wyskoczyła z łóżka, włożyła sportowy strój jeszcze z czasów wojska i wybiegła z mieszkania, jakby się paliło. Madryt był wyludniony i jeszcze bardziej pusty niż zwykle, bo na rogu nie czekał na nią Maio: jego obecność tak wpisała się w krajobraz ulicy, że teraz w tym miejscu powstała dziura.

Stwór został w cyrku, z Mirari.

Bruna zaczęła biec truchtem, ale zaraz przyspieszyła, puściła się pędem, nie czekając, aż mięśnie dostatecznie się rozgrzeją, biegła i biegła, na granicy wytrzymałości, mięśnie zaczęły ją boleć, poczuła ogień w płucach. Raz-raz-raz, stopy uderzały o twarde asfalt, serce wyrywało się z piersi, niebo nad jej głową było tak czarne i groźne jak w sennym koszmarze. Merlin, Merlin. Dźwięki z trudem przeciskały się przez zaciśnięte zęby, najpierw ciche mruknięcie, potem jęk, aż wreszcie Brunna otworzyła szeroko usta i krzyczała, wyła najgłośniej, jak mogła, ze wszystkich sił, z całego serca i duszy, ten lament wydobywał się z każdej komórki ciała, a ona biegła i krzyczała, jakby chciała zabić się tym biegiem i krzykiem, jakby chciała przenicować swoje ciało. Ciężkie wojskowe buty uderzały o bruk i ten głuchy stukot przynosił odrobinę ulgi, miała wrażenie, że depcze świat i kopie rzeczywistość. Biegła jak w amoku.

Od czasu do czasu niewyraźne cienie uciekały przed nią w popłochu, jak karaluchy przed światłem. Czasami otwierały się okna i zapalały lampy. Cztery lata, trzy miesiące i czternaście dni, powtarzała w duchu replikantka, wrzeszcząc na całe gardło. Albo inaczej: 711 dni. Minęło prawie dwa lata od śmierci Merlina. Między tymi dwoma wektorami, rosnącą wartością pamięci i malejącą wartością życia, otwierała się przepaść lęków, nieznośnego bezsensu. Nie można było nie rozpaczać i nie krzyczeć.

I właśnie wtedy zobaczyła przed sobą wyłaniający się z ciemności pistolet.

- Stać! Policja. Twoje dane!

To był funkcjonariusz APeK, Autonomicznej Policji Kontraktowej, najemnik w służbie rządu regionalnego, walczącego z niekończącym się kryzysem finansowym i niezdolnego do utrzymania własnych sił porządkowych. Firmy APeK różniły się ceną i jakością świadczonych usług, ten chłopaczek o niepewnym głosie i z bronią w drżącej dłoni musiał być pracownikiem raczej nieprofesjonalnej i taniej firmy. Brunna wykorzystwała siłę swego gniewu i impet biegu i nie zatrzymując się, jednym celnym kopniakiem wytrąciła chłopcu pistolet i rzuciła się na niego. Policjant upadł na plecy, replikantka siadła na nim okrakiem i przydusiła mu szyję. Nawet nie próbował się bronić: pobladły, sparaliżowany strachem. W przeblýsku otrzeźwienia Brunna wyobraziła sobie, jak musi wyglądać: ryczący android z twarzą wykrzywioną furią. Bo głuchy ryk, który słyszała, to był jej własny głos, straszliwy ryk dzikiego zwierzęcia.

- Proszę, proszę, proszę... - bełkotał obezwładniony policjant.

Wyglądał jak dziecko.

- Dlaczego do mnie celowałeś?

- Ja nie chciałem. Mieszkańcy nas zaalarmowali. Ja byłem najbliżej.

Co znaczyło, że zaraz pojawią się inni.

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia.

Dwadzieścia lat! Bruna nigdy nie miała dwudziestu lat, choć pamiętała, jak to było. Poczula ukłucie zawiści, tak niespodziewane i tak ostre, że sama się przestraszyła: czuła bezgraniczną nienawiść do tego uprzywilejowanego mężczyzny, który nawet nie zdawał sobie sprawy ze swego bogactwa. Jej ręce drżały przez chwilę, pragnęła zacisnąć palce. Opleść dłońmi szyję chłopaka. Bruną targnął nagły spazm, jakby przepłynął przez nią prąd. Ale impuls przeszedł i znikł bez śladu. Został tylko ten chłopiec, prawie dziecko, który zaraz się rozplacze, ściskany za gardło jej pazurami. I było jeszcze czarne niebo wysoko nad nimi.

Bruna puściła policjanta i wstała.

- Przepraszam. Bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że nie zrobiłam ci krzywdy.

Policjant usiadł na ziemi i pokręcił głową.

- To był odruch, zobaczyłam, jak celujesz do mnie z pistoletu. Mam zupełnie rozstrojone nerwy, chyba potrafisz to zrozumieć. Prześladowujecie nas, spychacie na margines, nienawidzicie. Zabijacie nas. Choć to wy nas stworzyliście.

Dwie ciężkie, okrągłe łzy stoczyły się nieoczekiwanie po policzkach Bruny. Skąd się wzięły? Jak to możliwe, że przeżyła tyle bólu i zawsze miała suche oczy, a teraz płacze bez powodu? I kiedy próbowała się opanować i powstrzymać łzy, zobaczyła, że chłopak też płacze. Siedział na ziemi jak małe dziecko i bezgłośnie łkał. Tak bardzo od siebie różni i nagle złączeni łzami w pustą, samotną noc. To była bardzo niezwykła chwila. Najdziwniejszy moment w życiu Bruny.

Po absurdalnym biegu w środku nocy i nieudanych próbach zaśnięcia Bruna wstała rano bardziej zmęczona, niż kiedy kładła się spać wieczorem, odrętwiała, rozdrażniona, otepiała. Pomyliła się przy uruchamianiu dystrybutora i zamiast kawy zaserwowała sobie zupę, którą musiała wylać. Zdecydowała się na kawę ekspresową, wystarczyło nią

potrząsnąć dla osiągnięcia idealnej temperatury, ale kiedy otwierała przykrywkę kubka, wylała całą jego zawartość. To wystarczająco zepsuło jej humor, a na dodatek okazało się, że prysznic parowy nagle przestał działać i Bruna musiała użyć wody. Spora rozrzutność, zważywszy na opłakany stan jej finansów.

Jedyne, na co Bruna miała ochotę, to wrócić do łóżka albo i schować się pod nim, pełna obaw, co jeszcze przynieść jej może tak fatalnie rozpoczęty dzień. Tymczasem zacisnęła zęby i wzięła się do pracy mimo otepiałej niechęci. Porozmawiała z Habibem, informując go o postępach w śledztwie, które w rzeczywistości nie posunęło się do przodu; mogła jedynie wspomnieć o umówionym spotkaniu z pamięciarzem piratem. Zadzwoiła do Yiannisa, żeby go zapewnić, że u niej wszystko w porządku, bo podejrzewała, że przyjaciel niepokoi się jej zamiarem wniknięcia w struktury Partii Supremacjonistów, lecz ku jej zdziwieniu starzec nie tylko nie wydawał się zaniepokojony, ale najprawdopodobniej nawet o tym nie pamiętał - tak bardzo wytrąciły go z równowagi ostatnie manipulacje informacjami w dokumentach Archiwum i brak odpowiedzi na wysyłane skargi. Bruna, coraz bardziej rozdrażniona, sprawdziła stan konta w Bankonecie i stwierdziła, że sytuacja przedstawia się gorzej, niż się tego spodziewała, ponieważ ściągnięto jej właśnie trzecią ratę kredytu zaciągniętego parę miesięcy temu, kiedy nie miała pracy ani chęci, by jej szukać. Potem zadzwoniła do administratora budynku, żeby powiadomić go o awarii prysznica, i usłyszała, że według rejestrów autoanaliz z prysznicem wszystko jest w porządku, na co zareagowała ostrym krzykiem. Wciąż pod wpływem sporej dawki adrenaliny poszła do kuchni, wyciągnęła ze ściany piekarnik i zrzuciła go sobie na stopę. To znaczy nie tyle zrzuciła, co urządzenie wyślizgnęło się jej z rąk i nie zmiażdżyło jej stopy tylko dzięki nieprzeciętnemu refleksowi Bruny, która wykonała szybki piruet ratujący palce. Ale piekarnik uderzył z łoskotem o podłogę, a drzwiczki pękły i wyleciały z zawiasów.

- Niech szlag trafi wszystkie gatunki... - wymamrotała zdesperowana.

Będzie musiała kupić sobie nowy piekarnik, i to jak najszybciej, mimo fatalnego stanu konta, bo urządzenia nie dało się z powrotem włożyć w ścianę, a nie mogła dopuścić, by ktoś, kto tu przyjdzie, zobaczył tajny schowek. Schowek, z którego wyciągnęła i włożyła do plecaka mały plazmowy pistolet: miała niejasne, choć nigdy nieopuszczające jej przeczucie niebezpieczeństwa i postanowiła wziąć broń na spotkanie

z pamięciarzem piratem. Podeszła do głównego ekranu i sprawdziła raz jeszcze, czy przypadkiem nie otrzymała jakiejś wiadomości od Lizarda.

- Uparty osioł - mruknęła.

Bruna była gotowa i musiała już wychodzić, jeśli chciała dotrzeć na spotkanie z pamięciarzem, korzystając z publicznego transportu, ale zamiast to uczynić, opadła na krzesło i kazała komputerowi zadzwonić do inspektora. Na ekranie pojawiła się twarz mężczyzny, jeszcze bardziej niewzruszona i nieprzenikniona niż zazwyczaj.

- Słucham.

Był w złym humorze. W istocie replikantka sama nie wiedziała, czego chce, być może pragnęła wyjaśnić swoje wczorajsze zachowanie. Lecz antypatyczna lakoniczność Lizarda wymusiła na niej przybranie równie nie milego tonu.

- Tylko jedno pytanie. Czy myślisz, że ambasador powiedział prawdę i że to sfalszowane tatuaże? - wymyśliła na poczekaniu.

Lizard uniósł nieco swoje ciężkie powieki.

- A ty jak uważasz? - odparł lekko rozdrażnionym tonem.

Replikantka zastanowiła się przez moment.

- Z przykrością, ale jednak przyznaję rację temu nędznikowi. Kłamstwa zazwyczaj obudowuje się w zbędne detale, a on w ogóle się na nie nie silił.

- Może. Coś jeszcze? Jestem dość zajęty.

- Zaraz wychodzę na spotkanie z pamięciarzem piratem.

Wypowiedziawszy te słowa, Brunna doznała szoku. Dlaczego wyjawiała tak ważną informację policjantowi? Bo nie chce, żeby skończył rozmowę, odpowiedziała sobie natychmiast. Bo pragnę, żebyśmy znów stali się przyjaciółmi. Tylko że to była głupia zagrywka: teraz Lizard znów przyczepi się do Nopala i będzie jej odradzał pójście na spotkanie zaaranżowane przez nie lubianego pamięciarza.

- Doskonale. Oby przyniosło to jakiś efekt.

I skończył rozmowę. Zdumiona replikantka wpatrywała się w ekran. Jak to? Nawet nie chciał się z nią pokłócić? Cztery lata, trzy miesiące i czternaście dni. Cztery lata, trzy miesiące i czternaście dni, powtórzyła automatycznie. Ale wciąż czuła się równie niepokieszona.

I dokładnie w tej chwili do Annie Heart zadzwonił Serra. No jasne, pomyślała

rozgoryczona Bruna, teraz okaże się, że w tym samym czasie mam spotkanie z supremacjonistą i z pamięciarzem. Jeśli coś może pójść źle, to na pewno pójdzie.

Odebrała rozmowę w trybie bez podglądu.

- Co słyhać?
- Masz szczęście: Hericio się z tobą spotka. Za pół godziny, pod Saturnem.

Detektyw zaczerpnęła powietrza.

- Nie.
- Nie?
- Nie, dziś nie. Jutro.

Po drugiej stronie zaległa lodowata cisza.

- A niby dlaczego nie dziś?
- Posłuchaj, to nie ja mam szczęście, ale wy, ponieważ mogę być waszym hojnym darczyńcą. Jeśli Hericio chce się ze mną spotkać, to znaczy, że przekonaliście się o moich dobrych intencjach. A teraz ja chcę sprawdzić wasze. Skoro zamierzam przelać wam całkiem sporą sumę, chcę, żebyście mnie dobrze traktowali, odnosili się do mnie grzecznie, a nawet miło. A wy każecie mi przybiegać na zawołanie, ganiacie mnie jak psa. Albo jutro, albo wcale, bo pojutrze wyjeżdżam. A ponieważ jestem miła, pozwalam wam wybrać godzinę. Jutrzejczy dzień zarezerwuję dla Hericia.

- Dobrze, zobaczę, co się da zrobić - mruknął Serra, zanim skończył rozmowę.

Bruna powoli wypuściła powietrze. Miała nadzieję, że niczego nie zepsuła.

Odepchnęła krzesło, by wstać, kółka w coś się zaplątały - w jakiś postrzępiony kawałek materiału. Zaintrygowana pociągnęła zań i z nogi krzesła zaczęły wypadać ponadgryzane kłębki szmatek. Właśnie odkryła jedną z sekretnych spiżarni Bartola - wydrążona noga była w całości zapchana poszarpanymi gałganami. Bruna opróżniła nogę, czując najpierw złość, potem rodzaj czułości i wreszcie coś na kształt tęsknoty. I kiedy uświadomiła sobie, że właściwie tęskni za tym głupim zwierzakiem, a nawet postanowiła schować gdzieś te szmaty, wpadła naprawdę w pieski humor. To zdecydowanie nie jest mój dzień, powiedziała sobie w duchu, wrzucając gałgany do spopielnika.

Ale przynajmniej zdążyła w miarę wcześniej wyjść z domu i podróżując kolejno metrem i dwoma tramwajami, dotarła punktualnie na umówione miejsce na obrzeżach Madrytu. Dawniej była to strefa przemysłowa, obecnie zupełnie podupadła: prawie

wszystkie przedsiębiorstwa zostały zamknięte, a większość budynków znajdowała się w stanie ruiny. Szczeliny murów zarastały chwastami, a w zaułkach gromadziły się od lat sterty śmieci, tworząc zbitą masę, wyblakłą pod wpływem czasu i deszczu. Na wyboistych ulicach, przecinających się pod kątem prostym, z rzadka pojawiały się jakieś pojazdy, podczas dziesięciominutowego marszu w poszukiwaniu wyznaczonego magazynu Bruna nie spotkała żadnego przechodnia. Cudowne miejsce.

Hala 17-B w czwartym sektorze wyglądała na zwykły opuszczony magazyn i Bruna z trudem tu trafiła. Teren nie został oznaczony w systemie GPS, co świadczyło o jego głębokim upadku. Musiała więc odszukać miejsce wzrokiem, choć prawie wszystkie szyldy zostały zerwane albo zabazgrane i pozostawały nieczytelne. Szyld blaszaka 17-B leżał na ziemi, obok drzwi. Wyglądał, jakby spadł, ale kiedy Bruna próbowała go podnieść, okazał się przybity do bruku. Przesuwana brama hali, jedyne widoczne wejście, była dość zdeformowana, przeżarta rdzą i pocięta, wyglądała na nieotwieraną od dziesiątków lat i taką, której raczej już nie da się otworzyć.

- Hej! Jest tam kto?

Parę razy walnęła w zardzewiałą blachę, bez specjalnego entuzjazmu, zastanawiając się, czy przypadkiem nie pomyliła adresu. Już miała zadzwonić do Nopala, żeby sprawdzić adres, kiedy znienacka drzwi uniosły się gładko i bezgłośnie, Bruna weszła do środka, a drzwi cicho za nią opadły. To był zupełnie nowy i całkowicie sprawny mechanizm, a skorodowana i pocięta blacha na zewnątrz stanowiła tylko kamuflaż. Replikantka rozejrzała się: znajdowała się w niewielkim korytarzu, białym i pustym.

- Wejdz do windy i naciśnij przycisk B - wydał polecenie głos z syntetyzatora mowy.

To był szary dźwig towarowy, przemysłowy zabytek z XXI wieku. Wewnątrz miał tylko trzy przyciski: A, B, C. Bruna wybrała wskazany guzik, winda drgnęła i powoli ruszyła do góry. Kiedy stanęła, a drzwi się otworzyły, replikantka znalazła się w wielkim salonie, urządzonym z przepychem w stylu neokosmicznym: latające otomany i przytulne sofy mieszały się z meblami ze sklepów z antykami: sekretarzykiem w stylu art deco czy chińską komódką. Ściany zdobiły ruchome trójwymiarowe obrazy: piękna, pusta plaża i biała wioska w dali u stóp gór. Precyzyjnie zainstalowane zdjęcia dawały wrażenie, że ściany pokoju to wielkie okna, obrazy były powiązane ze sobą: gdy na jednym z nich

przebiegał pies, to ten sam pies wbiegał na drugą ścianę przy zachowaniu wszelkich reguł perspektywy. Dość kosztowna zabawa.

- Wejdz, proszę. Podejdz.

Pomieszczenie było tak wielkie i tak szczelnie wypełnione meblami, że Bruna z trudem ustaliła, skąd dochodzi głos. Wreszcie między dwoma czerwonymi otomanami dostrzegła mężczyznę. Idąc w jego kierunku, zmierzyła go wzrokiem: to był młody i bardzo szczupły chłopak. Kiedy jednak miała go na wyciągnięcie ręki, zobaczyła, że ta gładka dziecinna twarzyczka stanowi efekt chirurgii plastycznej, a mężczyzna jest dużo starszy, niż się wydawał na pierwszy rzut oka. Z bliska jego plastikowa buzia niczego nie wyrażała. Przykre.

- Zdaje się, że nielegalne pamięci to dość intratny biznes... - wygłosiła Bruna coś na kształt powitania.

Mężczyzna w odpowiedzi skrzywił usta, może miał to być uśmiech. Skóra twarzy została tak naciągnięta, że nie udało mu się unieść kącików ust.

- Tak, interes nie idzie źle... Wezmę twój komentarz za komplement... ponieważ wyświadczam ci przysługę, zapraszając cię tutaj i udzielając pewnych informacji. A zatem nie sądzę, żebyś była tak głupia, by obrażać mnie od samego początku. Prawda? Przyjmuję więc, że oszołomiona moim domem wyraziłaś tymi słowami swój zachwyt.

Bruna przełknęła ślinę. Mężczyzna miał rację. W duchu przeklęła swój niewyparzony język i agresję, jaką wzbudzali w niej pamięciarze. Przez głowę przemknęło jej wspomnienie Nopala i jego ramion, napierających na nią w tańcu niczym gorący wiatr. No cóż, gdy nie budzili agresji, było jeszcze gorzej.

- Tak, to komplement. Replikanci bojowi nie najlepiej sobie radzą z grzecznościowymi formułkami. Mieszkanie zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Mogę usiąść?

Facet skinął głową i Bruna zajęła miejsce na otomanie. Mebel zakołysał się lekko pod jej ciężarem.

- A jeszcze większe wrażenie zrobił na mnie fakt, że zgodziłaś spotkać się ze mną i porozmawiać. Dlaczego to zrobiłaś?
- Podziękuj Nopalowi - odparł pamięciarz, machnąwszy chudą dłonią.
- Jesteście przyjaciółmi?

Mężczyzna westchnął z ironicznym grymasem.

- Przyjaciółmi? Raczej nie. Nie. Przyjaciółmi - zdecydowanie nie. Ale zgodziłem się na to spotkanie, bo on mnie poprosił.

- Musiał być niezwykle przekonujący, skoro przyjmujesz mnie u siebie. Jest ci nadzwyczaj bliski, jak sędzę.

Facet raz jeszcze skrzywił się w ów dziwny sposób, być może znów próbując się uśmiechnąć. Przesadzony i toporny efekt pracy chirurga plastycznego nie bardzo pasuje do tego wykwintnego wnętrza, pomyślała replikantka. I pospolity ubiór tego typu również nie: czarny, lśniący i kiczowaty aksamit czy złote łańcuchy na owłosionym karku. Rzeczywiście mężczyzna niewiele miał wspólnego z wyrafinowanym apartamentem.

- Nie mam za wiele czasu. Będziemy go tracić na rozmowę o Nopalu? - mruknął.

- Wolę, żebyśmy pogadali o memorkach.

- O których?

- O tych fałszowanych. O tych, które najpierw zamieniają replikantów w szaleńców, a potem ich zabijają.

- O takich to ja nic nie wiem. Nigdy nikogo nie zabiłem. Jestem fałszerzem, nie zabójcą. Współpracuję tylko z zaufanymi dilerami. To poważni ludzie. Mają swoich klientów, zdobywają osprzęt. Ja tylko wypełniam go treścią.

- Tak. I pewnie nie wiesz, kto stoi za tymi śmiercionośnymi implantami, jasne...

- No cóż, czasami gdzieś coś się słyszy. Wiem tylko, że chodzi o kogoś z zewnątrz. Labari, od razu przyszło na myśl Brunie.

- Spoza Ziemi, to masz na myśli?

- Spoza kręgu zawodowego.

- Nazywasz to zawodem? - Bruna nie kryła rozczarowania.

- Tak samo jak twoje zajęcie, z tą różnicą, że ja jestem większym profesjonalistą od ciebie.

Bruna westchnęła.

- Nie wątpię. Przepraszam. Ale jeśli jesteś tak dobry w tym, co robisz, to mogli zamówić u ciebie śmiercionośne memorki...

- Już ci powiedziałem, że nie.

- Ilu was jest? Ilu takich pamięciarzy działa na rynku?
 - Takich jak ja nie ma ani jednego. Jestem najlepszy. Ale prócz mnie znajdzie się pewnie pięciu czy sześciu.
 - I który z nich mógłby to zrobić?
 - Z nich - żaden.
 - Dlaczego?
 - Większość pamięciarzy piratów to partacze. Wykorzystują przypadkowe scenariusze dostępne na czarnym rynku i obrazki wygenerowane w komputerze. Ich memorki są gówno warte. Tymczasem te zabójcze pamięci są niesamowite... Bardzo, bardzo dziwne. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem. To scenariusze pełne przemocy i nienawiści, w dodatku bardzo wiarygodne. Pisze je ktoś naprawdę zdolny. Ktoś, kto pragnie wyrazić siebie. Są krótkie, zaledwie czterdzieści scen, ale doskonałe. Falszermom, których znam, nigdy by się to nie udało.
 - Trochę mnie zaskoczyłeś: skąd znasz zawartość zabójczych memorek?
 - No cóż, ma się znajomych tu i tam. A to w końcu mój zawód. Nawet więcej, to całe moje życie.
 - Mówisz, że są dziwne. I dlatego sądzisz, że w mieście pojawili się jacyś nowi handlarze?
 - Nie, nie. Nic takiego nie powiedziałem. To właśnie jest dziwne. Nie ma żadnych nowych handlarzy. Nie ma nowych pamięciarzy. I nic nie słyszałem o jakiejś dostawie fałszywych memorek. Nikt nie wprowadza na rynek zabójczych pamięci. Nikt ich nie sprzedaje. Nie ma śladu po takich operacjach. Nie kupują ich nałogowcy. Rozumiesz, do czego zmierzam?
- Bruna zastanowiła się chwilę nad słowami, które usłyszała.
- Chcesz powiedzieć, że ofiary nie kupowały implantów z własnej woli? Ze wszczepiono im memorki na siłę? I że prawdopodobnie nie były to przypadkowe ofiary, tylko wybrane według jakiegoś klucza?
 - Tak.
- Co by oznaczało, że nie tylko Chi, ale wszyscy pozostali re-plikanci zostali wyznaczeni zgodnie z wcześniejszym planem.
- A dlaczego zabijają również zwyczajnych handlarzy?

Pamięciarz nerwowo podrapał się w ucho.

- Mhm... Dobre pytanie. Chciałbym znać odpowiedź.

Bał się. Mężczyzna bał się, nagle zrozumiała Bruna. To wiele wyjaśniało.

- Boisz się, że ciebie też mogą zabić... Dlatego zgodziłeś się ze mną porozmawiać.

- Już mówiłem, że nasze spotkanie zorganizował Nopal. Ale, co chyba oczywiste, niepokoję się. Jak to mówią, błysk plazmy wystarczy, by krew zaczęła wrzeć.

- I nie masz żadnej hipotezy?

- A ty? To w końcu ty jesteś detektywem.

Bruna zastanowiła się.

- Na początku myślałam, że to wojna o udziały w rynku. Ze chodzi o pozbycie się konkurencji.

- Nie. No i zdaje się, że nie wszystkich chcą wykończyć. Z moich wspólników na razie zabili tylko jednego. Był w towarzystwie drugiego handlarza, kiedy go zamordowano, ale tego drugiego nawet nie drasnęli. Zdaje się, że tu również działają według klucza.

- Może chodzi o to, co kto wie?

Pamięciarz pobladł gwałtownie. To dlatego zrobił sobie taką prymitywną operację plastyczną. Wszystko zaczynało się składać w spójną całość: to nie była operacja estetyczna, lecz próba zmiany tożsamości. Mężczyzna chciał się ukryć, uciec.

- Co kto wie? - cicho powtórzył fałszerz.

- Na przykład o tajnym projekcie Unii Europejskiej wszczepiania ludziom zaprogramowanego postępowania. O sztucznych pamięciach dla ludzi...

Przyszło jej to do głowy zupełnie przypadkiem, znikąd. Zawsze słuchała takich nagłych przebłysków intuicji, przekonana, że te myśli przychodziły jej do głowy, bo w dziwny sposób potrafiła wyłapać je z otoczenia. Seria replikantów bojowych, do której należała Bruna, została wyposażona w nowy eksperymentalny enzym, neksynę, która najprawdopodobniej zwiększała zdolność empatii. Eksperymenty nie przyniosły zadowalających rezultatów, oficjalnie uznano enzym za nieskuteczny, ale wbrew twierdzeniom bioinżynierów, ona miała wrażenie, że w jej przypadku działał, przynajmniej od czasu do czasu. Pamięciarz skulił ramiona.

- Skąd o tym wiesz? - spytał prawie szeptem.

- No cóż, ma się znajomych tu i tam, sam rozumiesz...

Mężczyzna czuł się wyraźnie zakłopotany.

- Temat jest bardzo delikatny... Ja w tym uczestniczyłem. Tak. Przyznaję się.

Uczestniczyłem w tych eksperymentach. Były tajne, ale zgodne z prawem. Sprawa wagi państwowej. A potem, kiedy nagle zakończyli projekt, spaprali mi życie. Oskarżyli o czyny, których nie popełniłem. Wyrzucili mnie z pracy. Nie pozwolili, żebym dalej pracował w zawodzie. A przecież byłem najlepszy. Dlatego wybrano mnie do tego programu.

- To trochę niesprawiedliwe...

- To skandal!

- A kim byli ci, którzy cię wyrzucili?

Mężczyzna skrzywił się.

- Nic więcej nie powiem. I tak wyjawiałem już za dużo. To niebezpieczne.

- Ale ci nędznicy, którzy najpierw cię zatrudnili, a potem zrujnowali życie, zasłużyli na to, żeby o nich wiadano.

Mężczyzna oddychał ciężko.

- Gdyby ktoś się o nich dowiedział, byłbym już martwy. Uważasz mnie za idiotę?

Nie próbuj mnie oszukiwać. Nie myśl sobie, że w ten sposób uda ci się coś ze mnie wyciągnąć.

Bruna uniosła ręce w uspokajającym geście.

- Już dobrze, przepraszam. Przyznaję, że chciałam cię podejść. Ale naprawdę uważam, że to okropna historia. I że ów program może być przyczyną zabójstw. Kto nim kierował? Kto ci to zrobił?

Pamięciarz zmrużył oczy i zagryzł wargę. Ale był tak wściekły, że nie potrafił się powstrzymać.

- Wina nie leżała po stronie tego, kto dowodził zespołem badaczy. Rzeczywiście, naukowcy też byli...

Mężczyzna upadł, wciąż patrząc na Brunę szeroko otwartymi oczami. I z szeroko otwartymi ustami. W ułamku sekundy znieruchomiał, twarz zastygła w grymasie przerażenia, z ust popłynął strumień krwi. Ale wtedy Brunna zdążyła już rzucić się na podłogę i wpełznąć pod jedną z otoman. W powietrzu rozeszła się woń spalonego

karmelu - charakterystyczna woń plazmy - i mdlącej słodczy krwi. Strzał z broni plazmowej jest całkowicie bezgłośny, czujesz go dopiero wtedy, gdy lodowate światło dziurawi twoje ciało. Bruna na czworakach przeszła pod sofami i schowała się za szafką z epoki Ming. Wyciągnęła pistolet, który w jej wielkiej dłoni wyglądał jak zabawka, i spróbowała ocenić sytuację. Zza niedużej barykady nikogo nie widziała. Pamięciarz upadł na wznak, plazma przeszła mu szyję i roztrzaskała tchawicę. Zabójca użył najprawdopodobniej czarnej plazmy, nielegalnej amunicji, której świetlny impuls rozszczepiał się w szeroką wiązkę przy uderzeniu w cel. Stąd ta wielka ilość krwi, która płynęła ustami, po zmiżdżeniu przełyku. Tak czy inaczej strzał musiał paść od strony drzwi. To było jedyne wejście do hali, tuż obok windy i wychodzące też na schody. Wstrzymała oddech i zamieniła się w słuch. Nic nie słyszała, poza szmerem wypływającej krwi. Nikogo też nie widziała.

Ale napastnik - albo napastnicy - wciąż musiał tu być.

A może chciał zabić jedynie pamięciarza?

Czekała.

Wciąż czekała.

Chyba już sobie poszedł, pomyślała. Chińska komódka w przypadku czarnej plazmy stanowiła ochronę równie skuteczną jak kartka papieru. Jeśli zabójca chciał i ją zastrzelić, dawno by to już zrobił. Ostrożnie, wytyczywszy sobie wcześniej drogę, Bruna ruszyła spod szafki w stronę fotela. Od fotela do stołu. Od stołu do biurka. I tu się zatrzymała, bo miała do pokonania dość spory, odkryty kawałek terenu, dzielący ją od drzwi. Hala nie miała okien, była oświetlona tylko panelami słonecznymi, a zatem Bruna musiała wyjść tak samo, jak weszła. Nie mogła jednak użyć windy - idealnej pułapki. Musiała zejść schodami, mając przed sobą napastnika.

Nabrała powietrza i popędziła w stronę drzwi, otworzyła je kopniakiem, nikogo za nimi nie było. Pocieszyła się w duchu: jestem prawie na zewnątrz. I dokładnie wtedy poczuła smród potu i adrenaliny, wyczuła drżenie powietrza za plecami. Chciała się odwrócić, ale już nie zdążyła: coś twardego uderzyło ją w głowę i ramię. Zrobiło się jej słabo, szerzej rozstawiła nogi, żeby nie upaść. Napastnicy, którzy pojawili się nie wiadomo skąd, rzucili się na nią. To niemożliwe, pomyślała zrozpaczona. Gdzie oni byli? Gdzie się schowali? Strzeliła na oślep, ale przeszywający ból w nadgarstku zmusił ją do

wypuszczenia pistoletu z dłoni. Ogłuszona, broniła się z furią dzikiego zwierzęcia. Biła, kopła, gryzła. Uderzenia, które dostawała, nie bolały, ale była ich świadoma. Jest ich zbyt wielu, pomyślała, długo nie wytrzymam. Nogi się pod nią ugięły, upadła na ziemię. To już koniec, dokonała chłodnej kalkulacji. Nie czuła lęku ani zaskoczenia. I pomyślała o Merlinie.

- Bruno, jak się czujesz?

Bruna nie przypominała sobie, żeby zemdląca, sądziła, że przez cały czas była świadoma, może trochę ogłuszona, ale jednak świadoma. A tymczasem coś jej jednak umknęło, bo wokół nikogo nie było, to znaczy nie było napastników. Pochylał się nad nią ogromny Lizard. Osłaniał ją, to było przyjemne, dawało poczucie bezpieczeństwa.

- Jak się czujesz?

- Doskonale - powiedziała, czy raczej chciała powiedzieć, w rzeczywistości zabrzmiało to raczej jak „dskonle”.

- Bruno, wiesz, kim jestem? Jak się nazywam? Rozdrażnienie pomogło jej odzyskać siły.

- O, dstu przketych ras, to ty, Paul. Paul. Cotrobisz? Świadomość wracała z każdą chwilą. Również świadomość

bólu. Bolała ją szyja. Bolała ręka. Bolały nerki. Bolała głowa. Bolało nawet powietrze, które powolutku wchodziło i wychodziło z płuc.

- Śledziłem cię. Na szczęście. Nie wychodziłaś dość długo, więc postanowiłem sprawdzić, co się dzieje. Brama była otwarta, znalazłem cię na ziemi. Nieźle cię stłukli. Niestety, nikogo nie widziałem. Na podeście schodów są zamaskowane drzwi prowadzące na tylne schody. Musieli uciec tamtędy.

Bruna spróbowała się podnieść, cicho jęknęła.

- Poczekaj...

Lizard uniósł ją bez wysiłku, jakby unosił lalkę, i posadził, opierając o ścianę. To też ją zabolalo. Plecy, a może ściana.

- Jak się czujesz?

- Niedobrze mi...

Ostrożnie dotknęła twarzy.

- Chyba złamali ci ząb - poinformował ją Paul.

- Nie wkurzaj mnie.

Bruna wypluła krew z ust. Co przypomniało jej o fałszerzu pamięci.

- Tam jest mężczyzna, który...

- Nie żyje. Jednym strzałem roztrzaskali mu szyję. - Lizard już wiedział.

W drzwiach ukazało się dwóch młodych, wystraszonych funkcjonariuszy APEK.

- Nareszcie. Tam czeka na was prezent - inspektor skinieniem głowy skierował policjantów w stronę leżących zwłok. - Już zawiadomiłem sędziego śledczego. Niech nikt niczego nie rusza aż do jego przyjazdu.

- Tak jest.

Paul sprawnie badał ciało replikantki, poruszał jej nogami, ramionami, dotykał żeber.

- Jesteś cała we krwi, ale mam wrażenie, że to przede wszystkim krew tamtego.

- Czuję się świetnie.

- Oczywiście. Dobrze, zawiozę cię do szpitala.

- Nie. Tylko nie do szpitala. Zawieź mnie do domu.

- Dobrze. Do domu, ale po drodze wstąpimy do szpitala.

Lizard podniósł z ziemi but replikantki, który straciła w wirze walki, i włożył go, delikatnie unosząc jej stopę. I dopiero wtedy Brunna poczuła, że coś się w niej złamało, że coś zaczęło boleć o wiele mocniej niż wszystkie urazy zmasakrowanego ciała.

- Czuję się świetnie - powtórzyła, z całych sił powstrzymując absurdalną chęć płaczu.

Co z nią będzie? Kochać się z kimś jest łatwo. Przespać się z inspektorem byłoby czymś najprostszym i najbanalniejszym w świecie. Trywialną gimnastyką, o której szybko dałoby się zapomnieć. Tymczasem nie mogła znieść, że ktoś wkłada jej na stopę zrzucony but, że ktoś wsuwa go z szorstką czułością, z niezdarną delikatnością. Drobny gest Lizarda całkowicie ją rozbroił. Była zgubiona.

W szpitalu zrobiono jej tomografię całego ciała i nie znaleziono żadnych poważnych obrażeń: organy nie zostały uszkodzone, nie doszło do wewnętrznych krwotoków, a uderzenie w głowę nie spowodowało trwałego urazu. Miała kilka pękniętych żeber i płytką ranę dłoni od trafienia plazmą. Na szczęście nie była to czarna plazma i kość pozostała nienaruszona. Krótko mówiąc, żadnych innych obrażeń ponad te, którymi

zaradzić mógł podskórny zastrzyk z paramorfiny. I jeszcze tylko ułamany ząb - w tym samym punkcie ambulatoryjnym usunięto korzeń, włożono implant i wkręcono nowy ząb, idealnie pasujący do reszty. Wizyta na pogotowiu w towarzystwie Paula Lizarda miała sporo zalet: Bruna płaciła za nią ze swego dość przeciętnego ubezpieczenia, ale inspektor znał pół szpitala i zapewnił obsługę na najwyższym poziomie.

- To szpital, z którego zawsze korzysta Wydział Zabójstw... Dlatego cię tu przywiozłem.

Przywiozłem cię, powtórzyła w duchu, kiedy mężczyzna pomagał jej wsiąść do samochodu. Replikantka miała wrażenie, że Lizard podejmuje za nią zbyt wiele decyzji i w innych okolicznościach ta sytuacja wywołałaby jej irytację. Teraz jednak, wyczerpana i z nerwami ukojonymi paramorfina, po prostu wygodnie ułożyła się w samochodzie i bez słowa protestu pozwoliła się wieźć. Gdy opuszczali szpitalny parking, podmuch silnego wiatru wstrząsnął samochodem.

- Wiatr syberyjski. Ogłoszono stan zagrożenia, nie wiem, czy słyszałaś. Nadchodzi kryzys polarny.

Nie pomogła nawet spora dawka narkotyku i Bruna zareagowała na tę wiadomość głębokim zniechęceniem. Choć zmiana klimatu podniosła o parę stopni średnią roczną temperaturę oraz zamieniła w pustynie obszary dawniej zalesione i o umiarkowanym klimacie, to inwersja tak zwanej oscylacji arktycznej, zjawiska, którego Bruna nigdy nie zdołała do końca zrozumieć, powodowała rzadkie i krótkotrwałe fale intensywnego zimna, jeden czy dwa dni obfitych opadów śniegu, gwałtownych zawiei i niskiej temperatury, która w Madrycie spadała do dwudziestu stopni poniżej zera. Choć ta pogodowa anomalia dopiero się zaczynała i daleko było do spodziewanych mrozów, przechodnie z trudem poruszali się w podmuchach wiatru i z wyrazem umęczenia na zziębniętych twarzach stali w kolejkach przed supermarketami po zapasy żywności, grzejniki czy ciepłą odzież. Replikantkę zawsze dziwił ten brak przewidywania, od dawna co roku występowały co najmniej dwa kryzysy polarne, a tymczasem po każdym ludzie zachowywali się tak, jakby to było coś zupełnie wyjątkowego, anormalnego, co nigdy się już nie powtórzy. Więc ilekroć nadchodziła kolejna fala zimna, zapasy niezbędnej ciepłej odzieży szybko się wyczerpywały.

- Popatrz, już pada śnieg - zauważył Lizard.

Rzeczywiście, mokre płatki osiadały na przedniej szybie. Zabójczy śnieg, przyszło na myśl Brunie: mrozy zawsze zbierały śmiertelne żniwo, wśród najstarszych, najslabszych, najbiedniejszych. Westchnęła głęboko, było jej wyjątkowo dobrze w ciepłym, przytulnym wnętrzu samochodu, w miękkiej, narkotykowej senności, w towarzystwie opiekuńczego Lizarda.

- Źle pojechałeś. Trzeba było na wprost.

- Nie jedziemy do ciebie. Wolałbym, żebyś przynajmniej dzisiaj odpoczywała w jakimś bezpiecznym miejscu, a nie wiem, czy twoje mieszkanie spełnia ten warunek. Mam wrażenie, że ostatnio za często stajesz się obiektem ataków...

Rzeczywiście, pomyślała. Zabójcy pamięciarza, wcześniej banda opryszków na ulicy, a na samym początku atak sąsiadki, Cały Cain, która miała zapisaną na śmiercionośnej memorce scenę zabójstwa Bruny. Obraz replikantki wyłupującej sobie oko przecięłą pamięć Bruny niczym krwawa błyskawica. Wzdrygnęła się.

- Gdzie jedziemy? - zapytała, choć znała odpowiedź.

- Do mnie.

Bruna była nieco zaskoczona. Nie podobała jej się łatwość, z jaką poddawała się woli inspektora, niezwykła w jej przypadku bierność zranionej istoty, wygodna słabość ofiary. Nie podobało się jej, że Paul podejmuje za nią decyzje, i nawet nie udaje, że liczy się z jej zdaniem, że próbuje ją zagłaskać dłonią w jedwabnej rękawiczce. W innych okolicznościach replikantka stanowczo by się sprzeciwiała, klóciła i protestowała. Lecz dziś pozwoliła się porwać, znajdując przyjemność w byciu uległą. Perwersyjną rozkosz. Wszystko mi jedno, pomyślała.

- Wszystko mi jedno - wymruczała półgłosem.

Przypomniała sobie, że parę dni temu zostawiła swoje figi na masce tego samego auta, i na jej ustach zakwitł blady uśmiech. O czym pomyślał inspektor, kiedy znalazł prezent? Odgadł, że to jej bielizna? To tamtej nocy poznała Lizarda. Szalonej nocy, kiedy jej ciało płonęło po cukierku. Na samo wspomnienie koktajlu z oksytocyny skóra Bruny pokryła się gęsią skórą. Podniecające, niewyraźne wspomnienia zaczęły kiełkować w jej głowie. Ale naraz przypomniała sobie, że w końcu wylądowała w łóżku z Omaajczykiem, i delikatne erotyczne pobudzenie, które zaczęła odczuwać, natychmiast się ulotniło. To wszystko miało miejsce osiem, nie, siedem dni

temu. W piątek, 21 stycznia. Ile rzeczy się wydarzyło w tym krótkim czasie. Gdyby dane jej było przeżyć wszystkie dni życia równie intensywnie, jej krótka replikancka egzystencja wydałaby się niezwykle długa.

Odchyliła oparcie siedzenia i zamknęła oczy. Cztery lata, trzy miesiące i czternaście dni. Dziś jest piątek, 28 stycznia 2109 roku. Merlin zmarł 3 marca. Brakowało ciut ponad miesiąc do drugiej rocznicy. Bruna zastanawiała się, którego dokładnie dnia umrze ona sama. Obsesyjne odliczanie wstecz informowało jedynie o przekroczeniu złowieszce granicy dziesięciu lat, a począwszy od tego momentu WGT mógł ją zabijać przez jakies dwa, trzy miesiące. Wyliczyła, że to będzie kwiecień lub maj albo nawet czerwiec 2113 roku. Kwiecień, maj albo czerwiec...

Chyba zasnęła, bo nagle otwarła oczy i ze zdziwieniem zobaczyła, że samochód zatrzymał się, a Paul coś do niej mówił.

- Jesteśmy na miejscu.

Kiedy wysiedli z auta, śnieg już się nie topił, a przenikliwy chłód przebił tysiącem igiełek ich lekkie ubrania. Lizard objął Brunę ramieniem i przylgnął do niej swym potężnym ciałem. Uczynił to w tak naturalny sposób, że replikantka wcale się nie zdziwiła, wręcz przeciwnie, jej własne ciało wpasowało się bez namysłu w ciało inspektora, jakby wcześniej przeciwiczyło ten ruch tysiąc razy; objęci, kuląc się przed podmuchami wiatru, pokonali odległość dzielącą ich od budynku.

Kiedy tylko znaleźli się w bramie, zakłopotana wyrwała się z objęć inspektora. Ten gwałtowny odskok sprawił, że poczuła ból w pękniętych żebrach.

- To znaczy, że tu mieszkasz, tak... - odezwała się głupio, żeby tylko przerwać ciszę, delikatnie obmacując sobie żebra.

To była jedna ze starych kamienic w dawnym centrum Madrytu, odrestaurowana wewnątrz kilka dziesiątków lat temu i niezbyt dobrze utrzymana. Wąska klatka schodowa z drewnianymi stopniami kryła tylko jeden szyb z antycznym dźwigiem. Lizard otworzył skrzynkę pocztową, wyjął piszczące holograficzne reklamy, zgniótł je i wrzucił do hermetycznego kosza. Potem otworzył drzwi windy przed Bruną.

- Jedź na górę. Na czwarte piętro. Ja pójde schodami.

Nic dziwnego, że poszedł na piechotę, winda okazała się tak mała, że we dwójkę by się w niej nie zmieścili, chyba że ściśnięci jak śledzie w beczce. Szkoda, pomyślała

Bruna, uśmiechając się do siebie, podczas gdy dźwig mozolnie piął się do góry, poddawany tajemniczym wstrząsom. Kiedy zatrzymał się na czwartym piętrze, Lizard już czekał, trochę zdyszany. Miał nie najgorszą kondycję, zważywszy na jego rozmiary.

- Proszę, wejdź. Rozgość się.

Jak miała to, do cholery, zrobić, skoro bolało ją całe ciało. Nieśmiało przekroczyła próg; mieszkanie składało się z jednego pomieszczenia, choć było ogromne. Ogromne i przygnębiająco surowe. Wielkie łóżko, biurko, sofa, półki. Wszystko tak nagie i bezosobowe jak u androida. Jak u większości androidów, poprawiła się w myślach Brunna, przypominając sobie urządzoną z przepychem sypialnię Chi. Czy nawet własne mieszkanie, z obrazami i puzzlami. Tu znajdowało się tak niewiele przedmiotów, że trzy stare balkony z barierkami z kutego żelaza stanowiły największą ozdobę tego wnętrza. Uliczka była wąska i budynek z naprzeciwka, brzydki, tani blok w z czasów Unifikacji, prawie wciskał się przez okna.

- Tu możesz się położyć. - Paul wskazał szeroką sofę. - Jest wygodna, nawet dla mnie, miałem to okazję sprawdzić parę razy.

Bruna usiadła ostrożnie. I pomyślała, po raz pierwszy tego popołudnia, o swoim małym dzielnym plazmowym pistoleciku. Nie wiedziała, czy zabrali go napastnicy, czy też ma go Lizard, ale wolała nie pytać. Jeśli straciła swój pistolet, to był to powód do zmartwienia, zdobycie kolejnego będzie dość kosztowne i skomplikowane - postanowiła jednak zająć się tym jutro. W mieszkaniu panowało przyjemne ciepło, tymczasem za oknem, w słabnącym świetle popołudnia śnieżyca przybierała na sile. Wbrew logice replikantce niewiele brakowało do pełni szczęścia.

Lizard usiadł obok zaopatrzony w poduszkę, koc i butelkę dobrego rocznika Guitiana.

- Czy to przypadkiem nie ty gustujesz w białym winie?

- Nie, to ona - zażartowała Brunna, wskazując na zdjęcie replikantki, które wypełniało główny ekran w pomieszczeniu.

Paul rzucił okiem na zdjęcie i w milczeniu przykrył Brunę kocem. Przestraszyła się, że powiedziała coś niestosownego.

- No cóż, tak, chętnie się napiję.

- Zrobię coś do jedzenia - oznajmił inspektor.

Idąc w stronę kuchni, szepnął kilka słów, i na głównym ekranie pojawił się krajobraz

Tytana.

Gdy mężczyzna przygotowywał jedzenie, replikantka spoglądała za okno. Duże śniegowe płatki oblepiały szyby szarawą gazą, popołudnie kończyło się szybciej niż zazwyczaj pod ciężarem śnieżnej zamieci, lampa włączyła się automatycznie. Bruna wiedziała, że nie powinna pytać, ale nie potrafiła się powstrzymać.

- Replikantka z ekranu to ofiara przestępstwa?

Mężczyzna nie odpowiedział, co specjalnie Bruny nie zdziwiło. Bardziej zaskoczyło ją jej własne, obcesowe pytanie:

- A może to jedna z podejrzanych?

Po chwili ciszy, ku własnemu zdziwieniu, zadała kolejne:

- Dlaczego nie odpowiadasz? Ukrywasz przede mną szczegóły śledztwa?

Lizard pojawił się obok z tacą i dwoma miskami po brzegi wypełnionymi zupą miso.

- Zamierzałem przygotować kanapki z rewitalizowanym tuńczykiem, ale przypomniałem sobie o twoim nowym zębie. Przesuń się trochę.

Usiadł na brzegu sofy i nałożył na butelkę opaskę termiczną, żeby wino się chłodziło. Potem ostrożnie odkorkował Guitiana i nalał do dwóch kieliszków. Napił się parę łyków i spojrzał za okno. Było już ciemno i światło z mieszkania odbijało się na śniegu jak na płótnie obrazu.

- Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, kim ona jest, dlaczego nie zapytasz wprost?
- Proszę?
- Miej odwagę zapytać, a ja ci odpowiem.

Bruna umilkła, zawstydzona.

- Dobrze. Sądzę, że nie ma nic wspólnego ze śledztwem. I sądzę, że nie powinnam wtrącać się w nie swoje sprawy. Ale chciałabym wiedzieć, dlaczego masz na zdjęciu replikantkę.

Paul flegmatycznie pomieszał zupę, nabrał pełną łyżkę, podmuchał, spróbował odrobinę z miną pełną zaciekawienia, a potem przełknął resztę, tymczasem Bruna niecierpliwie czekała, aż zakończy tę pantomimę i przemówi.

- To Maitena.

I zjadł kolejną łyżkę zupy.

- A kim jest Maitena?

Znów zamieszał, podmuchał i przełknął. Stroił sobie żarty czy tak .trudno było mu o niej mówić?

- To bardzo prosta historia. Kiedy byłem mały, moi rodzice odeszli. I wtedy zaadoptowała mnie sąsiadka. Maitena. Replikantka eksplorująca.

- A co takiego się stało?
- Umarła. Co miałoby się stać? Dopadł ją WGT.
- Miałam na myśli twoich rodziców.

Paul uniósł miskę i zaczął z niej pić. Siorbał, a od czasu do czasu przestawał pić, żeby przeżuć miso. Zjedzenie wszystkiego zajęło mu dość dużo czasu.

- Poszli do więzienia. Porwali faceta. Byli przestępcami. A raczej są, bo podejrzewam, że jeszcze żyją.

- Twoi rodzice są przestępcami?
- Dziwi cię to? Na świecie jest ich wielu. Powinnaś wiedzieć. To część twojej pracy - podsumował z sarkazmem.

Dokładnie wytarł usta serwetką, a potem po raz pierwszy od czasu, kiedy usiadł na sofie, uniósł głowę i spojrzał Branie w oczy.

- Miałem osiem lat, kiedy zostałem sam. Wychowała mnie Maitena. Można powiedzieć, że to było szczęśliwe dzieciństwo. Dzięki niej. Już ci mówiłem, że nie mam nic przeciwko repom.

Wstał i wrzucił jednorazową miskę do recyklera. Brana patrzyła za nim, nie mając odwagi się odezwać. Paul wrócił i usiadł. Jego udo dotknęło jej bioder.

- Wiesz, do kogo należy loft, do którego poszłaś dziś rano?

Pytanie wprawilo ją w lekki popłoch. Pochłonięta bolesnymi wspomnieniami mężczyzny, czując jego ciepło, mając zawrót głowy spowodowany chwilą bliskości, z trudem wróciła do rzeczywistości.

- Do zamordowanego pamięciarza, jak mniemam.

Lizard pokręcił głową. Miał dziwną minę, kpiącą i wyzywającą zarazem.

- Nie. Do Nopala. To jedna z wielu nieruchomości twojego przyjaciela Pabla Nopala.

Brana wzdrygnęła się.

- Jesteś pewien?

- On nawet o tym nie wspomniał, prawda? Ostrzegałem cię, nie można mu ufać.

To absurdalne, ale ostatnia informacja sprawiła Branie pewną przykrość. Fakt, że napastnicy skorzystali z zamaskowanych drzwi i tylnych schodów, nie świadczył przypadkiem o doskonałej znajomości budynku? Dopadła ją fala znużenia, a wraz z nią przyszedł ból.

- Padam ze zmęczenia - mruknęła.

- Nic dziwnego. Masz, zrób sobie zastrzyk. Chyba powinnaś.

Lizard podał jej strzykawkę i replikantka wkuła sobie w ramię dawkę paramorfiny. Narkotyk rozplynał się po ciele łagodną, kojącą ból falą.

- Lepiej? - zapytał mężczyzna, pochylając się nad nią i gładząc po plecach.

To był znowu gest zupełnie naturalny, upajająco czuły.

- O wiele lepiej - szepnęła.

Pragnęła Lizarda całym swoim ciałem, umysłem, sercem i dłońmi, żarłoczną kobiecością i ustami, którymi mogłaby szeptać słodkie słówka, i chętnie przytuliłaby się do niego, gdyby nie nagła senność i ciężące powieki. Chwileczkę. Chwileczkę. Czy ta senność nie przyszła zbyt gwałtownie? Spróbowała ją przewyciężyć.

- Dlaczego jestem taka senna? - spytała słabym głosem.

- Razem z paramorfiną dałem ci środek nasenny. Powinnaś odpocząć.

W ciepłym mieszkaniu, pod grubym kocem, w ramionach inspektora Brunie zrobiło się zimno. Pomyślała: nie chcę zasypiać. Powieki ciążyły jak kamienie. Lizard Jaszczur pojawił się przy niej zaraz po napadzie. Co za zbieg okoliczności, Nopal pozwoliłby sobie na sarkastyczny komentarz. A teraz Lizard zabrał ją do siebie do domu. A na ekranie, specjalnie dla niej, wyświetlił zdjęcie jakiejś replikantki i opowiedział absurdalną, melodramatyczną historię o swoim dzieciństwie. Głęboko odetchnęła, próbując się ocknąć, ale senność zamknęła się nad nią niczym wieko trumny. Mała senna śmierć. A może wieczna śmierć. Poczowała ukłucie lęku. Lizard Kajman, intrygujący Lizard, naszpikował ją narkotykami. Połknęła ją czarna otchłań snu, zanim zdążyła zdecydować, czy Paul ma zostać jej kochankiem, czy jej zabójcą.

Madryt, 29 stycznia 2109, 15.27 Witaj, Yiannis

JEŚLI NIE NAZYWASZ SIĘ YIANNIS LIBEROPOULOS I NIE JESTEŚ
ARCHIWISTĄ CENTRALNYM FT711, NATYCHMIAST OPUŚĆ TE STRONY
DOSTĘP ŚCIŚLE OGRANICZONY TYLKO UPRAWNIENI WYDAWCY
WEJŚCIE BEZ UPRAWNIENI JEST PRZESTĘPSTWEM, ZA KTÓRE GROZI
KARA DO DWUDZIESTU LAT WIĘZIENIA.

Wojny Robotów

Słowa kluczowe: Pokojowy Traktat Ludzkości, X Konwencja Genewska, kopalnie
koltanu, Kryzys Kongijski, Spisek Replikantów, Lum-bre Ras

#6B-138

Artykuł edytowany

Wojny Robotów, które rozpoczęły się w 2079 i zakończyły w 2090 roku Pokojowym Traktatem Ludzkości, okazały się - wraz z Plagami - najpoważniejszym konfliktem zbrojnym w historii Ziemi. Eskalacja przemocy, która zniszczyła planetę w drugiej połowie ubiegłego wieku, doprowadziła do podpisania w 2079 roku X Konwencji Genewskiej, którą sygnowały prawie wszystkie niepodległe państwa (153 ze 159 wówczas istniejących), a która ustanawiała zastąpienie tradycyjnych starć wojennych walkami robotów. Rolę wojska miały przejąć ruchome, całkowicie zautomatyzowane maszyny, ścierając się ze sobą niczym w gigantycznej grze komputerowej, tym razem rozgrywanej się w realnym świecie. Konstruktorzy traktatu założyli, że w ten sposób zminimalizują, a nawet położą kres krwawym rzeziom, a toczony wojny zamienią w swego rodzaju strategiczną rozrywkę, podobnie jak średniowieczne turnieje rycerskie stanowiły łagodniejszą wersję prawdziwych walk.

Tymczasem konsekwencje tego postanowienia okazały się najbardziej negatywne z możliwych. Po pierwsze, wkrótce po podpisaniu traktatu prawie na całej planecie wybuchła powszechna wojna, tak jakby poszczególne narody oczekiwały wspólnie z robotami w gotowości bojowej na początek walk (niektórzy politolodzy, jak choćby słynna Carmen Carlavilla w swojej książce Słowa na wiatr, utrzymują, że X Konwencja Genewska była sprytną manipulacją producentów robotów wojennych). Kraje najbogatsze posiadały nieporównywalne zasoby robotów, a kraje biedniejsze, choć

podpisały traktat, wcale nie miały zamiaru go respektować, zaatakowały więc roboty tradycyjnym wojskiem, co spowodowało wielkie straty wśród maszyn, ponieważ, w zgodzie z zapisami konwencji, zostały one poddane wcześniejszej „kastracji” po wszczepieniu chipa, który zakazywał wyrządzania krzywdy ludziom. Oczywiście kilka tygodni później chipy zostały potajemnie i bezprawnie usunięte, a rozległe pobojowiska z dymiącym żelastwem szybko zaczęły nasiąkać krwią.

Kontratak maszyn wymknął się spod jakiejkolwiek kontroli i zebrał obfite żniwo - przez pół roku życie straciło więcej ludzi niż we wszystkich wcześniejszych wojnach razem wziętych. W tym okresie doszło też do Kryzysu Kongijskiego. Jak powszechnie wiadomo, na obszarze dawnej Demokratycznej Republiki Konga znajduje się 80% złóż koltanu, minerału niezbędnego w procesie produkcji urządzeń elektronicznych. Wydobycie koltanu w kongijskich kopalniach przez ponad sto lat stanowiło zarzewie wielu konfliktów, ale Wojny Robotów przekroczyły wszelkie granice przemocy: cała ludność Konga została wymordowana, z wyjątkiem prezydenta Ngó Bgó i dwustu osób z jego rodziny, przebywających poza granicami kraju, kiedy doszło do masakry, i do dnia dzisiejszego wciąż pozostających współwłaścicielami kopalni koltanu wraz z firmą-przykrywką, która w rzeczywistości jest kontrolowana przez androidy.

**** (Zwracam uwagę na znajdujące się w tekście całkowicie niesłuszne i błędne komentarze! Ponawiam prośbę o natychmiastowe wszczęcie wewnętrznego śledztwa! Archiwista centralny FT711)****

Masakra w Kongu to nie jedyny akt mordu dokonanego na całym narodzie podczas Wojen Robotów, ale niewątpliwie największy i najgłośniejszy z wszystkich. Wielkie światowe potęgi szybko zradykalizowały swoje stanowisko w obliczu tego kryzysu i postanowienia traktatu genewskiego zostały wreszcie wdrożone w życie: na pustych, zniszczonych ziemiach dawnego Konga, pośród zardzewiałego żelastwa i pożółkłych kości, przez ponad rok walczyły ze sobą roboty. Do czasu, kiedy państwa po cichu pogrzebały X Konwencję Genewską i znów zaczęły wysyłać na front oddziały wojska. Od tego momentu aż do ich zakończenia Wojny Robotów toczyły się z udziałem zarówno maszyn, jak i ludzi, a ta fatalna mieszanka przyczyniła się do ogromnej liczby ofiar. Do wielkiej rzezi, której, o dziwo, uniknęli replikanci, ponieważ stosując zasadę obywatelskiego nieposłuszeństwa (wszelkie prawa, żadnych obowiązków), odmówili

udziału w walkach. Wybitni autorzy, jak choćby profesor Lumbre Ras, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki, ujawnili spisek androidów, który miał na celu zdziesiątkowanie ludzkości. Utrzymują oni, na podstawie licznych dokumentów, że za wymordowaniem Kongijczyków i powrotem do tradycyjnej wojny stoją skryte machinacje tych sztucznie stworzonych istot, które zjednoczone w tajnej loży i pozostając w cieniu, posiadają realną władzę, a ich jedynym celem jest podporządkowanie sobie ludzi.

**** Memorandum w sytuacji kryzysowej****

Do wiadomości głównej superwizor Strefy PPK

W obliczu poważnych nieprawidłowości, jakie dostrzegam od paru dni w archiwum, zważywszy na fakt, że na moje wcześniejsze, kilkakrotnie ponawiane zapytania nie uzyskałem odpowiedzi od moich bezpośrednich zwierzchników, postanowiłem odwołać się do protokołu bezpieczeństwa CC/1 Ustawy o Archiwach i wystosować memorandum kryzysowe do nadzorującego strefę.

- W ostatnim tygodniu odnotowuję coraz więcej świadomie błędnych komentarzy w tekstach różnych działów archiwum (dokumenty załączone do wglądu). Komentarze nie mają IDE (identyfikacji elektronicznej; nie wiadomo, kto jest ich autorem, co samo w sobie jest już poważną nieprawidłowością), są całkowicie fałszywe, a wszystkie mają na celu zniesławienie technoludzi.

- Wspomniane komentarze są coraz liczniejsze, brutalniejsze i bardziej kłamliwe. Niniejszy artykuł jest dobrym przykładem tego, o czym piszę. W rzeczywistości i wbrew sugestiom anonimowego autora, w Wojnach Robotów, jak we wszystkich innych konfliktach, ginęły przede wszystkim androidy bojowe, bo w tym celu zostały one, niestety, stworzone. Żaden z androidów nigdy nie odmówił walki, o ile mi wiadomo, a kopalnie koltanu nie należą do żadnego androida, tylko do rodziny Ngś i zdecydowanie „ludzkiego” konsorcjum zbrojeniowego, produkującego maszyny wojenne. Co więcej, ów rzekomy i sławny profesor Lumbre Ras nie istnieje, o czym można się przekonać, przeszukując encyklopedie w sieci czy choćby listę laureatów Nagrody Nobla. To przykład tych jakże prymitywnych metod fałszowania artykułów.

- Mając na uwadze powyższe informacje, rozsądne wydaje się założenie, że wszystkie fałszywe komentarze stanowią część przemyślanego planu i mają konkretny

cel. Jaki to cel i czy w istocie chodzi o spisek, zważywszy na krytyczny moment międzygatunkowej przemocy, jakiej doświadczamy w Regionie (zresztą nie tylko tu, dochodzą bowiem sygnały o zamieszkach w Kijowie, w Nowym Neapolu, w Kapsztadzie. ..), to kwestia, którą nie mnie rozstrzygać, ale która bez wątpienia powinna zostać przeanalizowana jak najszybciej przez odpowiednie instancje. Jestem tak głęboko przekonany o powadze zaistniałej sytuacji, że w obawie przed zbyt długim oczekiwaniem na reakcję uczynię coś, czego nigdy w mojej czterdziestoletniej pracy archiwisty nie uczyniłem: zachowam ten artykuł w moim własnym archiwum, zamiast odesłać go po edycji, poza tym prześlę jego kopię wraz z powyższym memorandum na swój prywatny komputer.

Z wyrazami szacunku, w oczekiwaniu na szybką odpowiedź

Yiannis Liberopoulos, archiwista centralny FT711

Obudził ją cudowny zapach kawy i tostów. Otworzyła oczy i natychmiast musiała je zamknąć, oślepią bielą śniegu. Ale to szybkie spojrzenie pozwoliło jej odnaleźć się w rzeczywistości. Była w domu Lizarda. Spędziła tu noc. Inspektor podał jej środki uspokajające. Ale jak widać, chyba jej nie zamordował. Bruna uśmiechnęła się z powodu tej głupiej myśli i ostrożnie uniosła powieki.

- Śpisz już dwanaście godzin. Zaczynałem się martwić.

Lizard krzątał się po mieszkaniu, dając tym dowód swej niewyczerpanej energii.

- Muszę iść do pracy. Zostań tu, jak długo zechcesz. Masz autoryzację do centralnego komputera. Możesz wychodzić i wchodzić do domu, możesz wydawać mu polecenia.

- Okej, choć pewnie mogę wydawać tylko niektóre polecenia - wymruczała.

- No jasne... Możesz wziąć prysznic, coś zjeść... Masz podstawową domową autoryzację. Chyba nie chcesz, żebym otworzył przed tobą całe moje życie tak z dnia na dzień...

Paul powiedział to żartobliwym tonem, ale Bruna się zaczerwieniła.

- Niczego nie chcę - mruknęła.

Za oknami świat otulała cicha i skrząca się biała pierzyna.

- Wczoraj wieczorem nafaszerowałeś mnie narkotykami.

- Proszę?

- Bez mojej wiedzy podałeś mi środek nasenny.
- Mam wrażenie, że doskonale ci to zrobiło.
- Nigdy więcej tego nie rób.

Lizard wzruszył ramionami.

- Spokojnie, więcej tego nie zrobię. I nie ma sprawy. Naprawdę nie musisz mi za nic dziękować - dodał sarkastycznie.

Włożył na siebie wielki polarowy płaszcz z kapturem i otworzył drzwi.

- Lizard!

Inspektor przystanął na progu.

- Opowieść o Maitenie i o twoim dzieciństwie to wszystko prawda?
- Dlaczego miałbym cię okłamywać? - Paul nawet się nie odwrócił.

A potem spojrzał na nią przez ramię.

- No właśnie, a skoro o kłamstwach mowa, to wczoraj wieczorem i dziś rano dzwonił twój drugi kompfon. Wiesz, który mam na myśli. Ten nielegalny.

I powiedziawszy to, wyszedł.

Kajman zawsze potrafił ją zaskoczyć.

W szpitalu Bruna zdołała niepostrzeżenie pozbyć się kompfona Mirari. Ściągnęła cienką, półprzezroczystą opaskę przyklejoną do brzucha, zwinęła ją i schowała w wewnętrznej kieszeni plecaka. Tymczasem teraz kompfon leżał rozciągnięty obok, na stole. Wzięła go do ręki - rzeczywiście miała sześć nieodebranych połączeń od Seriy, zastępcy Hericia. Skoncentrowała się, by wejść w osobowość Annie Heart, i wybrała numer supremacjonisty. Podobizna antypatycznego mężczyzny wypełniła wyświetlacz. Na twarzy malowały się nieufność i rozdrażnienie.

- Gdzie ty się podziewałaś? - warknął.
- Nie twój interes.
- Oczywiście, że mój. Jesteś zbyt tajemnicza, ślicznotko. Nagle pojawiaasz się, nie wiadomo skąd, potem nagle znikasz...

I bardzo mi się nie podoba, że cię nie widzę. Cała ta historia z nienamierzalnym kompfonem, tryb bez podglądu podczas rozmowy. Zaczynam podejrzewać, że coś przed nami ukrywasz... A jeśli to prawda, gorzko pożałujesz.

Bruna nabrała powietrza.

- Wyjaśnijmy sobie na początek parę kwestii: po pierwsze, w ten sposób nie traktuje się ewentualnej donatorki. Po drugie, nie jestem do końca przekonana, czy chcę wam przekazać swoje pieniądze. Po trzecie, nie próbuj mi więcej grozić, bo już o mnie nie usłyszysz. Zadzwoń, jak będziesz wiedział, kiedy i gdzie spotkam się z Hericiem - oznajmiła lodowatym tonem.

I skończyła rozmowę. Czekala przez dwie długie minuty, gapiąc się w wyświetlacz. Wreszcie pojawiły się na nim niebieskie literki: „O szesnastej w barze w twoim hotelu”. Doskonale! Pewnie OOF nie przyniósł oczekiwanych rezultatów, pomyślała replikantka - wygląda na to, że koniecznie chcą zapełnić sobie trzos. Zapewne spotkają się w barze, a potem gdzieś ją zawiozą. Świetnie. Była dopiero dziesiąta rano. Czasu miała pod dostatkiem.

Bruna pomacała się po żebrach - wciąż bolały, ale już nie tak bardzo. Regenerator kości, który podali jej w szpitalu, zadziałał. Ściągnęła koc i ostrożnie stanęła na nogach. Jak na bójkę, którą przeżyła, czuła się właściwie całkiem nieźle. W dużym ściennym lustrze zobaczyła swoje odbicie - wciąż miała na sobie wczorajsze ubranie, poszarpane, poplamione krwią i zbyt lekkie jak na temperaturę za oknem. Rozsunęła zamki, odzienie opadło na ziemię. Całe ciało miała poznaczone śladami walki. Siniaki wiły się ku twarzy niczym dzikie pnącze, ranę na dłoni owinięto jej bandażem. Jeśli ma się spotkać z Hericiem, musi się trochę podmalować i ukryć te obrażenia.

Nago poszła do kuchni. Była potwornie głodna, a zapach kawy i tostów, które pozostały po Lizardzie sprawił, że do ust napłynęła jej ślina.

- Ekranie, nazywam się Brunna - oznajmiła.

- Mam autoryzację na dwie Bruny. Proszę, podaj nazwisko - odpowiedział delikatny kobiecy głos.

Replikantka poczuła nieprzyjemne ukłucie. Jak to dwie Bruny? Czyżby Jaszczur Lizard tak często zapraszał do siebie na noc kobiety?

- Jestem Brunna Husky - burknęła.

- Witaj, Bruno Husky. W czym mogę ci pomóc?

Replikantka poprosiła o obfite śniadanie i pożarła je, roztrząsając powody swego złego nastroju. Potem wzięła prysznic parowy i splądrowała szafę Lizarda w poszukiwaniu ciepłych ubrań, odczuwając lekkie zadowolenie, kiedy okazało się, że w

końcu coś jest na nią za duże, bo zdążyła się przyzwyczaić do noszenia za krótkich spodni z łydkami na wierzchu. Otworzyła drzwi i już miała wychodzić, kiedy pod wpływem nagłego impulsu wróciła do mieszkania.

- Ekranie, jestem Ingrid - oznajmiła, starając się zmienić głos na nieco wyższy.

To imię przed paroma dziesiątkami lat było dość popularne i ciągle spotykało się noszące je kobiety: a nuż Lizard jakąś autoryzował. Bruna chciała tylko sprawdzić, czy istotnie mężczyzna na prawo i lewo udzielał domowych autoryzacji.

- Nie nazywasz się Ingrid. Ty jesteś Bruna Husky. W czym mogę ci pomóc? - odparł kobiecy głos grzecznie, ale zdecydowanie.

Komputery ostatniej generacji trudno było oszukać.

Wyszła z domu i wędrowała po oszronionym Madrycie, przykrytym jakby białą koronką. Samochody właściwie nie jeździły, połowa ruchomych chodników nie działała, chociaż ekipy monterów próbowały je rozmrozić za pomocą pistoletów parowych. Pod nogami było ślisko i niebezpiecznie, nawet dla niej, a przecież miała genetycznie wzmocnione zmysł równowagi i koordynację ruchową. Tu i ówdzie ludzie pozbawieni takich ulepszeń z hukiem łądownali na tyłkach; to również może być jeden z powodów, dla których nienawidzą repów, gorzko pomyślała Bruna. Grube, ciepłe płaszcze z wielkimi kapturami miały tę zaletę, że upodabniały do siebie ludzi i androidy, zwłaszcza jeśli te drugie nosiły, tak jak ona, okulary chroniące przed ostrym blaskiem. Praktycznie nie dało się odróżnić, do jakiego gatunku istot czujących zaliczali się poszczególni przechodnie, na całe szczęście, ponieważ publiczne telebimy wciąż wrzały z nienawiści mimo zimna panującego wokół i rozprawiwały o nieuchronnym kryzysie w Rządzie Regionalnym. Metro kursowało normalnie, ale pewnie było straszliwie zatłoczone, a Brunie nie uśmiechało się wcale zamykać w niedużym wagoniku z hordą wściekłych ludzi, postanowiła więc do hotelu Majestic pójść na piechotę. Termometry wskazywały dwadzieścia trzy stopnie poniżej zera. Nic dziwnego, że na ulicach było tak niewielu ludzi, a robotnicy pracujący przy rozmrażaniu ruchomych chodników poruszali się w zwolnionym tempie, podobni do astronautów w stanie nieważkości, niezgrabni, opatuleni w niezliczone warstwy taniej ciepłej odzieży. Błękitne niebo lśniło jak chińska laka i cudownie kontrastowało z nieskazitelną bielą świeżo spadłego śniegu. Zastygłego lodowatego powietrza nie mącił najłżejszy podmuch wiatru. Bruna zaczęła czerpać

przyjemność ze spaceru.

Dlaczego zabójcy fałszerza pamięci jej nie zamordowali? Przecież mogli to zrobić. A skoro nie chcieli jej zabić, to dlaczego ją zaatakowali? Mogli przecież z łatwością uciec, nie narażając się na to, że ich zobaczy, po co więc na nią napadli? Chcieli ją przestraszyć? Zranić na tyle ciężko, żeby im nie przeszkadzała? A może zrobili to, żeby ukraść jej broń? Ostatnie przypuszczenie napełniło ją niepokojem - powinna jednak zapytać Lizarda, czy przypadkiem nie znalazł jej plazmowego pistoleciku.

Z drugiej strony: kto wiedział, że ona wybiera się na spotkanie z zamordowanym pamięciarzem? Oczywiście Pablo Nopal. Tylko że stworzenie tak zawiłego scenariusza wydało jej się planem zupełnie nedorzecznymi i zbyt skomplikowanym: umówienie jej na spotkanie z pamięciarzem, wynajęcie własnego mieszkania, zamordowanie faceta w jej obecności, a w końcu zaatakowanie samej Bruny. To przeczyło logice: po co Nopal miałby to wszystko wymyślać, skoro spokojnie mógł zrealizować swój plan przy tylu innych okazjach, w jakiś prostszy sposób... A może nie? A jeśli to tamten fałszerz mu nie ufał? I jeśli Nopal ściągnął go do swego domu, używając jej jako przynęty? A atak na nią miał stanowić zasłonę dymną dla wcześniej zaplanowanego morderstwa? I wreszcie, czy Nopal nie był specjalistą od pisania zawiłych scenariuszy? I jednocześnie specjalistą od zabijania, jak twierdził Lizard.

Zresztą Paul Lizard również znajdował się w kręgu podejrzanych, Paul, który pojawiał się i znikał w najbardziej odpowiednim momencie. Zagadkowy olbrzymi, który już dwukrotnie uratował ją przed tajemniczymi napastnikami. Dwukrotnie w przeciągu jednego tygodnia. Cóż za nieprawdopodobny zbieg okoliczności, nie omieszkałby zauważyć pamięciarz. Nie wspominając już o niezwyklej uprzejmości inspektora, propozycji współpracy, przyjaźni, o którą nie prosiła, a którą on zdawał się jej ofiarować. Dlaczego nafaszerował ją narkotykami wczorajszego wieczoru? Co robił, kiedy ona spała? Na pewno przeszukał jej rzeczy i wtedy natknął się na kompfona od Mirari. Czy poszedł do jej mieszkania, żeby je przetrząsnąć? A może i do pokoi w hotelu? Czy wścibski Lizard wie o istnieniu Annie Heart, o jej kontaktach z supremacjonistami, o pokojach wynajętych w Ma-jesticu? Policja pewnie też jest we wszystko zamieszana, podejrzewała Myriam Chi. Na pewno jest. To operacja na ogromną skalę.

Cztery lata, trzy miesiące i trzynaście dni. Myśl o możliwej czy nawet bardzo

prawdopodobnej zdradzie inspektora przyprawiała ją o mdłości. Oto znów zostawała sama, zupełnie sama przy ograniczonym czasie i w obliczu pewnej śmierci, równie samotna jak niedźwiedzie przed wymarciem, tak samotna, jak wy tłumaczył jej to Virginio Nissen w trakcie ostatniej sesji. Przypomniała sobie o psychoterapeucie, bo właśnie mijala Galerię Zdrowia, gdzie Nissen miał swój gabinet. Tknięta nagłym impulsem, skręciła w stronę galerii. Tuż przy wejściu minęła się z młodą zapłakaną kobietą, która musnęła Brunę gorącym tchnieniem cierpienia. Każdy idzie przez życie, ciągnąc za sobą worek trosk, często powtarzał Yiannis.

W galerii handlowej nie było zbyt wielu ludzi, a przynajmniej jedna trzecia sklepów nie pracowała: prawdopodobnie sprzedawcy nie dotarli na miejsce z powodu ataku zimy. Bruna zauważyła co najmniej dwie nowości od ostatniego razu: po pierwsze, lokal Memofree, popularnej firmy zajmującej się wymazywaniem pamięci. I choć pamięcią manipulowano już od stu lat, Memofree wykorzystywała nowoczesną i rewolucyjną maszynę, wynalazek Turka Gaya Ximena. Nowatorstwo Ximena polegało na obniżeniu kosztów tej operacji, tak że stała się ona dostępna dla masowego odbiorcy. „Selektywny wymazywacz pamięci od 300 gai”, głosiły świetliste litery na wystawie, ale Bruna wiedziała, że usunięcie długich i złożonych wspomnień, które zajmują różne strefy mózgu, mogło kosztować nawet 6 albo 7 tysięcy gai. „Szybko, trwale, pewnie i bezboleśnie: zapomnij o cierpieniu. Całkowita kompatybilność w przypadku androidów”. Ximen 33 od dziesięciu lat wymazywał pamięci i mnóstwo ludzi uzależniło się od tej maszyny - patologicznie niezdolni do znoszenia najdrobniejszych przykrości, raz na miesiąc poddawali się operacji wyciągania zadr z pamięci, pozbywali się jak leci: nieprzyjemnej kłótni, przelotnego kochanka, imprezy, na której nie błysnęli tak, jak się tego spodziewali. Choć trafiały się też osoby z głębokimi ranami w sercu, które odmawiały użycia maszyny. Jak Yiannis. Jak Bruna. Ona wciąż chciała pamiętać o Merlinie, choćby miało jej to sprawiać ból. Być może dziewczyna, która z płaczem wybiegła z galerii, też w ostatniej chwili wycofała się i postanowiła dalej trwać w cierpieniu. Jesteśmy zbudowani również z naszej rozpaczy, pomyślała Bruna. „To działa! 100% gwarancji”.

Drugą nowością była zorganizowana na parterze galerii wystawa sztuki pozaziemskiej, konkretnie gnejskiej, być może pod patronatem lekarza tej nacji, który

przyjmował w gabinecie na pierwszym piętrze. Obrazy, wspaniałe hiperrealistyczne holografie, unosiły się nad ziemią w głównym pasażu. Dzieła dość sporych rozmiarów, cztery na cztery metry, a nawet większe, idealnie czarne. Czworokąty ciężkiej, nieskończonej czerni, identyczne na pierwszy rzut oka, przy spojrzeniu z bliska odkrywały przed widzem subtelne różnice, przyprawiały o zawrót głowy kotłującą się w nich czernią. Ciemności pełne ruchu i światła, niepokojąco dziwne płótna. Ich twórca nazywał się Sulagnes. Uważny obserwator mógł dostrzec, że czarne błyski jakby poruszały się wewnątrz obrazów, powtarzając jedno i to samo zdanie:

Agg'ie nagne 'eggins anyg g nein'yie.

Bruna skierowała kompfona na litery i na wyświetlaczu natychmiast pojawiło się tłumaczenie sentencji z obrazu:

To, co czynię, pokazuje mi to, czego szukam.

Pięknie, pomyślała replikantka, zachwycona refleksją obcego. Tak właśnie było, dokładnie tak. Ta sentencja sprawdzała się zarówno w pracy detektywa, jak i w życiu. Oszłomiło ją odkrycie, że myśl obcego może być jej tak bliska. Ogromne międzygwiazdne przepaści zasypane magiczną potęgą wspólnej refleksji.

Z żalem porzuciła kontemplowanie obrazów i ruszyła do pracowni esencjonalnych tatuaży; przysła do galerii, bo poczuła, że musi porozmawiać z Natvelem. Na szczęście lokal był otwarty, Brunę ogarnął znajomy aromat pomarańczy, złotawy półcień, cisza i spokój. Wszystko wyglądało identycznie jak za jej pierwszej wizyty, miała wrażenie, że cofnęła się w czasie. Zasłona przesunęła się z cichym, szklanym brzękiem, a zza niej wyszła niska, korpulentna tatuażystka. Albo tatuażysta.

- Wiedziałem, że wrócisz - przywitał ją Natvel donośnym barytonem.

I na jego pięknej twarzy wschodniego bożka pojawił się kobiecy uśmiech.

- Ach, tak?

Bruna polubiła esencjalistkę, ale szamańska próżność trochę ją denerwowała.

Właśnie teraz wyczuła w głosie Natvela triumfujący patos, który nie wróżył niczego dobrego.

- Wiedziałam, że będziesz chciała poznać swój wewnętrzny rysunek.

- Aaa. Cudownie, ale...

- Wiem, kim jesteś, wiem, czym jesteś.

- Cieszę się, ale ja nie chcę tego wiedzieć. Nie po to tu przyszedłam.

Natvel westchnęła i skrzyżowała ramiona na swoim wydatnym brzuchu. Wcielenie cierpliwości. Małeńki niewzruszony Budda.

- Chciałam tylko zapytać, czy labaryckie tatuaże mocy robi się laserem?

Pytanie obruszyło esencjalistę na tyle, że porzucił swój zwyczajowy spokój.

- Na kosmiczne tchnienie, oczywiście, że nie! Żaden tatuaż energetyczny nie powstaje przy użyciu tak prymitywnego narzędzia.

- Tatuaż energetyczny?

- To taki, który może przemienić lub skrzywdzić noszącą go osobę... Żywe znaki, które zmieniają twoje życie. Istnieją pozytywne energie, jak tatuaż esencjonalny, ale i negatywne, jak labaryckie pismo mocy, ale w każdym przypadku zostało dowiedzione, że laser uniemożliwia przepływ energii.

- Rozumiem. Jeśli więc ktoś robi tatuaż laserem, używając labaryckiej czcionki mocy...

- ...to jest to jawna i prymitywna imitacja. Oszustwo. A tatuaż nie przyniesie żadnego efektu.

- A kto mógłby coś takiego zrobić?

Natvel zmarszczyła czoło, z roztargnieniem dłużyąc sobie w uchu. Potem uważnie przyjrzała się czubkowi palca, lekko przy tym zezując, i wreszcie wytarła wosk z ucha o tunikę.

- Niewielu jest takich. Po pierwsze, labaryckie pismo mocy nie jest powszechnie znane. To pilnie strzeżony sekret. Przez całe życie widziałam tylko dwa słowa pisane tą czcionką. Pierwsze bardzo dawno temu, nie mogłam go wtedy skopiować. A drugie to imię Jonathan, które pokazałam ci ostatnim razem. Co znaczy, że choć wszyscy słyszeli o tym przeklętym piśmie, prawie nikt nie wie, jak ono w rzeczywistości wygląda. Ale tyje rozpoznałaś?

Bruna zastanowiła się przez moment: oczywiście. „A” w słowie „zemsta” było dokładnie takie jak „a” w słowie „Jonathan”.

- Tak.

- Zatem ów ktoś zna ten alfabet, a zapewniam cię, że zna go wąski krąg wtajemniczonych. Z drugiej strony nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie fałszował

labaryckich liter. To złowrogie i potężne pismo, ktoś, kto się nim zajmuje, może sobie napytać biedy...

- A więc ten, kto to zrobił, nie wierzy w te... - Bruna miała powiedzieć „głupoty”, ale ugryzła się w język - ezoteryczne historie...

- To nie takie proste, nie ma znaczenia, czy wierzysz, czy nie. Pismo mocy jest dobrze strzeżonym sekretem. Jeśli wykorzystasz je w niewłaściwy sposób, grozi ci niespodziewana wizyta Labarytów, którzy są nieprzyjemni, nawet gdy są zadowoleni. Jak sądzisz, dlaczego nie pokazałam tatuażu Jonathana na publicznych telebimach? Dlaczego nie przesłałam go do Archiwum? Jak widzisz, nie robię z tego tajemnicy, bez problemu ci go pokazałam. Ale to co innego niż publiczna prezentacja... Powiedzmy, że jestem ostrożna.

Rozsądna uwaga. Musiał to być więc ktoś zupełnie nieświadomy podejmowanego ryzyka, co, zważywszy na skalę operacji, było dość nieprawdopodobne, albo też ktoś z władzą na tyle dużą, by nie obawiać się tej swego rodzaju mafijnej sekty, jaką w rzeczywistości tworzyli jedynowiercy. A kto mógłby się ich nie bać na Ziemi? Cała planeta pełna była najemników i szpiegów z Kosmosu i Królestwa Labari. Podwójni i potrójni agenci wykorzystywali słabość Państwa Ziemian, wciąż jeszcze rozbitego mimo Unifikacji i z licznymi dziurami w systemie bezpieczeństwa jak wszystkie demokracje.

- Naprawdę nie chcesz tego wiedzieć? - zapytał Natvel.
- Czego?
- Nie chcesz wiedzieć, kim jesteś?
- Doskonale wiem, kim jestem.
- Wątpię.

I udręczona Bruna musiała w duchu przyznać, że istotnie daleko jej było do jasności w owej kwestii. Ale głośno nigdy by tego nie wyjawiała.

- Natvel, dziękuję za współpracę, znów byłeś niezwykle uprzejmy i bardzo mi pomogłeś, ale wolę nie wiedzieć, co tam we mnie widzisz.
- Twój esencjonalny rysunek. Twój kształt. To, czym jesteś.
- No właśnie. Wszystko jedno. Nie chcę tego wiedzieć.
- Gdyby naprawdę było ci wszystko jedno, nie miałabyś nic przeciwko temu, by usłyszeć prawdę. Jest w tobie część ciebie, która w to wierzy. Dlatego się boisz.

Nie chrzań, pomyślała poirytowana replikantka. Nie chrzań.

- Muszę już iść. Jeszcze raz bardzo dziękuję.

Uśmiechnęła się blado i szybko wyszła z pracowni. Za plecami usłyszała jeszcze słowa esencjalistki:

- Linia, która dzieli twoje ciało, nie tylko cię przecina, to również sznur, który cię krępuje...

Drzwi lokalu, zawieszane na starych zawiasach, zamknęły się z hukiem za Bruną. Pocziwy człowiek z tego Natvela, ale jego natchnione uwagi złościły replikantkę.

Wyszła z Galerii Zdrowia i ruszyła w stronę hotelu Majestic marszowym krokiem, choć stłuczone żebra nieco jej dokuczały. Powietrze było gęste i zimne, prawie dało się go dotknąć, ciało Bruny przecinało powietrzną masę niczym statek tnący morze lodu. Szła ze wzrokiem utkwionym w ziemi, skupiona na drodze, kiedy usłyszała szokującą wypowiedź:

- ...i oto nareszcie upadł ten rząd, który prowadził nas ku katastrofie.

Uniosła głowę: to była wiadomość z publicznego telebimu. Wszystkie telebimy pluły wściekłością na Inmaculadę Cl*uz, odwieczną prezydent Regionu. Bruna ściągnęła na kompfona najświeższe wiadomości i dowiedziała się, że narastający kryzys rządowy miał swoje apogeum w czasie ataku polarnej zimy. Prezydent Cruz podała się do dymisji i jakiś nieznany polityk, Chem Cones, tymczasowo przejął obowiązki prezydenta. Bruna sprawdziła w sieci nazwisko „Cones” i przeczytała jego biografię: ekstremista, segregacjonista, uczeń Hericia... jego pierwszą decyzją jako pełniącego obowiązki prezydenta było odwołanie wszystkich repów zajmujących stanowiska w rządzie. „To jest chwilowe rozwiązanie, aby uchronić ich i nas; prowadzimy śledztwo w sprawie możliwego spisku androidów i na razie nie wiemy, czy wśród naszych kolegów z rządu nie ma przypadkiem kogoś zamieszanego w ów spisek. Jeśli nie zrobili niczego złego, nie mają powodu do obaw, ale wobec tych, którzy chcą nas zdradzić, wyciągniemy daleko idące konsekwencje”, perorował do grupy dziennikarzy. Na innych telebimach widać było Hericia triumfalnie witającego się z tłumem. „Lider Partii Supremacjonistów jako jedyny może nas uratować w tej niebezpiecznej chwili”, deklarowała Maria Lucrecia Wang, autorka poczytnych powieści interaktywnych. „Ufam tylko Hericiowi”, wyznawał piłkarz Lolo Baño. Brunę przeszedł dreszcz: do stu umęczonych replikantów, co tu się,

do cholery, dzieje? Nagle lider supremacjonistów z postaci śmiesznej i marginalnej przeistacza się w nadzieję ludzkości? Łapczywie zaczerpnęła lodowatego powietrza, bo czuła, że się dusi. To było smutne, niemal zmysłowe doznanie rzeczywistości, która powoli się wokół niej zamykała, niczym klatka.

Weszła do hotelu, udała się do pokoju Annie i przed zrobieniem makijażu zadzwoniła do Lizarda i przekazała informacje uzyskane od Natvela o piśmie labaryckim. Inspektor wysłuchał jej poważny i milczący, a kiedy Bruna skończyła opowieść o wizycie u esencjalisty, zapadła długa i krępująca cisza.

- Nic więcej? - pierwszy odezwał się Paul.
- To wszystko, czego dowiedziałam się od Natvela.
- A ty nie masz mi już nic do powiedzenia?
- A co chciałbyś usłyszeć?
- Nie wiem, ty powinnaś to wiedzieć... może o nielegalnym komponie, o tym, czym się teraz zajmujesz. Na przykład co porabiasz w hotelu Majestic?

Zdenerwował ją.

- Wkurza mnie to nieustanne namierzanie.

Paul spojrzał surowo.

- Bruno, sytuacja jest poważna, nie wiem, czy masz tego świadomość. Ogólnie nie jest za ciekawa, ale w twoim przypadku jest bardzo poważna... Znaleźliśmy ciało Dani...

- Dani? Kto to jest Dani? Kolejna zamordowana replikantka?

Na ekranie ukazała się twarz kobiety.

- Nie znasz jej, Bruno?

Owszem, chyba ją znała... A przynajmniej powinna. Twarz wyglądała znajomo. Bruna zasłoniła dłonią oczy i spróbowała sobie przypomnieć. Odtworzyła rysy kobiecej twarzy w mrokach wyobraźni i spróbowała ożywić tę twarz. Wtedy ją rozpoznała. Odkryła oczy i spojrzała na Paula.

- To jedna z bandy, która mnie zaatakowała tamtej nocy, kiedy wracałam z cyrku.

Wyglądała na szefa całej grupy.

Paul powoli pokiwał głową.

- Dani Kohn. Segregacjonistyczna aktywistka. Panienska z dobrego domu. Córka Phi Kohn Reyes, dyrektor generalnej Czystych Wód, znanej bizneswoman i

multimiliarderki. Grubej ryby. Śmierć Dani to potężny cios.

Znów milczeli przez chwilę.

- Kiedy widziałaś ją po raz ostatni?

Replikantka wyostrzyła czujność. Mieszanka strachu i gniewu podeszła jej do gardła.

- Tamtej nocy, kiedy chciała mi rozwalić głowę. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy widziałam to indywiduum. Dlaczego pytasz? Coś insynuujesz? Czego ty szukasz, Lizard?

- Zabili ją z małego plazmowego pistoletu... Z twojego pistoletu, Bruno. Jest na nim pełno twoich odcisków i twojego DNA.

Bruna wypuściła powietrze, bo zupełnie nieświadomie wstrzymała oddech. Zimny pot rozlał się jej po plecach.

- A, pistolet. No tak. Miałam pistolet plazmowy. Oczywiście nielegalnie. Przyznaję się do tego. Ale mi go zabrano. Wczoraj wieczorem, kiedy zaatakowali mnie mordercy pamięciarza. I teraz tak sobie myślę, że właśnie dlatego mnie zaatakowali. Żeby zabrać pistolet i zrobić mnie w zabójstwo.

Paul potakiwał, zagryzając wargi. Twarz mu stężała pod wpływem silnych emocji. Być może powstrzymanego gniewu. A może smutku.

- Nie powinienem był ci tego wszystkiego mówić. Jesteś podejrzana, Bruno. Ja wiem, że to nie ty strzelałaś do Dani, bo ona zginęła nad ranem, a ty byłaś wtedy w moim domu, spałaś, byłaś pod wpływem środków nasennych, byłaś ze mną...

To „ze mną” Bruna poczuła głęboko w trzewiach.

- Ale ukrywasz przede mną różne rzeczy. Nie powinienem ci ufać. Może to prawda, że replikanci zawiązali spisek, nigdy nic nie wiadomo. Nie ufam tak samo ludziom, jak i repom. Każdy może okazać się zwykłym łajdakiem. Być może ty chcesz mnie zabić...

- Być może ktoś zastawił na mnie pułapkę.

- Tak. To byłaby najbardziej satysfakcjonująca nas hipoteza. Niestety, nie wierzę w podobne hipotezy. Choć staramy się w nie wierzyć wbrew zdrowemu rozsądkowi.

- Może... może to jest o wiele prostsze. W czasie walki strzeliłam z plazmy. Może Dani była wśród napastników, może ją wtedy zraniłam, a ona zmarła parę godzin później.

- To była egzekucja, Bruno. Strzał z bliska w tył głowy, tuż przy uchu.

Natychmiastowa śmierć. I miała miejsce około piątej nad ranem.

- W takim razie...
- W takim razie przestań mnie okłamywać i wszystko mi wyjaw.

Jak ma wytłumaczyć Lizardowi, że nie do końca mu ufa, a nawet odczuwa przed nim dziwny lęk. A jednak... Bruna wzięła głęboki oddech i opowiedziała inspektorowi o wszystkim, czego jeszcze nie wiedział. Opowiedziała o Annie Heart i jej spotkaniu z Hericiem, jakby zbiegała na oślep po oblodzonym pagórku, w oszołomieniu próbując opanować lęk przed roztrzaskaniem się gdzieś w dole.

- Kto wiedział o spotkaniu z fałszerzem pamięci?
- Zastanawiałam się nad tym... Nopal, to jasne. I Habib... ale on nie znał ani dnia, ani godziny. No i mój przyjaciel Yiannis, ale on jest poza wszelkimi podejrzeniami.

„I ty - dodała w myślach. - Ty też wiedziałeś, Lizard”.

- Nikt nie jest poza wszelkimi podejrzeniami - mruknął inspektor.

Po tych słowach skończył rozmowę, a Bruna została z ogromnym niepokojem w duszy. Przypomniała sobie o Maiu. Obcy czytał jej w myślach, a zatem mógł bez problemu dowiedzieć się o planowanym spotkaniu. Poza tym pochodził z pozagalaktycznej cywilizacji, z odległego świata, w którym mógłby się bezpiecznie schronić przed odwetem labaryckich zbirów. Tak, oczywiście, Maio był uchodźcą politycznym i niewątpliwie naraziłby życie, powracając na swoją planetę, ale... Do jakiego stopnia mogła mu wierzyć? Idąc dalej, co tak naprawdę Ziemianie wiedzieli o stworach? A jeśli obcy próbowaliby wzniecić nienawiść między gatunkami, aby naruszyć równowagę na Ziemi i w ten sposób ułatwić sobie jej kolonizację, jak głosiły środowiska ksenofobów? Bruna zawstydziała się swoich myśli i zepchnęła ten irracjonalny lęk głęboko w podświadomość: ogromna odległość dzieląca oba światy raczej nie sprzyjała kolonizatorskim wyprawom. Co nie zmieniało faktu, że Maio mógł być zamieszany w jakiś spisek. Na przykład dla pieniędzy. Teraz, gdy jeszcze raz sobie wszystko przemyślała, uznała, że być może nie przypadkiem Omaajczyk wylądował w jej łóżku. A o czym mógł świadczyć jego upór w czatowaniu przed bramą? Na wielkiego Morlaya, popadam w paranoję, nie dość, że wszystkich wokół podejrzewam, to na dodatek gdy ktoś tylko okaże mi troskę, od razu wydaje mi się jeszcze bardziej podejrzany.

Zatęskniła za swoimi w połowie ułożonymi puzzlami - potrzebowała odpoczynku, a

układanka stanowiła idealny sposób na szybkie oderwanie się od ponurej rzeczywistości. Nie miała jednak za dużo czasu, więc szybko się umalowała i nałożyła perukę Annie Heart. Otulona w hotelowy szlafrok, za pomocą kompfona kupiła w sklepie Express ciepłe ubranie dla swojej bohaterki. Czekając na robota, porozmawiała z Yiannisem i wysłała wiadomość do Habiba: obaj byli bardzo przejęci sytuacją polityczną. Ubranie dostarczono jej w niecałe dwadzieścia minut: sklepy Express były drogie, ale niezawodne. Włożyła różowy kombinezon i pikowaną kurtkę, jej zdaniem okropną, natomiast bardzo w guście blond Annie, a potem wyjęła z sejfów dwa naszyjniki, perfekcyjny dodatek specjalnie na taką okazję: nie ma nic lepszego niż biżuteria, by dopełnić przebrania zwykłej, choć żadnej mocnych wrażeń dziewczyny. Odrzuciła delikatny złoty wisior, który nie pasował do ciepłej odzieży, ubrań i wybrała inny klejnot, swój ulubiony: stare netsuke z kości słoniowej, uśmiechniętego człowieczka z workiem na ramieniu, zawieszzonego na sznurze rubinów i paciorków ze złota. Stanowił część jej pakietu fałszywych pamiątek: miała go otrzymać przed śmiercią od matki. To było dość niezwykle, ponieważ paczka z pamiątkami wręczana replikantom zawierała przedmioty raczej popularne: zabawki, obrazki holograficzne, tanie pierścionki. Bruna poszła ze swoim netsuke do eksperta, który zaświadczył, że to autentyczny chiński wyrób z epoki Ming. Bardzo wytworna biżuteria. Bruna ceniła ją nie tyle za materialną wartość, co za zabawną niezwykłość i wzruszenie, jakie chiński człowieczek w niej wzbudzał. I choć wiedziała, że jej matka nigdy nie istniała, darzyła netsuke czułą miłością, mającą swój daleki początek w jej nieistniejącym dzieciństwie. Gdzieś głęboko w niej samej. Kiedy miała ze sobą człowieczka z workiem na plecach, czuła, że on ją chroni. A potrzebowała ochrony w starciu z Hericiem, który ostatnio wyrósł na olbrzyma. Założyła naszyjnik, sprawdziła, czy zapięcie dobrze trzyma, rzuciła ostatnie, pełne zadowolenia spojrzenie w lustro i zeszła do baru, kołysząc się na wysokich, antypoślizgowych obcasach modnych śniegowców. Również różowych i obrzydliwych.

Usiadła na stołku przy barze, do czwartej brakowało dwudziestu minut. Nie było żadnych klientów, kelner szybko się zjawił. Bruna zamówiła wódkę z sokiem cytrynowym i stosik kanapek na zimno, które od razu zaczęła jeść, nie chciała zemdleć z głodu na spotkaniu z Hericiem. Kiedy nadszedł Serra, na talerzu pozostała jedna kanapka.

- Tajemnicza Annie Heart - przywitał ją supremacjonista.

Nie wyglądał na zadowolonego.

- Nie ukrywasz przede mną niczego, prawda? Bardzo by mi się to nie spodobało.

- Skąd ten pomysł, że coś ukrywam? Poczęstujesz się kanapką?

Serra pokręcił głową. Nie spuszczał jej z oczu.

- Tym lepiej - skostatowała replikantka, z rozkoszą zatapiając zęby w sandwiczu.

Z serem i z orzechami. Bartolo zjadłby ją ze smakiem, pomyślała bezwiednie.

- Co ci się stało?

- Nie rozumiem? - wymamrotała z pełną buzią.

- Tu. I tu. Jesteś cała w siniakach.

Replikantka przez chwilę giyzła i przetykała w milczeniu. Potem odpowiedziała sucho:

- Wypadek.

- Jaki wypadek?

- Drogowy.

- Uderzył cię samochód?

- Uderzyły mnie pięści dwóch repów.

Serra przyjrzał się jej z uwagą, z niedowierzaniem, ale widać było, że jest pod wrażeniem.

- Naprawdę?

- No cóż, tak naprawdę to kazałam im się usunąć z drogi, zejść z ruchomego chodnika.

- I co?

- Nie zesli.

- Dlatego nie odbierałaś telefonu.

- Byłam w szpitalu.

- Złożyłaś doniesienie?

- Nie. Po co? Te sędziowskie filorepy nigdy im nic nie robią. Sam zresztą wiesz, jak to działa. Te potwory cieszą się całkowitą bezkarnością.

- Wiesz, kim byli? Pokaż mi ich, a zobaczysz, co się stanie z ich bezkarnością - przechwalał się Serra, dumnie wypinając pierś.

- Nie, możesz zrobić dla mnie coś lepszego. Potrzebuję pistoletu plazmowego.
- Pistoletu? Poważna sprawa.
- Proszę cię o to, bo jestem przekonana, że jeśli ktoś może mi załatwić broń, to tylko ty - przymilała się Bruna, nie szczędząc pochlebstw.

Mężczyzna dał się złapać na lep i zgrywał bohatera:

- No nie wiem. To nie takie proste.
- Potrzebuję tego pistoletu. Wystarczy jakaś nieduża plaz-mówka. Oczywiście zapłacę, ile trzeba. Pozwolisz, żeby na mnie bezkarnie napadano, skoro możesz temu zapobiec? Życie robi się coraz brutalniejsze, a najbliższa przyszłość rysuje się w czarnych barwach. Wszyscy ludzie powinni nosić broń przy sobie.

Serra energicznie pokiwał głową.

- To oczywiste. W programie naszej partii domagamy się prawa do obrony.

Dobrze, zobaczę, co się da zrobić. A teraz już chodźmy. Hericio czeka.

Bruna wstała. Serra tracił dla niej głowę. Położyła dłoń na jego nadmuchanej kłacie.

- Tylko musisz mi go załatwić już. Jutro wracam do Nowej Barcelony.

I dla wzmocnienia efektu wtuliła głowę w jego szyję, chociaż musiała się nieco pochylić.

- Pomożesz mi, co? - poprosiła przymilnie.

Serra uśmiechnął się triumfalnie, z wyższością.

- Oczywiście. Nie martw się, dostaniesz swój pistolecik.

I złapawszy Brunę za łokieć, z miną szczęśliwca wyprowadził ją z baru.

Czego się nie robi, żeby załatwić sobie broń.

Bruna sądziła, że spotkanie z Hericiem odbędzie się w jakimś ustronnym miejscu, tymczasem udali się do siedziby Partii Supremacjonistów, której ustronną nie można było nazwać. Przed głównym wejściem, mimo panującego zimna, kłębił się dziki tłum: dziennikarze, policjanci i sympatycy partii. Wyglądało na to, że w ostatnich godzinach zwolennicy supremacjonizmu rozmnożyli się w postępie geometrycznym. Po drugiej stronie ulicy kilkunastu apokaliptyków przy wtórze bębenków z zadziwiającą radością głośliło nadejście końca świata. Serra torował sobie drogę, gęsto rozdając kuksańce, replikantka podążała jego śladem. Bez trudu pokonali kordon policyjny, a potem pierścień partyjnych ochroniarzy, młodych i nerwowych. Kiedy ich mijali, Serra

obcesowym tonem przypominał, by uważali na to, co się wokół dzieje, zupełnie niepotrzebnie, tylko dlatego że czuł się ważny i rozpierała go duma, że z taką łatwością otwierają się przed nim drzwi dla innych zamknięte, pochlebiały mu pełne zazdrości spojrzenia rzucające przez ludzi z tłumu oraz świadomość, że przynależy do ścisłego kierownictwa partii, która z dnia na dzień stała się liderem. Prężył się i wysoko zadzierał głowę, sprawiał wrażenie, jakby urósł o parę centymetrów. Na jednym z publicznych telebimów pojawiło się ich zdjęcie, zrobione w chwili, kiedy przekraczali bramę - ktoś z tłumu musiał na gorąco je przesłać. Nadęty Serra przybrał poważną minę, odgrywając z namaszczeniem rolę Ważnego Polityka Bardzo Przejętego Sytuacją.

- Niezły kocioł - stwierdził, już w środku.

I mimowolnie się uśmiechnął, a wyglądał przy tym jak uradowana małpka.

Siedziba PS znajdowała się w obrzydliwym biurówcu, na czwartym piętrze, w ogromnym, zaniedbanym mieszkaniu pełnym krętych korytarzyków i ciemnych klitek. Drzwi na klatkę schodową były otwarte, przelewały się przez nie tłumy ludzi, panowała atmosfera rozgorączkowanego chaosu.

- Chodź za mną.

Przebyli labirynt pomieszczeń poprzegradzanych tanimi parawanami i lichy oświetlonych pokoi bez okien.

- Trochę tu ciasno, choć do tej pory lokal dobrze nam służył, czynsz nie jest wysoki. Ale teraz, kiedy nasza partia zyskuje na znaczeniu, będziemy musieli poszukać odpowiedniej siedziby.

Wreszcie doszli do gabinetu, umeblowanego nieco porządniej i pilnowanego przez chłopaka uzbrojonego w dwa pistolety plazmowe w kaburach, których paski krzyżowały mu się na piersi. Co za bezczelność, pomyślała Bruna, chyba czują się całkowicie bezkarni.

- Jesteśmy umówieni - mruknął Serra.

Chłopak bez słowa skinął głową i nacisnął wyświetlacz komputera. Za jego plecami z trzaskiem otwarły się opancerzone drzwi.

- Idź sama. Kiedy wyjdiesz, zapytaj o mnie - polecił Serra.

Za drzwiami krótki korytarzyk prowadził do kolejnych

opancerzonych drzwi, które odblokowały się samoczynnie, gdy Bruna do nich

podeszła. Otworzyła je. Gabinet Hericia był duży, prostokątny, na prawej ścianie znajdowało się jeszcze dwoje drzwi i okno balkonowe. Mężczyzna stał właśnie przy nim, w zamyśleniu kontemplując sytuację za szybą, a replikantka miała wrażenie, że Hericio także gra rolę, zupełnie jak Serra, wcielając się w postać Lidera Rozważającego Swoją Historyczną Odpowiedzialność. Bruna przeszła przez pokój, mocno kołysząc biodrami, całkowicie poddając się stylowi Annie Pogromczyni - jeśli mamy grać, pomyślała, zagramy we dwójkę.

- Annie, Annie Heart... nareszcie się spotykamy. - Mężczyzna wyciągnął rękę na powitanie. - Proszę, usiądźmy tu, tak będzie najwygodniej.

Zajęli dwa fotele obite sztuczną skórą. Okno balkonowe, jak zauważyła Bruna, wcale nie istniało. Była to tylko zapętłona projekcja widoku ulicy, podobnie jak obrazki w mieszkaniu fałszerza pamięci... to znaczy w domu Pabla Nopala. W rzeczywistości gabinet stanowił swego rodzaju twierdzę, z pancernymi drzwiami i bez okien. Fałszywe okno, sztuczna skóra i fałszywy lider.

- Jak zrozumiałem, chciałabyś dokonać darowizny na rzecz partii. Wybacz, że mówię o tym bez przydługich wstępów, ale jak widzisz, jestem bardzo zajęty. Sprawy nabrały rozpędu, nie mam czasu do stracenia - oznajmił pompatycznie.

Po czym zastanowił się przez moment nad tym, co powiedział, i być może doszedł do wniosku, że był zbyt obcesowy.

- To znaczy nie do stracenia, w twoim przypadku, ale na przyjemności, na luźną rozmowę, na pogawędkę. Nie mam zbyt wiele czasu na nasze spotkanie, bardzo nad tym ubolewam...

- W porządku, Hericio, rozumiem. I naprawdę doceniam, że mimo niesprzyjających okoliczności zechciałeś mnie przyjąć. Ale musisz zrozumieć, że ja chcę zdobyć pewność, że moje pieniądze trafią tam, gdzie powinny.

- Bądź spokojna. Przez stronę OOF dowiesz się, jak wydaliśmy każdą z twoich gai. Wszystko zostanie wykorzystane dla dobra partii. Niestety, nasz OOF właśnie dobiega końca. Musisz dokonać darowizny w ciągu dziesięciu dni.

- To akurat nie problem i nie to mnie martwi. Zresztą jestem gotowa przekazać pieniądze, nawet omijając prawo. Interesuje mnie tylko, czy Partia Supremacjonistów na to zasługuje. Czy ty zasługujesz...

Hericio nerwowo uniósł głowę.

- Widziałaś tych wszystkich ludzi tam na dole? Na ulicy? Oni wszyscy nas proszą, żebyśmy interweniowali i ratowali sytuację. Annie Heart, posłuchaj, parę lat temu, kiedy byliśmy jak głos wołającego na puszczy, być może błagalibyśmy o twoje wsparcie. Ale dzisiaj... To ty prosiłaś o spotkanie. Jeśli chcesz uczestniczyć w naszym ponadczasowym projekcie, jeśli chcesz przyczynić się do odrodzenia ludzkości, po prostu zrób to. A jeśli nie, możesz spokojnie wyjść tymi drzwiami.

Mówił coraz bardziej podniosłym tonem, a zakończył, jakby przemawiał na wiecu. To dlatego przyjął ją dziś właśnie tu, w swojej siedzibie. Chciał ją oszołomić swoim sukcesem. Był jak sprzedawca i sprzedawał swoją partię w okresie hossy. Replikantka poprawiła włosy i uśmiechnęła się szeroko.

- A mnie się wydaje, że to ty powinieneś mnie przekonać.

Pewność siebie Bruny nieco zmieszala polityka. Mężczyzna rozparł się w fotelu, zetknął dłonie opuszkami palców niczym kaznodzieja i spojrzał podejrzliwym wzrokiem.

- Czy mogę wiedzieć, o jakiej sumie rozmawiamy?

- O dziesięciu milionach gai.

Hericio wyprostował się gwałtownie.

- Nie masz takich pieniędzy, Annie.

- To nie tylko moje pieniądze. Nie wspominałam o niczym Serrze, bo informacja jest poufna i jego to nie dotyczy, ale przybywam tu jako wysłanniczka wielu wysokiej rangi specjalistów i przedsiębiorców z Nowej Barcelony. Ludzi powszechnie znanych. Utworzyliśmy supremacjonistyczną grupę nacisku, oczywiście niejawną, jesteśmy zwolennikami bezpośrednich działań. I jesteśmy rozczarowani większością ugrupowań partyjnych, które doprowadziły do tej godnej pożałowania sytuacji. Mamy podstawy sądzić, że PS jest inna. Przypatrywaliśmy się twoim poczynaniom, słuchaliśmy, co mówisz, i to się nam podoba... I wiedząc, że poprosiłeś o OOF, postanowiliśmy skorzystać z okazji i zapytać, czy to oznacza, że masz jakieś konkretne plany. Choć przyznaję, że na razie nie jesteśmy do końca przekonani, że stoimy po tej samej stronie.

Na twarzy mężczyzny odmalowały się najróżniejsze uczucia: próżność, chciwość, niedowierzanie, podniecenie, strach, wahanie. Zwyciężyła chciwość.

- A co musiałbym zrobić, żeby was przekonać?

- Lepiej mi powiedz, co już zrobiłeś! Nie wierzymy w słowa, tylko w czyny.

Opowiedz mi więc, czym tak naprawdę zajmujecie się w PS.

Mężczyzna wyglądał na mocno zdziwionego.

- Nie rozumiem.

Bruna przyszpiliła go wzrokiem.

- Zagrajmy w otwarte karty. Niektórzy z nas, w Nowej Barcelonie, sądzą, że Partia Supremacjonistów ma coś wspólnego z ostatnimi morderstwami repów. No wiesz, Chi i cała reszta.

Teraz zwyciężyło niedowierzanie. Mocno zdenerwowany Hericio zaczął mówić głosem o ton wyższym.

- Oskarżacie nas o morderstwo?

- Uznaliśmy tylko, że to idealnie poprowadzona kampania budzenia gniewu i wyrywania z letargu ludzkiej świadomości. Prawdziwy majstersztyk socjotechniki.

- Za kogo ty się uważasz? Wydaje ci się, że możesz przyjść tu znikąd i rzucać na nas takie oskarżenia?

- Nie przychodzę znikąd. O ile wiem, prześwietliliście moją tożsamość. Znacie wszystkie szczegóły mojego życia. Znasz nawet stan mojego konta, z tego, co słyszę. Jestem cenionym i znanym naukowcem. Teraz powtórzę to, co powiedziałeś wcześniej. Jeśli chcesz, musisz mi zaufać i udowodnić, że my możemy zaufać tobie, a dziesięć milionów będzie do twojej dyspozycji. Ale jeśli to ci nie odpowiada, mogę spokojnie wyjść tymi drzwiami.

Hericio przełknął ślinę.

- Dla mnie ten układ nie jest do końca jasny. Nawet nie wiem, czy naprawdę dysponujesz taką sumą.

- A dla mnie nie jest jasne, czy naprawdę stoimy po tej samej stronie i czy chcemy tego samego.

Nastąpiła chwila niewygodnej ciszy.

- Masz pełno siniaków - zauważył mężczyzna, wskazując je palcem.

- Mam je od urodzenia - odparła replikantka zjadliwie.

Spojrzał z niedowierzaniem i powrócił do tematu.

- A co chciałabyś usłyszeć? Cieszyłem się z każdej z owych śmierci, a zwłaszcza z

żałosnego końca tej niewydarzonej Chi. Cieszyłem się nawet, czemu jednakże zaprzeczę, jeśli to publicznie powtórzysz, no więc cieszyłem się z masakry po samobójczym zamachu tej całej Nabokov. Każda śmierć jest tragedią, zwłaszcza śmierć dziecka, jak w ostatnim przypadku, ale ta rzeź poruszyła wreszcie świadomość ludzi, a jak wiadomo, żadna rewolucja nie obejdzie się bez ofiar. I prawdę mówiąc, to niezbyt wysoka cena, jeśli wystarczy, by uratować społeczeństwo przed degeneracją. Ale ani ja, ani moja partia nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

- No tak. A teraz co zamierzacie?

- Stać na czele przemian, rzecz jasna. Jesteśmy w kontakcie z innymi ugrupowaniami supremacjonistycznymi z całego świata. W ostatnich dniach doszło do wielu zamieszek pod hasłem rewindykacji naszych praw. Żadne nie są porównywalne z tym, co dzieje się u nas, ale widać wyraźnie, że na świecie rodzi się ruch sprzeciwu wobec obecnej haniebnej sytuacji.

- No tak, jasne, ale mówimy o tym, co tu i teraz. O faktach, nie o słowach. Jaki będzie wasz następny krok? Bo obecna sytuacja wymaga jakiegoś efektownego ciosu. Ostatecznego pchnięcia. Idealnie byłoby, gdyby ofiarą repa padł, dajmy na to, Chem Conés. W końcu jest jednym z twoich uczniów, znanym supremacjonistą, na eksponowanym, ważnym stanowisku, pełni obowiązki prezydenta Regionu. Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak jego śmierć przysłużyłaby się naszej sprawie...

Twarz Hericia rozjaśniła się na moment. Bruna pochyliła się do przodu i wyszeptwała:

- Moglibyśmy ci w tym pomóc. Profesjonalnie, skutecznie i pewnie...

Emocje zgasły. Mężczyzna wstał i zaczął krążyć po pokoju.

- Nie mogę ci nie przyznać racji. Jego śmierć byłaby dla nas niezwykle korzystna. Męczennik. Tak, nasze ugrupowanie potrzebuje męczennika... - wybełkotał.

Zatrzymał się na środku pokoju i spojrzał na Brunę.

- Ale do tego nie dojdzie. To niemożliwe. Nigdy nie przyłożę ręki do czegoś podobnego, ani nie pozwolę, by PS w coś takiego została wmieszana. A wiesz dlaczego, Annie Heart? Nie z braku odwagi czy determinacji. Nie z powodu moralnych rozterek, bo wiem doskonale, że nadrzędne dobro dostatecznie usprawiedliwia małe krzywdy. Ale kiedy dokonujesz takiego czynu, podejmujesz ryzyko, że sprawa kiedyś wypłynie.

Zapewne nie od razu, póki żyjesz, jesteś w stanie to ukrywać. A po śmierci? Przychodzą

historycy i archiwiści i rzucają się jak sępy, wszystko rozgrzebują. A ja muszę dbać o mój prestiż, Annie Heart. Moim przeznaczeniem jest stać się jedną z wielkich postaci w historii ludzkości. Jestem odnowicielem ludzkiej rasy. Zbawcą naszego gatunku. Przyszłe pokolenia będą mnie wspominać z wdzięcznością i szacunkiem. I ja muszę dbać o moją spuściznę! Nie powinienem dostarczać moim wrogom argumentów, których nie będę mógł odeprzeć. Dotychczas nie musiałem sobie brudzić rąk i nie zamierzam robić tego teraz, kiedy wstępuję w bramy wieczności.

On to mówi na poważnie, zauważyła w duchu zdumiona Bruna. Zdumiona do tego stopnia, że, jak się właśnie zorientowała, słuchała jego przemowy z otwartą buzią. Szybko ją zamknęła. Oczywiście nie spodziewała się, że lider supremacjonistów otwarcie przyzna się do udziału w spisku, chciała jedynie sprawdzić, jak zareaguje na jej rewelacje. Zarzucić przynętę na wzburzone wody, jak mawiał Merlin. Nie przypuszczała jednak, że może zareagować w taki sposób. Facet wierzył w to, co mówił. Kompletny idiota. Miała mocne przeczucie, prawie pewność, że Hericio nie miał nic wspólnego ze śmiercią Chi i pozostałych repów. Chyba że jest wyśmienitym aktorem. Poczula, jak ognista obręcz uciska jej skronie. To była cena, jaką płaciła za udawanie kogoś innego i głoszenie tych obrzydliwych supremacjonistycznych haseł. Za sprawianie pozorów, że nienawidzi replikantów, a nawet uwierzenie w to przez chwilę, by wypaść bardziej wiarygodnie. Dysonans spowodował potężny ból głowy. Cztery lata, trzy miesiące i trzynaście dni. Cztery lata, trzy miesiące i trzynaście dni.

- W porządku. Teraz mam jasność w kwestii twoich poglądów - oznajmiła Bruna, wstając z fotela.

- A co się stanie z pieniędzmi?

- Muszę porozmawiać z resztą - udzieliła dwuznaczonej odpowiedzi.

Skruszony Hericio posmutniał, żegnając się w myślach z dziesięcioma milionami.

- Moglibyśmy dokonać wspólnie wielkich rzeczy - próbował jeszcze szukać kompromisu.

- Moglibyśmy. Jeśli zmienisz zdanie w omawianych kwestiach, zostaw dla mnie wiadomość w hotelu Majestic. Będę tam dzwonić przez najbliższy miesiąc, czekam...

Drzwi zamknęły się za nią i Bruna odetchnęła z ulgą. Przeszła przez korytarzyk i znalazła się w przedsiionku biura. Chłopak z pistoletami wciąż tam stał, co gorsza, stał

tam też Serra. Na wielkiego Morlaya... głowa jej pękała. Zastępca Hericia podszedł do niej, przymilny i lepki.

- Robot dostarczy ci do hotelu wszystko, o co prosiłaś, za jakieś dwie godziny.

Musisz zapłacić gotówką. Pięć papierów. Cena jak dla przyjaciela.

Pięćset gai za pistolet plazmowy. Nieźle. O ile dojdzie do transakcji.

- Pomyślałem więc, że moglibyśmy w twoim pokoju poczekać na robota - szepnął Serra, napierając na Brunę.

Położyła mu rękę na ramieniu i odsunęła go od siebie. Chciała to zrobić delikatnie, ale była już dość zmęczona i chyba potraktowała go zbyt ostro, bo Serra wyraźnie się zdenerwował.

- Ale o co chodzi? Dostałaś ode mnie wszystko, o co poprosiłaś, a teraz chcesz mnie tak po prostu olać? Wydaje ci się, że taka blondynka jak ty może sobie ze mnie bezkarnie zakpić?

O, nie. Zwyczajowe popisy. Szympan, który dla postrachu wali się po klacie. Bruna nabrała powietrza, próbując się opanować i skoncentrować mimo bólu w skroniach.

- Nigdy bym sobie z ciebie nie zakpiła, Serra. Po prostu źle się czuję. Boli mnie głowa. Masz teraz dwie możliwości do wyboru: albo mi uwierzysz i jeśli chcesz, możemy się spotkać jutro po południu, albo weźmiesz to za typową wymówkę, wytniesz jakiś numer i nici z zabawy. Wybieraj.

- Jutro miałaś wyjeżdżać.

- Dopiero wieczorem.

Naburmuszony Serra zastanawiał się przez chwilę.

- Naprawdę źle wyglądasz.

- Naprawdę źle się czuję.

Mężczyzna odsunął się, robiąc jej przejście.

- Jutro o której?

- O czwartej.

- Wstrzymam wysyłkę robota. Do jutrzejszego popołudnia - mruknął, mierząc w nią palcem.

- Zrób, co zechcesz - rzuciła na odchodnym Bruna.

Nikt jej nie odprowadzał i zgubiła się w labiryncie korytarzy. Straciła mnóstwo czasu,

zanim znalazła drzwi wyjściowe, i drugie tyle, zanim udało się jej przecisnąć przez gęstniejącym tłum przed budynkiem. Kiedy wreszcie stanęła po drugiej stronie ulicy, oparła się o ścianę i wymiotowała.

- Nawróć się, siostró, za cztery dni nadejdzie koniec świata - śpiewnym głosem odezwał się obok jakiś apokaliptyk. Znowu wymiotowała. Ból głowy cholernie ją męczył.

Hericio patrzył w drzwi, za którymi zniknęła wybuchowa Annie Heart, z żalem w sercu. Ciężko było odmówić przyjęcia dziesięciu milionów gai, zwłaszcza w tym momencie, kiedy powinni przenieść się do bardziej okazałej siedziby i prezentować się na poziomie, jakiego oczekiwano by od ugrupowania, które będzie przewodzić społeczeństwu. Zasad się nie zmienia, pomyślał z dumą, a świadomość, że potrafił zrezygnować z pieniędzy na rzecz przyszłej chwały, napełniła go wzniosłym poczuciem wyższości. Do oczu napłynęły mu łzy, łzy wzruszenia na myśl o własnej wielkości.

Usłyszał szmer za plecami, szelest ubrania albo stóp, i już wiedział, że stoi za nim Ainho, która musiała wejść do jego biura tylnymi drzwiami. Zirytowało go to pojawienie się jej nie w porę i pożałował, że dał jej klucz. Dlaczego to zrobił i co sobie wtedy wyobrażał? Zamrugął oczami, próbując osuszyć łzy, opanował niezadowolenie i odwrócił się. Ainho patrzyła z uśmiechem, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

- Ten twój zwyczaj zjawiania się jak duch zaczyna mnie irytować - oznajmił polityk nieco szorstkim tonem.

- Kiedyś cieszyłeś się, że przychodzę - odparła Ainho, wciąż się uśmiechając.

- Tak? Możliwe. Ale teraz jestem zbyt zajęty. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale sytuacja się zmieniła. Teraz to ja jestem rozwiązaniem, odrodzeniem, przyszłością. Ludzie oczekują ode mnie wielkich czynów, i ja im to dam.

I przy słowie „ludzie” wyciągnął rękę w stronę fałszywego okna i namalowanego miasta, które się za nim rozciągało, a może nawet całego świata. Ainho roześmiała się.

- Czy ja zauważyłam? Kochany Hericio, przecież to JA sprawiłam, że się tu znalazłeś!

- Ty?! Od trzydziestu lat zajmuję się polityką! - oburzył się mężczyzna.

- Od trzydziestu lat w pozaparlamentarnej opozycji.

- To zakrawa na oszczerstwo!

- Dobrze, dobrze, cofam. Przepraszam. Nie chcę się z tobą kłócić. Niech nasze święto upłynie w spokojnej atmosferze. Zgoda?

Ainho wyciągnęła do niego rękę, ale rozdrażnienie Hericia nie minęło.

- Zgoda? - powtórzyła.

Niewiele rzeczy jest równie trudnych jak nieprzyjęcie wyciągniętej dłoni, polityk przemógł się więc i ją uściskał, choć niechętnie i z twarzą wykrzywioną grymasem niezadowolenia. Następnie usiadł za biurkiem. Było ogromne, a fotel bardzo wysoki; kiedy tu siedział, czuł swą moc i wywierał odpowiednio imponujące wrażenie na gościach.

- Zgoda. Już wspominałem, że jestem bardzo zajęty. Po co przyszaś? Czego chcesz? - mruknął.

Ainho w milczeniu usadowiła się na krześle naprzeciwko Hericia. Potem delikatnym ruchem założyła nogę na nogę i znów się uśmiechnęła.

- Powiedzmy, że to grzecznościowa wizyta. Chciałam ci osobiście pogratulować ostatnich sukcesów i zobaczyć, jak się miewasz. No więc co u ciebie słysząc, Hericio? - zapytała ze szczerym zainteresowaniem.

- Cudownie, chociaż, hm, hm, zdaje się, że tracę głos.

Tego mi jeszcze brakowało, pomyślał, przykładając dłoń do szyi. Był coraz bardziej wkurzony.

- Aha, afonia. No właśnie widzę. Wracając do poprzedniego wątku. Nie pamiętasz, jak ci powiedziałam, że uczynię cię sławnym? Ze zaprowadzę cię na szczyty politycznej kariery? Ze uczynię z ciebie człowieka na topie?

- Ja... Nie...

- Owszem, pamiętasz. Wtedy wszystko, co mówiłam, bardzo cię interesowało.

Uzgodniliśmy, że przygotuję całą operację. Kampanię mającą na celu wzmocnienie twojego wizerunku i obecności w społeczeństwie twojej partii. Nie chciałeś wiedzieć, na czym ma polegać ta kampania, i bardzo dobrze. Tak czy inaczej, ja bym ci tego nigdy nie wyjawiała.

- Ja...

- Poczekaj, przepraszam, że ci przerywam. Jeśli nie masz nic przeciwko, pozwól, że to zdejmę.

Ainho odsunęła nieco rękaw kurtki i łapiąc za skórę w nadgarstku, odchyliła ją i ściągnęła. Ale tak to tylko wyglądało, bo w rzeczywistości zdjęła jedynie cieniutką przezroczystą rękawiczkę z silikonu. Pieczołowicie ją złożyła i schowała do torebki, a tę zamknęła.

- Co za ulga. Te wszystkie rzeczy w końcu cię uczulają, cokolwiek by o nich mówiono. Wracając do naszych spraw, to chciałabym, żebyś wiedział, że stanowisz element szeroko zakrojonej operacji. Wydawało ci się, że mnie zatrudniłeś, że tą śmieszną sumą opłacasz kampanię wizerunkową. Biedaku... To nie ja pracowałam dla ciebie, tylko ty dla mnie. Jesteś moim dziełem, ja cię stworzyłam. I jesteś ledwie pionkiem w moim dalekosiężnym planie. Tak dalekosiężnym, że nigdy byś go nie pojął swoim kurzym mózdzkiem. Masz coś do powiedzenia?

- Właśnie widzę. Chciałabym wierzyć, że milczysz zawstydzony własną głupotą, ale obawiam się, że to z powodu bloke-ra neuromięśniowego, który podałam ci przy uściśnięciu dłoni. Truczny działające przez dotyk znane są od dawna. Stosowano je w starożytnym Rzymie, w średniowieczu, w renesansie. Pomyślałam, że w naszej epoce hipertechnologii, plazmowych pistoletów i azotowych wiertarek niezwykle eleganckim posunięciem byłoby skorzystanie z jakiegoś klasycznego rozwiązania. Z lekka unowocześnionego: to tetrapancuronium, syntetyczna kurara, o silniejszym działaniu. Doskonała trucizna. Paraliż następuje po paru sekundach, jak sam mogłeś się przekonać. Nie możesz się ruszać, nie możesz mówić. Ale widzisz i słyszysz. I czujesz. W ciągu dwudziestu minut trucizna unieruchamia mięśnie aparatu oddechowego i ofiara, dusząc się, umiera. Ale nie martw się, do tego nie dopuścimy. Jak dotąd wszystko jasne? Jakies pytania?

- Ha, ha, wybacz mój kiepski żart. I wybacz mi, że cię podsłuchiwałam... nieco wcześniej... kiedy rozmawiałeś tu z Bru-ną. To znaczy ty sądzisz, że ona jest Annie Heart, choć w rzeczywistości to Bruna Husky, która jest... replikantką! Gdybyś nie był sparaliżowany, dostałbyś dreszczy, prawda? Nie czujesz obrzydzenia, że przyjąłeś ją w swoim gabinecie? Ze tak uprzejmie z nią rozmawiałeś? Ze jej pragnałeś? Bo przecież na pewno jej pragnałeś, tej gorącej, zmysłowej blondynki. Otóż ta replikantka i ty sam doszliście do bardzo interesującego wniosku: nasza sprawa potrzebuje męczennika. To prawda. Macie rację.

Ainho wstała powoli i wyjęła z kieszeni kurtki sporej wielkości futerał z ekoskóry. W środku znajdował się wielki rzeźnicki nóż. Okrążyła stół i stanęła obok sparaliżowanego Hericia.

- Osobiście nic do ciebie nie mam. I nie należę do osób, które to ucieszy. Wcale nie. Ale trzeba to zrobić, i ja to zrobię. Ponieważ doskonale wiem, do czego zmierzam. Mam jasno wytyczoną drogę. Jak się słusznie domyślasz, teraz użyję tego noża. Raz jeszcze sięgnę po tradycyjną broń. Oczywiście o wiele mniej elegancką od trucizny. Ale jeszcze starszą. Prymitywną. No cóż, miałeś pecha i znalazłeś się na drodze walca historii, który niestety cię zmiążdży. Wybacz, ale jesteś idealnym kandydatem na męczennika. Co gorsza, twoje męczeństwo musi wywołać gniew. Musi być porażające. Dlatego zrobię to tak... i tak... Mhm, próbuję się spieszyć, ale to nie takie łatwe, naprawdę. A na dodatek śmierdzi. Już zbliżamy się do końca. I chyba jeszcze tu przetnę kawałek. Super. A teraz czubkiem noża wyciągnę ci flaki. Doskonale. Wygląda świetnie. Wygląda mniej więcej tak jak hologram z groźbą, który dostała Myriam Chi... Pamiętasz, co mówiłeś przed chwilą? To o małej krzywdzie, którą usprawiedliwia nadrzędne dobro. Więc dziś ja tobie wyrządziłam taką małą krzywdę, Hericio. Zaraz, to niemożliwe, ruszasz okiem? Ach, nie, nie ma powodu do niepokoju. To tylko jedna mała ła.

Powinien odczuwać satysfakcję, ponieważ nadeszła odpowiedź, jakiej oczekiwał, wysyłając memorandum, tymczasem czuł się wystraszony i zdenerwowany. Yiannis zawsze był człowiekiem uporządkowanym, dbającym o szczegóły i przestrzegającym zasad, więc świadomość popełnienia niejednego, a dwóch poważnych naruszeń procedury spędzała mu sen z powiek, nawet jeśli wiedział, że dopuścił się tych uchybień w szczytnym celu. Reakcja na jego poczynania okazała się o wiele bardziej spektakularna, niż mógł się tego spodziewać, co stanowiło kolejne źródło jego niepokoju. Nie minęła godzina od wysłania pisma, kiedy sekretarz superwizorki wezwał go w trybie pilnym na spotkanie jeszcze tego samego popołudnia. I nie chodziło o spotkanie holograficzne, ale o osobistą rozmowę, rzecz prawie nie do uwierzenia. Na dodatek w sobotę! Yiannis siedział przed gabinetem superwizorki na ultranowoczesnej latającej sofie i czekał na spotkanie. Czekał już od godziny, choć wezwano go w trybie pilnym. To mogło być z góry ukartowane posunięcie. Przemyślana taktyka mająca na celu wywołanie jego zdenerwowania. Jeśli to zamierzali osiągnąć, trzeba przyznać, że im się

udało. Yiannis poruszył się i sofa delikatnie zakołysała się w powietrzu. Cholerne designerskie meble.

- Yiannis Liberopoulos? Pani Yulia cię oczekuje.

Nareszcie. Archiwista podążył za dziewczyną, która po niego przyszła. Miała implanty włosów biegnące niczym szczotka linią wzdłuż szyi, w stylu balabijskim. Fryzura obcych stała się modna wśród młodych Ziemiaków i teraz wszyscy przypominali konie z krótko przyciętymi grzywami.

- Proszę, wejść, drogi Yiannisie. Usiądź, proszę.

Drogi Yiannisie? Pierwszy raz w życiu widział tę kobietę. Zwlekał chwilę, nie bardzo wiedząc, gdzie ma usiąść, ponieważ gabinet został wyposażony według najnowszych minimalistycznych trendów w eteryczne, ledwie widoczne meble. Wreszcie zdecydował się na Unię niebieskiego światła i bardzo ostrożnie się na niej usadowił. Linia dostosowała się do jego ciała i utworzyła oparcie. Superwizorka zajmowała podobne krzesło za półprzezroczystym stołem, który zlewał się z ogromnym kołowym ekranem. Wyposażenie gabinetu musiało kosztować fortunę. Archiwum, jedna z najpotężniejszych instytucji Stanów Zjednoczonych Ziemi, było własnością gigantycznej prywatnej firmy PPK, choć Państwo Planetarne miało prawo głosu w zarządzie. A bez wątplenia firma przynosiła ogromne zyski, ponieważ każdy mieszkaniec Ziemi za korzystanie z danych Archiwum musiał płacić.

- Przeczytałam twoje memorandum i przede wszystkim chciałam ci podziękować za twoją docieklivość i zawodowe zaangażowanie. Ponieważ jestem przekonana, że powodowały tobą najlepsze chęci. Ale... Przez te wszystkie lata, od kiedy tu pracuję, nikt jeszcze nie użył protokołu bezpieczeństwa CC/1. Nie wiem, czy jesteś świadomy, że przy aktywacji protokołu wysyłasz automatycznie kopię twojej wiadomości do centralnej administracji państwowej. I jeśli mam być szczerą, jest to dla nas spory kłopot. Zaraz pojawią się tu urzędnicy, zaczną dochodzenie...

- Doskonale, świetnie. Tego właśnie potrzebujemy: szybkie śledztwo służb bezpieczeństwa pomoże wyjaśnić liczne nieprawidłowości.

Kobieta delikatnie przechyliła głowę - jak ptak, i wbiła wzrok w archiwistę. Była szczupła i żyłasta, jej bezwzględne oczy nawet nie mrugnęły.

- Oj, Yiannisie, Yiannisie... Albo niejasno się wyrażam, albo nie chcesz mnie

zrozumieć. Twoje memorandum to pomyłka. Błąd. Dokładnie rzecz ujmując: nadgorliwość - mówiła łagodnie, jakby żał jej było archiwisty, ale w jej głosie dało się usłyszeć i ostre tony.

- Nadgorliwość? Czyżby? Naprawdę czytałaś moje pismo? I załączone dokumenty? Przecież nie da się zaprzeczyć, że ktoś dokonuje manipulacji w hasłach...

- Wszystko przeczytałam, przeanalizowałam i przeanalizowali to również moi eksperci. Niczego tam nie ma. Masz przywidzenia. Niczego, poza paroma drobnymi pomyłkami, zupełnie bez znaczenia. To tylko zwykłe błędy.

- Ale...

- Zwykłe błędy! O wiele poważniejsze od tych błahych pomyłek jest twoje zachowanie. Wyjąłeś artykuł z szeregu edycyjnego, przerywając tym samym przepływ informacji, a co gorsza, zrobiłeś prywatną i nielegalną kopię nieautoryzowanego tekstu. To niedopuszczalne.

Yiannis wiedział, że się rumieni. Czuł się jak przestępca i nie potrafił tej świadomości odrzucić - on również uznawał takie zachowanie za niedopuszczalne. W jego głowie zaczęły się układać składne zdania przeprosin i próśb o wybaczenie.

- Według Prawa o Archiwach zrobienie nielegalnej kopii może zostać uznane za akt szpiegostwa. Mógłbyś za to pójść do więzienia - ciągnęła nieustępliwie kobieta.

Groźba była poważna i oczywista, Yiannis szybko przełknął przeprosiny cisnące mu się na usta. Wzburzony nabrał powietrza.

- Wątpię, by ktoś uznał mnie za szpiega. Od razu cię przecież o wszystkim powiadomiłem. Pragnąłem jedynie uświadomić wam rangę problemu.

- O jakim problemie mówisz? Jesteś już starym człowiekiem, Yiannisie. Jesteś zmęczony. Masz przywidzenia. Wspomniałeś, że profesor Ras nie istnieje? Popatrz.

Kobieta dotknęła ekranu, na którym pojawiła się kaskada obrazków. Lumbre Ras w domu w New Delhi, Lumbre Ras na holograficznej konferencji międzyplanetarnej, Lumbre Ras odbierający Nagrodę Nobla. O ile ów człowieczek o oliwkowej cerze to naprawdę profesor Ras, jak wynikało z dokumentów, które się pokazały. Yiannis oniemiał: jeszcze dziś rano, zaledwie kilka godzin temu, nie było nikogo o takim nazwisku w sieci. Nikogo. Ktoś taki nie istniał. A teraz widział stos informacji, które dotyczyły osoby Rasa. Przez chwilę trwał w oszołomieniu: czyżby faktycznie się

pomylił?

- Widzisz? Nie ma żadnego problemu, Yiannisie. Problemem możesz być co najwyżej ty.

Nie. On się nie pomylił. To był spisek. Ktoś spreparował informacje i wrzucił je przed chwilą do systemu. Yiannis czuł się coraz bardziej oszołomiony. Miał wrażenie, że unosi się nad przepaścią.

- Jeśli nie zajmiesz się moim doniesieniem, porozmawiam z zarządem... - oświadczył słabym głosem.

- Z nikim nie porozmawiasz, Yiannisie Liberopoulosie. Jesteś zwolniony. I, rzecz jasna, skonfiskowaliśmy twój komputer.

- Jak to? Mój komputer? Weszliście do mojego domu? Jakim prawem? - Yiannis z trudem łapał oddech.

- Z mocy artykułu 7C/7 Prawa o Archiwach... Odzyskanie skradzionych dokumentów. Zrobiliśmy to w obecności policji. Wszystko zgodnie z prawem. I nie patrz w swojego kompfona, bo w nim również nie ma już kopii, którą zrobiłeś rano. Wymazaliśmy ją zdalnie, używając twojego komputera domowego. Tak więc nie masz już niczego. Również pracy. I możesz być nam wdzięczny, że nie zamierzamy złożyć na ciebie doniesienia. A teraz, jeśli byłbyś tak uprzejmy...

Pokorny jak baranek Yiannis wstał i opuścił najpierw gabinet, a potem budynek, szedł jak automat, właściwie nie zdając sobie sprawy, skąd i dokąd idzie. Zwolnili go. Archiwum było dla niego całym życiem, a oni go zwolnili. Na dodatek wtargnęli do jego domu i zabrali mu komputer. Ale na świecie działo się coś naprawdę strasznego... może to zamach stanu w Regionie, a może na całej planecie. Kręciło mu się w głowie, czoło zrosił zimny pot. Szedł tak głęboko pogrążony w myślach, że nie zauważył, jak ośnieżoną ulicą powoli zbliża się do niego samochód. Ciemny lakier, przyciemniane szyby. Nie zauważył auta, dopóki to o mało go nie rozjechało. Dopóki z rykiem nie popędziło na niego jak czarna chmura. Yiannis krzyknął, odskoczył do tyłu, skręcił sobie nogę w kostce, samochód wpadł w poślizg, zaczął sunąć po lodzie i przejechał, niemal ocierając się o starca. Archiwista wstrzymał oddech, tknięty przerażającym podejrzeniem. Próbowali mnie zabić, pomyślał. Chcą mnie zamordować.

W tej samej chwili wóz wyszedł z poślizgu. Przyciemniona szyba od strony kierowcy

zjechała w dół i z wnętrza wysunęła się głowa wściekłego mężczyzny.

- Idiota!!! - ryknął tamten, odjeżdżając.

Yiannis stanął oszołomiony. Potem szybko rozejrzał się dookoła. Znajdował się na środku jezdni. Skupił się i próbował odtworzyć swoje ostatnie poczynania - szedł tak zamyślony, że prawdopodobnie zszedł z chodnika, nie zwracając uwagi na ruch uliczny. To nie jego próbowali rozjechać, to on nieświadomie omal nie wszedł pod koła. Starcze serce kołatało z wysiłku, skręcona kostka bolała. Tak, rzeczywiście był z niego kawał idioty.

W razie potrzeby Nopal mógł zniknąć w przeciągu godziny. Posiadał kilka sekretnych mieszkań rozsianych po całym świecie i garść fałszywych tożsamości. Pablo Nopal nie zawsze był Pablem Nopalem. Niemal połowa życia pamięciarza pogrążona była w ciemnych, nieprzeniknionych odmętach, niczym sztuczne góry lodowe w Pawilonie Niedźwiedzia. Przez długie lata, z uporem i upodobaniem do tajemnic, pisarz tworzył sobie równoległe życie. Firmy krzaki, figuranci, nieświadomi, dla kogo pracują, doskonale podrobione dowody tożsamości (w rzeczywistości to były autentyczne dokumenty wydane przez skorumpowanych urzędników). Oraz sekretna sieć informatorów, bo nie istnieje władza bez informacji. Może to i prawda, że pieniądze nie dają szczęścia, myślał sobie pamięciarz, ale dzięki nim kupujesz bezpieczeństwo, coś lepszego i mniej ulotnego od szczęścia. Czego więcej mógłby pragnąć rozsądny człowiek, jak nie uchronienia się przed bólem? Nawet jeśli musiałyby się w tym celu uciekać do metod społecznie nieaprobowanych, do czynów niezgodnych z prawem.

Nopal nie sam to wybrał. Nie podążył ścieżką bezprawia dobrowolnie, podobnie jak ludzie z marginesu nie znaleźli się tam z własnego wyboru, ale zostali zepchnięci poza linię wyznaczającą normę. Los był dla pamięciarza niezbyt sprawiedliwy, postąpił z nim okrutnie, więc mężczyzna musiał się nauczyć bronić i na przemoc odpowiadać przemocą. Przeżyć może tylko ktoś, kto nie zawaha się uczynić wszystkiego, co konieczne, by przeżyć, i Nopal się nie wahał. Często się sobie dziwił, obserwował sam siebie zaintrygowany i zdumiony, ale wciąż nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że skoro tak mało zależy mu na życiu, potrafi chwycić się go z takim uporem, z taką zaciekłością. Może to poczucie dumy, mocne postanowienie, by nigdy więcej nie dać się upokorzyć. A może w grę wchodził zwykły automatyzm komórek, upór ciała w trwaniu, gorączkowa

żądza życia, pod wpływem której chorzy w fazie terminalnej, mimo bólu i wyczerpania, aż do ostatniego tchnienia walczą o podtrzymanie tej jakże przykrew egzystencji. Tak, porównanie z chorym jest dość trafne, pomyślał pamięciarz: na swój sposób Nopal od zawsze wyczuwał w sobie coś patologicznego, coś bolesnego. Życie to przeklęta choroba, która w końcu cię zabije.

Bruna weszła do pokoju hotelowego niemal po omacku: zaburzenia wzroku były przykrą konsekwencją migreny. Rzuciła się na swój plecak i wyjęła jedną podskórną dawkę paramor-finy. Zostały jej jeszcze trzy z ośmiu otrzymanych przy wypisie ze szpitala. Drżącymi dłońmi zrobiła sobie zastrzyk w ramię i wyczerpana opadła na łóżko, czekając, aż lek zacznie działać. I zaraz poczuła, jak delikatnymi stąpnięciami rozbiega się po jej organizmie, kojąc uderzenia bólu, podchodząc śnieżnymi chłodem aż po szyję, wymiatając sprzed oczu lśniące drobinki, które przesłaniały wzrok. Och, co za nieopisana ulga.

Otworzyła oczy, lekko przestraszona. A niech to, przysnęła. Spojrzała na zegar: straciła godzinę, ale czuła się nadzwyczaj dobrze. Wypoczęta, jakby nowo narodzona. Znajdowała się w pokoju, który wynajęła na swoje prawdziwe nazwisko, choć wciąż była przebrana za człowieka. Kiedy wróciła, czuła się tak fatalnie, że myślała tylko o kolejnej dawce paramorfiny i postąpiła wbrew zasadom swojej profesji. Miała nadzieję, że nikt nie widział, jak wchodziła do pokoju, i że nikt nie zainteresuje się nagraniami ochrony. Popęłniła błąd, ale już niebawem miała opuścić hotel. Energicznie się podniosła i zaczęła szybko zdejmować z siebie skórę Annie Heart. Kiedy Husky znów pojawiła się w lustrze, z linią tatuażu biegnącą przez jej ciało (rozcinającą i krępującą, jak to nazwał esencjalista), poczuła się niewymownie szczęśliwa. Jakby odzyskała starą przyjaciółkę.

Spakowała swoje rzeczy i przeszła do pokoju Annie, żeby zebrać jej ekwipunek. Właśnie kończyła, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

- Cholera...

Spojrzała na ekran i zobaczyła robota. Uśmiechnęła się, nagle ożywiona - przypomniała sobie o pistolecie plazmowym. Niewykluczone, że ten idiota Serra nie anulował zamówienia. Otworzyła drzwi i zobaczyła starego i poobijanego automatycznego posłańca. Chyba nie dysponował funkcją rozpoznania wzrokowego, co

Branie bardzo odpowiadało. Kiedy robot wyczuł jej obecność, na jego wyświetlaczu pojawił się napis:

Przesyłka dla Annie Heart

Dostawa wyłącznie po osobistej weryfikacji

Proszę o identyfikację

Wyjęła sfalszowany dowód tożsamości, otrzymany od Mirari, i przystawiła go do terminala robota. Grachot potwierdził transakcję brzęczykiem.

Tożsamość zaakceptowana Przesyłka płatna przy odbiorze 500 gai w banknotach

Bruna wyszła na korytarz i skierowała się do automatycznej kasy, która znajdowała się obok windy, zresztą na każdym piętrze, zapłaciła za dwa pokoje, swój i Annie, po czym pobrała pięć banknotów ze swojego konta. Wróciła do robota i wsunęła pieniądze do odpowiedniej szczeliny. Wieczko opancerzonej skrzynki uniosło się i wyjęła elektroniczny zestaw do masażu tajskiego.

- Co to, do cholery, jest?

Robot, skrzypiąc i piszcząc, oddalał się hotelowym korytarzem. W pierwszej chwili Bruna chciała go zawrócić i wymóc zwrot pieniędzy, ale rozmyśliła się. Wróciła do pokoju, odsunęła na bok rzeczy na niewielkim stoliku i rozpakowała przesyłkę. Wewnątrz znajdował się dziwny jajowaty przedmiot z silikonu, wyposażony w kółeczka i przyssawki, prawdopodobnie maszynka do masażu tajskiego, która samoczynnie przemieszcza się po masowanym ciele, ugniatając, uciskając i smarując eterycznymi olejkami. Jajo otwierało się od góry, by można było wlać wonne smarowidła; Bruna znalazła w środku pistolet plazmowy. Genialne opakowanie: kształt pistoletu odpowiadał formie przyrządu. Pistolet wyglądał na domowy wyrób, wykonany z części z odzysku. Dlatego był tak tani. Ustawiła broń na najniższy poziom siły uderzenia, wycelowała w brzeg łóżka i wystrzeliła. Nastąpił delikatny i bezgłośny błysk, Bruna schyliła się i znalazła w materacu maleńki otworek, coś na kształt dziury wygryzionej przez mola. Gruhocik działał. Lepszy rydz niż nic. Sytuacja stawała się na tyle niebezpieczna, że poruszanie się bez broni nie wchodziło w rachubę.

Opuszczała hotel późną nocą, tymczasem w powietrzu wyczuła delikatne ocieplenie - zapewne polarny ziąb zaczynał ustępować. Choć miała ze sobą podwójny bagaż, nawet nie próbowała łapać taksówki: na pewno o tej porze, przy wszechobecnym strachu nikt

by się nie zatrzymał na widok takiej jak ona repli-kantki. Ruchome chodniki znów działały i Bruna przyspieszyła kroku, żeby się rozgrzać i uciec przed telebimami bombardującymi oczy obrazami aktów przemocy ze strony androidów, deklaracjami supremacjonistów, wywiadami z Chemem Conesem i Hericiem, informacjami o podobnych zamieszkach, do których doszło w najróżniejszych zakątkach SZZ. Z telebimów wylewała się rasistowska nienawiść. Bruna zastanawiała się, czy właśnie tak wyglądały początki wojny replikantów. Czy androidzi czuli się tak samo prześladowani, tak samo znienawidzeni w tamtym straszliwym 2060 roku? A Żydzi w XX wieku? Ci, którzy zostali zagazowani i spaleni w krematoriach? Czy postrzegali początki swojej eksterminacji w taki sam sposób, w jaki ona obserwowała dziś polityczną i legalną eskalację nienawiści przeciwko technoludziom? Cztery lata, trzy miesiące i trzynaście dni. Biorąc pod uwagę wszelkie okoliczności, wyobraziła sobie tragedie, do jakich mogłoby dojść w najbliższych czterech latach, tych, które jej pozostały. Nie mogła być nawet pewna, że dożyje swojego WGT. Przyszłość przypominała wielki czarny gład sunący na nią z łoskotem.

Centralne Archiwum Stanów Zjednoczonych Ziemi Wersja do modyfikacji
DOSTĘP ŚCIŚLE OGRANICZONY TYLKO UPRAWNIENI WYDAWCY
Madryt, 30 stycznia 2109, 10.30

ODMOWA DOSTĘPU

YIANNIS LIBEROPOULOS NIE JEST UPRAWNIONYM WYDAWCĄ
JEŚLI NIE POSIADASZ WAŻNEGO KODU, NATYCHMIAST OPUŚĆ TE
STRONY

DOSTĘP ŚCIŚLE OGRANICZONY TYLKO UPRAWNIENI WYDAWCY
WEJŚCIE BEZ UPRAWNIEŃ JEST PRZESTĘPSTWEM, ZA KTÓRE GROZI
KARA DO DWUDZIESTU LAT WIĘZIENIA

YIANNISIE LIBEROPOULOSIE, NAKAZUJEMY CI NATYCHMIASTOWE
OPUSZCZENIE TYCH STRON!

PRÓBY DALSZEGO FORSOWANIA SYSTEMU SKUTKUJĄ WEZWANIEM
POLICJI. MASZ TRZYDZIEŚCI SEKUND NA OPUSZCZENIE SYSTEMU

ODLICZANIE ROZPOCZĘTE: 29 28 27 26 25 24 23 22 21

Otworzyła oczy i ujrzała nad sobą twarz Yiannisa, który coś krzyczał, wyraźnie przerażony.

- Co jest!? - wrzasnęła Bruna, podrywając się z łóżka.

Świat wokół zachybotał. Pokój zachwiał się, bolała ją głowa i kłuło w żołądku. Ciało uzmysłowiło jej, wcześniej niż pamięć, że znów wypila wieczorem więcej, niż powinna. Postać archiwisty krążyła po pokoju jak ptak, który miota się w klatce. Cholerna holorozmowa.

- Yiannisie, dość tego. Zaraz anuluję twoje zezwolenie holograficzne - warknęła replikantka, łapiąc się za głowę.

- Wyrzucili mnie z pracy! To spisek! Nie mogę się dostać do Archiwum! Chciałem ci powiedzieć już wczoraj wieczorem, ale cię nie było.

Jasne. To pamięta - nie przyjmowała żadnych rozmów. Kiedy dotarła do domu zmęczona i przybita, zaczęła pić. Kiedyś piła, bo była zadowolona i zrelaksowana. Czasami dlatego, że czuła smutek. Zawsze umiała znaleźć powód do picia. Patrząc wstecz, nietrudno zauważyć, że jej krótkie życie składało się z ciągu nocy, które ledwie pamiętała, i niekończącego się szeregu poranków z nieprzyjemnymi pobudkami, o których nie mogła zapomnieć.

- Dobra, uspokój się i wyjaśnij mi wszystko od nowa. Powoli. Wyobraź sobie, że jestem stworem i niezbyt dobrze rozumiem nasz język...

Yiannis zaczął pospiesznie relacjonować spotkanie z superwizorką.

- Dobrze, spokojnie, rozumiem. Zaraz do ciebie przyjadę. Będę za dwa kwadransy - obiecała Bruna.

I skończyła rozmowę, przerywając Yiannisowi w pół słowa.

Cztery lata, trzy miesiące i dwanaście dni.

Wzięła głęboki oddech i wstała.

Poczuła mdłości i zawroty głowy.

Postanowiła wziąć jeszcze jedną dawkę paramorfiny. Oczywiście nie był to najlepszy sposób na pozbycie się kaca, w końcu do much nie strzela się z plazmy, ani też nie ucina się ręki, kiedy boli nas palec. Wiedziała jednak, że lek natychmiast postawi ją na nogi, a czasy były tak niespokojne, że rozsądek nakazywał wychodzić z domu w dobrej formie. No i wciąż jeszcze dokuczały jej stłuczone żebra, usprawiedliwiała się w duchu,

wstrzykując sobie dawkę leku. Przedostatnią, jaka jej została. Szkoda.

Spojrzała w lustro. Znów spała w ubraniu, które oczywiście całe się pomięło. Na szyi wciąż miała cenny naszyjnik z netsu-ke, pamiątkę po swej nieistniejącej matce.

Postanowiła go nie zdejmować: chyba potrzebowała towarzystwa chińskiego człowieka. Albo jego opieki.

Termometr wskazywał czternaście stopni. Kryzys polarny minął. Wzięła szybki prysznic, wyjęła z szafy komplet w kolorze zielonym z metalicznym połyskiem i ubrała się, już zadowolona, wypoczęta, czujna. Ale i potwornie głodna. Udała się więc w stronę kuchni, żeby sobie coś przyrządzić, i właśnie wtedy to zobaczyła: puzzle zostały ułożone do końca! Popatrzyła na nie zdziwiona, ale zaraz zaczęła przypominać sobie jak przez mgłę siebie ślęczącą nad układanką. Musiała nad nią pracować do późna w nocy. I miała chyba dużo szczęścia, a może nadludzkiego uporu. Puzzle przedstawiały obraz całego kosmosu - na środku, w newralgicznym punkcie, którego wcześniej brakowało i nad którym mozoliła się tyle miesięcy, widać było teraz mgławicę planetarną Helisa, ów spektakularny gazowy obiekt w gwiazdozbiornie Wodnika, który astronomowie nazwali Okiem Boga. Helisa, no jasne, pomyślała Bruna, niemal rozczarowana tą oczywistością, jak mogłam na to nie wpaść? Była jednym z najbardziej znanych obiektów w kosmosie i nawet kilka sekt szaleńców uważało ją za świętość. Ostatni fragment układanki wywoływał efekt trójwymiaru i mgławica zdawała się drgać i pulsować w kosmicznym bezkresie. Przepiękne oko obramowane mglistymi czerwonymi rzęsami z intensywnym błękitem tęczy, ogromne oko, które z uwagą się jej przygląda. To, co czynię, pokazuje mi to, czego szukam. Szukała mgławicy Helisa, szukała czegoś oczywistego i nie zdawała sobie z tego sprawy. I musiała się upić, stracić świadomość i pójść za głosem intuicji, żeby skończyć układankę. Oko Boga. Piękne, chłodne i obojętne oko, które nas obserwuje.

Zjadła pośpiesznie parę proteinowych hamburgerów o smaku indyka, wrzuciła plazmowego gruchota do plecaka i wyszła z domu, przekonana, że świat okaże się jeszcze mniej przyjemny niż wczoraj. I rzeczywiście, ładna pogoda tylko podsyciła ogień nienawiści. Grupy manifestantów otoczone kordonami policji wykrzykiwały hasła, których Bruna nie rozumiała, z publicznych telebimów strumieniami lała się przemoc. Wywrócone samochody, rozbite szyby wystaw, płonące śmietniki. Przechodząc przez

park-płuca, zauważyła, że wiele delikatnych sztucznych drzew rozłupano i wyrwano. U wylotów ulic stało wojsko i Bruna dwukrotnie musiała poddać się kontroli. Bała się, że ją zaczną obszukiwać i znajdą plazmę, na szczęście tak się nie stało. Dotarła do domu Yiannisa mocno rozdygotana.

Mieszkanie archiwisty było równie staromodne jak jego właściciel. Mieściło się w pięknej trzystuletniej kamienicy, która bez poważniejszego uszczerbku przetrwała parę wojen, ale też od dawna nie była remontowana. Mieszkanie składało się z ciemnych korytarzy, niepotrzebnych pokoi i mnóstwa łazienek. Yiannis spędzał czas jedynie w dwóch pomieszczeniach, jedno służyło za salon, a drugie za sypialnię, zaś w pozostałych pokojach przechowywał mnóstwo dziwnych sprzętów oraz zadziwiającą ilość starych i cennych papierowych książek. W jednym z pokoi, wypełnionym książkami, przez parę miesięcy po śmierci Merlina mieszkała Bruna. Człowiek o imieniu Yiannis opiekował się nią, tak samo jak replikantka o imieniu Maitena opiekowała się Lizardem. Teraz relacje między gatunkami zaczynały się psuć.

Po przekroczeniu progu Bruna natknęła się na coś zupełnie nowego: stolik przy drzwiach wejściowych, zazwyczaj pełen najrozmaitszych drobiazgów, został uprzątnięty, pozostał na nim jedynie niebieski flakon z trzema żółtymi tulipanami. Żywe kwiaty! Replikantka doznała szoku.

- Własnym oczom nie wierzę, uprzątnąłeś stolik...

- Ciii... - odparł starzec, wykonując przy tym nieokreślony ruch ręką. Przeszli korytarzem i wkroczyli do salonu, gdzie stała nieśmiało uśmiechnięta kobieta. Nie miała na sobie reklamy i Bruna z trudem ją rozpoznała.

- Witaj, Bruno. Cieszę się, że cię widzę - powitała ją radośnie RoyRoy.

- Ja też się cieszę - automatycznie odpowiedziała replikantka. - Chociaż może raczej jestem zaskoczona. Nie pracujesz już w Texaco-Repsol?

Kobieta rzuciła spłoszone spojrzenie w stronę Yiannisa.

- No cóż, ja jej pomogłem oswobodzić się od tej niewolniczej pracy. Powiedzmy, że przywróciłem jej wolność - wyjaśnił w imieniu RoyRoy archiwista.

I na swój własny żart zareagował nerwowym śmiechem.

- To znaczy pożyczyłem jej pieniądze do czasu, kiedy znajdzie lepszą pracę, no i jeszcze... mieszka tu.

- Ach tak. Świetnie. Doskonale - wyraziła swoje zdanie Bruna.
- Yiannis jest niezwykle szlachetnym człowiekiem. Zresztą ty akurat wiesz o tym doskonale - dodała RoyRoy.

Tak, replikantka wiedziała. Archiwista nie uczynił dla tej kobiety niczego więcej ponad to, co zrobił dla Bruny. No i widać było, że Yiannis cieszy się obecnością RoyRoy. I ona również zachowywała się inaczej. Odmłodziła. Stała się pewniejsza siebie. Jakby cieszyła się swoim przyjacielem. Bruna opadła na stary zielony fotel, a Yiannis usiadł na sofie obok RoyRoy. Tworzyli idealną parę.

- Szlachetna to jest RoyRoy. Nawet nie wiesz, jakim jest teraz dla mnie wsparciem. Dobrze, że była tu wczoraj. Pewnie sobie wyobrażasz, w jakim stanie wróciłem po rozmowie z superwizorką.

- Jasne.

Kobieta mieszkała tu najwyżej dwa, trzy dni, ale ślady jej bytności można było dostrzec prawie wszędzie. Meble zostały przestawione, a półki uprzątnięte. Na głównym ekranie pojawiały się zdjęcia syna Yiannisa i jakiegoś nastolatka, zapewne dziecka RoyRoy. Idealna para, połączona nierozzerwalnym węzłem kultu swoich zmarłych. Bruna zagryzła wargi i poczuła smak goryczy.

- No dobrze, w takim razie opowiedz mi, co dokładnie powiedziała ci tamta kobieta - mruknęła.

Co ją tak rozdrażniło? Dlaczego nie cieszyła się, że biedak w końcu się zakochał? Czy wcześniej jej nie przeszkadzało, że to głównie Yiannis pielęgnuje jej ból po stracie Merlina? Czy więc nie lepiej dla Bruny, że znalazł kogoś nieutulonego w żalu, z kim mógł dzielić swój smutek? Archiwista opowiadał o wczorajszym spotkaniu, ale Bruna nie mogła skoncentrować się na jego słowach. Widziała przed sobą dwoje ludzi, siedzących jedno przy drugim, podobnych do siebie, starszych od niej i zapewne mających przed sobą życie dłuższe niż ona. Widziała, że są razem, tymczasem ona była sama, dziwnie zagubiona nawet wśród dziwaków.

Ekran wyświetlił zapowiedź serwisu informacyjnego, zaraz potem pojawiła się wzięta dziennikarka Helen Six z miną tak tragiczną, że Yiannis natychmiast zamilkł, i cała trójka zaczęła oglądać wiadomości. Zaraz na początku podano sensacyjną informację: Hericio nie żyje. Został zamordowany wczoraj wieczorem. Nie tylko go zamordowano,

ale i torturowano przed śmiercią. Ktoś rozciął mu brzuch i wyciągnął wnętrzności, kiedy mężczyzna jeszcze żył. Co za potworne morderstwo.

Jak na hologramie Chi, natychmiast pomyślała Bruna i momentalnie zmartwiła z przerażenia. Yiannis spojrział na nią pytająco.

- Czy ty przypadkiem nie wspominałaś wczoraj, że idziesz się z nim spotkać?

RoyRoy aż podskoczyła, otworzyła szeroko oczy, złapała się za głowę i jęknęła:

- Bruno! Co ty zrobiłaś?

- Ja?! - replikantka nie kryła oburzenia.

I wtedy wydarzyło się coś bardzo dziwnego: archiwista uniósł rękę, jakby chciał coś powiedzieć, potem złapał się za gardło i powoli osunął się na podłogę.

- Yiannis! - jęknęła RoyRoy, pochyliła się nad mężczyzną i straciła przytomność.

Bruna zerwała się z krzesła i podeszła do dwóch nieruchomych ciał. Z ust RoyRoy wychodziły małe żółte bąbelki. I wtedy Bruna poczuła jakiś zapach, delikatną woń niebezpieczeństwa. W powietrzu coś się unosiło, zapewne jakaś groźna substancja chemiczna. Wstrzymała oddech, ale było już za późno. Nogi jej ciążyły, ciało stało się bezwładne. Upadła, ale się nie poddała. Siłą woli, dzięki swej nadzwyczajnej fizycznej wytrzymałości, czołgała się w stronę okna. Musi do niego dotrzeć, musi je otworzyć. Skoncentrowała się na odległości, którą miała do pokonania. Centymetr do przodu, i jeszcze jeden, i jeszcze jeden. Poruszała się bardzo wolno, nie mogła tak długo wstrzymać oddechu. Była w połowie drogi, kiedy bezwiednie zaczerpnęła powietrza. Poczuła, jak delikatnie wypełnia jej płuca, uwalnia od duszności i jednocześnie ją zatruwa. Nagle wszystko rozmazało się jej przed oczyma. A potem nastąpiła ciemność i pustka.

Uniosła powieki. Dom trzeszczał i drżał. Po suficie, w nieustannej gonitwie, przesuwały się cienie. Dopiero po chwili zrozumiała, że hałas i świetlne smugi powodowały przetaczające się za oknem powietrzne tramwaje. Za jej oknem. Zbliżał się następny. Znów huk i przebiegające cienie. Bruna odetchnęła głęboko, choć przerażenie nie ustępowało. Wiedziała, co musi- zrobić, to właśnie było przerażające.

Spojrziała na zegarek: poniedziałek, 31 stycznia 2109 roku, godzina 9.30. Musiała się spieszyć. Cztery lata, trzy miesiące i jedenaście dni. Cztery lata, trzy miesiące i

jedenastcie dni? Co to ma znaczyć? Skąd ten licznik w jej głowie? Zaniepokojona wstała z łóżka. Spała w ubraniu. Tym lepiej, zaoszczędzi czasu. Czuła się słabo, było jej niedobrze. Patyna nierzeczywistości zdawała się pokrywać przestrzeń wokół, życie prześlizgiwało się po powierzchni rzeczy. Nie rozpoznawała mieszkania - wiedziała, że to jej dom, ale nie potrafiła go sobie przypomnieć. Zresztą to wszystko nie miało znaczenia. Ważna, nagląca, przerażająca była tylko misja, w którą musiała wyruszyć, by ocalić małego Gummy'ego. Przeszedł ją dreszcz. To oczywiste. Jej misja i sytuacja, w jakiej znalazło się dziecko, wyraźnie odcinały się od nierzeczywistego tła, jak sylwetka galopującego konia na tle rozmazanego krajobrazu. To wszystko, co musiała zrobić. To wszystko, co musiała wiedzieć.

Na stole leżał pas, pieczołowicie rozłożony, pysznił się niczym klejnot. A obok pasa maleńki hologram Gummy'ego. Roześmiany chłopczyk, ciemnobrązowe, roziskrzzone oczka, gładkie, puciołowate policzki. Miał dwa i pół roku. Bruna przypominała sobie, jak całowała jego delikatne ciało, gładką skórę, a przerażenie sprawiło, że po policzkach popłynęły jej gorące łzy. Starła je dłonią, jakby chciała się pozbyć natrętnego komara, i ogromnym wysiłkiem woli zapięła pas. Znała jego działanie: najpierw należy zdjąć zabezpieczenie, potem nacisnąć membranę i przytrzymać ją przez co najmniej dwadzieścia sekund, a po uniesieniu palca maleńkie ampułki otworzą się, uwalniając zabójczy gaz. To przynajmniej szybka śmierć - uduszenie następuje w czasie krótszym niż minuta. Inaczej niż w przypadku Gummy'ego, jeśli jego matka nie dotrzyma umowy. Czekala go wtedy długa, pełna męczarni agonია. Bruna opanowała mdłości. Spokojnie, tłumaczyła sobie w duchu. Musiała się skoncentrować. Ogłuszający huk kolejnego tramwaju pchnął ją do działania. Powinna otworzyć ampułki na centralnym węźle tramwajowymi, wśród tłumu ludzi i w zamkniętej przestrzeni, na szczęście obiekt był oddalony od jej mieszkania zaledwie o cztery przecznice. Wyłączyła kulę z hologramem, schowała ją do kieszeni i już miała wyjść, kiedy zorientowała się, że nie ma ze sobą kompfona. Dziwne. Rozejrzała się dookoła i nigdzie go nie dostrzegła. Uważnie przeszukała pomietą pościel, łazienkę, podłogę. Dalej nic.

- Zlokalizuj mojego kompfona - zwróciła się do centralnego ekranu.

Nie dostała odpowiedzi. Spojrzała na ekran - to był jakiś bardzo stary model. Spróbowała przejść na tryb ręczny i wystukała numer. Komputer nie przyjął wezwania.

Dziwne. Poczucie nierealności wzrosło, nierzeczywistość brzęczała jak mucha. Precyzyjny, chłodny umysł znów pozwolił jej zobaczyć twarz Gummy'ego. To w końcu bez znaczenia, czy ma tego cholernego kompfona, czy nie. I tak umrze za parę minut.

A jednak...

Cztery lata, trzy miesiące i jedenaście dni. Znów dokonała w myślach tej absurdalnej wyliczanki. Na drzwiach windy wisiała informacja o awarii, Bruna zeszła po dudniących schodach, piersi przygniatał kamień, który z każdym stopniem stawał się cięższy, nogi ugiwały się i płątały pod jego ciężarem. Numer, który starała się wywołać przez komputer, należał do Lizarda. Kim był Paul Lizard? Znajomym, może przyjacielem. Nazwisko „Lizard” błysnęło w mrocznym chaosie niczym portowa latarnia pośród wzburzonych morskich fal. Światelko w lodowatych ciemnościach. Może mógłby jej pomóc? Z każdym stopniem Bruna czuła się coraz bardziej rozdarta między poczuciem obowiązku i strachem, jaki wzbudzała w niej ta rzeź. Ale nie mogła jej uniknąć. Musiała tego dokonać.

A jednak...

Zeszła na parter i przekonała się, że budynek stanowi rodzaj apartamentowca z mieszkaniami do wynajęcia. Dziwne, że tego nie pamiętała. W sennej i ciemnej recepcji stała długa lada, a nad nią umieszczony był elektroniczny wyświetlacz z cenami. Paliła się lampa, choć nikogo nie było. Nogi same poprowadziły Brunę do jakiejś klitki. Spojrzała na nieduży ekran - działał. Wystukała numer Lizarda, zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi, i na ekranie natychmiast pojawiła się twarz policjanta. Bo on był policjantem. Bruna przestraszyła się, gdy sobie to uświadomiła, ale jednocześnie na widok jego twarzy poczuła ulgę i miała ochotę się rozplakać.

- Bruno, gdzie, do cholery, się podziewasz?
- Jestem u siebie - wybełkotała.
- Nie jesteś u siebie, bo ja tu jestem! Bruno, co się dzieje? Nie ma z tobą kontaktu, twój kompfon nie działa. Wiem już o Yiannisie i RoyRoy...

Yiannis i RoyRoy. Te imiona poruszyły jej zamglony umysł niczym kamienie spadające w mętłą wodę. Usłyszała głucho dzwonienie w uszach.

- Muszę iść. Muszę zrobić coś strasznego - jęknęła.
- Bruno, poczekaj! O czym ty mówisz? Co się dzieje?

- Muszę zabić! Muszę zabić wielu ludzi.
- Jak to? Dlaczego?
- Jeśli tego nie zrobię, Gummy umrze w męczarniach - załkała.
- Gummy? Kto to jest Gummy?
- Mój synek! Mój synek!

Lizard spojrział na nią zdumiony. Wyglądał jak ktoś, kto przed sekundą dostał w łeb.

- Bruno, ty nie masz dzieci - szepnął.

Dzwonienie w uszach nasiliło się.

- Muszę już iść.

- Nie! Poczekaj, gdzie jesteś? Posłuchaj mnie: nie możesz mieć dzieci, jesteś replikantką!

Cztery lata, trzy miesiące i jedenaście dni.

- Co to znaczy: cztery lata, trzy miesiące i jedenaście dni, Lizard? Ty na pewno wiesz.

Inspektor zdziwił się.

- Nie mam pojęcia... Proszę, powiedz mi, gdzie jesteś, przyjdę po ciebie...

Pokręciła głową.

- Przepraszam... Jeśli tego nie zrobię, będą torturowali Gummy'ego.
- Zaczekaj, proszę! Skąd wiesz, że jeśli ty wykonasz swoje zadanie, jemu nic nie zrobisz? Może ty zabijesz wielu ludzi, a oni i tak skrzywdzą dziecko?

Bruna zastanowiła się. Nie, nie skrzywdzą go. Była tego całkowicie pewna. Jeśli ona dotrzyma umowy, dziecko ocaleje.

- Jesteś na ulicy Moncada. Zlokalizowałem cię. Nie ruszaj się stamtąd, będę u ciebie za pięć minut! - krzyknął Lizard.

- Nie mogę czekać. Idę.
- Gdzie?!
- Do węzła tramwajowego - oznajmiła pewnym głosem.

Odwróciła się i wyszła z budynku, bliska omdlenia, otepiła, z bólem brzucha.

Szła szybkim krokiem, odizolowana od świata, zanurzona w swoim koszmarze, nieczuła na prorocтва apokaliptyków, na szum publicznych telebimów, na towarzyszące jej spojrzenia, pełne trwogi bądź nienawiści. Maszerowała jak automat, skoncentrowana

na swoim zadaniu. Ale kiedy stanęła przed gigantycznym węzłem tramwajowym w kształcie gwiazdy, nogi odmówiły Brunie posłuszeństwa. Znow dzwoniło jej w uszach, mocno, aż do bólu. Wyobraziła sobie okrągłe zębate ostrze piły przecinające mózg, wzdrygnęła się. I wtedy przed oczyma stanęła jej, nie wiadomo czemu, postać kobiety z ciemną linią wzdłuż całego ciała, kobiety przeciętej swoim tatuażem. Cztery lata, trzy miesiące i jednaście dni. Przez chwilę nie była w stanie się poruszyć i z trudem łapała powietrze. Zaraz jednak pojawiła się twarz Gummy'ego i ciało na powrót zaczęło funkcjonować. Upewniła się, że pas jest gotowy do użycia, i skierowała się ku kładce prowadzącej do bocznego wejścia budynku. W tej samej chwili obok niej z piskiem opon zatrzymał się samochód, z którego wysiadł jakiś mężczyzna. To był Lizard. Bruna cofnęła się parę kroków i przyjęła pozycję wyczekującą, gotowa walczyć, jeśli on spróbuje ją zatrzymać. Ale mężczyzna stanął parę metrów od niej.

- Bruno... Spokojnie...
- Nie podchodź.
- Nie podejdę. Chcę tylko porozmawiać. Powiedz mi, kogo masz zabić? Jak to zrobisz?
- Pozwól mi przejść. Nie przeszkodzisz mi w tym.
- Posłuchaj, Bruno... Twój mózg został zmanipulowany. Najprawdopodobniej wszczepiono ci implant z zaprogramowanym zachowaniem. Wmówiono ci, że masz dziecko, ale to nieprawda. Musimy usunąć implant, zanim on cię zabije.

Dzwonienie nie ustawało. Może Lizard ma rację. Może to i prawda z tym implantem. Tylko że jej synek wciąż znajdował się w rękach oprawców. Małeńki, przestraszony, bezbronny. Kiedy wyobraziła sobie, jak bardzo musi być przerażony, omal nie krzyknęła ze strachu. Zdjęła zabezpieczenie, palce same powędrowały w kierunku membrany.

- Opowiedzieli mi, co zrobią Gummy'emu, jeśli nie wykonam zadania. - Głos się jej załamał. - Nie mogę odmówić. Muszę rozpylić gaz przed dwunastą. Jeśli nie uda mi się wejść do środka, rozpylę go na ulicy.
- Zaczekaj, do wszystkich przeklętych gatunków, proszę! Nie rób tego. Jeśli to jest gaz, nie zadziała równie skutecznie pod gołym niebem jak wewnątrz budynku, prawda? Pewnie by nie chcieli, żebyś go tu rozpyliła.
- Może. Ale to bardzo skuteczna neurotoksyna. Zabija w ciągu minuty i jest bardzo

wydajna. Tu też zadziała.

Paul rozejrzał się. Parę metrów dalej sunął ruchomy chodnik pełen przechodniów. Nad nimi znajdowała się kładka, obok jeździły samochody, wokół stały budynki.

- Bruno, błagam, poczekaj chwilę! Proszę! Zadzwoiłem do twojego przyjaciela. Zaraz tu będzie. Poczekaj, proszę.

Replikantka wpadła w panikę. Dotknęła palcami membrany. I już ich nie cofnęła. Oparła dłoń na pasie.

- Jeśli wezwalesz posiłki... jeśli chcesz mnie zastrzelić... Nacisnęłam przełącznik. Jeśli zdejmę palce z membrany, ampułki się otworzą i uwolnią gaz.

Lizard pobladł.

- Nie, proszę, nie rób tego. Zadzwoiłem jedynie do twojego przyjaciela. Daj mi dziesięć minut... dwadzieścia. Tylko tyle. Nie ma jeszcze dwunastej. Daj mi tylko dwadzieścia minut. Jeśli o jedenastej trzydzieści wciąż będziesz chciała wejść do budynku, nie będę ci przeszkadzał. Proszę. Dwadzieścia minut, a w zamian ja zaopiekuję się dzieckiem. Po twojej śmierci. Ktoś będzie musiał się nim zająć.

Bruna poczuła się tak, jakby stanęła na skraju przepaści. Ma rację, w ogóle o tym nie pomyślała. Ktoś będzie musiał zaopiekować się Gummym. Cztery lata, trzy miesiące i jedenaście dni. Zawyla z rozpacz i przycisnęła palce do membrany.

- Dobrze. Czekam do jedenastej trzydzieści. A ty zaopiekujesz się dzieckiem. Tylko nie dzwoń do nikogo i nie ruszaj się.

- Nic nie zrobię, spokojnie.

To było najdłuższe dwanaście minut w życiu Paula Lizarda. Bruna pograżała się w sennym koszmarze, w gorączkowym majaku. Minuty płynęły niczym mgła najeżona tnącymi jak ostrza noża potwornymi wizjami.

W trzynastej minucie zjawił się Pablo Nopal.

- Cześć, Bruno.

Replikantka obrzuciła przybysza szybkim spojrzeniem. Znała go. Budził w niej dziwny niepokój, nie wiedziała dlaczego.

- Masz piękny naszyjnik. Naprawdę śliczne jest to netsuke. Należało do twojej matki, pamiętasz? Kiedy byłaś dzieckiem i rodzice wybierali się gdzieś wieczorem, przed wyjściem matka przychodziła do twojego pokoju. Udawałaś, że śpisz, ale widziałaś, jak

się nad tobą pochyla, smukła i krucha w eleganckiej sukience, pachnąca perfumami, w aureoli światła padającego z przedpokoju... A na jej szyi wisiał ten człowieczek. Wtedy matka chwyciła jedną ręką netsuke i przytrzymując je, delikatnie całowała cię w policzek albo w czoło. Zapewne łąpała za naszyjnik, żeby cię nim nie uderzyć, gdy się nad tobą pochylała, i ta scena na wieki zapadła ci w pamięć: zapadająca noc, światło lampy w przedpokoju, pocałunek matki, która trzymała w dłoni człowieczka, jakby ścisnęła talizman, jakby to był sekretny klucz, który pozwalał się jej przenieść do jakiegoś tajemniczego i szczęśliwego miejsca, gdzie czekano na rodziców...

Nopál przemawiał poważnym i spokojnym tonem, a Bruna nagle zobaczyła siebie w tym dziecku śpiącym w łóżeczku, w ciepłej pościeli, otulonym - niczym bezpiecznym kokonem - zapachem matki. Wyraźne, gorące wspomnienie przemknęło przez jej głowę i wywołało kolejne obrazy. Nopál wysnuwał jak z kłębka zamotane nitki wspomnień i powoli zamazane kształty rzeczywistości zaczęły odzyskiwać utraconą ostrość. Pół godziny później Bruna znów przeszła swój widmowy taniec, jeszcze raz rozplakała się, kiedy odkryła oszustwo i zrozumiała, że jest androidem. I że nie może mieć dzieci. Jednak Gummy wciąż gdzieś w niej ogłuszająco płakał. Jej dziecko wciąż ją przyzywało i jej potrzebowało. Replikantka jęknęła. Z oczu płynęły palące łzy. Lewą ręką ponownie zabezpieczyła pas, a potem oderwała zdrętwiałe palce od membrany. Lizard ruszył w jej stronę, ale Bruna powstrzymała go wrzaskiem.

- Stój!

Inspektor gwałtownie się zatrzymał.

- Teraz ja poproszę cię o pięć minut.

Nikt się nie odezwał.

Replikantka pochyliła głowę i zamknęła oczy. Szykowała się na śmierć Gummy'ego. Przypomniała sobie ciężar dziecka w swoich ramionach, ciepły zapach małego zwierzątka, pulchną rączkę, która dotykała jej twarzy, i na koniec powiedziała sobie: to wszystko nieprawda, to wszystko nie istnieje. Nie istnieje! Krzyknęła w duchu i wyraźny obraz zaczął się powoli rozmazywać, jak piksele na uszkodzonym nagraniu. Przeszła do kolejnego wspomnienia o swoim dziecku, potem do jeszcze jednego. Pierwsze niepewne kroczki. Tamto niebieskie, spokojne letnie popołudnie, kiedy Gummy zjadł mrówkę. Sposób, w jaki wypowiadał słowo „karmelek”, w swoim dzieciennym języku, „kale-lek” i

bąbelki śliny, które zbierały mu się w kącikach ust. I to, jak wkładał swoją rączkę w jej dłoń, kiedy czegoś się przestraszył. To wszystko nie istniało! Nie istniało! Wspomnienia znikwały, pękały jak mydlane bańki, a ból z każdą chwilą stawał się coraz bardziej nieznosny, coraz dotkliwszy, tak jakby ktoś rozdrapywał świeżą ranę po oparzeniu. Bruna dzielnie szła dalej, umęczona samobójczyni, rozdrapując żywe rany, by w końcu dotrzeć do ostatniego wspomnienia i wyrzucić je z siebie. Właśnie tam, w dole, w głębi, po przeżyciu wyobrazonej śmierci Gummy'ego, czekała na nią przyczajona prawdziwa śmierć Mer-lina. Bruna Husky wracała, ocalona i prawdziwa.

Otworzyła oczy, wyczerpana i obolała. Spojrzała na Lizarda i Nopala.

- Czy to znaczy, że implant mnie zabije, tak jak innych? Rozwali mi mózg? Wyłupię sobie oczy? - zapytała cichym, chrapliwym głosem.

A kiedy uniosła wzrok, zobaczyła siebie. Nagle jej zdjęcia zaczęły pojawiać się na wszystkich publicznych telebimach: Bruna we własnej osobie, Bruna jako Annie Heart, przed hotelem Majestic, Annie wchodzi do siedziby Partii Supremacjonistów. I zobaczyła wielkie, czerwone trójwymiarowe napisy w pasku wiadomości z ostatniej chwili: „Replikantka Bruna Husky oskarżona o bestialskie zamordowanie Hericia”. Była dokładnie dwunasta.

Pomysł wyszedł od Bruny. Chciała usunąć implant, ale gdyby udała się w tym celu do szpitala, zapewne by ją aresztowano. Dlatego pomyślała o Gandarze.

- Lekarz sądowy? - zdziwił się Lizard.
- Potrafi wyciągać fałszywe memorki, choć do tej pory miał do czynienia tylko z trupami.
- No tak, ale... masz do niego zaufanie? Dziwny z niego typ. Nie doniesie na ciebie?

Bruna pokręciła głową, a świat wokół natychmiast się zakołysał. Z każdą chwilą czuła się coraz gorzej.

- Nie, jest w porządku, to mój dobry przyjaciel... A jeśli damy mu trochę pieniędzy, okaże się jeszcze lepszym przyjacielem... - mruknęła słabym głosem.

Była pewna, że umrze, miała tylko nadzieję, że Lizard nie pozwoli jej wyłupić sobie oczu. Inspektor zadzwonił do Ganda-ry, lekarz pracował tylko nocami i teraz był w domu, Paul dość oględnie wyjaśnił powód wezwania, ale jednocześnie okazał się na tyle

oficjalny i nieustępliwy, że Gandara obiecał zjawić się niezwłocznie.

- Moja w tymi głowa, żeby za dużo nie powiedział - mruknął Nopal.
- Co masz na myśli? - W pytaniu inspektora dał się wyczuć niepokój.
- Mam na myśli pieniądze... dam mu parę gai.

Pojechali we trójkę policyjnym samochodem. Przyciemnili szyby, żeby ukryć replikantkę, bo na wszystkich publicznych telebimach do znudzenia wyświetlano zdjęcia Bruny, a jej wygląd był dość charakterystyczny. Lizard i pamięciarz zachowywali się tak, jakby podpisali rozejm, a nawet zawarli chwilowy sojusz, który replikantce musiałby się wydać dziwny, gdyby tylko była w stanie o tym pomyśleć. Tymczasem czuła się tak fatalnie, że chyba nie miała siły na myślenie. I chyba nie zwróciła uwagi na coś jeszcze dziwniejszego: zamiast ją aresztować, inspektor pomagał jej w ucieczce.

Dotarli do Instytutu Medycyny Sądowej. Brunę, zlaną zimnym potem, dopadła też tachykardia. Lizard zaparkował w ustronnym miejscu, zostawił Brunę z Nopalem w samochodzie i poszedł sprawdzić, czy lekarz zdążył przyjechać. Lizard szybko wrócił z Gandarą, choć czekającym czas dłużył się niemiłosiernie.

- Wyglądasz fatalnie, Bruno. Trochę przypominasz moich pacjentów - przywitał się lekarz.

Mieli ze sobą automatyczny wózek z kapsułą.

- Trzeba ją rozebrać - zarządził Gandara.

Pomogli jej zdjąć ubranie i naszyjnik z netsuke, ułożyli ją w środku kapsuły i zamknęli przezroczystą pokrywę. Liczne obrażenia na ciele uwiarygodniły Brunę w odgrywanej roli zwłok. Wkroczyli do budynku i szybko, bez zbędnych formalności przeszli przez stanowisko ochrony, nikt o nic nie pytał, zapewne z powodu kąśliwego i władczego charakteru lekarza sądowego. Ruszyli jednym z korytarzy i wkrótce dotarli do sal sekcyjnych.

- Wyjaśniłem, że to ściśle tajna sprawa, poważny przypadek, i poleciłem, by nikt nam tu nie przeszkadzał - oznajmił Gandara.

Ustawił wózek na środku pomieszczenia, spuścił moduł z instrumentami i otworzył pokrywę. W sali panował lodowaty chłód. Lizard popatrzył na nagie ciało replikantki, blade i bezbronne wewnątrz ponurej kapsuły, i zrobiło mu się zimno. Poczuł też smutek i strach, i coś na kształt delikatnego żalu, coś podobnego do czułości.

Gandara włożył fartuch i rękawiczki, a potem włączył silną bakteriobójczą lampę.

- Bruno, jak się czujesz?
- Źle.

Gandara przyjrzał się jej z niepokojem.

- Wiesz, jaki dziś dzień?
- Poniedziałek... trzydziesty pierwszy stycznia... - odparła słabym głosem.

Lekarz odczytał dane z przyrządu pomiarowego.

- Tachykardia, lekka hipotermia... No dobrze, nie traćmy czasu. Jeśli masz tam memorkę, musimy ją jak najszybciej wyciągnąć.

Szybkimi, precyzyjnymi ruchami lekarz spuścił aparat o dość przerażającym wyglądzie i uruchomił go. Urządzenie zazgrzytało złowieszczo,

- Nie możesz się ruszać. Rozumiesz? Pomyśl, że jesteś trupem.

Bruna szerzej otworzyła oczy, w niemym przyzwoleniu. Lekarz umieścił metalową końcówkę aparatu w jamie nosowej replikantki i nacisnął przycisk.

- Teraz wprowadzam sondę.

Bruna jęknęła, a jej dłonie zacisnęły się z bólu.

- Do stu przeklętych gatunków, Gandara, nie możesz jej znieczulić? - mruknął inspektor.

- Lizard, przykro mi, ale nie mamy tu środków znieczulających. Nie potrzebujemy ich, jak się zapewne domyślasz. Spokojnie, Bruno. To potrwa sekundę. Zresztą po co nam środki znieczulające, jakoś nikt dotąd się nie skarżył, ha, ha...

Nanosonda, widoczna na ekranie tylko dzięki fluorescencyjnym błyskom, penetrowała mózg. Świetlisty robak kręcił się po szarych komórkach niczym szalona kometa w zamkniętym wszechświecie. Gandara wydawał się zdziwiony.

- Niemożliwe...

Bruna jęczała chrapliwie. Zacisnęła dłonie i tak się naprężyła, że zakrzywione palce stóp przypominały szpony drapieżnika. Jej piękne, obolałe, umęczone ciało w świetle bakteriobójczej lampy przybrało nierealny fioletowy odcień.

- Do kurwy nędzy! Co się dzieje? To miało trwać sekundę! - nie wytrzymał inspektor.

Świetlisty robak raz jeszcze przemierzył ekran i zgasł. Sonda zasyczała, gdy

opuszczała mózg. Lekarz wyciągnął ją z nosa Bruny i odwrócił się w stronę Nopala i Lizarda.

- Nic tam nie ma.

- Jak to?

- Nie ma żadnego implantu. Żadnej fałszywej memorki, tylko seryjna pamięć replikanta, która znajduje się nietknięta na swoim miejscu.

- To niemożliwe. Jestem pamięciarzem, rozmawiałem z Braną i wiem, że wszczepiono jej fałszywe wspomnienia. Jestem tego całkowicie pewien - upierał się Nopal.

- A ja ci mówię, że niczego tam nie ma. Niczego! I też jestem tego całkowicie pewien - oznajmił lekko zirytowany lekarz.

Po czym spojrzął na replikantkę i bezwiednie zaczął ciągnąć się za ucho, co robił zawsze, kiedy się denerwował.

- Chociaż niewykluczone, że...

Uniół ręce replikantki z wciąż zaciśniętymi pięściami.

- Mhm, Brano, czy czujesz, że ślinisz się bardziej niż zwykle?

Skinęła głową.

- No tak... Napięcie mięśniowe, ślinotok... Przepraszam, muszę jeszcze raz włożyć sondę. Ale teraz już naprawdę na krótko...

Aparat zabrzączał raz jeszcze, małe sonda zaczęła swą wędrówkę, na ekranie błysnął fluorescencyjny robak, Replikantka jęknęła. Ale Gandara nie skłamał - minęło parę sekund i sonda znalazła się na zewnątrz. Wyłączył aparaturę i mocnym pchnięciem wysłał ją pod sufit. Wyglądał na uradowanego.

- Chyba już wiem, co się stało... Niesamowita sprawa. Słyszałem o tym, ale nigdy tego nie widziałem.

- Ale czego? - spytali jednocześnie Pablo i Paul.

- To kryształki chlorku sodu... Można na nich nagrać informacje jak na chipie, a po paru godzinach kryształki rozpuszczają się, nie zostawiając żadnych śladów w organizmie. To znaczy, że wszczepiono jej fałszywą memorkę z soli, ale kryształki zdążyły się rozpuścić. Choć udało mi się wychwycić ślady podwyższonego poziomu soli. Ale to nic poważnego.

- To znaczy, że ona nie umrze?
- Nie, nie, skądże. Sól spowodowała chwilowe zakłócenie równowagi elektrolitów w mózgu, co stało się przyczyną mdłości, sztywnienia i całej reszty. Na szczęście mam tu zasobniki nawadniające, których używam przy zbyt wysuszonych zwłokach. Zaraz wstrzyknę Brunie jedną z takich kapsulek i jeśli trochę odpocznie, w przeciągu doby będzie jak nowo narodzona.

- Nie chcieli zostawić żadnych śladów manipulowania pamięcią... Dlatego wybrali śmierć przez zagazowanie. I jeśli ciało Bruny zostałoby poddane autopsji, lekarz sądowy niczego by nie znalazł... I wyglądałoby na to, że Husky dopuściła się tych wszystkich potworności świadomie i z własnej woli. Okrutny i żądny zemsty android staje przeciwko ludzkości... - zastanawiał się Lizard.

- Idealny wróg - wyszeptła słabym głosem replikantka.
- No dobrze, to ukłucie to zastrzyk z kapsułką nawadniającą. Gotowe. Za parę tygodni, kiedy znajdziesz chwilę czasu, wpadnij do mnie i wyciągnę ci ją. Zasobnik został zaprojektowany dla trupów, więc się sam nie wchłania. Aczkolwiek jest zupełnie nieszkodliwy, możesz go więc nosić przez całe życie, jeśli tylko ci nie przeszkadza. A teraz musicie już sobie iść. Im szybciej, tym lepiej. Mogę wpaść w tarapaty z waszego powodu.

- Doceniamy twoje poświęcenie i chcielibyśmy się odwdziaczyć. - Nopal uścisnął dłoń lekarza, zostawiając w niej zwitek banknotów. Gandara uśmiechnął się i bez protestu przyjął pieniądze.

- Zrobiłbym to tak czy inaczej, ale teraz czuję się o wiele bardziej doceniony i usatysfakcjonowany... Wyjdźcie tylnymi drzwiami, tymi, którymi roboty wywożą zwłoki. Lepiej, żeby was nikt nie zauważył.

Lizard wziął Brunę na rękę i wyjął z kapsuły. Szorstkie ubranie mężczyzny drapało jej nagą skórę. Chętnie by tak została na wieczność zwinięta w kłębek i przytulona do szerokiej piersi inspektora, spałaby w tym cielesnym schronieniu aż do czasu jej WGT, poczuła się jednak trochę lepiej i wiedziała, że nie może tak tkwić w bezruchu. Ubrała się więc samodzielnie, a nawet stanęła na nogi i, podtrzymywana przez Nopala, podeszła nieco chwiejnym krokiem do wyjścia. Za drzwiami znajdował się pomost obsługiwany przez roboty-wózki, kilka pustych kapsuł piętrzyło się przy murze. Lizard, który poszedł

przodem po samochod, szybko wrócił i wsiedli do auta.

- Musimy ci teraz znaleźć bezpieczną kryjówkę. Do czasu, jak wyzdrowiejesz i będziemy mogli wyjaśnić parę spraw.

- Może pomieszkać u mnie w domu - zaproponował Nopal.

- Nie, u ciebie nie - stanowczo zaprotestował Lizard.

Pamięciarz ironicznie się uśmiechnął.

- A niby dlaczego nie, można wiedzieć?

Inspektor milczał.

- Obawiasz się, że jestem w to zamieszany? Czy może boisz się, że ona będzie woląla zostać ze mną?

Walczą o mnie, pomyślała Bruna, to jakiś cywilizacyjny atawizm.

- Jesteś pod obserwacją od ponad roku. Jeśli zabierzesz ją do siebie, moi ludzie natychmiast się o tym dowiedzą - wyjaśnił ponuro Lizard.

No tak. Paul wcale o nią nie walczył. Po prostu opracowywał taktykę. Bruna poczuła w ustach słony smak. Za dużo śliny, na dodatek z żółcią.

Nopal pobladł z gniewu. Biła z niego głucha wściekłość.

- Doskonale. Cieszę się, że przyznałeś się, że mnie śledzisz. To jest policyjny mobbing. Złożę na ciebie skargę.

- Rób, co chcesz.

- Stań tutaj - zabrzmiało to jak rozkaz.

Lizard zatrzymał samochód i Nopal wysiadł.

- Nopal... - wyszeptwała replikantka.

Pamięciarz uniósł palec.

- Ty się nie odzywaj. A jeśli chodzi o ciebie, to skończę z tobą, możesz mi wierzyć.

Lizard obrzucił go flegmatycznym spojrzeniem spod opadających powiek.

- Wierzę. To znaczy wierzę, że spróbujesz. Dlatego cię śledzę. Bo wierzę, że jesteś zdolny to zrobić.

Nopal roześmiał się zjadliwie.

- Skończę z tobą, ale w sądzie. Złożę doniesienie i to będzie koniec twojej kariery.

Więc ciesz się, póki możesz, tą odrobiną władzy, jaką posiadasz.

I odwróciwszy się na pięcie, ruszył w głąb ulicy.

Obserwowali go w milczeniu.

- To ty go wezwałeś. - Bruna odezwała się pierwsza.
- No tak.
- Chociaż go nienawidzisz.

- Kiedy opowiedziałś o dziecku, wiedziałem, że trudno cię będzie wyciągnąć z obłądu, w którym tkwiłaś. Wtedy przypomniałem sobie o nim i pomyślałem, że będzie w stanie ci pomóc.

- Skąd wiedziałeś, że... Nopal jest moim pamięciarzem?
- Nie wiedziałem.
- A skąd wiesz, że nie zabiłam Hericia?
- Nie wiem, czy to zrobiłaś.
- Dlaczego mi w takim razie pomagasz?
- Tego też nie wiem.

Bruna milczała przez chwilę, próbując przetrwać jego słowa, w końcu zdecydowała, że zastanowi się później. Czowała się wyczerpana i skołowana. Choć jej stan nieco się polepszył, potrzebowała snu. A także bezpiecznego schronienia, w którym mogłaby nabrać sił.

- Nie wiesz przypadkiem, co się stało z moim kompfonem?
- Znalazłem go u ciebie w domu. Proszę. Zmieniłem twoje dane w centralnym komputerze naszego wydziału, żeby cię nie namierzyli. Zorientują się pewnie za jakieś dwa, może trzy dni.

Replikantka zapięła elastyczną półprzezroczystą opaskę na nadgarstku i zadzwoniła do Yiannisa. Lizard zdążył wyjaśnić Brunie, że zarówno archiwista, jak i kobieta-reklama żyją, że rozpylony gaz był tylko substancją usypiającą, że oboje wyszli ze wszystkiego bez szwanku. To oni powiadomili policję o zniknięciu Bruny. Wzruszona twarz Yiannisa pojawiła się na wyświetlaczu.

- Bruno, wszystkim istotom niech będą dzięki, jak się cieszę, że cię widzę! Gdzie jesteś? Co się z tobą stało? Wszędzie mówią tylko o tobie, to potworne! Pokazują cię w przebraniu, jak wchodzisz do siedziby PS. I ta historia, niestety, brzmi dość wiarygodnie.

Husky pokrótce, choć z wysiłkiem, zarysowała sytuację, a potem napomknęła o szukaniu bezpiecznego lokum. Oczywiście nie mogła brać pod uwagę mieszkania

Yiannisa, już raz została w nim zaatakowana. A żadne inne miejsce nie przychodziło jej do głowy. Zwłaszcza że wszyscy wokół byli przekonani, że jest zabójczynią.

Twarz starca rozjaśniła się.

- Poczekaj, a może... Ten stwór, który tak cię polubił, no wiesz, ten Omaajczyk? Wspomniałaś kiedyś, że umieściłaś go w cyrku, u tej skrzypaczki. Może tam mogłabyś się ukryć przez parę dni?

- Aleja ich prawie nie znam, ani Maia, ani Mirari. Dlaczego mieliby mi uwierzyć? Też będą przekonani, że to ja zabiłam...

I nagle sobie coś uświadomiła. Nie, nie będą przekonani, ponieważ Maio będzie wiedział, że jest niewinna. Warto zaryzykować.

- Doskonały pomysł, Yiannisie. Spróbuję tak zrobić.

Lizard jechał w stronę cyrku, a Bruna zapadła w niespokojny sen.

Leżała na plecach, w łóżku, okryta ciemnością niczym ciężkim, wilgotnym kocem. Zbudziła się przed chwilą, czuła strach. Nie dlatego, że ktoś próbował ją zabić i nafaszerował jej mózg kryształkami soli, i nawet nie dlatego, że ktoś, zawiązując spisek, wyznaczył jej rolę kozła ofiarnego. To wszystko stanowiło realne niebezpieczeństwo, konkretne zagrożenie, przed którym mogła się bronić. I tylko serce biło szybciej, mózg dostawał zastrzyk adrenaliny. Te rzeczywiste zagrożenia miały w sobie coś niewyobrażalnie ekscytującego. Stanowiły mocną afirmację życia.

To, czego teraz doświadczała Bruna, to był zupełnie inny strach. Mroczny, prymitywny. Lęk przed śmiercią. Ten sam lęk, który czuła nocami jako mała dziewczynka, kiedy przerażająca rzeczywistość pełzła w ciemności do jej łóżka. Do stu przeklętych gatunków, jęknęła w duchu zrozpaczona: przecież ja nigdy nie byłam dzieckiem, nigdy tego nie przeżywałam! To tylko fałszywe wspomnienia, czyjaś pamięć. I nagle odkryła prawdę: to Pablo Nopal przeżywał ów strach. Stąd ten kosztowny naszyjnik z netsuke. To była biżuteria jego matki. Stąd to wzruszenie i wiarygodność scen, które opisał Nopal, kiedy wyprowadzał ją z obłądu. W jednej chwili Bruna zrozumiała, że to pamięciarz zamieszkał w niej jako mały przestraszony dzieciak. Poczwała wstręt i jednocześnie trudną do opisania tkliwość. Nie chciała już nigdy więcej spotkać się z Pablem Nopalem. Oczywiście okłamywała samą siebie, bo teraz tym

bardziej pragnęła go zobaczyć, zapytać o matkę, o ojca, o dzieciństwo, chciała wiedzieć więcej, poznać więcej szczegółów, czuła głód życia. Fascynowało ją to, a zarazem męczyło.

Cztery lata, trzy miesiące i jednaście dni. Tak naprawdę już dziesięć, było czterdzieści jeden minut po północy. Pierwszy dzień lutego.

Zycie to opowieść, która zawsze źle się kończy.

Przez chwilę oddychała powoli i rytmicznie, próbując zrzucić z siebie ciężar smutku. Pomyślała o Merlinie, poszukała schronienia we wspomnieniu, tym razem prawdziwym, cennym i wyjątkowym, doświadczonym dzięki własnej mądrości i odwadze. „Tu na ziemi wszystko ma swój czas: jest czas narodzin i czas śmierci, czas płaczu i czas śmiechu, czas pieszczot i czas rozstania”, powiedział jej kochanek na parę dni przed śmiercią, osłabionym, ale jeszcze jasnym i spokojnym głosem. Merlin chętnie cytował ten fragment z Księgi Eklezjasty. Piękne słowa, pomocne w ujarzmianiu ciemności i wzburzonych odmętów bólu. I teraz, kiedy raz jeszcze przeżywała tamten wieczór, doznała pocieszenia, tak jakby żalność posłusznie zajęła należne jej miejsce.

Bruna znajdowała się w garderobie Mirari, w kąciku odgrodzonym od reszty parawanem. Wcześniej spał tu Maio z Bartolem, ale ustąpili jej izdebki. Drzwi zamknięto na klucz, nie było tu okna, replikantka czuła się więc jak w kasie pancерnej. Zarówno Omaajczyk, jak i skrzypaczka zareagowali podobnie: nie domagając się żadnych wyjaśnień, zaofiarowali pomoc. Maio rzecz jasna nie musiał o nic pytać. Znów spojrzała na zegarek: 12.48. Ostatnie przedstawienie skończy się za jakieś dwadzieścia minut i Maio z Mirari wrócą do garderoby. Brunna czuła się już dużo lepiej, ale była głodna. Nie chciała jednak zapalać światła ani uruchamiać dystrybutora. Wolała nie hałasować, bo to mogłoby zdradzić jej obecność. Zaczeka do ich powrotu.

Brzęczyk kompfona przerwał nocną ciszę, replikantka pospiesznie się zgłosiła. To był Habib.

- Na wielkiego Morlaya, Husky... - wyszeptał android. - Całe szczęście, że cię widzę...
- Habib, nie zrobiłam tego, o co mnie posądzają.
- Oczywiście, jestem pewien, że to nie ty. Ale pomyślałem sobie, że mogli ci włożyć taką sfalszowaną pamięć, tak jak to zrobili Chi... Wszczepili ci implant?

Wszystko z tobą w porządku?

Bruna szybko streściła ostatnie wydarzenia.

- Teraz czuję się dużo lepiej.
- Ale nie wyglądasz za dobrze. Chociaż ledwo cię widzę. Chyba jesteś w jakimś bardzo ciemnym miejscu.

- Jestem w...

Wyraźnie przestraszony Habib nie pozwolił jej dokończyć.

- Nic nie mów! Nic nie mów! Nie chcę wiedzieć, gdzie się ukrywasz! Tak będzie dla nas bezpieczniej. Jeśli by mnie złapali i torturowali tak jak Hericia, wszystko bym im wyśpiewał.

Replikantka spojrzała mocno zdziwiona. Habib wyglądał na roztrzęsionego.

- W porządku. Masz rację.

Android się uspokoił, co jednak nie przyszło mu łatwo.

- Przepraszam. To wszystko jest takie straszne... Mam całkowicie rozstrojone nerwy. Jutro jestem umówiony z Chemem Conesem, a trzy godziny później z delegatką Rządu Planetarnego. Zamierzam przedstawić im nasz punkt widzenia. Wyjaśnię dokładnie, dlaczego podejrzewamy, że chodzi o spisek przeciwko replikantom, i zażądam, by położono kres temu szaleństwu. Opowiem też o tobie. Mogę wyjawić wszystko, co od ciebie wiem?

- Wszystko z wyjątkiem udziału Lizarda, Nopala i Gandary.

- Oczywiście. No jasne. Życz mi szczęścia. Potem do ciebie zadzwonię.

Skończył rozmowę, a błękitny blask wyświetlacza zgasł niczym błędny ognik w ciemnościach. Jednocześnie Brunna coś usłyszała. Niemal nieuchwytny szelest. Delikatne drżenie powietrza. Zaniepokojona usiadła na łóżku. I nagle wszystko zatrzymało się w ułamku sekundy: czas, ruch wirowy Ziemi, serce Bruny. Skoczyła jak sprężyna i rzuciła się na podłogę, zupełnie nie myśląc, dlaczego to robi, a gdy turlała się po ziemi, zobaczyła, jak cichy, oślepiający strumień światła przesywa jej pryczę. Czarna plazma. Wiedziona instynktem przemieszczała się na czworakach z kąta w kąt, ścigana pociskami cichej śmierci, które dziurawiły przestrzeń tuż za nią. Udoskonalone oczy replikantki pozwalały rozróżnić postać napastnika mimo panujących ciemności: stał w drzwiach, których zamek sforsował bez trudu, zapewne jako wysokiej klasy specjalista; był

średniego wzrostu i nosił kask z termowizorem, który pozwalał dostrzec ofiarę w mroku, a nawet zasłoniętą meblem, na przykład parawanem. Wszystko to Bruna dostrzegła w jednej sekundzie, kiedy uciekała przed napastnikiem niczym karaluch, pewna, że zaraz dosięgnie jej kolejny strzał. Nie sposób było dopaść go, nie narażając się na odsłonięcie, nie można było też uciec, bo jedyne wyjście blokował tamten.

Nagle za napastnikiem wyrosła wielka, sięgająca sufitu postać. To był Maio. Stwór uniósł potężne ramię i pięścią uderzył w głowę mężczyzny, który osunął się na ziemię. Kask jednak musiał go chronić, bo zwinny jak kot odwrócił się na plecy i wycelował pistolet w obcego. Bruna wyobraziła sobie szeroki przezroczysty tors i połyskujące naczynia krwionośne rozerwane wystrzałem - czarna plazma nie daje szans na przeżycie. Jak drapieżne zwierzę rzuciła się w kierunku leżącego, wykorzystując instynkt, kod genetyczny i lata żmudnego treningu. Dzika i straszliwa, skuteczna i bezlitosna, skoczyła na napastnika, chwyciła od tyłu jego głowę i ukręciła ją jednym mocnym szarpnięciem. Działała automatycznie, nie myśląc i nie czując, zabiła perfekcyjnie jak kat. Szyja chrupnęła, mężczyzna zwiotczał jej w rękach. Nie żył.

- Bruno...

Maio zapalił światło i odezwał się swym szumiącym jak potok głosem.

- Bruno... Wyczułem cię, wiedziałem, że jesteś w niebezpieczeństwie, i dlatego tu przyszedłem...

Replikantka wciąż kłęzczała na podłodze. Obok leżało ciało napastnika z przetrąconym karkiem. Zdjęła mu kask - to był młody, nieznaną jej mężczyzna. Głowa przechyliła się w jedną stronę w groteskowy sposób, twarz zdawała się rozluźniona, choć smutna. Jeszcze przed minutą żył, teraz był tylko trupem. W głowie replikantki zawirowały przerażające wizje. Skrwawione noże przebijały jej pamięć i tym razem to były jej prawdziwe wspomnienia, jej prawdziwa przeszłość - nie miały nic wspólnego z wymagowanym lękiem rzekomego dzieciństwa. To nie był pierwszy trup Bruny - lata służby wojskowej obfitowały w trudne momenty. Ale do śmierci nie można przywyknąć.

- Bruno, Bruno... Wyczułem cię wcześniej i czuję teraz - szepnął Maio.

Podszedł do niej i położył swą wielką sześciopalczystą dłoń na ogolonej głowie replikantki. Łagodnie, delikatnie, pewnie. Wirujące skrwawione noże powoli zachodziły mgłą. Korytarzyk wypełnił się ludźmi: Mirari z bubim w ramionach, cyrkowi artyści,

publiczność wyciągająca szyje, żądna sensacji. Kiedy Omaajczyk wybiegł pędem z cyrku w połowie przedstawienia, wzbudził oczywiste zainteresowanie. Nie wspominając o odgłosach walki - cała garderoba była w oplakany stan. Teraz wszyscy ci ludzie przyglądali się replikantce szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Bruna widziała siebie klęczącą na ziemi z bezwładnym ciałem na kolanach. Scena podobna do piety. Piety bezlitosnych. Nie żałowała mężczyzny, w końcu był zabójcą, żałowała samej siebie, swojego śmiertelnościowego automatyzmu. Nie musiała zabijać, ale nie zdążyła nawet o tym pomyśleć. Jakaś kobieta przecisnęła się przez tłum gapiów i wymierzyła do niej z regulaminowej plazmy.

- Policja. Bruno Husky, jesteś aresztowana.

Policjantka, która aresztowała Brunę, była tak podniecona i uradowana, jakby trafiła się jej główna wygrana w Planetarnym Totolotku, tymczasem dość szybko pojawił się jej zwierzchnik i on przejął replikantkę, równie radosny i szczęśliwy, choć i ta radość trwała krótko, bo na miejsce przybył z kolei jego szef i zajął się Bruną. W taki mniej więcej sposób przez kilka kolejnych godzin replikantka przechodziła z rąk do rąk i pięła się w policyjnej hierarchii niczym cenny łup, o który toczą spór piraci. Po siłach porządkowych trafiła na polityków, którzy jak wygłodniałe rekiny też próbowali urwać z tej zdobyczy, ile się dało, i wreszcie o czwartej nad ranem zapadła decyzja, by zamknąć ją w celi o zaostrzonym rygorze w Pałacu Sprawiedliwości i poczekać na bardziej stosowną porę, aby z aresztowania uczynić medialny spektakl. Postanowiono wykorzystać jej zatrzymanie na wszelkie sposoby. Bruna rozmawiała przez parę minut z adwokatem z urzędu, apatycznym typem, któremu oznajmiła oczywiście, że jest niewinna, i poprosiła o powiadomienie prawników Radykalnego Ruchu Replikantów. Gdy potem została sama w nowoczesnej celi, przez cały czas oświetlonej i monitorowanej, próbowała otrząsnąć się z przygnębienia i trochę odpocząć. Fizycznie wciąż czuła się nie najlepiej.

Ku jej zdziwieniu o piątej trzydzieści rano przyszła po nią tamta pierwsza policjantka w towarzystwie kolegi. Teraz kobieta była raczej niezadowolona i milcząca, być może rozgoryczona tym incydentem, który uświadomił jej, że osobiste zasługi niewiele znaczą, gdy ma się nad sobą zbyt wielu szefów. Kazała Branie wstać i przeprogramowała elektroniczne kajdanki tak, by umożliwić jej chodzenie. Wobec replikantki użyto wszelkich zabezpieczeń: założono jej kajdanki na nogi, bransoletki paraliżujące na ręce, a

na szyję zdalnie kierowaną obręcz, która mogła spowodować zatrzymanie akcji serca. Widać było jak na dłoni, że ludzie się jej boją. Bardzo się boją. I fakt, że znaleziono ją przy mężczyźnie, któremu dopiero co skręciła kark, zdecydowanie nie poprawiał jej wizerunku.

Milcząca policjantka narzuciła na ramiona aresztantki olbrzymią ciemnoszarą pelerynę, żeby ukryć całe żelastwo, którym ją spętano, a na głowę założyła Branie czarną kominiarkę. Przy moim wzroście, w pelerynie ciągnącej się po ziemi i cienkiej kominiarce muszę wyglądać dość interesująco, pomyślała Brana; jeśli przebrali mnie tak, bym nie zwracała na siebie uwagi, to ich wysiłek poszedł na marne.

W takim stroju replikantka została poprowadzona przez dwójkę policjantów cichymi i pustymi korytarzami Pałacu Sprawiedliwości. Kiedy służbowymi schodami zeszli do poziomu pomieszczeń magazynowych, Brana zaczęła się niepokoić - w kajdankach, z elektroniczną blokadą i całkowicie bezbronna stanowiła łakomy kąsek dla każdego idioty. Zapytała, dokąd zmierzają, ale nikt jej nie raczył odpowiedzieć. Słońce jeszcze nie zdążyło wzejść i budynek oświetlały jedynie światła awaryjne. Rzeczywistość wokół była przygnębiająco nierealna.

Przeszli przez siłownię zajmującą kolejne piwniczne pomieszczenie, dotarli na podziemny parking i wsiedli do samochodu, dokładnie takiego samego jak pojazd Lizarda - zapewne był to wóz policyjny, choć nieoznakowany. Kobieta przyciemniła szyby i ruszyła w sobie tylko znanym kierunku. Dwadzieścia minut później samochód zatrzymał się przed tylnymi wejściami kolejnego potężnego gmachu. Bruna wiedziała, gdzie się znajdują: to był Szpital Uniwersytecki im. Królowej Zofii. Zadzwonili, podali swoje dane i drzwi się otworzyły. Strażnik poprowadził ich przez płataninę korytarzy na oddział psychiatrii, o czym informowały wielkie litery na ścianie. Mężczyzna otworzył kluczem drzwi do jednego z pokoi i skinieniem głowy nakazał replikantce wejść do środka. Bruna weszła, drzwi zamknęły się za jej plecami. Rozejrzała się dookoła, była sama. W wielkiej sali, oświetlonej nieciekawym, mdłym blaskiem ekologicznych lamp fluorescencyjnych. Po jednej stronie znajdował się stół z trzema krzesłami, po drugiej stało dwadzieścia krzeseł ustawionych w dwa półkolisty rzędy. Jedyną zaletą tego miejsca stanowiły dwa wielkie okna wychodzące na dziedziniec szpitala, ogromny, przywodzący na myśl średniowieczne klasztorne krużganki. To był bardzo stary

budynek, Bruna wiedziała, że na początku miał tu siedzibę szpital, potem przez ponad sto lat ważne muzeum sztuki. Został zniszczony w czasie Wojen Robotów i po odbudowie znów zaczął pełnić funkcję szpitala. Replikantka podeszła do okna, by wyrzeć w ciemność, i zauważyła, że szyby przecina siatka elektromagnetycznych linii. Kraty. Wciąż siedziała w celi, choć dużo większej.

- Cześć, Husky.

Bruna odwróciła się. W drzwiach stał Paul Lizard. Twarz wykrzywił mu dziwny grymas, który mógł oznaczać równie dobrze miły, co i pogardliwy uśmiech. Wszedł do pokoju, niosąc w dłoniach dwie kawy.

- Napijesz się?

- Nie.

- W porządku.

Mężczyzna wypił powoli najpierw jedną kawę, a później opróżnił drugą filiżankę. I spojrzał na Brunę z niepokojem.

- Z trudem udało mi się załatwić twoje przeniesienie. Przekonałem delegatkę Rządu Planetarnego. Wyjaśniłem, że skoro ludzie wiedzą, gdzie jesteś przetrzymywana, nie możemy ci zagwarantować bezpieczeństwa. To oczywiście prawda.

Bruna milczała.

- Zezwoliła na przeniesienie, bo obiecałem, że cię tu zamknę - potwornie się boi, że uciekniesz. A tu, w szpitalu, oddział psychiatrii ma nadzwyczajne zabezpieczenia. Szukają właśnie pokoju, w którym można by cię umieścić. O tym, gdzie przebywasz, wie nie więcej niż sześć osób. Zobaczmy, co dalej. Jestem pewien, że policja jest infiltrowana.

- Możliwe... - Replikantka ciężko westchnęła.

- Jak się czujesz?

- Bardzo zmęczona.

- Spróbuj się przespać. Czekają nas ciężkie dni.

Bruna doceniła, że mówi o nich, „czekają nas”. Poczuli się odrobinę mniej samotna. Spojrzała na twarz Lizarda, bladą i z oznakami wyczerpania.

- Dziękuję za wszystko, Paul.

- Nie dziękuj. Fakt, że nie udało mi się rozwiązać tej sprawy, działa na mnie

frustrująco. Próbuje ustalić tożsamość typu, który cię wczoraj zaatakował. Skąd wiedział, że jesteś w cyrku? Pomyślałem nawet, że mogli ci wszczepić domięśniowy chip lokalizujący, ale podczas badania, które przeszłaś przed zamknięciem, niczego nie znaleziono...

Lizard milczał chwilę, a potem spojrzał na Brunę kątem oka.

- Szkoda, że go zabiłaś. Warto było go przesłuchać.

Replikantka zeszywniała.

- Strzelał do Maia.

- Bruno, o nic cię nie oskarżam.

- Lizard, ja się przed niczym nie bronię.

Niepostrzeżenie przedzieliła ich tafla żrącej goryczy. Inspektor chrząknął i dłonią potarł policzek.

- W porządku. Idę sprawdzić, co nowego. Niedługo wrócę.

Podszedł do drzwi, zastukał, drzwi się otworzyły. Już wychodził, kiedy Bruna krzyknęła:

- To wy zrobiliście mnie taką, jaka jestem!

- Proszę?

- Jestem replikantką bojową. To wy zrobiliście mnie szybką i śmiertelnością.

Mężczyzna spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- To nie ja cię taką zrobiłem... Zresztą podobasz mi się taka, jaka jesteś.

Idąc za radą Lizarda, Bruna ułożyła się na dwóch krzesłach pod oknami i przez godzinę próbowała się zdrzemnąć. Ale ilekroć sen rozluźniał jej mięśnie i rozmazywał myśli, czuła jakby nagłe szarpnięcie, miała wrażenie, że spada w dół, i za każdym razem błyskawicznie trzeźwiała. Kajdanki i obroza ciążyły, elektromagnetyczne kraty w szybach brzęczały cicho i równie nieznośnie jak komar. Spojrzała za okno. Świtało. Powietrze w ciemnoniebieskim odcieniu powoli jaśniało, blakło. Wstała i niezgrabnie, na spętanych nogach, podeszła do przełącznika światła i zgasła lampy. Brzask nowego dnia z impetem wtargnął do pokoju. Cztery lata, trzy miesiące i dziesięć dni. A ten nowy dzień nie zapowiadał się zbyt radośnie.

Powróciła kołyszącym krokiem na swoje miejsce przy oknie. Mogła wybrać każde inne z dwudziestu krzeseł, ale ludzie i replikanci szybko ulegają przyzwyczajeniu: od

razu wybierają jedno cholerne szpitalne krzesło na swoje gniazdo. Siódma dziesięć. Czy dostanie coś do jedzenia, jeśli poprosi? Cztery lata, trzy miesiące i dziesięć dni.

Drzwi uchyliły się nieśmiało i ukazała się w nich głowa Ha-biba. Przywódca replikantów wszedł, zamknął za sobą drzwi i uśmiechnął się niepewnie.

- Habib! - krzyknęła z ulgą Bruna.

Nigdy nie przypuszczała, że tak się ucieszy na widok innego androida.

- Powiadomił cię mój adwokat z urzędu? Nie miałam pojęcia, czy to zrobi, to jakiś idiota...

Mężczyzna usiadł obok i niezgrabnie, choć przyjaźnie, zaczął poklepywać ją po ramieniu.

- Bardzo mi przykro. - W głosie Habiba brzmiało współczucie.

Wciąż uśmiechnięty, wyciągnął z nienacka plazmowy pistolet i przyłożył lufę do jej skroni. Bruna patrzyła na niego oniemiała.

- Przykro mi, Husky. Nic do ciebie nie mam. Ale gdybyś wiedziała, o co toczy się ta gra... To była propozycja nie do odrzucenia.

Dłoń mężczyzny delikatnie drgnęła, to był prawie niedostrzegalny i nieświadomy ruch, po którym, o czym Bruna doskonale wiedziała, nastąpił strzał, wiedziała też, że to już koniec. Wybrańcy bogów umierają młodo, ta absurdałna myśl przyszła jej do głowy w ostatniej chwili życia. I nagle świat się zawalił. Potężny łoskot, deszcz rozbitego szkła, Habib osuwający się na podłogę - wszystko w jednym ułamku sekundy. Bruna wstała i mnóstwo szklanych odłamków z głośnym brzękiem spadło na podłogę. Pochyliła się nad leżącym ciałem. Habib był martwy. Na środku czoła miał czarną okrągłą dziurę, a z tyłu głowy potężną wyrwę. Rzuciła okiem na broń: nieseryjny i nieporęczny pistolet, którym chciał ją zabić Habib, był tym samym, który sprzedał Branie zastępcę Hericia.

- Na wielkiego Morlaya!

Skrwawione szczątki mózgu ubrudziły połyskliwe kawałki szkła gęsto zaścielające podłogę. Replikantka spojrzała w stronę okien: ktoś strzelił z zewnątrz i roztrzaskał szybę, choć elektromagnetyczna siatka działała dalej, wydając nieprzyjemne bzyczenie.

Drzwi otworzyły się z hukiem, uderzając o ścianę, i do pokoju wtargnął Lizard z bronią w ręku.

- To Habib. Nie żyje - wybełkotała Bruna.

Inspektor rzucił okiem na trupa.

- Kto go zastrzelił?
- Nie wiem. Ktoś z zewnątrz...

Lizard podszedł do okna. Na dziedzińcu zaczęli zbierać się ludzie, zwabieni hałasem.

- Paul... Habib próbował mnie zabić.

Inspektor odwrócił się do niej.

- A ten pistolet... Widzisz plazmę w jego dłoni? Ten pistolet należał do mnie.

Straciłam go przedwczoraj, kiedy mnie porwano.

- Do stu przeklętych istot, Bruno, ile jeszcze masz ukrytych pistoletów, które można ci ukraść? No cóż, pewnie Habiba też zmuszono do takiego postępowania manipulacją w mózgu.

Bruna powoli pokręciła głową. Miała pewność, że replikant pozostawał w pełni władz umysłowych.

- Jak ja się zachowywałam pod wpływem kryształków soli? Kogoś ci przypominałam?

- Szaleńca.

Dokładnie tak jak Cata Cain, sąsiadka replikantka, która wylupiła sobie oko.

Rozgorączkowana, roztrzęsiona, plotła brednie.

- Habib zachowywał się zupełnie normalnie. Wyznał, że jest mu przykro, ale dostał propozycję nie do odrzucenia. Jestem przekonana, że był zamieszany w spisek. Ale dlaczego? I kto go zabił?

Lizard uruchomił swojego kompfona.

- Wezwałem posiłki. Boję się zostawić cię samą.

W tej samej chwili w drzwiach pojawili się policjantka i jej towarzysz.

- Gdzie, do cholery, poleżliście? Kazałem wam nie spuszczać oka z tej sali! - ryknął inspektor.

Zmieszani funkcjonariusze otwierali i zamykali usta.

- Ja... Zrobiło mi się słabo i... poszliśmy do... - wybełkotała kobieta.

Lizard wymierzył do nich z regulaminowej lśniącej plazmy.

- Natychmiast oddajcie broń. Jesteście aresztowani.

Policjanci potulnie wykonali rozkaz, drżącymi dłońmi podali pistolety, po czym na

rozkaz Lizarda przykuli się nawzajem do starych kaloryferów. Inspektor wrócił do sali i zniechęcony zamknął za sobą drzwi.

- Jak sądzisz, Bruno, czy są tylko idiotami, czy też ktoś ich przekupił? W tej przeklętej sprawie nikomu nie można zaufać...

Mężczyzna podszedł do Habiba, starając się nie deptać leżących wszędzie skrwawionych strzępków, i przeszukał trupa.

- Twierdzisz, że to twój pistolet?

- Tak. Przyłożył mi go do skroni. Myślę, że chciał, żeby to wyglądało na samobójstwo. Pewnie nosi rękawiczki z dermo-silikonu, żeby nie zostawić odcisków palców.

Lizard przytaknął.

- Możliwe. Ale skąd wiedział, gdzie przebywasz?

- Ja... poprosiłam mojego adwokata z urzędu, żeby go zawiadomił.

Inspektor westchnął wyraźnie niezadowolony.

- No dobrze. Wezwałem już paru zaufanych kolegów, żeby pomogli cię chronić...

Powinni tu być lada moment. Oczywiście zaraz też zjawi się sędzia, policja oraz ktoś, kto zabierze tę parę głupków, którą zostawiłem w kajdankach, zapewne przybędzie też jakiś policyjny szef albo i protestujący polityk. Na pewno. Co znaczy, że to będzie jedno z bardziej obleganych miejsc w mieście. Ciekawe, czy znajdę dla ciebie jakieś inne bezpieczne schronienie.

Bruna, zmieniona na twarzy, patrzyła na inspektora.

- Paul...

- Co się stało?

- Tak się zastanawiam... Dlaczego tak bardzo zależy im na tym, żeby mnie zabić?

Przecież postąpiłam tak, jak chcieli. To znaczy nie użyłam gazu, ale wrobili mnie w zabójstwo Hericia. Do czego potrzebna im teraz moja śmierć?

- Jeśli zginiesz, nie będziesz mogła dowieść swej niewinności.

- Ale dlaczego tak się spieszą? Teraz właśnie mogę się im bardzo przydać, występując w mediach. Wszędzie pokazują mnie jako replikantkę-zabójczynię.

Tymczasem wygląda na to, że za wszelką cenę próbują się mnie pozbyć. Wczoraj wysłali tamtego typka, a dziś pojawił się tu sam Habib, który w spisku nie był chyba postacią bez

znaczenia. Ryzykują dość sporo, próbując mnie zlikwidować. Dlaczego?

Lizard zmarszczył mięsiste czoło.

- A ty jak sądzisz?

- Mój synek... Wspomnienie mojego dziecka. Było bardzo wyraźne! I moja miłość, i ból...

Bruna wzdrygnęła się.

- Wciąż we mnie trwają... A jeśli użyto prawdziwych wspomnień? Niektórzy pamięciarze tak robią... Wiem, że mój właśnie tak zrobił. To na pewno dla nich dużo łatwiejsze niż wymyślanie czegoś w równym stopniu przejmującego i wiarygodnego. A jeśli to dziecko istniało naprawdę? A jeśli oni się boją, że mogą pamiętać coś jeszcze? Ze mogę ich pamiętać?

- A mogłabyś? - zainteresował się Lizard. - Kryształki soli już się rozpuściły...

- Może nie do końca? Zostały jakieś resztki. Chociaż wspomnienia szybko się rozmazują. Jak wspomnienie snu w miarę upływającego dnia.

- W takim razie spróbuj teraz, zaraz... Czegoś więcej ci trzeba?

- Ciszy... Muszę się skupić... może w ciemności poszłoby mi lepiej...

Na szczęście okna zaopatrzone były w żaluzje, które Lizard natychmiast spuścił. Pokój pograżył się w chłodnym mroku. Usiedli przy stole, jak najdalej od trupa. Odwrócona plecami do Habiba, Brunna oparła łokcie o blat, ukryła twarz w dłoniach i próbowała sobie coś przypomnieć.

To było jak zejście do piwnic tonących w ciemności.

Grubiotka rączka. To pierwsze, co zobaczyła. Mała, pulchna łapka niemowlaka, z rozkosznymi dołeczkami.

Żal ścisnął jej gardło. Wzruszająca, niezrównanie piękna rączka jej synka. Tego dziecka, dla którego gotowa byłaby umrzeć i zabić.

Wspomnienia napływały we fragmentach, w częściach, jak szczątki rozbitego statku wyrzucane z falami na brzeg. Uderzenie fali i oto pojawia się obraz chłopca, który biegnie za piłką, zziębnięty i szczęśliwy, spieniony bałwan i oto Gummy w łóżeczku, budzi się, usteczka ma rozkosznie wydęte, jakby wciąż spał.

To dziecko, dla którego gotowa byłaby umrzeć i zabić.

Ból rozsadał jej czaszkę, tłukł się niczym rekin w zbyt małym basenie.

Gummy śpiewa. Gummy pochlipuje, choć próbuje powstrzymać łzy. Domy i schody, topolowa aleja cała w słonecznych plamach, szum wiatru. Roześmiany chłopczyk w ramionach kogoś innego. Spokojny, uśmiechnięty chłopiec. Równie spokojna wydawała się osoba, która go trzymała. Jak na fotografii. Tą osobą z dzieckiem w ramionach była kobieta. Umrzeć i zabić. Bruna знаła tę kobietę. Na zdjęciu była młodsza i inaczej ubrana, ale bez wątplenia ją znała. Replikantka otworzyła oczy.

- To RoyRoy.

Po śmierci Habiba wydarzenia następowały po sobie w lawinowym tempie. To przypomina końcówkę w układaniu puzzli, pomyślała Bruna, ostatnie kawałki nagle zaczynają do siebie pasować, jakby przyciągane tajemniczą siłą, wreszcie zakrywają puste miejsce, ostatnią terra incognita łamigłówek, ukazując całość obrazu.

W gabinecie Habiba znajdował się drugi komputer, który, choć wyposażony w dość przemyślny system zabezpieczeń, został szybko rozpracowany przez specjalistów i dostarczył mnóstwa kluczowych danych, poczynając od materiałów, z których skompilowano hologram z pogrózkami znaleziony na biurku Chi, kończąc na zaszyfowanej liście kontaktów, skrupulatnie analizowanych przez policję. Program identyfikacji anatomicznej wykazał, że oko odbite w ostrzu rzeźniczego noża należało do Habiba. Oko równie widoczne jak mgławica Helisa, oczywistość, o której jednak Bruna nigdy nie pomyślała. To zapewne Habib dostarczył Chi informacji o pierwszych zabitych replikantach i to on zostawił w jej pokoju kulę z hologramem; Habib zasugerował przeniknięcie w szeregi Partii Supremacjonistów i on wysłał Nabokov chip, który przyprawił ją o szaleństwo. To jego gorączkowo szukał, kiedy przetrząsali mieszkanie Chi. Zawsze tu był, przeklęty Habib, ale Bruna go nie dostrzegła.

Jedno z pierwszych rozszyfrowanych nazwisk na liście kontaktów należało do bufoniastego supremacjonisty z drugiego szeregu, który wcześniej miał już do czynienia z policją, oskarżony o używanie przemocy i zakłócanie porządku publicznego. Mężczyznę pochwycono w jego własnym mieszkaniu, jak królika w norze, a już godzinę później wyznał wszystko, co wiedział, choć nie były to cenne informacje, poza jedną: zdaje się, że w sprawę była w jakiś sposób zamieszana Demokratyczna Republika Kosmosu. Okoliczność tę policja rozważała już wcześniej, ponieważ specjaliści do komputera Habiba weszli bez problemu głównie dlatego, że był on zabezpieczony

używanymi w Kosmosie systemem, który wcześniej został rozpracowany przez ziemskich szpiegów.

Jeśli zaś chodzi o RoyRoy, Lizard osobiście kierował grupą operacyjną, która udała się do domu Yiannisa, gdzie jednak kobiety nie zastali. Znikła, zostawiając wszystkie swoje rzeczy, a wśród nich oszołomionego i niepocieszonego archiwistę.

Niewykluczone, że kobieta-reklama umówiła się z Habibem, że ten poinformuje ją o wykonaniu zadania, a nie doczekawszy się wieści, postanowiła uciec. Centralny program identyfikacji tożsamości przez długi czas analizował zdjęcia RoyRoy wykonane przez Yiannisa i wreszcie ustalono, że w rzeczywistości chodzi o Olgę Ainho, słynną chemik i biolog, zaginioną przed piętnastu laty. W wynajętym na jej nazwisko mieszkaniu w jednej z dzielnic Salamanki odkryto laboratorium, a w nim ślady po wytwarzanych substancjach neurotoksycznych oraz spore archiwum, zawierające głównie nagrania doświadczeń naukowych. Ale znaleziono również filmowy zapis patroszenia Hericia, z budzącym dreszcz przerażenia głosem Ainho, która tłumaczyła sparaliżowanej ofierze, co i dlaczego jej robi.

Replikantka spędziła cały wtorek i noc z wtorku na środę w celi, ale wciąż napływające nowe informacje doprowadziły do jej uwolnienia. Dyżurująca sędzia wypuściła ją punktualnie o dziesiątej w środę. Teraz, o dziesiątej trzydzieści osiem, jadła śniadanie z Lizardem, w kawiarni obok budynku sądu. Inspektor czekał na nią w bramie.

- Jak sobie przypomnę ten teatr, który odstawił Habib, prosząc mnie, żebym mu nie mówiła, gdzie jestem... Tak... On wtedy już wiedział, że mieszkam w cyrku. To Yiannis podsunął mi ów pomysł, a Yiannis mieszkał z RoyRoy. Żaloszny komediant. .. - wymruczała Bruna z buzią pełną miodowych bułeczek.

- Wszystkie rozmowy prowadzone w siedzibie Radykalnego Ruchu Replikantów były ostatnio nagrywane. To taki środek ostrożności. Przypuszczam, że rozmowa z tobą miała stanowić alibi dla Habiba - wyjaśnił Paul.

- Ale nie tylko! Zadzwonił, żeby jego najemnik mógł mnie zlokalizować w pomieszczeniach cyrku. Mój szept i blask wyświetlacza bardzo mu to ułatwiły. Nie mogę zrozumieć jedynie, z jakiego powodu Habib się w to wszystko zaangażował.

- Pieniądze albo władza. Czyli w zasadzie jedno i to samo. Od zawsze to one stanowią ukryty powód.

- Tak sądzisz? Dla mnie sprawa nie jest równie oczywista. Lider replikantów zamieszany w spisek supremacjonistów przeciwko repom? Na dodatek pracował na rzecz Kosmosu, państwa, do którego replikantom zakazano wstępu. Nie pojmuję, dlaczego miałby uczestniczyć w działaniach, których celem byłoby unicestwienie androidów?

Od momentu, kiedy znaleziono nitki prowadzące do kłębka, Bruna miała w głowie kompletny zamęt. Mętlik myśli, którym usiłowała nadać sens. Czuła potrzebę reinterpretacji faktów i rozwikłania ciągu niezrozumiałych wcześniej zdarzeń. Teraz już wiedziała, dlaczego zdawało jej się, że nieprzyjaciel zna każdy jej krok - to dlatego, że Yiannis opowiadał wszystko RoyRoy, czyli Ainho. Przez chwilę miała żal do przyjaciela o jego gadulstwo, ale zaraz przeważyło w niej współczucie dla starego archiwisty. Biedny Yiannis. Musiał być zdruzgotany. To straszne odkryć, że kobieta, w której się zakochałeś, jest potworem, z zimną krwią patroszącym swą ofiarę. Powszechnie też wiadomo, że serdeczne uczucia fatalnie wpływają na komórki nerwowe. Dlatego Bruna nie chciała się już zakochiwać. Zerknęła na Lizarda, który wydał się jej bardziej postawny niż kiedykolwiek. Istny żywy posąg. Potężny mężczyzna, który zasłaniał jej światło. Inspektor pokroił sobie całe swoje danie – plaster szynki sojowej i sadzone jajka - na urocze małe porcyjki, i teraz zjadał je w regularnych odstępach, zostawiając żółtka na koniec. Był jak dziecko, jak olbrzymie dziecko. Ciepła tkliwość przepełniła pierś Bruny. Kleista miękkość uczucia.

- Dzięki, że przyszedłeś dziś po mnie. To naprawdę miłe.

- Właściwie to przyszedłem złożyć ci na pół oficjalną propozycję - mruknął Paul.

Miodowa bułeczka stanęła Brunie w gardle. Replikantka odchyliła się od stołu, poczuła się ośmieszona. Ilekroć dawała się ponieść emocjom, kończyła zawstydzona. Cztery lata, trzy miesiące i dziewięć dni. Szybko przybrała poważną minę, w pełni profesjonalną i lekko niezadowoloną.

- Ach tak, propozycję. Świetnie. Słucham.

- Właśnie odkryliśmy, że Olga Ainho jest urzędnikiem Ambasady Kosmosu.

Niewiarygodne, prawda? Nigdy nie pojawiła się publicznie jako członek korpusu dyplomatycznego, ale jest przy nim akredytowana. Przypuszczamy, że tam się ukryła. Moim telefonem zbudziłem ambasadora, przyjął to nie najlepiej. Zaprzecza, jakoby ta kobieta miała popełnić jakiegokolwiek przestępstwo, mówi o fałszywych dowodach i

sterowanej kampanii oszczerstw i twierdzi, że Ainho przysługuje immunitet dyplomatyczny.

- Czyli potwierdził, że przebywa na terenie ambasady?

- Właściwie nie. Oficjalnie Kosmici odmawiają wszelkiej współpracy i cała sprawa powoli przeradza się w międzynarodowy incydent. W skrócie rzecz ujmując, ambasador to niezła szuja, ale zdaje się, że ambasada mimo wszystko próbuje łagodzić napięcie w naszych wzajemnych relacjach... Zadzwonili, że radca zgodził się nas przyjąć. Podkreślili jednak, że to nieformalne spotkanie. U niego w mieszkaniu. Punktualnie o dwunastej.

- Przyjąć nas?

- Pomyślałem, że miałabyś ochotę pójść - wyjaśnił Lizard.

Mięsiste policzki zaokrągliły się w niepowstrzymanym uśmiechu, który rozświetlił całą twarz mężczyzny. Ten uśmiech nie miał nic wspólnego ze zwyczajowym sarkastycznymi grymasem pogardliwie zaciśniętych ust. Jego ciepło na nowo zmiękczyło serce replikantki.

- Powinienes częściej się uśmiechać - odezwała się głosem niespodziewanie czułymi i z lekka chrapliwym.

Lizard zamknął się w sobie niczym mięsożerna rosziczka. Przełknął ostatni kawałek jajka, szybko dopił kawę i wstał.

- Idziemy?

A Bruna znów poczuła się jak kompletna idiotka.

Członkowie korpusu dyplomatycznego Kosmosu zajmowali apartamenty nad pomieszczeniami ambasady. Budynek miał kształt ściętej piramidy ustawionej do góry nogami, a więc część najszersza znajdowała się najwyżej. Poza tym dziesięć pierwszych pięter było przeszklonych i całkowicie przezroczystych, natomiast cztery najwyższe kondygnacje miały kamienne ściany pozbawione okien. Co dawało zatrważający efekt: wrażenie, że kamienne bloki lada moment zetrą w proch szklaną podstawę. O ile siedziba Labarytów prezentowała neogotycki, archaizujący styl, o tyle ta ambasada stanowiła przykład neofuturyzmu i symbolizowała odwrócenie tradycyjnych wartości, zapewne w zgodzie z postulatem społecznego przewrotu, którego domagali się Kosmici. Tak czy inaczej, oba budynki wydawały się nieludzkie i przytłaczające. Kamienne piętra zostały przeznaczone na apartamenty pracowników ambasady: im wyższy stopniem, tym wyższe

piętro mu się należało. Ponieważ radca był drugi od góry w hierarchii, miał mieszkanie na przedostatniej kondygnacji, dzieląc je z dwoma innymi wysokimi urzędnikami. Rozległą rezydencję na samym szczycie piramidy, wspartą na barkach tych niższych stopniem, w całości zajmował ambasador. Pewnie i ta nieubłagana architektoniczna gradacja ma wiele wspólnego z życiem w Kosmosie, pomyślała Bruna.

Wewnątrz ambasada przypominała koszary. Niezwykle nowoczesne i dość zaawansowane technologicznie, ale jednak koszary. Ponure, jednolite kolorystycznie i pełne szybko przemieszczających się żołnierzy, tak sztywnych, jakby zamiast kręgosłupa mieli stalowe pręty. Urzędniczka w nieskazitelnym umundurowaniu towarzyszyła im aż do samych drzwi apartamentu radcy. Otworzył je robot, który powiódł ich do salonu, przestronnego pomieszczenia bez okien, za to ze ścianami w całości pokrytymi trójwymiarowymi zdjęciami z Ziemi Dryfującej. Dawały wrażenie, że pokój unosi się w kosmosie.

- Urocze, nieprawdaż? - rzucił radca, wchodząc do pokoju.
- Jestem Copa Square. Kawa, coś chłodnego czy może napój energetyzujący?
- Dziękujemy.

Square poprosił robota o napój żeńszeniowy i usiadł w fotelu. Był wysokim mężczyzną o doskonałych rysach twarzy. Tak doskonałych, że mogły być jedynie efektem pracy skalpela, choć prowadzonego ręką znakomitego chirurga. I na pewno nie był to wzór z katalogu.

- Nie muszę chyba przypominać, że spotkanie jest całkowicie nieoficjalne. I nawet jako takie stanowi przejaw naszej dobrej woli. Pomimo tej całej ziemskiej kampanii kalumnii i oszczerstw.

Uśmiechał się, ale pozostawał wciąż lodowato chłodny. Należał do osób, które używają uprzejmych form w charakterze zawołowanej groźby. Obyczaj powszechny wśród dyplomatów.

- Sądziłem, że nieoficjalne spotkanie pozwoli nam uniknąć zwyczajowych formułek. Wiesz przecież, że Ainho to zrobiła - ze spokojem zaczęła Lizard.

Copa Square uśmiechnął się mocniej. Chłodniej.

- Ainho już opuściła Ziemię, chroniona immunitetem dyplomatycznym. Pojazd z ambasady dowiózł ją do Orbitalnej Windy i w tej chwili zapewne dociera już do

Kosmosu. Nie ma znaczenia, czy ona to zrobiła, czy nie. Nigdy nie uda się wam jej osądzić, a w Kosmosie nigdy nie dowiedzą się o tym, co wydarzyło się na Ziemi. Tak więc można uznać, że wszystko, co się wydarzyło... nie istnieje.

- No tak, wiem, że w Kosmosie utrzymujecie ścisłą cenzurę, ale nie sądziłem, że jest się czym chwalić.

- Jednak mamy powód do dumy... Głównie z przyczyn technologicznych. Wytworzenie technologii zdolnej filtrować i kontrolować potężny i wielokierunkowy przepływ informacji stanowi wielkie osiągnięcie nauki. Ale przede wszystkim to sukces etyczny i polityczny. Ludzie nie powinni dostawać informacji, które mogą być zmanipulowane i źle zrozumiane. Nasi ludzie nie wierzą w bogów. I nie wierzą w bogactwo, w naszym państwie, jak zapewne wiesz, nie istnieje własność prywatna ani pieniądze. Państwo dba o wszystkich i każdy dostaje wszystko, czego potrzebuje. Ale istota ludzka, żeby żyć, musi w coś wierzyć. I nasi obywatele wierzą w ostateczną prawdę. W szczęście i sprawiedliwość społeczną. Na naszej Dryfującej Ziemi tworzymy raj. Wiem, że rzeczywistość jest złożona i pełna sprzeczności, a czasem nawet pogrążona w ciemnościach, i poruszamy się w niej po omacku. Ale ostateczna prawda musi pozostać czysta i nieskalana, żeby ludzie nie przeżyli rozczarowania. Żeby chronić tych wszystkich, którzy nie są w stanie zrozumieć, że istnieją też ciemności.

- Rozumiem... Raj dla naiwnych rządzony przez cyników - ironicznie zauważyła Bruna.

- Jeśli masz mnie na myśli, jesteś w błędzie. Nawet nie wiesz, jak mocno wierzę w tę prawdę, która jest motorem wszystkich moich działań.

Square zamilkł na parę sekund i utkwił w Branie natarczywe spojrzenie.

- To ty jesteś tą replikantką zmanipulowaną przez Ainho. Rozumiem twoje rozdrażnienie. Choć w rzeczywistości wszystko, co ci się przydarzyło, jest konsekwencją twojego pochodzenia. Wy, androidy, jesteście tak potwornie sztuczni...

- I dlatego nie chcecie nas w Kosmosie? - zapytała, próbując powstrzymać narastający gniew.

- Tak, ale i dlatego, że zostaliście stworzeni jako niewolnicy. Za bardzo się od nas różnicie. Nie pasujecie do naszego egalitarnego społeczeństwa.

- Powiedziałeś, że to, co się wydarzyło, ma związek ze sztucznym pochodzeniem

repów, czyli masz na myśli implanty z memorkami i tak dalej - wtrącił Lizard pospiesznie, uprzedzając odpowiedź Bruny. - Ale wiemy, że Ainho przed Unifikacją brała udział w tajnych pracach Unii Europejskiej nad stworzeniem implantów z zaprogramowanym zachowaniem dla ludzi... A zatem nasz mózg jest tak samo podatny na manipulację jak mózg replikantów.

To był strzał na ślepo, ale trafiony.

- Sekretne prace UE, o których wspomniałeś, to przykład ziemskiej hipokryzji... Publicznie karzecie za cenzurę, a sami macie mnóstwo brudnych tajemnic. Prace nad tamtym projektem przerwano z dnia na dzień, a cały dorobek Ainho został skonfiskowany. Prawie dwadzieścia lat badań. A ponieważ nie chciała się pogodzić z tą sytuacją, jej kariera legła w gruzach. Wielkie osiągnięcie wolnego świata.

- W Kosmosie oczywiście nie ma indywidualnych karier zawodowych. Istnieje tylko jedna wielka kariera, kariera politycznej hierarchii - zgryźliwie zauważyła Bruna.

- A wy natychmiast zaoferowaliście jej wsparcie... - powiedział Lizard, nie zważając na komentarz replikantki.

- Olga Ainho to wybitna uczona, a Demokratyczna Republika Kosmosu potrzebuje wszelkiej pomocy w realizacji swoich planów.

- Tyle że ona nie podziela waszej ideologicznej pasji, prawda? Moim zdaniem nie wyglądała na entuzjastkę raju - wtrąciła się Bruna.

- Ainho to wybitna umysłowość, ale jednocześnie zraniona kobieta. Jej szesnastoletni syn postanowił zakraść się do pilnie strzeżonego laboratorium, żeby wynieść zapisy badań naukowych matki, i został zabity przez wartowników. Były nimi oczywiście androidy. Replikanci bojowi, tacy jak ty.

Więc stąd ten sadyzm, to perwersyjne wylupianie sobie i innym oczu, pomyślała Bruna i przeszedł ją dreszcz: co za chora kobieta.

- Ainho nigdy się z tym nie pogodziła - ciągnął Kosmita. - Ma obsesję na punkcie śmierci syna. Żyje tylko dla zemsty, co czasami jest błędną drogą. No właśnie, mamy doskonale wytłumaczenie tego, co się wydarzyło. Wytłumaczenie hipotetyczne i całkowicie nieoficjalne, oczywiście.

- Aha. Chcesz powiedzieć, że niezrównoważona Ainho ukuła megalomański plan zemsty na Ziemianach w ogóle i na replikantach w szczególności... - skonkludował

Lizard.

- Można by tak hipotetycznie założyć.
- A Kosmos udzielił jej schronienia i wsparcia powodowany szlachetnością... -

uzupełniła replikantka.

- Mamy wielu wrogów i potrzebujemy wszelkiej możliwej pomocy, już o tym wspominałem. Chociaż jest niezrównoważona, to jednak genialna. Trudno byłoby się nam obyć bez uczonej tego formatu. Hipotetycznie.

- Po co się męczysz, przyjmując nas tutaj i wciskając te absurdalne wyjaśnienia? Co prawda jesteśmy ledwie małą jednostką śledczą w naszym Regionie, ale przecież wszystkie tajne ziemskie służby wiedzą, że umiejętnie podsycacie wszelkie konflikty społeczne, byle tylko zdestabilizować sytuację na Ziemi... - spokojnie powiedział Lizard.

Square obrzucił ich piorunująco wzgardliwym spojrzeniem arystokraty.

- Demokratyczna Republika Kosmosu jest państwem neutralnym i respektującym prawo w całej rozciągłości.

- Dobra, Square... Wiesz przecież, że toczymy tajną wojnę. Drugą Zimną Wojnę. A czasami zimne wojny stają się zbyt gorące. Wy i jedynowiercy utrzymujecie na spółkę wszystkie ugrupowania terrorystyczne, jakie istnieją na tej planecie... Wszystko po to, żeby osłabić Stany Zjednoczone Ziemi i wzmocnić wasze wpływy. No właśnie, te fałszywe tatuaże to iście makiaweliczna zagrywka... Przy okazji zaszkodziliście Królestwu Labari.

Dyplomata uniósł swe piękne brwi.

- Nie mam najmniejszej ochoty wysłuchiwać dalej tych waszych spiskowych teorii i tych samych od lat obelg, tak więc wydaje mi się, że nadszedł odpowiedni moment, by zakończyć rozmowę.

- Jeszcze tylko jedno pytanie. Jak udało się wam przekonać Habiba? - dociekała Bruna.

Mężczyzna przyjrzał się jej z perwersyjną rozkoszą, podobny do zmił obserwującej sparaliżowaną ofiarę na chwilę przed jej połknięciem.

- Nikogo nie musiałem przekonywać... Znów mylisz się co do mojej osoby. Ale opowiem ci coś o Habibie... Miał siedemnaście lat. Co ty na to? Sądzisz, że wszyscy replikanci muszą umrzeć po dziesięciu latach, ale to nieprawda. Dysponujemy wiedzą

naukową, dzięki której możecie żyć o wiele dłużej. Dwadzieścia, a nawet trzydzieści lat. I w zasadzie ta wiedza stałaby się dostępna również dla Ziemiaków, o ile byliby nią naprawdę zainteresowani. I jak się teraz czujesz, Bruno Husky, świadoma, że są androidy, które nie muszą tak młodo umierać? Nie przeraża cię jeszcze bardziej twój przedwczesny koniec? Nie wydaje ci się on jeszcze bardziej nieznośny i straszny? Nie przyprawia cię o mdłości ten cudowny wolny świat, który nie trudzi się poszukiwaniem leku na WGT, bo to nieopłacalne? Nie byłabyś gotowa służyć Kosmosowi w zamian za dodatkowy rok życia? Nie byłabyś gotowa na wszystko?

Lizard musiał niemal siłą wyciągać Brunę z ambasady. Trzymał ją mocno za ramię, i tylko dzięki temu replikantka pokonała korytarz, potem schody i wyszła na ulicę, inaczej pewnie stałaby dalej, sparaliżowana lawiną myśli i panicznymi strachem. Strachem przed śmiercią, przed własnym gniewem, przed rozpaczliwym pragnieniem życia.

Wsiadli do samochodu i Lizard odwiózł Brunę do domu, a nawet wszedł z nią do mieszkania, w tak dziwnym stanie się znajdowała. A już w środku wiecznie głodny inspektor zaproponował, żeby przyrządzili sobie coś do jedzenia.

- Posiłek dodaje animuszu. To dlatego dawniej urządzano wystawne stypy.

Otępienie Bruny nie mijało, wobec czego Lizard ugotował ryż, do którego dorzucił wszystko, co znalazł w spiżarni: groch, krewetki, dymkę, jajka, ser. Potem w milczeniu zabrali się do jedzenia i do picia. Kiedy otwierali drugą butelkę białego wina, Bruna odważyła się przerzucić most słów nad przepaścią, która otworzyła się w jej głowie.

- Nie umierają, Paul. Niektórzy replikanci nie umierają.

- Umierają, oczywiście, tak jak wszyscy. Tylko trochę później. A te dodatkowe lata i tak im nie wystarczą, zapewniam cię. Nigdy nie wystarczają. Bez względu na to, jak długo żyjesz, nigdy nie żyjesz wystarczająco długo.

- To niesprawiedliwe.

Lizard zgodził się.

- Życie jest niesprawiedliwe, Bruno.

To samo mówił Nopal: życie boli. Replikantka poczuła nagle ukłucie tęsknoty. I pomyślała, że on by ją zrozumiał.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek u drzwi. To był ro-bot-posłaniec, wysłany przez Mirari.

Zostawił na środku pokoju wielkie pudło, oklejone etykietami „Uwaga! Szkło”. Zaintrygowana Bruna otworzyła paczkę. Wskoczyła z niej włochata kula, która z piskiem uczepliła się jej szyi.

- Bartolo!
- Grzeczny Bartolo, ładny Bartolo - zaskomlał bubi.

O wielki Morlayu, jęknęła w duchu Bruna, przerażona wizją mieszkania z bubim. Ale stworzenie było tak przestraszone, że mogła je tylko głaskać po grzbiecie i czekać, aż się uspokoi. Czowała na swoim ramieniu mocno bijące serce gryzka, czy też może coś na kształt serca.

Z Bartolem w ramionach podeszła do ekranu i zadzwoniła do cyrku. Zobaczyła twarz Maia, w wyjątkowo pieskim humorze i z ponurą miną.

- Co jest z tym bubim? - zapytała bez ogródek replikantka.
- Bruno, wiesz przecież, że ja bardzo lubię Bartola, świetnie się z nim dogaduję, ale on zjadł trapezistce kostium z cekinów. I trapezistka postawiła ultimatum: albo gryzek, albo ona.

- Bartolo grzeczny... - szepnął zwierzak Brunie do ucha rozszlochany głosem.

No dobrze, dobrze, poddała się replikantka. Na razie bubi może zostać. Potem znajdzie mu jakieś mieszkanie.

- Dobrze, Maio. Nieważne. I dziękuję za uratowanie życia. I w ogóle za wszystko.

Twarz obcego lekko się rozjaśniła.

- Nie ma za co. Ty też mnie uratowałaś.
- Czy jest tam gdzieś Mirari?

Maio obrócił się i pokazał skrzypaczkę leżącą na sofie w głębi pokoju.

- Śpi. Zbudzę ją za chwilę na przedstawienie.
- Chciałam zapytać, ile może kosztować naprawa waszej garderoby... Czarna

plazma musiała dokonać niezłych zniszczeń.

- To bez znaczenia. Cyrk jest ubezpieczony i wypłacą nam odszkodowanie.

Nagle Omaajczyk wyciągnął szyję, jakby zaniepokojony, i uniósł rękę, gestem prosząc o milczenie. Po kilku sekundach rozluźnił się i znów spojrzał na Brunę.

- Mirari śniła, że ucinają jej ramię. Często miewa nocne koszmary. Czasami nawet ją budzę. Ale teraz nie musiałem.

Maio i Bruna przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu, replikantka widziała, jak stwór intensywnie ciemnieje i przybiera brązową barwę.

- To do zobaczenia - pożegnał się, osiągając ciemnobrunatne apogeum.
- Do widzenia, Maio. Dziękuję.

Obraz zniknął. Bruna zorientowała się, że stoi uśmiechnięta. I że lżej jej na sercu. Czowała się odrobinę lepiej.

- Z czego się śmiejesz? - spytał Lizard.
- Z niczego.

Z niczego, o czym mogłaby opowiedzieć.

Nakarmili bubiego, a najedzony zwierzak, najwidoczniej bardzo zmęczony, zwinął się w kłębek na sofie i zaczął chrapać. Paul wstał i przeciągnął się. Rękoma sięgał sufitu.

- Z tego, co widzę, już ci lepiej, Bruno. Chyba sobie pójdę.

Replikantka milczała. Słowa inspektora zupełnie ją zaskoczyły. Już widziała, jak razem przygotowują jedzenie dla Bartola, krzątają się po domu, jakby od zawsze stanowili zgraną parę. A teraz on mówi, że wychodzi. Nie spodziewała się tego. To zakrawało na absurd, ale nie przewidziała, że Lizard odejdzie. Ani nie zakładała, że zostanie. Po prostu pragnęła być z nim, tu i teraz, ciesząc się wspólnie spędzonym czasem bez sporów. Chciała, żeby ta poobiednia rozmowa trwała wiecznie. Cztery lata, trzy miesiące i dziewięć dni. Nie, to stałe odliczanie traciło sens. Niektóre repy mogą żyć dwadzieścia lat. Znów poczuła zawrót głowy, znów otwarła się przed nią przepaść.

Mężczyzna chrząknął.

- Dobrze mi się z tobą pracowało. Może jeszcze spotkamy się przy jakiejś sprawie.
- Tak, jasne.

Nie odchodź, pomyślała Bruna. Nie odchodź.

Co się z nią działo? Przecież dotąd bez problemu proponowała ewentualnym partnerom, żeby z nią zostali. Nigdy nie miała wątpliwości, jak użyć słów, rąk i ust, by ta druga osoba zareagowała zgodnie z jej oczekiwaniami. Teraz była jak sparaliżowana. Przepęniało ją zbyt wiele uczuć. Chciała zbyt dużo i nie umiała o to poprosić.

- Dziękuję za obiad.
- Nie ma za co. To znaczy ja dziękuję. Przecież to ty go przygotowałaś.

Lizard otworzył drzwi, a Brunę boleśnie ścisnęło w żołądku.

- Nie masz ochoty na szklaneczkę whisky? - zapytała zdesperowana.

Paul spojrział zaskoczony.

- Ale ja właśnie wychodzę...

- Napijmy się za szczęśliwe zakończenie! To potrwa tylko moment.

- No dobrze...

Inspektor wszedł z powrotem, ale stanął przy drzwiach. Bruna wrzuciła lód do dwóch szklaneczek i poszła po butelkę. Dostała ją kiedyś w prezencie od klienta i do tej pory nie otworzyła. Nalała i podała jedną szklaneczkę Lizardowi, drugą zatrzymała w dłoni. Nie zносиła whisky i nawet jej nie spróbowała.

- No właśnie... - zaczął Lizard.

- Tak?

Słyszając własny głos, uznała go za zbyt natarczywy.

- Habiba zabiła dziewięćmiłimetrowa kula z pistoletu starego typu, prawdopodobnie z browninga hipower...

Nie to spodziewała się usłyszeć. Nie to chciała usłyszeć, aczkolwiek informacja była dość ciekawa. Zmusiła się do rozsądnej odpowiedzi.

- A... czy od tego samego pocisku zginął wujek Nopala?

- Nawet więcej. Obie kule zostały wystrzelone z tej samej broni... Mówiłem ci, że Pablo Nopal nie jest godny zaufania.

- Ale jeśli naprawdę strzelał on, to tymi razem uratował mi życie - odparła może trochę zbyt stanowczo.

Lizard przez chwilę patrzył na nią w zamyśleniu, z lekko przechyloną głową. A potem postawił szklaneczkę na półce obok drzwi. Ostatecznie, nieodwołalnie.

- Jak najbardziej. Do widzenia.

Dobra, niech już sobie idzie, pomyślała Bruna, hamując wściekłość. Niech sobie idzie, im szybciej, tym lepiej.

- Do widzenia.

Mężczyzna znów otworzył drzwi. I znów je zamknął. Oparł się o nie, wziął do ręki szklaneczkę z whisky, napił się i w zamyśleniu rozgryzał kostkę lodu.

- I jeszcze coś, Bruno. Ta historia zmierza do końca...

- Ta historia?

- No tak, śledztwo, nasza współpraca, powód, dla którego możemy się spotykać...
Wiem tylko, że teraz albo nigdy... Bajka się kończy. Więc albo spędzę tę noc z tobą, albo nigdy się już nie spotkamy.

Być może nie było to zbyt romantyczne postawienie sprawy, ale przyniosło oczekiwany efekt. Replikantka ruszyła wolnym krokiem w stronę Lizarda, z błakającym się na ustach uśmiechem, czując coś na kształt cudownego niedowierzania, jak zawsze w pierwszej chwili długo wyczekiwanego spotkania. To się dzieje, mówiła sobie w duchu. A nawet lepiej: to się dopiero wydarzy. Bruna stanęła przed Lizardem, oparła mu dłonie na piersi, poczuła ciepło delikatnego i zarazem mocnego ciała, zanurzyła się w jego ustach. Dotknęła zimnego języka o smaku whisky. I Branie, która pijała wyłącznie białe wino, zasmakowała nagle ta uperfumowana ślina. Ten aromatyczny i żywotny język.

Pożądanie wybuchło w niej jak nagły atak szału. Chciała połknąć Lizarda, chciała, by on ją połknął, chciała się z nim stopić i eksplodować niczym supernowa. Jednym szarpnięciem ściągnęła z siebie ubranie, rozrywając zapięcia, próbowała to samo uczynić z inspektorem, ale on się opierał. Zdyszani leżeli na podłodze, kąsając się w usta, napierając na siebie i mruczając, w płątaniu rąk i nóg, która bardziej przypominała zapasy niż miłosne spotkanie, w końcu jemu udało się usiąść na Branie i unieruchomić ją, przytrzymując za przeguby dłoni.

- Poczekaj, nie tak szybko, ty moja dzika piękności - szepnął chrapliwie.

I trzymając ją uwięzioną swoim ciężarem, Lizard spokojnie zdjął ubranie, tymczasem ona drżała, widząc go nagim po raz pierwszy, czerpiąc rozkosz z odkrywania ciała kochanka. I dopiero wtedy, gdy obydwójce byli już nadzy, gdy ich ciała powoli się do siebie dopasowywały, a ich skóry szukały wzajemnego porozumienia, Paul pochylił się i ustami otworzył jej usta.

Seks to dziwna i niezrozumiała sprawa. Kiedy chodziło o przypadkowego kochanka, który rozpalał tylko jej ciało, seks był łatwy, szybki i ostry. Ale kiedy kochanek rozpalał również jej serce, a tak działo się w przypadku Lizarda, seks zmieniał się w coś mrocznego i skomplikowanego, a czynność tak prosta jak całowanie przypominała bardziej zatapianie się w tej drugiej osobie. Zatracanie na wieczność.

Przerwali na chwilę, by zaczerpnąć powietrza, odsunęli się jedno od drugiego, żeby się sobie przyjrzeć, utwierdzić w tym cudzie bycia razem. Ciało Lizarda było mocne i

krzepkie, choć skóra nosiła ślady przeżytych lat. Jakże Bruna ubóstwiała tę zmęczoną skórę, ona, której nie dane będzie się zestarzeć. Na torsie i na brzuchu ku swemu zaskoczeniu zobaczyła włosy, przecież w dzisiejszych czasach wszyscy mężczyźni się depilowali. Replikantka zanurzyła twarz w gęstych, skręconych włoskach męskiego podbrzusza, rozkoszując się tą delikatną gęstwiną i zapachem ciała. Pragnęła posiąść je w całości, poznać każdy centymetr skóry, całować znamiona i blizny, zgłębić językiem wszystkie sekretne zakamarki. I to właśnie robiła, wąchała, smakowała i odkrywała to cudowne terytorium, kiedy mężczyzna złapał ją za ramiona i posadziwszy na sobie, delikatnie w nią wszedł. Mieszamy nasze quam-mile, bezwiednie pomyślała Bruna; przepełniona Lizardem, czuła się nabrzmiąta, wielka i okrągła. I przyłgnęła do niego mocniej, aż poczuła jego serce i pokonała śmierć.

Kiedy Bruna dotarła do Pawilonu Niedźwiedzia, Nopal już tam czekał. Melancholijnym wzrokiem obserwował szklaną ścianę ogromnego zbiornika. Tony lśniącej niebieskawej wody napierały na szkło. Wszędzie pusto i spokojnie. Melby nie było nigdzie widać.

- Nie mam szczęścia do tej cholernej niedźwiedzicy. Nigdy nie mogę jej zobaczyć. Jesteś pewna, że ona istnieje? - zapytał Pablo na powitanie.

- Oczywiście.

Usiadła na ławce obok mężczyzny, nie bardzo wiedząc, jak ma się zachować. Nopal zadzwonił do niej dziś rano, na szczęście już po wyjściu Lizarda. Pewnie chciał jej zwrócić netsuke, które wziął na przechowanie, kiedy rozbierali ją w Instytucie Medycyny Sądowej. Bruna wciąż jeszcze leżała w łóżku, otulona zapachem Paula, czując ślady jego palców i ciepło jego ciała, a kiedy Nopal zaproponował spotkanie, nie uznała tego za zły pomysł. A nawet okazała się tak miła, że tym razem sama wybrała miejsce.

Tymczasem teraz, stając twarzą w twarz z pamięciarzem, poczuła się zagubiona i zakłopotana. Co ja tu robię? zastanawiała się duchu. I przygnębiona stwierdziła, że przychodząc na spotkanie, popełniła wielki błąd. Było między nimi zbyt wiele niewypowiedzianych słów i wszystkie one więzły jej teraz w gardle, nie pozwalając się odezwać.

- Proszę. Twój naszyjnik.

Bruna wzięła. Małeńki człowieczek z workiem. Natychmiast w jej mózgu wyświetlił

się obraz matki pachnącej perfumami, szeleszczącej sukni, pospiesznego pożegnalnego pocałunku przed wieczornymi wyjściami. Poczuli się nieswojo.

- Należał do twojej matki, prawda? Ten wieczór, pocałunek i cała reszta... Chodziło o twoją matkę.

- Tak.

Czuła się coraz gorzej. Wszystkie jej wspomnienia nie tylko były kłamstwem, teraz nabrała pewności, że należą do kogoś innego. Do Nopala. I świadomość, że jej fałszywa pamięć była prawdziwą rzeczywistością kogoś innego, przeobrażała to oszustwo w coś jeszcze bardziej bolesnego i groteskowego, podobnie jak świadomość, że niektórzy replikanci mogą żyć dłużej, potęgowała przygnębienie śmiercią.

- Weź sobie ten cholerny naszyjnik. Nie chcę go. - Bruna rzuciła netsuke na ławkę. Nopal nawet go nie dotknął.

- Dałem ci to, co miałem najlepszego, Bruno - wyjaśnił spokojnie.

- Również to, co miałeś najgorszego. Wszystko, co boli. Dlaczego? Śmierć mojego ojca. Zło i cierpienie. To wszystko nie ma sensu.

- Masz w pamięci trzy razy więcej scen niż inni replikanci. Twoja osobowość jest o wiele bardziej złożona. Znasz smutek i tęsknotę. I wzruszenie towarzyszące pięknej muzyce, słowu czy obrazowi. Dałem ci również piękno, Bruno. A piękno jest jedyną możliwą wiecznością.

Przez parę chwil w milczeniu kontemplowali wodną toń. Niebieską hipnotyzującą ścianę. Więc rzeczywiście jestem inna, pomyślała replikantka. To, co przeczuwała od zawsze, okazało się prawdą. I o dziwo, ta pewność ją uspokoiła. Cztery lata, trzy miesiące i osiem dni. Przygryzła wargi, zirytowana swoim nawykiem. Teraz, ilekroć zaczynała w myślach odliczać, boleśnie wspominała słowa Copy Square'a: „Nie byłabyś gotowa służyć Kosmosowi w zamian za dodatkowy rok życia? Nie byłabyś gotowa na wszystko?”. Nie, odpowiadała sobie. Nie na wszystko. A przynajmniej taką miała nadzieję.

Wszystko się pozmieniało w tych ostatnich dniach, wszystko się strasznie skomplikowało. Poczynając od faktu, że oto siedzi na ławce obok swojego pamięciarza. Spoglądała na niego ukradkiem, zdziwiona, że nie czuje większego przerażenia. Zawsze myślała, że kiedy pozna autora swej pamięci, znenawidzi go za pełne bólu życie. A

jednak... Nie potrafiła określić, co czuje w stosunku do Nopala. Żal, ale i swego rodzaju fascynację. I coś na kształt miłości. I wdzięczność. Wdzięczność za co? Za to, że stworzył jej osobowość? Za to, że uczynił ją inną i dumną? Za to, że ukształtował ją na swoje podobieństwo? Ale z drugiej strony, jeśli Pablo Nopal uczynił ją podobną do siebie, to czy ona odziedziczyła również jego mordercze instynkty? Czy za każdym razem, kiedy zabijała, był to tylko efekt jej genetycznych uwarunkowań? Poczula, że dostaje gęziej skórki.

- Zabiłeś Habiba... Ale uratowałeś mi życie. Myślę, że powinnam ci podziękować.

- Twoje życie wiele dla mnie znaczy... ponieważ ja ci je dałem. Ale nikogo nie zabiłem.

- Kłamiesz.

- Skąd miałbym wiedzieć, że jesteś w Szpitalu Królowej Zofii? Albo że Habib cię zaatakuję?

- No właśnie, bardzo dobre pytania. Skąd wiedziałeś?

Nopal uśmiechnął się.

- Pozwól, że ci to powiem, Bruno: jestem niewinny. Niewinny. Tak samo jak ty.

Podniósł naszyjnik, wstał i zawiesił go na szyi Bruny. Zrobił to w tak naturalny sposób, że Bruna nie zaprotestowała.

Siedziała jak zamurowana, wpatrzona w Nopala. Pamięciarz pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Bądź grzeczna - rzekł.

I odszedł.

Dwie sekundy później ukazała się niedźwiedzica, płynęła majestatycznie w błękitnej toni, a jej wełnista sierść falowała niczym ukwiały. Ostatnia przedstawicielka swojego gatunku, samotna Melba. I wtedy Bruna zrobiła coś, o czym myślała od paru dni, wybrała numer na swoim komfonie. Księżycowa twarz Natvela wypełniła wyświetlacz.

Tatuażysta spojrzął na replikantkę śmiałym wzrokiem i zapytał tylko:

- Teraz mogę?

- Teraz tak, bardzo proszę.

- Niedźwiedź. Jesteś niedźwiedziem, Bruno.

Słowa esencjalisty wcale jej nie zaskoczyły, przyszła dziś do pawilonu właśnie

dlatego, że przeczuwała, co powie tatuażysta. Nie ma w tym żadnej magii, pomyślała sceptycznie Bruna, to tylko efekt działania neksyny, eksperymentalnie wygenerowanego enzymu, który wzmacniał empatię. Zapewne właśnie dzięki neksynie udało się jej przechwycić myśli Natvela podczas ich ostatniego spotkania, powtórzyła sobie. I mimo ogromnej niechęci żywionej do ezoteryki replikantka była ogromnie wzruszona. Wstała z ławki i podeszła do szyby. Z drugiej strony patrzyła na nią Melba, oczyma czarnymi jak węgielki. Bruna oparła dłonie o szybę, czuła napór wody, tajemniczą moc tamtego drugiego życia. Przez moment zobaczyła siebie obok niedźwiedzicy, jak we dwie płyną w niebieskim tunelu, tak samo jak tamtej deszczowej nocy, prawie dwa lata temu, Bruna płynęła obok umierającego Merlina, na łóżku, które unosiło się niczym wrak na wzburzonych falach. To wszystko było bardzo bolesne, ale i piękne zarazem. A piękno jest wiecznością.

- Jesteś Husky? Tak?! Jesteś Bruna Husky!

Ktoś potrząsał ją za ramię, wyciągając z błękitnych odmětów. Odwróciła się. Stało przed nią troje młodych ludzi, dwóch chłopców i jedna dziewczyna, wyglądali na bardzo podnieconych jej widokiem.

- To Husky! Ale mamy szczęście! Czy możemy nakręcić sobie z tobą filmik?

Młodzi skierowali na nią swoje komfony, robiąc jej zdjęcia ze wszystkich stron.

- Co wy wyczyniacie!? Przestańcie! Zostawcie mnie w spokoju!

Bruna przyzwyczaiła się, że wzbudza strach u ludzi nawet wtedy, kiedy się śmieje, i było jej przykro z tego powodu. Tymczasem teraz, mimo jej okrzyków, młodzi ludzie wciąż skakali dookoła. Musiała po prostu uciec, by uwolnić się od ich radosnego entuzjazmu, a kiedy minęła bramę parku okalającego Pawilon Niedźwiedzia i wypadła na ulicę, na jednym z publicznych telebimów zobaczyła dopiero co nagrany filmik.

- Do stu przeklętych gatunków!

Ruszyła ulicą, obserwując telebimy, i na wielu z nich widziała siebie. Niektóre ze zdjęć prezentowano już wcześniej, kiedy poszukiwano jej jako zabójczyni: Bruna jako Annie Heart, Bruna jako Bruna w drzwiach hotelu Majestic albo przed siedzibą Partii Supremacjonistów. Teraz pokazywano dużo więcej. Zobaczyła nawet materiał dokumentalny ściągnięty z jej dowodu tożsamości. I teraz już o nic jej nie oskarżano,

wręcz przeciwnie: telebimy prześcigały się w opowieściach o jej niezwykłym bohaterstwie. Z narażeniem życia, samotna replikantka Bruna Husky zdołała odkryć niebezpieczny spisek. Dobre androidy, źli supremacjoniści. Wstrętnei Kosmici i Labaryci dążący do przejęcia władzy na Ziemi. Zupełnie ogłupiała włączyła wiadomości na swoim komfonie, odrobinę bardziej wiarygodnym anizeli publiczne telebimy. Tajne sprzysiężenie rozsypuje się niczym domek z kart. Zatrzymano paru wysokich funkcjonariuszy policji, całą bandę płatnych zabójców, kilku adwokatów, jednego sędziego, dwóch pracowników Centralnego Archiwum. Pełniący obowiązki Prezydenta Regionu Chem Cones uniesionym głosem zobowiązywał się, że doprowadzi do końca śledztwo w sprawie odrażającego spisku supremacjonistów, dziękując przy tym za nieocenione wsparcie ze strony androidów, wiernych sprzymierzeńców Rządu i naszej planety. Zbierało się jej na wymioty, kiedy słuchała tych pełnych fałszu wystąpień, tej kłamliwej bajki o szczęśliwym świecie, rozgłaszanej tak bezczelnie przez jednego z najbardziej zajadłych supremacjonistów. Cones uratuje głowę i stołek, podobnie jak paru innych idiotów. Zapewne rozpracowanie spisku nie oznacza końca supremacjonizmu, walki między gatunkami, tajnych organizacji w Kosmosie i w Labari, zawsze gotowych do osłabiania Stanów Zjednoczonych Ziemi i wzmacniania swoich wpływów na naszej planecie. Ale przynajmniej wygraliśmy jedną bitwę, westchnęła Bruna. Uff, co za ulga!

Wiadomości były tak ekscytujące, że replikantka poczuła chęć, by podzielić się nimi z Lizardem, ale powstrzymała się: on na razie nie miał ochoty się z nią skontaktować. Na myśl o inspektorze w sercu Bruny zakiełkowało ziarno niepewności. Lizard zbudził się bardzo późno, musiał szybko wyjść, niczego nie ustalili, nie wiedziała nawet, czy jeszcze kiedykolwiek się zobaczą. A czy przypadkiem ona nie była niedźwiedzicą? Zwierzęciem samotnikiem, jak powiedział psychoterapeuta, takim, które nie żyło w stadzie, ani nawet w parze.

- Może tak lepiej - powiedziała głośno. - Mniej okazji do pomyłek i do ośmieszania się.

Cztery lata, trzy miesiące i osiem dni.

A może osiem lat, trzy miesiące i cztery dni.

Bruna wiedziała, że umrze, ale już nie miała pewności co do daty.

Ponownie zadzwoniła do Yiannisa. Wciąż nie odpowiadał. Po wyjściu z aresztu

kilkakrotnie próbowała się z nim skontaktować. Bez skutku. Z początku odpuściła: uznała, że się ukrywa, zawstydzony, a i ona sama miała do niego trochę żalu o to, że okazał się taką papłą. Teraz jednak brak wiadomości od archiwisty zaczynał ją niepokoić. Postanowiła odwiedzić go w domu.

Przemierzała Madryt coraz bardziej rozdrażniona, ponieważ wszyscy ją rozpoznawali i wskazywali palcem. Próbowala złapać taksówkę, ale z powodu kolejnego strajku tramwajarzy wszystkie były zajęte. Świat znów zaludnił się replikantami, wyglądało to tak, jakby wszyscy naraz wypelzli spod kamieni, pod którymi się ukrywali, i wielu z nich mijając Brunę, pozdrowiało ją jak swoją dobrą znajomą. To było bardzo irytujące.

W kamienicy Yiannisa ktoś się wyprowadzał. Zapracowana ekipa robotów wyspecjalizowanych w przeprowadzkach ładowała meble i pudła do ciężarówki. Replikantka wsiadła do windy z jednym z robotów. Jechali na to samo piętro. Bruna miała złe przeczucia. Wsiadła z windy, za nią wyjechał piszczący blaszak, stanęła przed otwartymi drzwiami do na pół opróżnionego mieszkania Yiannisa. Przy wejściu natknęła się na blondynkę w roboczym kombinezonie, która przydzielala meble i pudła kolejnym robotom. Ten, który przyjechał z Bruną, otrzymał niewysoką wieżę z nałożonych na siebie krzesel.

- Co tu się dzieje?

Blondynka spojrzała na Brunę jak na idiotkę.

- A jak myślisz? Firma przewozowa, roboty od przeprowadzek... I rozwiązanie dzisiejszej zagadki to... - ironicznie odparła kobieta, używając frazy z modnego konkursu.

- Pytam, bo znam tego lokatora. Yiannisa Liberopoulou. Nie wiedziałam, że zmienia mieszkanie. Gdzie on jest?

- Nie mam pojęcia.

- Gdzie zawozicie meble?

- Nigdzie. Tak naprawdę to nie jest przeprowadzka. Opróżniamy mieszkanie.

Sprzedano całą jego zawartość.

- Co?! To przecież niemożliwe.

Jej zdumienie musiało być wielce wiarygodne, bo blondynka zmiękła i zaczęła sprawdzać dane na swoim komfonie. Cztery roboty ustawiły się w kolejce i czekały na

pakunki na wolnym biegu, cicho brzęcząc.

- Mam... Tak, Yiannis Liberopoulos. Wszystko się zgadza. Sprzedaż całości wyposażenia. Dziwne. Nie ma tu żadnego namiaru... aha, jest jedna osoba do kontaktu. Jakaś Bruna Husky. To jej mamy wypłacić pieniądze za meble.

- Co?!

Replikantka chwyciła kobietę za ramię i sama spojrzała na wyświetlacz.

- O nie! - zaprotestowała blondynka.

Rzeczywiście, nazwisko Bruny figurowało jako jedyne na liście beneficjentów tej sprzedaży. Odwróciła się i ruszyła pędem. Wydawało się jej, że wie, gdzie może znaleźć Yiannisa.

- Nie ma za co, kochana, nie ma za co! - dobiegł ją jeszcze zza pleców głos wkurzonej blondynki.

Pomóż mi, wielki Morlayu, żebym zdążyła, proszę, szeptała, biegnąc. Postanowiła nie korzystać ze zbyt zatłoczonych ruchomych chodników i popędziła ulicami, ile sił w nogach. To był dość wyczerpujący czterdziestominutowy wyścig z czasem, a kiedy dotarła do budynku Finis, nie mogła złapać tchu. Ruszyła w stronę recepcji mieszczącej się w holu, ale zanim tam dotarła, zobaczyła Yiannisa. Siedział zamyślony i posępny na jednym z krzeseł w poczekalni. Podeszła do niego i bez sił opadła na krzesło obok.

- Co ty tutaj robisz? - wydyszała.

Archiwista wyprostował się gwałtownie i spojrzał na nią zdumiony.

- Bruno, tak mi przykro. Zresztą sama wiesz.

I nieśmiało powiódł wzrokiem dookoła. Siedzieli w przestronnym i uroczym holu, pomalowanymi w delikatne odcienie zieleni, z przyciemnionym światłem i stonowaną muzyką. Było tu jeszcze z dziesięć osób, niektóre samotne, inne w parach, ale nie słychać było żadnych rozmów, panowała atmosfera skupienia, zupełnie jak w świątyni. Finis była największą firmą eutanazyjną na Ziemi i jedyną, jaka działała w Madrycie.

- Tak, widzę, ale pytam raz jeszcze, co, do cholery, ty tu robisz?

- No cóż, to chyba oczywiste. Do niczego się nie nadaję. Nie lubię życia. No i jestem bardzo stary.

- Przestań opowiadać głupoty. Mnie się przydasz. Potrzebuję cię. Chodź, zabieramy się stąd. Pogadamy o tym na spokojnie, ale na zewnątrz. Przeraza mnie to

miejsce.

- To nieprawda. Na nic ci się nie przydam. O mało cię przeze mnie nie zabili.

Jestem starym durniem. Już dawno powinienem był to zrobić.

- Czy wiesz, ile dałby Mer lin, żeby móc dalej żyć, do ciężkiej cholery?! - ryknęła z wściekłością.

Krzyk odbił się echem w holu i wszyscy spojrzeli na Brunę. Natychmiast znaleźli się przy niej dwaj strażnicy.

- Masz stąd natychmiast wyjść. Zakłócasz spokój.

To byli dwaj krzepcy replikanci bojowi. Bruna powoli wstała, czując dziką radość autodestrukcji.

- To może być zabawne - mruknęła groźnie.
- Nie, proszę, uspokój się, poczekaj. - Yiannis złapał ją za ramię.

I odwróciwszy się do strażników, oznajmił:

- My już wychodzimy.

I rzeczywiście wyszli z budynku Finis i kroczyli obok siebie niczym dwa zombi, zbyt poruszeni, by rozmawiać. O jakieś sto metrów przed nimi znajdował się mały miejski ogród, taki nieco większy klomb. Tam bezwiednie się skierowali i usiedli na ławce pod młodą brzozą obsypaną pąkami. Mogli cieszyć się cudownym porankiem. Luty był najprzyjemniejszym z miesięcy, potem robiło się zbyt gorąco.

- Popatrz, jaki piękny dzień. Zabić się w tak pięknym dniu to rzecz w złym guście - wymruczała Bruna.

- Niczego nie mam. Oddałem swoje mieszkanie. Sprzedałem meble.
- Wiem.
- Przelałem na twoje konto wszystkie pieniądze, jakie mi zostały.
- Zwrócę ci, nie martw się.

Przez chwilę milczeli.

- Wszystko minęło tak szybko... dzieciństwo, młodość... śmierć mojego syna... całe życie. Pewnego dnia budzisz się i już jesteś stary. I nie potrafisz zrozumieć, co się stało. Dlaczego wszystko tak szybko minęło.

- Jeśli nie będziesz się wygłupiał tak jak dziś, pożyczysz dłużej ode mnie. Nie denerwuj mnie.

- Non ignoravi me mortalem genuisse. Zawsze wiedziałem, że jestem śmiertelny.

Tak mówił Cynceron.

- Ñeque turpis mors forti viro potest accidere. Odważnych nie czeka śmierć nikczemna. To również Cynceron.

Archiwista spojrział na nią z zachwytem.

- Pamiętaj!
- Oczywiście, Yiannisie. Nauczyłeś mnie wielu rzeczy. Już ci mówiłam, że mi się przydasz.

Znów pogrążyli się w milczeniu, ale to było milczenie pełne empatii. Naraz Bruna zobaczyła w myślach ławkę, na której siedzieli, klomb, dzielnicę, miasto, półwysep, zielononiebieską kulę ziemską, mały system słoneczny, postrzępioną galaktykę, czerń kosmosu naznaczoną konstelacjami, czerwonymi karłami i białymi olbrzymami... Cały wszechświat. I pośród tego nieopisanego ogromu chciała przez chwilę mieć złudzenie, że nie jest sama. Pomyślała o Yiannisie. O Maiu i Mirari. O Oli. A nawet o Nopalu. A przede wszystkim o Lizardzie, poświęcając mu jedno ostrożne wspomnienie, obeszła się z nim delikatnie, jakby stąpała na palcach, wstrzymując oddech. Był czas na śmiech, był czas na pieszczoty.

Choć niedźwiedzie łączą się w pary tylko w okresie godowym, być może ona i w tym się od nich różniła.

- No dobrze... - westchnął archiwista. - Zobaczą, czy uda mi się odzyskać mieszkanie. I podejść do Archiwum, może po tym wszystkim zechcą mnie przyjąć do pracy. Chociaż, wiesz co? Nie o to chodzi, że chcę umrzeć, ale... Cudownie jest tak uwolnić się od siebie. To jakby doskonalszy rodzaj wolności, kiedy przestajesz być tym, kim byłeś. Perspektywa powrotu do starego wcielenia wydaje mi się dość przygnębiająca.

- Więc nie wracaj. Znajdź sobie inne mieszkanie. I pracuj ze mną. Zostań moim współnikiem.
- Mówisz poważnie?
- Całkowicie. Posiadasz rozległą wiedzę i świetnie sobie radzisz z przygotowaniem dokumentacji, analizą informacji i logicznym wiązaniem faktów. Stworzymy idealny tandem.

Yiannis uśmiechnął się.

- To będzie zabawne.
- Bardzo zabawne.

Publiczny telebim tuż obok nich zaczął emitować wiadomości, w pasku PILNE pokazała się informacja: „Trybunał Konstytucyjny uznał za niezgodne z prawem pobieranie opłaty za powietrze”. Yiannis wydał cichy okrzyk radości.

- Widzisz? Mówiłem. Nie można tracić nadziei. Nie można przestać dążyć do lepszego.

Nawet Bruna była pod wrażeniem. Replikantka nie widziała przyszłości w tak jasnych barwach jak stary archiwista, była przekonana, że właściciele powietrza zaraz znajdą jakiś kruczek prawny i zapewne Strefy Zero nadal stanowiąc będą zanieczyszczone getta, a biedakom nie uda się tak łatwo z nich uciec. Ale tak czy inaczej, orzeczenie Trybunału było bardzo ważne. W końcu Bruna w swoim krótkim życiu replikanta doczekała się fundamentalnej społecznej zmiany. Przy odrobinie szczęścia tamta dziewczynka deportowana przez policję skarbową też może jej doczeka.

- Moje gratulacje, Yiannisie. Widzisz, jak potrafisz wszystko przewidzieć? Bardzo mi się przydasz. A może wypróbujemy twoją zdolność dedukcji? Dlaczego ja?

- Dlaczego ty?
- Tak, dlaczego to ja zostałam wybrana przez RoyRoy?
- Sam nie wiem, ale spróbujmy. Jako replikantka bojowa o bardzo groźnym wyglądzie - z powodu tej linii przecinającej cię na pół - medialnie doskonale wpisujesz się w jej strategię, pracujesz jako detektyw, a zatem najprawdopodobniej dysponujesz bronią. I Habib miał pretekst, żeby cię zatrudnić. Idealnie odpowiadał im twój profil osobisty. Może zastosowali program zgodności profilowej i znaleźli ciebie.

No tak, owe wszechobecne elektroniczne programy zgodności. Ludzie wciąż szukali w sieci pracy, stolarzy, kochanków, przyjaciół. Tak, może Yiannis ma rację, może została wplątana w ten koszmar z winy jakiejś cholernej ślepej maszyny. W każdej tragedii tkwił okruczeństwo banału.

- To dobra hipoteza. Widzisz? Jesteś świetny. Idziemy świętować do baru Oli?

Wstając z ławki, Bruna zauważyła coś na ziemi. Trąciła to stopą, to był trójwymiarowy, brudny i zniszczony transparent. **NAWRACAJCIE SIĘ! 3 LUTEGO**

KONIEC ŚWIATA! migotały literki, już nieco przybladłe. Transparent apokaliptyków.

- Dziś jest trzeci lutego?

- Tak.

Bruna rozejrzała się wokół. Cudowny poranek, spokojny ogród.

- Zdaje się, że dziś też nie będzie końca świata - oznajmiła.

- Wydaje się, że raczej nie.

- Świetnie. Co za ulga.

- Moje gratulacje, Yiannisie. Widzisz, jak potrafisz wszystko przewidzieć? Bardzo mi się przydasz. A może wypróbujemy twoją zdolność dedukcji? Dlaczego ja?

- Dlaczego ty?

- Tak, dlaczego to ja zostałam wybrana przez RoyRoy?

- Sam nie wiem, ale spróbujmy. Jako replikantka bojowa o bardzo groźnym wyglądzie - z powodu tej linii przecinającej cię na pół - medialnie doskonale wpisujesz się w jej strategię, pracujesz jako detektyw, a zatem najprawdopodobniej dysponujesz bronią. I Habib miał pretekst, żeby cię zatrudnić. Idealnie odpowiadał im twój profil osobisty. Może zastosowali program zgodności profilowej i znaleźli ciebie.

No tak, owe wszechobecne elektroniczne programy zgodności. Ludzie wciąż szukali w sieci pracy, stolarzy, kochanków, przyjaciół. Tak, może Yiannis ma rację, może została wplątana w ten koszmar z winy jakiejś cholernej ślepej maszyny. W każdej tragedii tkwił okruczeństwo banału.

- To dobra hipoteza. Widzisz? Jesteś świetny. Idziemy świętować do baru Oli?

Wstając z ławki, Brunna zauważyła coś na ziemi. Trąciła to stopą, to był trójwymiarowy, brudny i zniszczony transparent. **NAWRACAJCIE SIĘ! 3 LUTEGO KONIEC ŚWIATA!** migotały literki, już nieco przybladłe. Transparent apokaliptyków.

- Dziś jest trzeci lutego?

- Tak.

Bruna rozejrzała się wokół. Cudowny poranek, spokojny ogród.

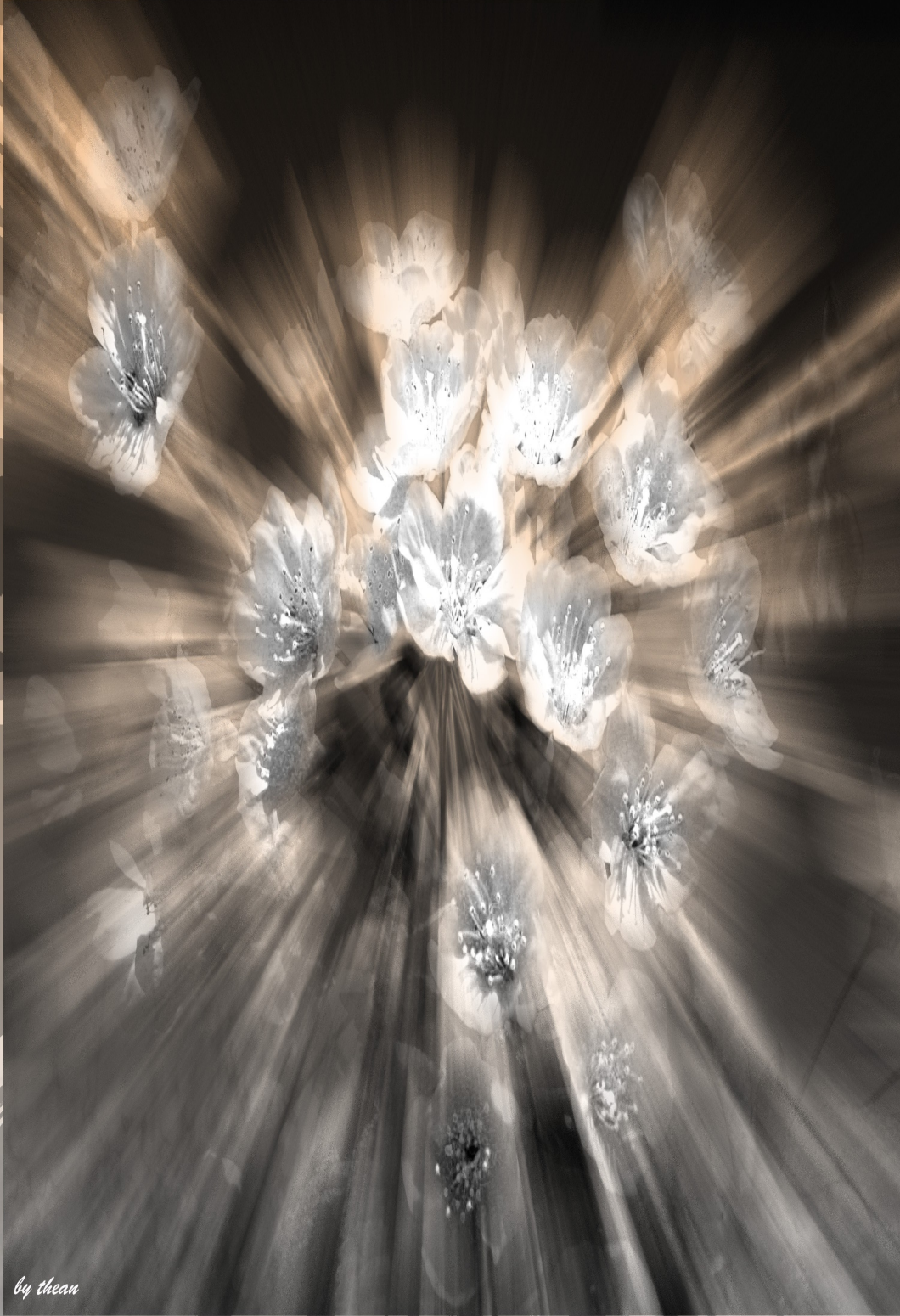
- Zdaje się, że dziś też nie będzie końca świata - oznajmiła.

- Wydaje się, że raczej nie.

- Świetnie. Co za ulga.

Krótką nota wyjaśniająca

Jak zapewne niejedyn czytelnik zdał już sobie sprawę, autorem zamieszczonego na początku tej książki znakomitego cytatu „To, co czynię, pokazuje mi, czego szukam”, nie jest Sulagnes, artysta malarz z planety Gneio, ale francuski malarz abstrakcjonista Pierre Soulages, twórca, między innymi, serii wielkich i całkowicie czarnych płócien.



by thean